



A gdybyś tak mogła podsłuchać każdą rozmowę telefoniczną w mieście? Porywająca powieść!

KATHRYN STOCKETT, autorka bestsellera *Stużące*

GRETCHEN BERG
TELEFONISTKA

przełożyła
MONIKA SKOWRON

 **Insignis**

Tytuł oryginału
The Operator

Copyright © 2020 by Gretchen Berg
All rights reserved
First published 2020 by William Morrow
HarperCollins Publishers, 195 Broadway, New York, NY 10007

Redakcja i korekta
Anna Hadała-Żoźnik, Marcin Piątek, Dominika Rychel

Skład
Tomasz Brzozowski

Słownikowe definicje w nieznacznie zmodyfikowanym brzmieniu
Uniwersalny słownik języka polskiego PWN

Konwersja do wersji elektronicznej
Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for Polish translation
Monika Skowron

Copyright © for this edition
Insignis Media, Kraków 2020
Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN pełnej wersji 978-83-66575-12-7



Insignis Media
ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków
tel. +48 (12) 625 19 90
biuro@insignis.pl, www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis
[@insignis_media](https://twitter.com/insignis_media)
[@insignis_media](https://instagram.com/insignis_media)

Spis treści

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Epilog](#)

[Od autorki](#)

[Podziękowania](#)

[O autorce](#)

*Dla Elaine Gladys McAnaney Stoddard,
Babci*

Rozdział 1

15 grudnia 1952 roku

Stare, znoszone botki Vivian Dalton skrzypnęły na ubitym śniegu przed domem handlowym Freedlandera, którego jaskrawe oświetlenie wylewało się wprost na chodnik i mieszało z poświatą latarni ulicznych. Vivian przelotnie i uprzejmie pomachała odzianą w rękawiczkę dłonią do Betty Miller, którą dostrzegła kątem oka przez mrożoną szybę głównej witryny sklepowej. U Freedlandera przystroili się już na święta w lampki, dzwoneczki i wszelkie inne ozdoby; umieścili je w oknie, by wyglądało, jakby w środku padał śnieg.

Vivian słyszała, że szkło nazywano mrożonym, ale nie potrafiła powiedzieć, co to takiego. Mogła się domyślać, że miało coś wspólnego z mrozem. Mroźno, mrożone. Któż mógł wiedzieć? Vivian wiedziała tylko, że sama wolałaby być w środku jasnego sklepu, po drugiej stronie tafli mrożonego szkła, w ciepłym i miłym wnętrzu, zamiast odmrażać sobie palce stóp, idąc do pracy w butach, które równie dobrze mogłyby być zrobione z folii spożywczej, bo tyle samo dawały ochrony.

Betty Miller nie musiała pracować, prawda? Nie, stała w ciepłym i miłym wnętrzu domu handlowego wraz z dwiema najmłodszymi pociechami: Małą Bitty i Charlesem Juniorem, czekając w długiej kolejce na spotkanie ze Świętym Mikołajem, co ani trochę nie zaskoczyło Vivian. Vivian musiała przyznać – tym razem Mikołaj się udał. Gruby, radosny i przynajmniej trzeźwy, więc i Millerowie przyszli, a kolejki były o wiele dłuższe niż w zeszłym roku. Jimmy Hixson rok temu powiedział, że oddech Świętego zionął jak Sunoco. Starszy brat Jimmy’ego, Albert, pracował na stacji benzynowej, więc Jimmy wiedział, co mówi.

Gdy Betty Miller usłyszała, co rok temu powiedział Jimmy Hixson, jako pierwsza z matek zbojkotowała kolejkę do Świętego, a inne mamy prędko poszły za jej przykładem, tak jak zwykle to robiły. Nie zaprzętała sobie głowy, by przeprowadzić grzecznościową rozmowę przez telefon ani uprzejmie wyjaśnić Freedlanderowi tym swoim tonem z przesadnie artykułowanymi spółgłoskami, że „Wasz Ś-więty Mikołaj zdaje się pot-wornie, ekhm, zabal-samowany”. Zabrałoby jej to zbyt wiele czasu. Vivian nie orientowała się, co Betty właściwie robiła ze swoim czasem, ale miała świadomość, iż Betty uważa go za cenniejszy od czasu innych. Betty Miller wiedziała, że bojkot odniesie skutek, pozostałe matki też o tym wiedziały, a wkrótce Freedlander dowiedział się, że powinien załatwić nowego Świętego Mikołaja. Bez względu na to, co Mała Bitty oraz Charles Junior powiedzieli Trzeźwemu Mikołajowi, który siedział na podeście na lśniącym czerwonym tronie wprost z bieguna północnego, Vivian Dalton wiedziała, że święta Bożego Narodzenia u Millerów w tym roku będą

bajkowe. Święta Millerów co roku były bajkowe.

Tak właśnie wyglądało życie w niewielkich miasteczkach. Wszyscy wszystko o wszystkich wiedzieli. Vivian z pewnością знаła sprawy innych ludzi, lecz co ważniejsze, znała ludzi. Vivian Dalton znała się na ludziach, bez wątpienia, i od razu by wam to oznajmiła. Powiedziałyby, że kieruje się bardziej intuicją niż informacjami zdobytymi z podsłuchanych rozmów telefonicznych, a jej córka Charlotte skwitowałyby: „Nie, chodzi o podsłuchiwanie”.

Charlotte żartowała z przyjaciółkami, zadzierając nosa ku uciezce reszty, że jej matka była „wtajemniczona” w „niezliczone” konwersacje pomiędzy pocziwymi mieszkańcami Wooster. Tych dwóch słów, „wtajemniczona” oraz „niezliczone”, Vivian sama by użyła, gdyby wiedziała, co znaczą. Nie była głupia, ale jej edukacja skończyła się na ósmiej klasie szkoły publicznej Bowman. Vivian nigdy nie widziała wyrazów „wtajemniczona” ani „niezliczone” w podpisach pod krzykliwymi zdjęciami w magazynach modowych i filmowych. Charlotte musiała przewrócić oczami i westchnąć, gdy tłumaczyła przyjaciółom: „Moja matka nie ufa ludziom, którzy czytają książki”.

Szkoda, że Vivian nie znała słów takich jak „wtajemniczony” albo „niezliczony”, ponieważ by je pokochała. Brzmiały szycownie i kosztownie. Takie słowa dobrze brzmiałyby w ustach pazerów z północnej części Wooster; pewnie używają ich cały czas, nawet u Buehlera, kiedy kupują to, co akurat mają do kupienia. Wyborne żeberka, szczypte homara, buszel kawioru i całą resztę. Vivian podsłuchiwała, a także zaglądała ludziom do koszyków podczas zakupów w sklepie spożywym. Tak, ludzie pokroju Millerów zapewne mówili „wtajemniczony” oraz „niezliczony” u Buehlera. Każde z czworga bogatych dzieciaków zapewne było wtajemniczone w zakamarki sklepu oraz odwiedziło go niezliczoną ilość razy. Little Bitty i Charles Junior prawdopodobnie wypowiadali te słowa, kiedy rozmawiali z Trzeźwym Mikołajem u Freedlandera.

Vivian nie rozmyślała o słowach, których nie znała, gdy skrzypiało jej pod nogami w drodze do pracy, a obłoczki wypływające z ust, kiedy wydychała powietrze, zamarzały. Myślała o tym, jak bardzo cieszyła się, że Betty Miller widziała ją w nowym kapeluszu. Tamtego popołudnia został już tylko jeden u Beulah Bechtel, Vivian położyła go na ladzie obok kasy drżącymi od pocucia winy palcami, którymi – prawdę mówiąc – powinna przesuwać pieniądze przeznaczone na kapelusz po kontuarze ku kasjerowi bankowemu, aby umieścić je raczej na koncie oszczędnościowym. Widziała, jak Betty kręci się przy futrach, łapczywie pożerając je wzrokiem, patrząc na nie tak, jakby miała zjeść je na lunch swoimi szpiczastymi ząbkami. Tak naprawdę zęby Betty Miller wcale nie były szpiczaste, tylko tak wyobrażała je sobie Vivian. Ostro zakończone zębiska w złośliwej buzi, która z równym prawdopodobieństwem mogła odrzec twoje kości z mięsa, co uśmiechnąć się i rzucić komentarz o pogodzie.

Vivian od miesięcy oszczędzała, żeby kupić kapelusz. Tylko jeden kapelusz. Ten piękny kapelusz, o którym wiedziała, że nie został stworzony dla kogoś takiego jak ona, ale jeśli go zakupi, może poczuje to, co czują pazerzy. Że jest tego warta. Rany

Julek! Gdyby powiedziała Edwardowi, ile kosztował kapelusz, pewnie umieściłby ją w przytułku dla obłąkanych. Betty Miller z wysoką dozą prawdopodobieństwa mogła kupić sobie cztery lub pięć takich nakryć głowy, i to jednego dnia, z miejsca. To znaczy, gdyby tylko było ich więcej na stanie.

– Ma pani szczęście – powiedziała ekspedientka (może Doris?) do Vivian, pakując kapelusz w lawendową bibułę. – To nasz ostatni.

Vivian w znoszonych botkach, ale szykownym kapeluszu wyszła na lodowate wieczorne powietrze, a potem przestąpiła próg ceglanego budynku. Zamknęła za sobą drzwi, rzucając: „Brrr!”, po czym ruszyła do szatni. Zrzuciła z siebie płaszcz, następnie delikatnie zdjęła piękny nowy kapelusz. Doris w Beulah Bechtel powiedziała, że to „błękit pruski”, ale Vivian nie wiedziała, co to takiego. Sądziła, że bardziej wygląda na ciemny granat. Beulah zatrudniała dziewczęta ze szkoły pomaturalnej, do której Doris prawdopodobnie poszła, by uczyć się pruskiego czy czegoś tam. W każdym razie błękit podkreślał niebieski kolor oczu Vivian, a jej podobało się zwłaszcza to, jak kapelusz opadał nisko nad jej prawą brew. „Szyk”, przeczytała w czasopiśmie modowym, wymawiając w myślach: „sznyt”. Ostrożnie zahaczyła kapelusz o swój stary zimowy płaszcz wiszący na haczyku w szatni, po czym podreptała po zdartej, zniszczonej podłodze do centrali telefonicznej, odsunęła krzesło na kółkach i usadowiła się przy konsolce, żeby założyć słuchawki.

– Kto bierze żonę? – spytała Dorothy Hoffman, która zajmowała stanowisko pracy zapewne już od kwadransa.

– Co? – Dorothy zsunęła słuchawkę na włosy założone za ucho, zwracając się twarzą do Vivian.

– Kto bierze żonę w *Rolniku samym w dolinie*? Kto? Pies?

– Pies? – Podkreślone kredką brwi Dorothy zjeżyły się w postrzępione M na jej bladym czole.

– Nie? – spytała Vivian, przyglądając się brwiom Dorothy. Powinna używać brązowej kredki zamiast czarnej. Przy czarnej wyglądała na wściekłą, a Dorothy pewnie była tylko odrobinę podenerwowana, jak zwykle, kiedy Vivian nieco się spóźniała i opowiadała o wierszykach dla dzieci.

– Czemu pies miałby brać żonę?

– Nie wiem. Z jakiegoś powodu to utkwilo mi w głowie. Słowo z „eee”. – Obróciła się do pustej tablicy i przyglądała się jej, przechylając głowę na bok. – „Eee bierze żonę...”

– Rolnik bierze żonę – powiedziała Dorothy, bo choć była zła, nie mogła pozwolić Vivian myśleć, że to pies wziął żonę.

– Rolnik? Jesteś pewna? – Vivian odwróciła się znów do Dorothy ze zwątpieniem wypisanym na twarzy. To była tylko rymowanka, na litość boską. Czemu pies nie mógł wziąć żony?

– Wątpię, czy pies w ogóle jest w wierszyku. Pewnie chciałaś powiedzieć: „ser”.

– Ser?

– Tak, kochana, ser.

Vivian z powrotem skupiła się na pulpicie, żywo potrząsając ciemnymi lokami,

które starannie ułożyła, by wyglądać jak Bette Davis we *Wszystko o Ewie*.

– Cóż, przekłety ser nie mógł wziąć żony – wymamrotała, po czym zaczęła chichotać na myśl o dwóch kawałkach sera stojących przed pastorem. Jeden z nich miał na głowie welon.

– Nie wziął. – Dorothy wzniosła oczy ku niebu, szukając ratunku, jak to miewała w zwyczaju. – Ser zostaje w kole. „Ser zostaje w kole, bo nie umiał w szkole” – Dorothy wyśpiewała wers, zasłaniając ręką mikrofon.

Od czasu do czasu następowało zwarcie w obwodach instalacji elektrycznej i nawet jeśli telefonistka pamiętała, by włączyć tryb wyciszenia, wciąż dało się słyszeć jej głos na linii nawiązanego połączenia. Dorothy odebrała trudną lekcję na temat usterek instalacji i od tamtej pory zachowywała szczególną ostrożność; pilnowała, by włączać przycisk wyciszenia oraz zakrywać mikrofon ręką, kiedy rozmawiała z innymi dziewczętami w centrali telefonicznej. Burmistrz Wooster we własnej osobie przez przypadek usłyszał wypowiedziane przez nią słowo na „k”, przez co została zawieszona w obowiązkach na dwa tygodnie, i to bez wypłaty. Vivian nigdy nie powiedziała słowa na „k”, ale używała wszystkich innych, przy czym pamiętała, żeby przykrywać mikrofon ręką, gdy ucinała sobie pogawędkę z dziewczętami z pokoju w centrali.

Vivian zmarszczyła czoło, pobieżnie spoglądając na konsolę, i wróciła do rozmyślań nad serem, który zostaje w kole, sam. Widziała to oczami wyobraźni. Kawałek dziurawego sera szwajcarskiego skąpany w świetle jupiterów leży sam na środku stołu w jadalni. Samotny ser. Staropanieński ser. Nagle zamrugła lampka na tablicy. Vivian prędko wcisnęła koniec wtyczki na miejsce, przesunęła przełącznik i poprawiła mikrofon.

– Numer, proszę.

Myśli Vivian zaprzętał ser leżący samotnie w świetle reflektorów, więc połączyła rozmowę i wyciszyła nasłuch. Gdyby nie była pochłonięta czym innym, podsłuchiwałyby.

– W ten sposób można się wiele dowiedzieć – powiedziała Edwardowi na jednej z pierwszych randek.

I choć nie powinny, Vivian i inne dziewczęta, które siedziały w centrali Ohio Bell przy ulicy East Liberty, przysłuchiwały się rozmowom telefonicznym. Codziennie bez wyjątku wpinały wtyczki do gniazdek, przesuwały przełączniki i przytulały się do słuchawek, żeby sprawdzić, co dzieje się w Wooster. Można by powiedzieć, że były uszami miasteczka. Gdyby to zależało od Vivian, ich rola byłaby o wiele ważniejsza.

Powiedziałyby wam, że już wcześniej naprawdę szybko poznawała się na ludziach i ich osobowościach, a podsłuchiwanie w Bellu tylko pomogło. Potrafiła wywnioskować wiele na temat pewnych sytuacji na podstawie zaledwie kilku szczegółów. Przykładowo kiedy Ray Barnes telefonował do matki do Nowego Jorku, by oznajmić, że ma dla niej dużą niespodziankę, Vivian wiedziała, że tą dużą niespodzianką będzie nowa narzeczona, wiedziała także, że pani Barnes wcale a wcale to się nie spodoba. Zapewne matka miała dobry powód, jeśli Vivian miałyby być z wami szczerą, narzeczona prawdopodobnie była zwykłą zdzirą. Porządne

dziewczyny udawały się z mniejszych miejscowości do Nowego Jorku, nie odwrotnie.

Ruth Craven słyszała tego samego dnia, jak matka Raya Barnesa zatelefonowała do siostry w Mansfield, żeby poskarżyć się na „łatwe dziewczę z Nowego Jorku, które Raymond przywiózł do domu” oraz na to, jak narzeczona psuje jej „biednego, niewinnego chłopca”. „I ta murzyńska muzyka, jakiej teraz słucha!” Ruth była na tyle miła, żeby szczegółowo opowiedzieć o tym innym telefonistkom z centrali i przypomnieć im o tym, co mówiła Vivian. Niektóre naigrawały się z niej, gdy rozprawiła o poznawaniu się na ludziach, ale po tamtym telefonie wszystkie patrzyły na nią z odrobinę większym szacunkiem.

– Nie trzeba skończyć wymyślnej szkoły pomaturalnej ani nawet zwykłego liceum, żeby znać się na ludziach – powiedziałyby.

Ostatnimi czasy prawie nie było co się dowiadywać o kimkolwiek i Vivian parę razy zdarzyło się zasnąć za konsoletą. Mieszkańcy Wooster rozmawiali o najnudniejszych sprawach, jakie można sobie wyobrazić. Weźmy na przykład ten tydzień. W poniedziałek pani Butler skarżyła się pani Young, że jej córka Maxine wcale do niej nie dzwoni, nawet po tym, jak wysłała jej tamtą piękną narzutę w gwiazdzisty wzór, przy której tyle się napracowała. We wtorek Earl Archer zaskoczył swoją żonę Dorę telefonem z kasy biletowej dworca kolejowego, ponieważ znów zostawił portfel na kuchennym blacie i chciał, by wsiadła do autobusu i mu go przywiozła. W środę Clyde Walsh zatelefonował do Ginny Frazier i spytał, czy pójdzie z nim do restauracji A&W tamtego popołudnia, kiedy już skończy odśnieżać chodnik przed domem swojej matki, a Ginny Frazier (po raz enty) powiedziała „nie”.

Vivian nawiązała te wszystkie połączenia i chociaż treści rozmów były monotonne, podsłuchiwała i wyrobiła sobie o nich zdanie. Sądziła, że pani Butler powinna pojechać do Columbus, włamać się do domu Maxine i zabrać jej narzutę. Uważała, że Earl sam powinien ruszyć pomarszczony stary tyłek do domu, a nie kazać Dorze jeździć autobusem w takie zimno tylko dlatego, że był bezmyślnym, roztrzepanym idiotą. I pomyślała, że Ginny Frazier mogłaby długo i dogłębnie rozważyć, czy ma szansę trafić na kogoś lepszego od Clyde’a Walsh. Skoro potrafił przymknąć oko na tę jej facjatę jak patelnia, warto było zjeść z nim hamburgera i lody waniliowe w korzennym piwie w A&W. Ilu chłopców w jego wieku nadal odśnieżało matkom podjazd? Poza tym podsłuchiwała dość telefonów Clyde’a do Ginny, by wiedzieć, że chłopak ma poważne zamiary. Vivian miała poczucie, że takie romantyczne poświęcenie powinno zostać nagrodzone. Jednak pani Butler, Earl i Ginny nigdy nie usłyszeli rad Vivian i wszyscy byli o nie ubożsi.

Vivian nie zawsze rozpoznawała głosy telefonujących oraz numery telefonów, które jej podawali. Wooster było małe, ale nie aż tak małe. Jeśli głos czy numer brzmiały nieznamo, nie sposób było się dowiedzieć, kto znajdował się po drugiej stronie słuchawki, ale Vivian i tak potrafiła wymyślić rozwiązania problemów rozmówców. Bywały dni, kiedy myślała, że być może osoby telefonujące powinny wiedzieć, że jest w stanie je słyszeć; zamiast tylko się przysłuchiwać, mogłaby włączyć się do rozmowy i dać dobrą radę, której – jak twierdziła – potrzebowały. Dobrze by na tym wyszły, co do tego nie było wątpliwości. Ale nie mogła tak

postąpić. Operatorki linii telefonicznych nie miały podsłuchiwać rozmów. Vivian nie potrafiła powiedzieć, czy tak brzmiała konkretna zasada, czy po prostu krzywo patrzono na ten proceder; minęło sporo czasu, odkąd czytała regulamin. Gdyby ktoś wprost zarzucił jej podsłuchiwanie, wyśmiałaby go i stwierdziła, że i tak nie ma czego słuchać. Narzuty, zapomniane portfele i A&W. Chryste.

Telefony, które przyspieszały bicie serca oraz tętno u dziewcząt, to te skierowane do szpitala, na posterunek policji albo straży pożarnej. Vivian miała na tyle zdrowego rozsądku, by niezwłocznie łączyć te rozmowy. Chociaż tak, czasem się im przysłuchiwała, ale tylko po to, by upewnić się, że nie dzwonił nikt z jej własnego domu. Bo chociaż z Charlotte była sprytna, potrafiła niedbale obchodzić się z piecem, a po szkole miała w zwyczaju robić popcorn. No i Bóg jeden wie, że Edward pewnego dnia mógłby obciąć sobie rękę którymś z tych ostrych narzędzi z szopy albo przybić sobie dłoń gwoździem do stołu warsztatowego w piwnicy.

Tak naprawdę chciałyby usłyszeć jakiś skandal. Coś niecodziennego. Coś pokroju sprawy Juliusa i Ethel Rosenbergów, o której najpierw powiedział jej Edward. Radzieccy szpiegowie! Wieści o aferze obieły cały świat, ale Vivian historia interesowała głównie dlatego, że para szpiegów była małżeństwem. To ci dopiero afery. A gdyby podsłuchiwała rozmowę Juliusa z Ethel, możecie się założyć, że miałyby w zanadrzu jakąś radę dla nich.

Można wywnioskować z tego, co Vivian podsłuchiwała, siedząc w centrali telefonicznej, że w Wooster nie rozgrywała się żadna szpiegowska intryga. Nie, w Wooster działy się inne sprawy, pani Butler marnowała czas na szycie narzuty na łóżko niewdzięcznej córki, Earl Archer był bezmyślnym idiotą, który nie doceniał swojej żony, a Ginny Frazier sądziła, że zdoła złowić kogoś lepszego niż Clyde Walsh. Poza tym na zewnątrz było zimno, święta Bożego Narodzenia miały nadejść za kilka tygodni, a u Freedlandera zadbano o to, by miły, trzeźwy Święty Mikołaj wszystkim przypominał o tym fakcie.

Vivian wciąż miała nadzieję na bardziej emocjonujące wieści tamtej zimnej grudniowej nocy, gdy siedziała w centrali. Zniecierpliwiona i znudzona nuciła pod nosem rymowanki, poniekąd licząc, że odkryje szpiegów albo przynajmniej skandal z udziałem męża i żony w ich miasteczku w stanie Ohio. Gdyby zdołała wyrzucić z głowy rolnika, dolinę, samotny staropanieński ser oraz Juliusa i Ethel Rosenbergów, mogłaby usłyszeć głos swojej nieżyjącej babci, który mówił to, co mawiała sama, gdy człowiek prosił się o coś, przez co mógł wpaść w tarapaty. „Uważaj, czego sobie życzysz”.

Rozdział 2

Centrala telefoniczna miała obudzić się do życia dopiero za kilka minut, a Vivian już przysunęła mikrofon do ust i wsparła podbródek na rękach, rozmyślając o woosterskich szpiegach. Niezbyt prawdopodobne, gdybyście ją spytali, ale przecież Wooster wzniecało emocje. Nastąpiły pewne zdarzenia. Takie, które zapadają w pamięć mieszkańcom miasta i stają się tematem do rozmyślań w wolnych, samotnych chwilach. Sprawiają, że ludzie rozmawiają ze sobą, wiecie, od czasu do czasu, na długo po tym, jak wydarzenia nastąpiły.

Ożywienie takie jak pięć lat temu w okolicach świąt Bożego Narodzenia po próbie napadu i strzelaninie w domu towarowym Annat Company. Strzelanina! W Wooster! Kto by uwierzył! Ale trzech uzbrojonych mężczyzn z Akron usiłowało obrabować sklep. Akron, czy to nie mówiło samo za siebie? Nigdy nie usłyszelibyście o obywatelu Wooster wymachującym spluwą w domu handlowym podczas przerwy świątecznej, na litość boską. Gdyby nie odwaga kierownika sklepu oraz szybka reakcja ekspedientki, która poprosiła telefonistkę o połączenie z policją, kto wie, co mogło się zdarzyć... Ekspedientką z refleksem była młodsza siostra Vivian, Violet, a Vivian z pewnością straciłaby rozum, gdyby tamtego wieczoru siedziała przy aparatach telefonicznych. Ellen Leonard odebrała tamtą rozmowę.

– Litości! – zawołała Vivian, kiedy Ellen opisała jej wieczorne poruszenie w centrali Bella. – Jezu Chryste wszechmogący! – krzyknęła do Violet. Wiedziała, jak się odzywać w grzecznym towarzystwie, ale nie miała zamiaru pilnować języka w obecności własnej rodziny.

Wkrótce potem Violet zrezygnowała z pracy w przedsiębiorstwie William Annat, ponieważ miała męża, dwoje dzieci, dwa koty i nie potrzebowała takiego bólu głowy, a Ellen Leonard zabrała ten jeden wieczór kryzysowego doświadczenia w centrali telefonicznej i przeprowadziła się do Cleveland, gdzie zaczęła pracować w Bellu. Myślała, że jest gotowa na większe miasto i ważniejsze telefony. Vivian sądziła, że tak będzie lepiej, ponieważ mężczyźni z Akron urządzali strzelaniny w domach towarowych w Gwiazdkę, więc można było sobie tylko wyobrażać, co wyprawiali mężczyźni z Cleveland.

O próbie rabunku rozprawiano w miasteczku przez kilka kolejnych lat. A przynajmniej do minionego czerwca, kiedy podstępny Gilbert Ogden zdefraudował dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów z Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne'a przy ulicy North Market, gdzie był kasjerem bankowym. Zabrał pieniądze i zbiegł z sekretarką dyrektora banku, jak donoszono na pierwszej stronie dziennika „The Daily Record”. Choć Vivian mogła się domyślić znaczenia tego słowa, postanowiła sprawdzić „zbiec” w słowniku, który musiała kupić Charlotte do szkoły.

zbiec

1. biegnąc znaleźć się niżej, na dole: Zbiec po schodach. Zbiegać ze zbocza.

2. *ksiązk*.

a) ująć, umknąć skądś; uciec: Kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Złodziej zbiegł ze skradzionymi pieniędzmi. Zbiec z więzienia, z niewoli. Zbiec z obozu.

b) o czasie i zjawiskach odbywających się w czasie: przeminąć/przemijać, przejść/przechodzić, upłynąć/upływać: Czas zbiegł im na rozmowie. Dzień zbiegł mu szybko.

Charlotte była uczennicą drugiej klasy liceum w Wooster. Przeskoczyła pierwszą klasę po tym, jak poprawiła nauczycielkę, która używała zamiennie pisowni „może” i „morze”, oraz znała wyrazy takie jak „zbiec”, „wtajemniczony” i „niezliczony”. Lubiła też czytać książki i zwykle przewracała oczami za każdym razem, gdy jej matka szczyliła się, jak to „zna się na ludziach”.

Vivian długie dni wyteżała umysł, próbując przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek podsłuchiwała jakiejkolwiek rozmowy telefoniczne pomiędzy Gilbertem Ogdenem a sekretarką, zanim „zbiegli”. Powiedziała, że „miała przecucie” co do rzeczonego Gilberta Ogdena z tymi jego chytrymi oczkami strzelającymi na wszystkie strony zza okrągłych okularów w drucianych oprawkach i tym, jak nerwowo zwykł przebierać po krawacie palcami o krótkich, grubych paznokciach, które tak gorączkowo obgryzał. „To oznaka *Nervous Purvis*, jako żywo” – tak zawsze mówiła o obgryzaczach paznokci, a lepiej nie pytać, co sądziła o okularnikach.

Zatem nie, Vivian nie była wcale taka zaskoczona, kiedy przeczytała o małwersacji. Jednak małwersacja, choć stanowiła pewną podniętę w miasteczku pokroju Wooster, nie była dla Vivian prawdziwej rewelacji. Prawdziwą rewelacją okazał się pokątny romans Gilberta z sekretarką Florą Parker. Słowo „pokątny” znała, ponieważ raz po raz natrafiała na nie w magazynach filmowych.

– Flora Parker, wielkie nieba! Kto by pomyślał! – powiedziała do Ruth Craven podczas wczesnopopołudniowej przerwy w centrali. – Chociaż... – I tu zamilkła z palcem na ustach. – Czy ona nie była z Nowego Jorku?

Ruth przytaknęła.

– Z Nowego Jorku. I ciut starsza od niego. Ale ładna.

– Mieli dzieci, ona i jej mąż? – spytała, ponieważ to tylko pogorszyłoby sprawę, a im większy skandal, tym lepiej się o nim rozmawiało.

– Nie wydaje mi się.

Vivian wzruszyła ramionami i pomyślała: „Tańcowała igła z nitką, a potem wyhaftowały niezłą ucieczkę”. Był to niespodziewany obrót spraw. Woosterska wersja Bonnie i Clyde’ a, a Vivian na pewno uznała za podejrzane, że Bonnie także nazywała się Parker. Nazwiska miały o wiele większe znaczenie, niż ludzie zwykli im przypisywać.

Vivian sądziła, że Flora i Bill Parkerowie byli jedną z tych irytująco szczęśliwych par prowadzących się za rączkę po mieście i patrzących sobie głęboko w oczy, co mieli w zwyczaju. Gruchali do siebie jak gołąbki. Ale kto wie, co naprawdę działo się u nich za zamkniętymi drzwiami? Vivian traktowała „poznawanie się na ludziach” poważnie; zwłaszcza odkąd wybuchł skandal wokół Gilberta i Flory, łąła się, że nie

zauważyła znaków wcześniej (albo wcale).

Pocieszała się myślą, że choć widywała Florę Parker od czasu do czasu, to ściśle rzecz ujmując, rozmawiała z nią tylko raz, kilka lat przed napadem.

To było w kolejce u Buehlera, gdzie ucięły sobie krótką pogawędkę.

– Kasjerki są dziś niezwykle rozmowne, prawda?

– Tak. Przez to kolejka idzie trochę wolniej.

Następnie Florę Parker zainteresowała się czymś w swojej torebce; Vivian domyśliła się, że kobieta nie była w nastroju na rozmowę, chociaż sama potrafiłaby rozgadać się o kasjerkach. Parę wymienionych słów nie wystarczyło, by Vivian prawidłowo rozszyfrowała Florę.

Zauważyła puszkę roślinnego tłuszczu do pieczenia w koszyku zakupowym Flory, i to było coś. Gdyby Flora była porządną gospodynią domową, gotowałaby na smalcu albo maśle, ale Vivian nie zamierzała ferować wyroków na tak wątej podstawie. Zresztą tamtego popołudnia sama była zaprzątnięta myślami. Wypadała dziesiąta rocznica jej i Edwarda, więc Vivian kupowała jego ulubione serki szwajcarskie z farmy amiszów, próbując ułożyć w głowie plan na resztę obiadu i zastanawiając się jednocześnie, jaką paskudną rzecz z cyny małżonek podaruje jej w prezencie. Dziesiąta rocznica była cynowa. Co by to nie było, zapewne wykonał to w warsztacie w piwnicy. „Oby nie przekłeta konewka”. Dostała taką pewnego razu na urodziny.

Dorothy odchrząknęła, przywracając Vivian do rzeczywistości, w której kilka lampek migąło pod jej nosem na konsolocie. Gdy pozwalała sobie bujać w obłokach, potrzebowała mocniejszego szturchnięcia łokciem, by wrócić na ziemię. Prychnęła, wypuszczając głośno powietrze przez nos, i podłączyła kabel.

– Numer, proszę – powiedziała i szybko połączyła rozmowę, po czym odebrała następną. Może to będzie połączenie z komunistycznymi szpiegami. – Numer, proszę.

– Viv, to ty?

– Tak, kochanie.

Edward nie zaskakiwał już niczym Vivian, nie po piętnastu i pół latach małżeństwa, ale była prawie zaskoczona, że mąż rozpoznał jej głos po drugiej stronie słuchawki. Miał pewien ubytek słuchu, a przynajmniej utrzymywał, że go ma. Pojawiał się i znikał. Największe problemy ze słuchem występowały, gdy przypominała mu o przystrzyżeniu włosów w nosie lub wrzuceniu brudnych skarpetek do kosza z praniem. Jednak gdy tylko zaczęły rozmawiać z Charlotte o pójściu na zakupy i upolowaniu nowej sukienki albo czegoś innego, nie do końca praktycznego, o rany, alez poprawiał mu się słuch. Była pewna, że zdołałby usłyszeć szpilkę spadającą na podłogę, gdyby owa szpilka pisnęła coś o wydawaniu jego pieniędzy.

– Odwołali dzisiejsze spotkanie, więc jestem w domu. – Brzmiał na zmęczonego, jak zwykle.

– W porządku. – Vivian i tak nie miała pojęcia, o czym rozprawiali na tych głupich spotkaniach. Wolnomularstwo. Ha! Dorośli mężczyźni zwołujący tajemne zebrania Bóg wie czemu poświęcone. Brzmiało to tak, jakby chcieli mieć domek na drzewie w wersji dla dorosłych z tabliczką „Dziewczynom wstęp wzbroniony”

i nazywać siebie „stowarzyszeniem”. Edward i tak miał dość zajęć, pracując na dwa etaty. Gdyby nie lubiła sporadycznie mieć domu tylko dla siebie, zżymałaby się, że woli spędzać wolny czas z bandą facetów, zamiast przebywać z rodziną.

– Zostawię światła na ganku.

– Dziękuję.

Rozłączyła się i zamierzała przekierować następną rozmowę.

– Numer, proszę.

Osoba dzwoniąca, której głosu nie poznała, podała domowy numer Betty Miller; telefonistka go znała. Vivian zerknęła na zegar ścienny wskazujący za dziesięć jedenastą. Strasznie późno jak na telefonowanie do kobiety z rodziną i małymi dziećmi, nieprawdaż? Założyła, że Betty Miller zdążyła dotrzeć do domu z Freedlandera, zapewne zjadła ze smakiem wytworną kolację w postaci pieczonego pawia albo podobnego ptactwa, ułożonego na unikatowej chińskiej porcelanie, używając prawdziwego i oryginalnego srebra stołowego, a potem położyła swoje idealne, małe, bogate dzieci do łóżek, prawdopodobnie w piżamach z najdelikatniejszej złotej przędzy. To przywiodło jej na myśl starego króla Cole’a. „Zażądał swej fajki, zażądał kielicha i trzech grajków kazał zawezwać...”

Była coraz bardziej zmęczona. Telefon od Edwarda, to, że wspomniał o świetle na ganku, skierowało jej myśli ku temu, jak bardzo pragnęła być już w domu, pogasić światła na werandzie, wczołgać się na górę po schodach i wpełznąć pod kołdrę. Co więcej, nie miała zamiaru słuchać gadania Betty Miller, jakie to eleganckie wiedzie życie, jak jej przyjęcie bożonarodzeniowe będzie wydarzeniem sezonu i jak sam Bóg odwoła plany, by móc zasiąść w salonie Millerów i saczyć szampana ze śmietanką towarzyską Wooster. Coś jednak kazało jej się zatrzymać, gdy telefonująca powiedziała: „Hej, to ja”.

Głos nieznaney kobiety był niski i tajemniczy, niemal na tyle uwodzicielski, by wprowadzić Vivian w zakłopotanie. Tak jak wtedy, gdy miała trzynaście lat i nakryła brata razem z Edith Cramer na tylnym siedzeniu rodzinnego forda T. Lekko się wzdrygnęła i stłumiła okrzyk, po czym zmrużyła oczy, patrząc na konsolę przed sobą, tak jakby mrużenie oczu miało jej pomóc domyślić się, kim była owa „ja”.

– W życiu w to nie uwierzysz – powiedział głos.

I chociaż Vivian miała pewność, że owo niedowierzanie będzie dotyczyło zaskakującego nowego przepisu na zapiekanekę z homarem albo krabem czy też innymi drogimi owocami morza, została z uchem przy słuchawce, wstrzymała oddech i słuchała. Po zaledwie minucie jej całe ciało zeszytywniało, kłykcie ściskające blat zbieleły. Serce zadudniło w klatce piersiowej, a w ustach zaschło. Odrętwiała Vivian słuchała, gapiąc się na pulpit i czując, że ziemia osuwa się jej spod nóg.

1925

Był ciepły wiosenny wieczór, taki wieczór, kiedy chce się otworzyć wszystkie okna i drzwi, by poczuć zapach kwiatów, poczuć przypływ ciepła i usłyszeć cykanie świerszczy. Dziesięcioletnia Vivian McGinty robiła wszystkie te trzy rzeczy naraz, przygotowując stół do posiłku. Podnosiła także po kolei każdą pustą szklanę rżniętą w romby, zaglądała do niej, lekko potrząsała nią w powietrzu tuż obok ucha, po czym odkładała na blat. Wujek Frank i ciocia Emma oraz kuzynowie z rodziny Cutterów jechali sheridanem z Apple Creek na piątkowy wieczór ze smażoną rybą i jak zwykle Vivian była pełna emocji i obaw. Emocjonowała się wizytą krewnych, a obawiała jedzenia ryby. Tradycję jej smażenia zaszczeplił w Ohio tatko Vivian po powrocie z odwiedzin u McGintych z Michigan oraz tych z Wisconsin.

Przodkowie McGintych przyплыли do Stanów Zjednoczonych aż z hrabstwa Tyrone w Irlandii jakoś na początku dziewiętnastego wieku. Zawitali do portu w Filadelfii, po czym rozproszyli się jak zdmuchnięte nasiona dmuchawca po Stanach Środkowoatlantyckich i Środkowym Zachodzie. Wujek Frank i ciocia Emma nie nosili nazwiska McGinty, ale byli spokrewnieni, mieszkali dość niedaleko, mogli wpadać w odwiedziny samochodem i lubili zwyczajowe smażenie ryby.

Ciocia Emma była ciotką Vivian ze strony matki. Ze strony niemieckich mennonitów z hrabstwa Lancaster. Z Kurtzów. „Jesteśmy szczęśliwi jak myszy w korcu, czyż nie?” – tak brzmiała jedna z dziwnych kwestii, które ciocia Emma wygłaszała w dolnoniemieckim do matki Vivian, jednocześnie szturchając ją w bok i próbując skłonić siostrę do uśmiechu. Myrtle Kurtz McGinty nigdy nie wyglądała na szczęśliwą jak w jakimkolwiek korcu. Zawsze sprawiała wrażenie równie szczęśliwej, co zmasakrowane myszy, które Ekler, kot sąsiadów, ułożył w stertę na progu ich domu. Myrtle należało namówić na uśmiech. Tych ze strony McGintych nigdy nie trzeba było namawiać.

– Ajrisz, jak się masz? Jak idzie interes na kolei? – spytał wujek Frank, jednocześnie klepiąc ojca Vivian w ramię.

Po sposobie, w jaki powiedział to wuj Frank, można by pomyśleć, że Patrick McGinty był właścicielem linii kolejowych – ale on tylko dziurkował bilety. Pewnego razu Vivian usłyszała, jak wujek Frank nazywa jej ojca „nikczemnie czarującym irlandzkim buziakiem”, a ona zachodziła w głowę, czym się różnią irlandzkie pocałunki od francuskich. Potem spytała o to Verę, a Vera śmiała się długo i donośnie.

– Łobuziakiem, głuptasko, żadnym buziakiem. Boże, ale jesteś głupia.

Jak zwykle Vera niezbyt pomogła. Nieważne, buziak czy łobuziak, Vivian była dumna, że ludzie mówią o jej tatku. Był znany i lubiany w Wooster. Raz słyszała, jak pewien sąsiad mówił: „Och, ten Ajrisz. Jednym okiem gotów mrugnąć, a w drugim odbija się tyłek mijającej go kobiety”. Vivian przy następnej sposobności, kiedy patrzyła mu prosto w twarz, zerknęła na jego roześmiane niebieskie oczy. Nie zobaczyła w nich niczego specjalnego.

Zobaczyła za to, jak tatko próbuje przekonać matkę do przejścia na katolicyzm, a matka odmawia. Tylko powoli pokręciła głową w obie strony, utyskując pod nosem. Dla Myrtle kościół to kościół, a zmuszanie jej, by długo stała i klęczała podczas nabożeństw, tego nie zmieni. I chodzenie do spowiedzi? Szorstko i lekceważąco machnęła ręką na samą myśl. Przecież i tak nie miała się z czego spowiadać. Kościółek metodystów w zupełności spełniał rodzinne potrzeby. Tatko nie chadzał z nimi na niedzielne nabożeństwo. Twierdził, że uczęszcza na mszę świętą do Najświętszej Maryi Panny, ale dzieci McGintych sądziły, że raczej wznosi modły do Patrona Mojej Żony i Dzieci Wreszcie Nie Ma w Domu z wygodnego fotela w salonie.

Piątkowy wieczór ze smażoną rybą stał się dla Paddy’ego jego wersją mszy świętej, a Vivian bawiło to równie mocno, co przesiadywanie w kościele. Nie miała problemu ze zjedzeniem smażonych ziemniaków z sosem jabłkowym, ale kiedy znikwały z talerza, zostawała tylko ryba. Rozglądała się wówczas po talerzach pozostałych osób, żeby sprawdzić, czy oni już swoje zjedli. Tylko ta ryba dzieliła Vivian od jabłkowego deseru z kruszonką, ale nie mogła zdobyć się na to, by ją zjeść. Nie potrafiła jej przełknąć i nie mogła wymyślić, jak się jej pozbyć. Tkwiła na talerzu, aż Vivian przypominała sobie, by od czasu do czasu dziobnąć ją widelcem.

– Vivian, jedz rybę – rozkazała jej matka.

– Och, Myrtie, Vivy nie musi jeść ryby, jeśli nie chce.

Vivian próbowała ukryć uśmiech za serwetką. Uwielbiała, kiedy jej ojciec był zawiany, jak zwykł mówić, ponieważ oznaczało to, że albo nie zwróci uwagi na zachowanie dzieci, albo nie będzie się nim przejmował. W te dni, kiedy tatko wcześniej kończył pracę, przeskakiwał po dwa stopnie schodów na werandę aż do fasady ich piętrowego domu przy ulicy Buckeye, raptownie otwierał drzwi wejściowe i ruszał prosto do barku. Otwierał whiskey, podczas gdy jego żona wciąż mieszała w parującym garnku na piecu, który zawsze cuchnął tak, jakby w środku krył brudne skarpety i gacie, a nie jedzenie.

– Robisz dzisiaj wieczorem pranie na palniku, co, Myrtie?

Istniała duża szansa, że tatko po kilku solidnych łykach z butelki i tak nie poczuje smaku posiłku. Do czasu, aż zasiedli za stołem i pochylili głowy do modlitwy, pan McGinty równie dobrze mógł być przekonany, że już zdążyli zjeść kolację.

Vivian znów rzuciła okiem na rybę z talerza. Próbowała pamiętać, przynajmniej przed posiłkami oraz klęcząc przy łóżku przed spaniem, że powinna być wdzięczna, iż ma co jeść. Próbowała pamiętać, by okazywać wdzięczność za wiele rzeczy, ale bywa trudniej, kiedy jest się środkowym dzieckiem. Henry i Will także twierdzili, że są średniakami, ale Vera lubiła upominać wszystkich: „Vivian jest prawdziwym

środkowym dzieckiem – głosem pełnym autorytetu przynależnego dziecku najstarszemu – nagminnie pomijanym i permanentnie łaknącym uwagi”. „Permanentnie” – Vivian powtórzyła po niej to słowo. „Permanentnie”. Zastanawiała się, co to znaczy.

Podczas gdy dorośli i starsze dzieci rozmawiali ze sobą ponad talerzami z okropną rybą przy długim stole, Will i Violet kopali się pod nim. Widelce i noże skrobały o talerze, kiedy Vivian, nie dość duża, by toczyć rozmowę z dorosłymi, i odrobinę za duża, żeby kopać się z Willem i Violet pod stołem, jak to dotychczas miała w zwyczaju, pozwoliła swoim myślom powędrować ku planom na czas po kolacji. Zerknęła na szklanki z wodą i zaczęła się wiercić. Dziś wieczorem nie miało znaczenia, że Ruby, Opal i Vera nie pozwolą jej pobawić się z nimi po posiłku.

– My się nie „bawimy”, Vivy – zakpiłaby Vera, po czym zamknęłyby siostrze drzwi przed nosem, zostawiając Vivian po drugiej stronie. Za każdym razem tak było.

Z talerza zeszkrobano ostatnie kawałki kruszonki, goście odsunęli krzesła i wyszli z jadalni. Vivian została i pomogła matce sprzątnąć stoły, następnie teatralnie wytarła szorstki blat kuchennym ręcznikiem, robiąc ze sprzątania wielkie przedstawienie, zyskując rzadki uśmiech matki i pogłaskanie po głowie przez wuja Franka.

– Zuch dziewczyna!

Tatko puścił jej oczko, po czym chwycił jej matkę za rękę i mimo protestów zaciągnął ją do salonu. Nigdy nie pozwalał mamie zmywać naczyń tuż po posiłku podczas wieczorów ze smażoną rybą, a ona zawsze narzekała, że resztki przywrą do talerzy i garnków, jeśli od razu się nimi nie zajmie. Vivian trzymała się oparcia krzesła w jadalni i kołysała w przód i w tył, palce, pięty, palce, pięty, a dorośli sadowili się w salonie. Odczekała, aż usłyszy swingujące rytmy i dudnienie trąbek orkiestry Paula Whitemana dobiegające z radia, po czym zakradła się z powrotem do kuchni. Sięgnęła po pustą szklankę stojącą obok zlewu, otarła jej brzeg rąbkiem sukienki i po cichu, na paluszkach weszła po schodach na górę do pokoju, gdzie spały razem z Violet. Kiedy pogoda była ładna, tak jak dzisiejszego wieczoru, Violet lubiła po kolacji bawić się lalkami na podwórku za domem, więc Vivian miała cały pokój tylko dla siebie.

Tatko z Henrym kilka tygodni temu wstawili siatkę w okna sypialni, więc teraz Vivian mogła poczuć zapach świeżo skoszonej u sąsiada trawy oraz usłyszeć cykanie świerszczy. Słyszała także słaby, dochodzący z oddali głosik Violet, która siedziała pod sznurem do suszenia bielizny i rozmawiała z lalkami.

Vivian ostrożnie odłożyła pustą szklankę na środek poduszki Violet, po czym rozsiadła się na wąskim łóżku. Musiało to być łóżko Violet, ponieważ to ono stało wciśnięte pod ścianę dzielącą pokoje ich i Very. Vivian wstrzymała oddech i przesunęła się na tyle powoli, że sprężyny w materacu nie skrzypnęły. Vera miała słuch jak nietoperz. Kiedy dźwignęła się i przyklękła, zajmując wygodną pozycję, podniosła szklankę z poduszki i przyłożyła jej brzeg do ściany pokrytej tapetą w śliwkowe i sinozielone pasy, a kiedy była całkiem pewna, że szklanka się nie przesunie, przycisnęła ucho do denka.

Nie zastępowało to przebywania z nimi w pokoju, ale szklanka przy ścianie

odegrała swoją rolę i pomogła jej podsłuchać starszą siostrę i kuzynki. Długie godziny plotkowały w pokoju Very o dziewczynach i chłopakach ze szkoły. Ruby i Opal chodziły do liceum w Apple Creek, a Vivian nie знаła żadnej z dziewcząt ani żadnego chłopca, o których mówiły, ale mimo to wydawała stłumiony okrzyk, gdy opowieści docierały do niej przez szkło odrobinę lepiej.

– ...sądzi, że niezły z niego model, jasne – szydziła Vera. – A kiedyś chodził z Mabel Fiske. Mabel Fiske!

„Mabel Fiske” – powtórzyła Vivian w myślach.

– Nie mogę uwierzyć, że obcięłaś włosy na pazia – powiedziała Ruby, niezainteresowana Mabel Fiske i tym, z kim kiedyś chodziła.

Vivian przewróciła oczami, gdy usłyszała, jak Vera mówi: „Cóż, no to uwierz”. Verze nie zamykała się buzia, w kółko gadała o swoich włosach, odkąd miała nową fryzurę. Sądziła, że teraz jest taaaka dojrzała. Vivian potrafiła wyobrazić sobie Verę po drugiej stronie ściany, jak ta uśmiecha się skromnie i dotyka palcami końcówek modnie ułożonych włosów.

– Sylvia Emerich też zrobiła sobie pazia – wtrąciła Opal. – A potem musiała rzucić szkołę i wyjść za męż.

„Sylvia Emerich” – powtórzyła Vivian w myślach, po czym zaczęła się zastanawiać, czy Vera też będzie musiała odejść ze szkoły z powodu fryzury. Bo przecież nie wychodziła za męż.

– Cóż – dodała Ruby – to nie był jedyny powód, dla którego Sylvia musiała zniknąć ze szkoły.

– Nie. – Odpowiedź Very była cicha i niedowierzająca.

– No raczej – powiedziała Ruby.

– Nie! – wykrzyknęła znów Vera, tym razem tak głośno, że słowo przebiło się potężnym ciosem przez ścianę.

Zrobiło się tak głośno, że Vivian odkleiła się od ściany, a szklanka cicho upadła na narzutę. Sama Vivian prawie sturlała się ze skraju łóżka. „Rany, Vera zawsze robi tyle hałasu. Z jakiego powodu Sylvia Emerich musiała odejść ze szkoły?” Vivian złapała równowagę, potem ostrożnie z powrotem zajęła posterunek, chwyciła szklankę, przyłgnęła do ściany i jeszcze mocniej przycisnęła ucho do denka. Jednak Ruby tym razem ściszyła głos i Vivian nie mogła dosłyszeć, co mówiła. Zmrużyła oczy tak, że aż zmieniły się w szparki.

– Co robisz?

Vivian zapało dech w piersiach, raptownie się obróciła, przez co sprężyny zaczęły balansować i przeraźliwie skrzypieć, a szklanka znów miękko spadła na narzutę tuż za nią. Jej starszy brat Henry stał w progu sypialni z kciukami zatkniętymi za szelki i przebiegłym uśmiechem, który zakwitł mu na ustach. Vivian nawet nie słyszała, że otworzył drzwi.

– A co ty robisz? – odparowała.

– Ja spytałem pierwszy.

– Nie twoja broszka! – Skrzyżowała ręce na piersi i przesunęła się na klęczkach, żeby na pewno nie zobaczył szklanki.

– No cóż, jak już skończysz ze swoimi broszkami, mama musi umyć tę szklankę. – I tu wycelował palec w kierunku jej prawego uda, po czym zrobił w tył zwrot i zszedł po schodach.

Vivian fuknęła i rozważała, czy nie chwycić szklanki i nie rzucić nią w brata, ale czuła, że dostanie jej się za to. Ich matka wiedziała o każdej porze dnia i nocy, ile szklanek, talerzy i misek – co do sztuki – powinno być w kuchni. Nie lubiła, kiedy się gubiły, i nie znosiła, gdy się tłukły. „Wszystko kosztuje!” Vivian zachodziła w głowę, ile kosztowałby ją zakup szklanki. „Będę miała własny telefon przed Verą”.

Nadstawiała ucha i czekała, aż usłyszy buty Henry’ego stąpające po kafelkowej podłodze kuchni piętro niżej, po czym znów przykleiła szkło do ściany. Dziewczyny zakończyły rozmowę o Sylvii Emerich, Vera mówiła teraz o pierścionku. Ale Vivian chciała się dowiedzieć, jaki był TEN DRUGI powód, dla którego Sylvia Emerich musiała wypisać się ze szkoły.

– Jest irlandzki – Vera tłumaczyła kuzynkom, które nie były z Irlandii. – Mówią na to pierścień Claddagh. Jest złoty i...

– Nasza mama też ma złoty pierścionek – przerwała jej Opal.

– Tak – cierpliwie powiedziała Vera tonem, który zawsze przybierała, gdy odzywała się do Opal; dziewczyna nie była najbystrzejszą z siostr Cutter. – Ale pewnie mówisz o obrączce, prawda? To co innego. Pierścień jest złoty...

– Ma też inne złote pierścionki, wiesz? – dodała Ruby, prędko broniąc siostry oraz zawartości kasetki z biżuterią ich matki. Vivian prawie słyszała, jak Vera zakłada ręce na piersi.

– W porządku, ale ja opowiadam wam o TYM pierścieniu. O waszych porozmawiamy później.

Vivian poznała poirytowany głos Very. Był dwa tony od krzyku.

– W każdym razie pośrodku jest serce z koroną, do tego dwie ręce, które wyglądają, jakby trzymały to serce.

Tu nastąpiła przerwa pozwalająca kuzynkom wyobrazić sobie wygląd pierścienia Claddagh, a może Vera gestykulując, pokazywała, jak wyglądał pierścień, po czym kontynuowała.

– Jeśli nadal jesteś panną, nosisz go czubkiem serca do siebie, a potem, gdy wychodzisz za mąż, zakładasz odwrotnie.

„Nie” – pomyślała Vivian. Właśnie to było najbardziej denerwujące u mądralińskich. Czasem się mylili, ale nie zdawali sobie z tego sprawy. Wcale nie wiedzieli wszystkiego.

– I moja ciocia Catharine ma taki, jest w rodzinie od około dwustu lat, da go pierwszej dziewczynie, która weźmie ślub.

– Ach. – Westchnęły jednocześnie Opal z Ruby.

– Jako że jestem najstarsza, to będę ja.

– No raczej – zgodziła się Ruby.

Vivian sądziła, że skoro Vera miała dostać pierścień ciotki Catharine, powinna przynajmniej wiedzieć, jak go odpowiednio nosić. Zakładasz go sercem skierowanym na zewnątrz dłoni, jeśli jesteś panną, ale przekręcasz czubkiem serca, który wskazuje

na nadgarstek, do siebie, jeżeli jesteś mężatką. Vera zawsze zajmowała się tylko tłumaczeniem innym tego, czego nie wiedzieli, a sama nigdy nikogo nie słuchała. Vivian potrafiła słuchać.

Oderwała szklankę od ściany i padła na łóżko, sprężyny znów zaskrzypiały.

– Vivian! – krzyknęła Vera przez ścianę. – Czy to ty? Co ty tam robisz?

„Nie twoja broszka”.

– Odpoczywam! – odwrzasnęła Vivian.

Rozmyślała o tym, jak będzie wyglądał dzień jej ślubu, wyobrażała sobie siebie w pięknej białej sukni z koronkowym welonem sięgającym samej ziemi. Jej mąż będzie taki bogaty, że kupi jej tyle pierścieni Claddagh, ile dusza zapragnie. Może po jednym na każdy palec, chociaż, prawdę mówiąc, powinno się nosić pierścień tylko na serdecznym, ale Vera nie znała zasad. Niech no tylko zobaczy wszystkie te pierścionki. I jak to się jej spodoba?

Wujek Frank, ciocia Emma i kuzynki nigdy nie zostawały w wieczór ze smażoną rybą dłużej niż do dwudziestej pierwszej, i mniej więcej kwadrans przed tą godziną ciotka Emma zawołała w górę schodów:

– Dziewczynki! Czas jechać!

Drzwi do pokoju Very stanęły otworem i ze środka wyłoniły się Vera, Ruby i Opal. Wciąż plotkując, gęsiego minęły pokój Vivian i Violet i drobiły wąskim korytarzem, aż zeszyły na parter. Vivian zsunęła się z łóżka, trzymając szklankę za plecami, i po cichu ruszyła za nimi.

Przed wyjściem wszyscy wyściskali się i wycelowali na pożegnanie, dorośli zaplanowali następny wieczór ze smażoną rybą. Matka Vivian otworzyła drzwi z moskitierą i odprowadziła Cutterów, wymachując za nimi rękami, żeby komary i ćmy nie wleciały do środka. Rodzina McGintych stała za siatką na owady i machała Cutterom, aż przednie światła sheridana nie zniknęły w oddali. Później wrócili do kuchni i zasiedli wokół stołu, tatko chciał napić się jeszcze jednej szklaneczki whiskey, podczas gdy mama zdrapywała resztki, które przywarły do naczyń, i narzekała:

– Mówiłam ci, że wszystko zaschnie.

– O czym rozmawiałaś z dziewczynkami na górze, Vero? – spytał tatko, puścił do niej oczko i zakręcił bursztynowym płynem w szklance.

– Och, tato, nie twoja sprawa – odparła Vera, zakładając obcięte na pazia włosy za ucho i przyglądając się paznokciom u dłoni. Vivian pomyślała, że jej siostra wygląda jak sekretarka w szkolnym gabinecie. – Dziewczyńskie sprawy, tatku. Nie musisz o nich wiedzieć.

Vivian nienawidziła, gdy pomijano ją w rozmowie, więc dodała:

– Tak, tatku, nie musisz wiedzieć nic a nic o Mabel Fiske ani o tym, w co wpakowała się Sylvia Emerich. – Po czym skrzyżowała ramiona na piersi i rozparła się na krześle z zadowolonym uśmiechem.

– Vivian!

Vera krzykiem ściągnęła na siebie spojrzenia wszystkich zebranych, którzy następnie skupili wzrok na Vivian, ta zmarszczyła brwi i mocniej zacisnęła ramiona

założone na klatce piersiowej. Lubiła zwracać na siebie uwagę, ale nie w tak kiepskich okolicznościach.

– Mamo! – wrzasnęła znów Vera. – Vivian nas podsłuchiwała! – Rzuciła się przez stół i chwyciła kołnierzyk najlepszej codziennej sukienki Vivian swoimi paznokciami sekretarki biurowej.

– Vero Eileen! – Nagana tatki z użyciem drugiego imienia była ostra; uderzył pustą szklanką o blat, przez co Vera poluźniła chwyt kołnierzyka. – Nie zaczepiaj siostry.

Vivian zamarła z oczami wielkimi jak spodki. Przeogromnie chciała wygładzić sukienkę.

– Ale... – zaprotestowała Vera.

– Pozwól, że ja z nią pomówię. – Tatko odsunął krzesło, wziął szklankę i skinął na Vivian, by poszła z nim do salonu.

Vivian wyprostowała pognieciony kołnierzyk sukienki, idąc za tatkiem, wygładziła marynarski krawat i obciągnęła podwiniętą z tyłu spódnicę. Tatko usadowił ją na skraju kanapy, jak najdalej od kuchni, po czym podszedł do barku, by dolać sobie drinka. Wrócił do kanapy i przykucnął na podłodze przed córką, pociągając łyk whiskey.

– Vivy, kochanie. – Spojrzał w jej niebieskie oczy tak podobne do swoich. – Nie powinnaś podsłuchiwać siostry i kuzynek, słyszysz?

Vivian zadrżała wargą, gdy skinęła głową przed wycelowanym w nią wskazującym palcem.

– Musisz pamiętać, żeby zachowywać tajemnice dla siebie. I następnym razem nie daj się przyłapać.

Zakończył wykład, pocierając z chrzęstem zaczerwieniony nos, wyciągnął rękę i przelotnie ścisnął dłoń córki palcami, po czym stracił równowagę, przewrócił się na bok na pleciony dywan i wylał resztę trunku.

Jego żona usłyszała, że spadło szkło, i tupiąc, wtargnęła do salonu z dłońmi wspaniałymi na biodrach.

– Chryste, Patricku – na poły szepnęła, na poły syknęła na niego. – Vivy, idź na górę. Wstydz się.

Vivian nie miała pewności, czy owo „wstydz się” było zaadresowane do niej, czy do tatki, ale zrobiła, co jej kazano, ześlizgnęła się z kanapy, znów obciągając sukienkę, przeskoczyła nad rozlaną zawartością szklanki i ruszyła dalej po plecionym dywanie. Następnie weszła po schodach do swojego pokoju.

Później tatko przyszedł utulić ją i Violet do snu. Opierając się o żelazną ramę łóżka, pochylił się i dał jej woniejącego whiskey buziaka w czoło.

– Pamiętaj, co ci mówiłem, kochanie – powiedział cicho, stukając ją w czubek nosa palcem wskazującym. – Tylko nie daj się złapać.

Wraz z tą podchmieloną zachętą oficjalnie rozpoczęła się kariera Vivian w roli gumowego ucha. Uśmiechnęła się, przykryła kocami po samą brodę, wierząc stopami pod przykryciem i mając nadzieję, że w jej snach zaroi się od sekretnych rozmów o uczennicach liceum wychodzących za mąż i całych krocii irlandzkich pierścieni

Claddagh. Zamiast tego przyśniło się jej, że surowa, żywa ryba z wielkimi ruszającymi się brwiami goni ją w ogromnej szklance wody, a Vivian zapomniała, jak się pływa.

Rozdział 4

Betty Miller odłożyła słuchawkę telefonu na widelki i powoli rozsiadła się na złotym aksamitnym krześle, moszcząc się na poduszce jak zadowolony kot. Założyła ręce na piersi i w zamyśleniu stuknęła w ramiona błyszczącymi, pomalowanymi na czerwono paznokciami. To było coś nowego, czyż nie? Żadna tam powszednia plotka, do której przywykło się w Wooster. Nie, to było coś lepszego. Bardziej skandalicznego.

Betty nie poświęcała zbyt dużo czasu na refleksję – nie lubiła uczucia, które wgląd w siebie wzbudzał głęboko w żołądku – i nie wiedziała, dlaczego tak bardzo zajmowały ją sprawy innych ludzi z miasteczka, ale nie podawała tego w wątpliwość. Wooster to mała miejscina. Naturalna sprawa. Niektórzy jej krytycy, a nawet część przyjaciół mogliby powiedzieć, że pociągała ją sposobność do czynienia porównań. Odniesienia do innych zawsze utwierdzały ją w przekonaniu, że ze swoimi wyrefinowaniem i starannie pielęgnowanym stylem życia stanowi najlepszy przykład dla obywateli Wooster. Zakładała, że po prostu woli, jak rzeczy przybierają taki bieg, jak chciała, bez zakłóceń. Jeśli łaknąłeś aprobaty Betty Miller i nie chciałeś nadepnąć jej na odcisk, to już tak było.

W grudniu zeszłego roku tak było u Freedlandera i jego ordynarnego, solidnie podpitego Świętego Mikołaja, zagrażającego niewinności cudownej dziatwy Wooster i kalającego kwintesencję idei i ducha świąt Bożego Narodzenia. Jezus Chrystus nie przyszedł na świat w wypełnionym słomą żłobie w stajence z Betlejem, żeby jakiś brudny, pijany włóczęga siał zamęt w dziale z zabawkami u Freedlandera i bezczęścił świętość wyjątkowego dnia naszego Pana i Zbawiciela. To właśnie Betty powiedziała wszystkim przyjaciółkom, które wiernie poszły za jej przykładem i bojkotowały dom handlowy do czasu, aż Pijany Mikołaj nie został wylany z pracy.

Rok wcześniej Betty wybuchła gniewem na dyrektora zespołu szkół Wooster, ponieważ miał czelność rozważać integrację ze szkołą podstawową Quinby. Murzyni mieszkali na południe od ulicy Bowman i tam byłoby im najwygodniej uczęszczać na lekcje. Zdecydowanie absurdem byłoby kazać im dojeżdżać poza obręb własnego sąsiedztwa, gdzie mieściły się świetne szkoły. Po prostu nie miało to sensu. Betty wraz z mężem Charlesem musieli również namówić Hammondów, by w 1949 roku nie sprzedawali domu przy drodze czarnoskórej rodzinie, która zwyczajnie nie wpasowałaby się w okolicę, a Betty chciała dopilnować, żeby każdy w Wooster przynależał tam, gdzie pasował. W ten sposób zachowywano zdrowy rozsądek podczas budowania społeczności. „Każdy zna swoje miejsce, kochana” – powiedziała, dziwiąc się, że musi wyklądać swoje racje Marilyn Dean podczas podwieczorka u Clary Weaver. I nie chcielibyście, żeby zaczęła opowiadać o skandalu defraudacyjnym w banku jej ojca z zeszłych wakacji. Po prostu nie chcielibyście.

A teraz właśnie przedstawiono jej niezwykle intrygujące informacje o rodzinie Vivian Dalton. Niemal podskoczyła na widok Vivian machającej jej zza witryny u Freedlandera. No i była w tym kapeluszu od Bechtel. Za kogo ona się uważała, żeby tak zwyczajnie machać do Betty? Przypadkowo złapany kontakt wzrokowy nie zawsze gwarantował poufale powitanie. Jednak Vivian czasem miewała trudności z zapamiętaniem, gdzie jest jej miejsce. Często prowadziła rodzinę do jednego z pierwszych pięciu rzędów w niedzielę. Betty zaobserwowała, że zdarzyło się to przynajmniej dwukrotnie w zeszłym roku. Nie sądziła, że będzie musiała przypominać komukolwiek, że tych pierwszych pięć ław zarezerwowano dla wiernych, którzy przeznaczali każdego roku darowiznę w wysokości co najmniej tysiąca dolarów na kościół metodystów. Betty wiedziała na pewno, że Daltonowie wpłacili o wiele mniej.

„Jej rodzina” – pomyślała z zadowoleniem Betty. Wówczas wyrwał jej się szorstki rechot, po czym zatknęła usta delikatną bladą dłonią. Nie chciała zbudzić dzieci. Tak trudno było je położyć do snu w dzisiejszych czasach. Ależ się nakręcają po obejrzeniu na dobranockę programu *Howdy Doody* z tymi wybuchami śmiechu, wrzaskami i demonicznym klaunem trąbiącym co dwie sekundy. „Clarabell, mam, to Clarabell!” Dodatkowej ekscytacji przysparzał fakt zbliżającego się wolnego od szkoły oraz świąt Bożego Narodzenia. Jęknęła, rozmyślając o podwyższonym rejestrze hałasu w domu oraz długich dniach pełnych niechlujnych i przemoczonych od śniegu dziecięcych ubrań oraz butów zostawiających brud i breję na jej nieskazitelnym dywanie.

Zerknęła na wzorcowo przystrojoną choinkę, która stała w kącie przepastnego salonu. Mała Bitty powiedziała jej, jak bardzo cieszy się na robienie ozdób świątecznych w szkole w przyszłym tygodniu, Betty musiała więc przypomnieć Charlesowi, żeby ustawił dziecięce drzewko w skrytce. Tam mogły wisieć na klamerkach czerwono-nosy renifery Rudolfa, krzywe śnieżynki wycięte z papieru i wszystkie pozostałe, urocze, ale szpetne dekoracje, które dzieci przyniosły do domu. Ich choinka była ładna i przeznaczona specjalnie dla nich, Betty zaś mogła zaprezentować idealnie symetryczną szlachetną jodłę, przystrojoną szklanymi bombkami na dorocznym przyjęciu bożonarodzeniowym u nich, u Millerów. Niczyjego drzewka nie obsypywano tyłoma pochwałami, co choinki Betty Miller.

- Ma świetne oko do dekoracji wnętrz!
- Idealne w stu procentach!
- Każda gałązka pasuje!

Ponieważ, jak każdy wie, wszystko w życiu Betty zawsze znajdowało się idealnie na swoim miejscu.

Pogrążyła się w zadumie nad ludźmi, którzy zapominają o swoim miejscu, oraz nad stosownie ubranymi choinkami, wkrótce jednak tematem jej nieobecnych rozmyślań stało się samo przyjęcie bożonarodzeniowe i Betty przez kwadrans rozważała różne koncepcje *hors d'oeuvres*. Tak jak wizualizowała sobie srebrne tace krążące po salonie i jadalni, tak też próbowała wyobrazić sobie, jakie mogłyby być idealne przystawki, jakie towarzyszyłyby im ręce sięgające po przekąski, podczas gdy

inne dłonie zaciskałyby palce wokół świątecznych drinków w szklankach z kryształu. Będzie musiała przypomnieć Dolly, żeby przyniosła szklanki Waterforda z piwnicy i dokładnie je umyła. Chociaż leżały owinięte w bibułę i szczelnie zamknięte w skrzyni, pani domu chciała dopilnować, by na specjalną okazję lśniły czystością. Świąteczne wysokie szklanki pochodziły z zupełnie innej zastawy niż szkło, którego Millerowie używali na co dzień.

– Mamusiu?

Betty obróciła głowę i zobaczyła, że Mała Bitty stoi na najniższym schodku, jedną ręką trzymając się słupka, a drugą przecierając oko. Jej śpiochy zaczęły się mechacić i wyglądały na znoszone. Dobrze się składało, że Mikołaj miał przynieść nową piżamę.

– Kochanie! – Betty odezwała się donośnym szeptem, wstając z krzesła. – Dlaczego jeszcze nie śpisz?

Mała Bitty zsunęła się z hukiem z ostatniego stopnia i zapłakała.

– Znów miałaś zły sen? – spytała Betty, biorąc Małą Bitty na ręce i mocno przytulając ją do siebie. Mała Bitty potakiwała i pociągała nosem. Pachniała nieco hamburgerami, które jedli dziś wieczorem na kolację; Betty jęknęła: zapomniała wykąpać ją i Charlesa Juniora. Zawsze, ale to zawsze trafiali do wanny po kolacji, która zostawała im we włosach.

– No już. – Betty pogłaskała hamburgerowe włosy Małej Bitty i pocałowała ją w czoło. – A może wrócimy na górę, poczytam ci *Rudego Pye'a* do snu?

Mała Bitty nie odpowiedziała, ale Betty poczuła, że skinęła główką. Przeniosła ciężar dziewczynki na swe lewe udo i ruszyła po schodach do sypialni wypełnionej różowymi falbanami, wygodnie otuliła Małą Bitty kołdrą i usadowiła się na narzucie obok niej. Musi tylko przeczytać dwie strony i Mała Bitty zaśnie z powrotem.

Betty położyła rękę na tułowiu śpiącej córki i powróciła do wyobrażania sobie uśmiechów zachwytu i subtelnych pochwał dla idealnych potraw serwowanych na bożonarodzeniowym przyjęciu. Następnie obmyślała propozycje idealnej świątecznej muzyki. Dwadzieścia minut później przeszła do szafy, czyniąc w głowie przegląd garderoby w poszukiwaniu idealnej gwiazdkowej kreacji.

Betty prędko zapomniała o psiaku, Rudym Pye'u, co znalazł szkołę, do której uczęszczał jego pan Gerry, o koszmarze Małej Bitty i hamburgerowych włosach, oraz o Vivian Dalton i rozmowie przez telefon. Gwiazdka znów zajęła jej głowę. Zamartwiała się zwłaszcza tym, czy znajdzie odpowiednią sukienkę. To naprawdę był gwóźdź programu. Sukienka musiała być w sam raz. Gospodyni rozmyślała o tym już wczoraj, ale przeszkodził jej przerażający wybryk Charlesa Juniora z huśtawką na podwórku na tyłach domu. Rzecz jasna było zbyt zimno i śnieżnie na huśtanie się, ale wystarczyło dać Charlesowi Juniorowi sposobność, a zdołał odkryć drugie w kolejności najbardziej niebezpieczne zajęcie dla siedmiolatka. Prędko zaradzono sytuacji szklanką ciepłej wody, którą wylano na jego język, by odkleił się od metalowego pręta, jednak uciążliwe wrzaski Charlesa Juniora zakłóciły bieg myśli Betty.

Sukienka. To na sukience musi się skupić. Coś gustownego, lecz ciut kuszącego.

Charlesowi czasami należało przypomnieć, jak dobrze trafił, i nie zaszkodzi pokazać także innym mężom, jak Charles dobrze trafił. Przetrzęsała butik Beulah Bechtel od dwóch tygodni, ale nie znalazła nic choćby odrobinę zbliżonego do tego, czego szukała. Może będzie musiała wybrać się na wycieczkę do Akron.

„Krewetki w cieście!” – pomyślała Betty, gdy usiadła w brzoskwiniowej satynowej koszuli nocnej, rozczesując włosy przed toaletką, a Charles chrapał w łóżku. Krewetki w cieście to jest to.

Rozdział 5

„Tatusiu, mam coś w sam raz dla ciebie” – tak brzmiało wymuszone, przesadne i zziąjane powitanie, które usłyszał w czerwcu w progu swego domu tuż po osobistej katastrofie. J. Ellis potrzebował chwili, żeby zorientować się w sytuacji; zamiast hordy fotoreporterów z tymi ich piekielnymi lampami błyskowymi strzelającymi jak kapiszony na szerokim, promieniście wybrukowanym stopniu stała jego córka Betty. Stanowcza, poważna i dzierżąca emaliowany pojemnik na ciasto w kolorze kości słoniowej.

Teraz przecierał oczy wnętrzem dłoni, jakby próbował zupełnie wymazać wspomnienie o czerwcu. W pokoju panowały mrok i cisza, tak jak lubił, tylko poświata lampki biurkowej oświetlała przedmioty leżące na gładkiej skórzanej podkładce na biurko. Sięgnął po wieczne pióro, wysmarował podpis na czeku dla Phila Stanleya, a potem zrobił to samo na pocztówce bożonarodzeniowej dla Betty, Charlesa i dzieci. Na tej, którą wybrała dla nich Florence.

J. Ellis Reed był jednym z najbardziej szanowanych ludzi w Wooster. Zależy, kogo spytać. Zdecydowanie był jednym z najbogatszych, jeśli zignorować fakt, że jego bank pół roku temu został obrabowany z dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. W tamtym tygodniu trąbiły o tym wszystkie gazety, a miasteczko nie chciało mówić o niczym innym. „Niezlą sumę podjął tam z konta Gilbert Ogden, co nie, Ellis?” Był wstrząśnięty i wściekły, Wooster popadło w wielkie poruszenie, a Betty nagle zjawiała się z jakimś ciastem, żeby wszystko naprawić.

Dzieci J. Ellisa były dla niego źródłem nieustającej dumy. Żadnego niepowodzenia na koncie obojga. Johnston Reed Junior i Elizabeth Reed Miller byli absolwentami college’u, którzy z powodzeniem zawarli małżeństwa, z powodzeniem powiększyli rodziny i byli uważani za niezwykle szacownych, uczciwych obywateli Wooster. Za ważne filary społeczności. J. Ellis w życiu nie przyznałby się do faworyzowania dziecka, ale to była Betty. Betty była córeczką tatusia.

– Tatusiu, wiem, że już to mówiłam, ale po pros-tu nie mogł-am w to uwierzyć. – Minęła jego wyciągnięte ręce i pomaszzerowała z pojemnikiem na ciasto prosto do kredensu z drewna klonowego w jadalni, pewnym ruchem stawiając go na koronkowym bieżniku. – Jak ktoś śmiał ci to zrobić!

Orzepała białe rękawiczki o siebie, zanim je zdjęła, palec po palcu, po czym odłożyła je na stół jadalniany, a potem z dłońmi wspartymi na biodrach zażądała informacji, gdzie są talerze i nóż do ciasta. Och, i widelczyki. Deserowe widelczyki.

J. Ellis obawiał się, że może nie wykrzesać z siebie energii na tę konkretną wizytę swojego ulubionego dziecka, i lekko oparł się o drzwi wejściowe, które wciąż trzymał otwarte. To była prawdziwa ulga, wpuścić do środka nieco słońca i wiedzieć, że na

zewnątrz nie ma już fotoreporterów.

– Wiesz, gdybyś zatrudnił kogoś takiego jak Dolly – łąjała go Betty – nie musiałbyś sam wszystkiego robić.

Wiedział o tym. Tę konwersację odbyli już wcześniej, więc J. Ellis nie zamierzał znów się w nią wdawać, zwłaszcza że i tak zamartwiał się już interesami w banku. Zwyczajnie nie odpowiadało mu zatrudnianie kolorowej kobiety, która by mu sprzątała i gotowała. Chciał, by matka Betty czuła się potrzebna, tak twierdził. Przejawiała skłonność do depresji, gdy nie miała zbyt wiele do roboty (taka była prawda). Poza tym nadano jej takie imię na cześć Florence Nightingale, pielęgniarki i działaczki, na litość boską. Troszczenie się o niego to była jej praca.

– Gdzie jest matka? – spytała, jakby czytała mu w myślach. – Matko?!

Betty pomaszzerowała, stanęła u stóp schodów i krzyknęła w stronę sypialni rodziców, gdzie Florence dawała odpocząć oczom i ustom, ucinając sobie drzemkę. Pokłócili się o to, jak jej mąż zamierzał poradzić sobie z konsekwencjami rabunku. J. Ellis, kręcąc przecząco głową i patrząc na córkę, w końcu zamknął wejściowe drzwi.

– No dobrze, Betts, w takim razie co dla nas masz? – spytał, ruszając do kredensu.

W głowie mu dudniło przynajmniej od dwóch dni, gdy tylko próbował strawić wieść o napadzie i wymyślić, co w tej sprawie zrobić. Liczył, że cokolwiek córka przyniosła, wejdzie dobrze z kieliszkiem czegoś mocniejszego.

– Nawet nie próbuję zgar-nać za to zas-ług – świergotała Betty z podestu przy schodach. – Wiesz, jak bardzo nien-awidzę kuchni. Dolly to zrobiła, ale ja czytałam jej przepis z domowej książki kucharskiej. Wiedziała, że to coś w sam raz!

„Oczywiście” – pomyślał J. Ellis.

– Ananasowe odw-rócone ciasto – ciągnęła. – Ponieważ to właśnie ci zep-suci złodzieje uczynili z naszym miasteczkiem, odw-rócili je do góry nogami. Nie wierzę, że mieli czel-ność!

J. Ellis zauważył, że córka miała na sobie elegancki żółto-biały kostium z krótkimi rękawami, i podejrzewał, że celowo dobrała strój do ciasta, jakie przyniosła.

– Matko! – wrzasnęła znów Betty.

J. Ellis postawił kilka długich kroków ku barkowi i sięgnął po rum Myersa.

– Elizabeth, kochanie, przestań krzyczeć – rozszedł się głos po klatce schodowej.

J. Ellis nie musiał oglądać się przez ramię, żeby zobaczyć zniechęcony wyraz twarzy, ledwie zauważalne zwieszenie ramion. Widział to wystarczająco wiele razy. Widoczne ostudzenie gorącego zapachu Betty, które zawsze następowało po każdej uwadze matki. „Przestań krzyczeć”, „Mów wyraźnie”, „Stój prosto”, „Nie afiszuj się z biustem”. Florence minęła się z powołaniem – powinna zostać eleganckim, przekornym sierżantem musztry.

Florence Reed zeszła po schodach w sposób wielce przypominający ten, w jaki kroczyła do ołtarza w dniu ślubu. Powoli, z gracją i promiennym, wymuszonym uśmiechem. Tak samo modelowała ogromne przystrojone wstążkami i piórami kapelusze w dziale mody kobiecej domu handlowego w Syracuse, gdzie J. Ellis zobaczył ją po raz pierwszy. Wraz z kompanami z bractwa mieli w zwyczaju jeździć autem z Colgate do Syracuse, nieco ponad godzinę drogi, żeby oglądać mecze futbolu

i liznąć lokalnej kultury. A lokalną kulturę można było czasami znaleźć w dziale mody męskiej w Dey Brothers.

J. Ellis zdecydował się na Colgate po tym, jak odprawiono go w Cornell, którym próbował się zadowolić po odrzuceniu jego podań przez Wielką Trójkę (Harvard, Yale i Princeton) i wciąż nie mógł wymówić ich nazw bez spluwania z odrazą. Po odmowie z Cornella wybrał następną w kolejności najlepszą, jego zdaniem, opcję, na dodatek najbliższą zarówno alfabetycznie, jak i geograficznie. I potem będzie miał tylko nadzieję, że nie zrobi to wielkiej różnicy na Wall Street. Florence nie dbała o to, że nie był wychowankiem Harvardu. Sama miała dyplom sztuk pięknych. „Sztuki piękne polowania na męża” – jak kpili koledzy z roku, obalając piersiówki z whisky Old Highland, popalając cygara i wymachując trójkątnymi chorągiewkami.

Westchnął. Colgate, Syracuse i Florence. Triumwirat niedoli. Ci łajdacy z Wall Street odrzucili go, zapewne z uwagi na jego nie dość wysokie wykształcenie. Musiał przyznać, że o włos uniknął poważnych problemów podczas krachu w 1929 roku, ale sytuacja w końcu się poprawiła, czyż nie? Jasne, że tak. Bankierstwo z Ohio odegrało ważną rolę, czyż nie? Jasne, że tak. Te tłuste kociska mogą wziąć sobie absolwentów Wielkiej Trójki oraz ich pieniądze i wepchnąć sobie prosto w tyłki.

– Czy twój ojciec powiedział ci, co zamierza zrobić z naszymi pieniędzmi?

J. Ellis w skupieniu patrzył, jak rum leje się do szklanicy, ale czuł na sobie wzrok Betty.

– Co masz na myśli?

J. Ellis pociągnął solidny łyk ze szklanki, gdy jego żona doszła do ostatniego schodka. Trzymała się jedną ręką słupka balustrady, jednocześnie pochylając się nad policzkiem Betty, by go pocałować.

– Jak się masz, kochanie.

To było bardziej stwierdzenie niż pytanie, Florence nie czekała na odpowiedź.

– Jego plan polega na wypłaceniu odszkodowania dobrym ludziom z Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne’a. Z naszych pieniędzy.

Oczy mu się zamknęły, gdy próbował cieszyć się smakiem ciemnego płynu powlekającego mu gardło i sunącego rozgrzaną ścieżką ku żołądkowi.

– Tatku!

J. Ellis przesunął dłonią po wypomadowanych włosach i wrócił do kredensu, aby zlustrować ananasowe odwrócone ciasto.

– Ale cudo. Jak długo Dolly je robiła?

– Tatku. – Głos Betty brzmiał jak ostrzeżenie.

To nie będzie rodzinna sprawa, postanowił. Błędem było już, że wspomniął o tym Florence, ale atmosfera przypominała czyste szaleństwo. Telefon niestrudzenie dzwonił, chmary fotoreporterów wystawały przed domem. Zaczął zjeżdżać po słownej równi pochyłej na temat całej sprawy, a na koniec tyrady rzecz wypłynęła. Zamierzał przeznaczyć pieniądze z własnej kieszeni na odszkodowania dla klientów Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne’a. Albo przynajmniej dla większości z nich. Oczywiście dla kolegów z klubu, tak podpowiadał zdrowy rozsądek. Jego syn, John, zwrócił się ze szczególną prośbą, by wypłacił odszkodowanie rodzinie Daltonów, co

nie nastęczało zbyt trudności. Suma do wyrównania nie była wysoka. A potem J. Ellis siłą rzeczy spłaci tych, którzy potencjalnie mogli przysporzyć mu kłopotów. Najgłośniejszych marudów. Gdyby ktoś taki jak Phil Stanley nie odzyskał pieniędzy, J. Ellis nigdy nie zaznałby spokoju.

Przez lata wypracował sobie kryształową reputację i nie pozwoli, by zszargały ją teraz jakieś brednie o uporczywie przypominanym napadzie na bank. Gdy było się człowiekiem tak wielkiego formatu jak J. Ellis Reed, musiało się brać odpowiedzialność za utrzymanie pewnej pozycji w społeczności. A jeśli oznaczało to wydanie własnych ciężko zarobionych pieniędzy, to taki właśnie był wynik owego równania. (Jego ojciec mógłby spuentować tę wypowiedź „słowem harcerza”, ale miał więcej sprawności niż J. Ellis). Gdy było się J. Ellisem Reedem z Wooster, każdy wiedział, jakim człowiekiem się jest. Każdego obchodziło, co się zrobi i jak to się zrobi.

Rozdział 6

1931

– Tak jakby kogokolwiek obchodziło, co robisz – drwiła Vera, gdy Vivian przeżyła atak niemalże przyprawiający ją o utratę przytomności, gdy usłyszała propozycję tatki McGinty’ego w sprawie pensjonatu.

W kwietniu 1931 roku Brinkerhoffowie z domu obok zaczęli wynajmować dwa ze swoich pokoi lokatorom, dwóm mężczyznom, którzy stracili pracę w fabryce w Cleveland i przeprowadzili się do Wooster, żeby znaleźć tańsze lokum oraz przy odrobinie szczęścia – pracę. Szesnastoletnia Vivian obserwowała to z mieszaniną ciekawości i paniki, jej oddech zasnuwał mgłą szyby sypialnianego okna, gdy obcy ludzie wchodzili do i wychodzili od Brinkerhoffów, dzień w dzień przez cały następny rok. Kiedy tatko podsunął myśl, żeby drzwi McGintych również otwarto, by dorobić trochę na boku („Możemy nazwać się McGintych Gospoda Schronienie Ci Da”), wykręcała z całych sił chustkę do nosa na samą myśl, że obcy mężczyźni z Cleveland znaliby intymne szczegóły z jej życia.

– „Intymne szczegóły”? – szydziła Vera. – Gdzieś coś takiego słyszała? Przeczytałaś w jakimś czasopiśmie?

Prawdę mówiąc, tak, przeczytała to w magazynie „Motion Picture” albo w artykule o Bebe Daniels, albo o Carole Lombard. Wiedziała, że Vera też czytała, ale udawała, że nie. Vera sądziła, że jest jedyną osobą z rodziny, która robi coś, o czym warto mówić, co mogło lub nie wiązać się z jednym z najemców od Brinkerhoffów. Vivian podsłuchiwała, jak pani Brinkerhoff rozmawiała o tym z panią Kessler.

Sztuczka ze szklanką przytkniętą do ściany nie sprawdzała się podczas każdego podsłuchiwania, ale kiedy pani Kessler z panią Brinkerhoff wysiadywały rankami w twardych fotelach bujanych na ganku Brinkerhoffów, nawet nie potrzebowała tego triku. Ich głosy niesły się przez otwarte okno do sypialni Vivian. Czasami były słumione, ale Vivian i tak przysuwała krzesło, siadała i słuchała. Rany, ależ te starsze panie lubiły obmawiać sąsiadów. Vivian z ciekawością słuchała o Geraldine Sigler, która mieszkała po drugiej stronie ulicy i najwyraźniej cierpiała na tę samą kłopotliwą przypadłość co Sylvia Emerich z Apple Creek.

To było to. Ten drugi powód, dla którego Sylvia Emerich musiała odejść z liceum. Konieczność opuszczenia szkoły z powodu noszenia w brzuchu bękarta jakiegoś wieśniaka z pewnością była inną sprawą niż konieczność opuszczenia szkoły, ponieważ gospodarka kraju upadła i trzeba iść do pracy, żeby było co do garnka włożyć. Wystarczyło, by człowiek zaczął kłąć.

Mijał czas, a w Vivian rodziła się nienawiść względem przekłętej Sylvii Emerich

za to, co sobą prezentowała. Zaprzepaszczone szanse Vivian, ot co. Gdyby Sylvia nie wpakowała się w tarapaty, mogłaby skończyć liceum, czyż nie? I może nawet pójść do college'u w Wooster i uzyskać z czegoś dyplom, prawda?

To nie była wina Vivian, że kraj popadł w jakąś wielką depresję, i żałowała tego, że zamknięto jej drzwi do szkoły przed nosem, tak samo jak wszystkim innym zwykłym ludziom, którzy musieli zrezygnować z marzeń i zabijać się o nędzne prace, byle tylko przeżyć. Tak naprawdę do białej gorączki doprowadzało ją to, że Vera i kuzynka Ruby miały okazję przejść wszystkie cztery lata liceum, zanim musiały się martwić, czy tatko lub wujek Frank potrzebują pomocy przy wykarmieniu rodzin. I tak sprawiały wrażenie, że ich to nie obchodzi.

Kuzynka Opal przeszła przez drugą klasę, po czym musiała rzucić szkołę i pójść do pracy na farmie w Apple Creek, ale Opal i tak nie była zbyt rozzębiona. Vivian pewnego razu przyłapała ją na pocałunkach z jęczyczkiem ze słojkiem miodu, w którym utkwiała pszczoła. Opal powiedziała tylko, że „ćwiczyła”. Pszczoła, która prawdopodobnie umierała ze strachu, użądliła Opal w język i Opal przez tydzień jęczała, żeby wszyscy przestali się z niej śmiać, ponieważ ukąszenie naprawdę bolało. Miała szczęście, że Alonzo Halstead się z nią ożenił, więc nie musiała zbyt wiele samodzielnie myśleć. Ani ćwiczyć. Po roku przyszło na świat dziecko.

Gęby do wykarmienia, rachunki do zapłacenia. Nieważne, że McGinty nie zainwestowali żadnych pieniędzy. Krach na giełdzie papierów wartościowych przewrócił pierwszy klocek domina, który pociągnął za sobą resztę. Kryzys sprawił, że wszyscy rozpierzchli się po Ameryce, usilnie szukając sposobu, jak załatwić rzeczy taniej. Każdemu podobała się nowinka motoryzacji, ale zaszkodziła interesowi linii kolejowych. Wraz z samochodami osobowymi nadeszły ciężarówki, a wraz z samochodami ciężarowymi nadszedł tańszy transport i kolej zaczęła obcinać etaty. Zlikwidowano stanowisko Paddy'ego McGinty'ego i takie właśnie było ich położenie w 1931 roku.

Propozycja przybytku McGintych Gospoda Schronienie Ci Da została prędko odrzucona przez matkę Vivian, którą bardziej martwiło, że ci obcy mężczyźni potrzebujący pokoju i wyżywienia należeli do elementu przestępczego napływającego w tamtym czasie do środkowego Ohio. Niczym lawina błotna sunąca z Nowej Anglii i stanu Nowy Jork wędrowcy w każdym przedziale wiekowym przesiąkali do Pensylwanii i Ohio, przyjeżdżali pociągami, podążając za plotkami o tanim wynajmie i uczciwych stawkach.

– Robi się tu bezpieczna przystań dla przestępców – utyskiwała pani McGinty, wyganając dzieci za drzwi, żeby szukały sobie pracy, jednocześnie narzekając, że i tak zapewne umrą z głodu.

Zamiast umrzeć z głodu Violet i Will ciągnęli wózki pełne popiołu z pieców opalanych węglem po ulicach i alejkach Wooster. Zjawiali się na obiad przy stole wciąż usmoleni sadzą, obok siadali Henry i tatko ochlapani farbą od malowania domów po północnej stronie miasta, a Vera przychodziła usmarowana tym, co akurat dzieciaki Deanów i Thompsonów w nią wytarły albo czym na nią zwymiotowały tego dnia, gdy się nimi zajmowała. Okazało się, że dzieciaki pazerów były równie brudne,

co wszystkie inne dzieci. Vivian wraz z matką jako jedyne z rodziny zjawiały się na obiad mniej więcej tak samo czyste, jak zasiadły do śniadania. W tym roku tuż po swoich urodzinach w czerwcu Vivian załatwiła sobie pracę w centrali telefonicznej Ohio Bell – wiadomo, że szklanka przytknięta do ściany nie może się w żadnym razie równać ze słuchawkami podłączonymi do konsoly.

Przez lata ojciec, matka, ciotki, wujkowie, siostry i bracia mówili jej, co i kiedy ma robić, a teraz, w wieku zaledwie siedemnastu lat, miała dorosłą pracę w regularnych godzinach oraz stałą pensję, i musiała odpowiadać tylko przed jedną osobą, a Leona, kierowniczką, była raczej obserwatorką niż wykładowczynią. Obserwowała telefonistki i odzywała się tylko wtedy, gdy któraś coś sknociła. Praca w Bellu podnosiła u Vivian poczucie własnej wartości. Była czymś stałym w świecie niespodziewanie pełnym niepewności. Światła, kable z wtyczkami, przełączniki i kompletnie nieznanymi polegający na niej, że połączy ich między sobą. Miała obowiązki poza gospodarstwem domowym McGintych i te obowiązki pozwalały jej mieć swój wkład w utrzymanie domostwa. Nigdy nie czuła się bardziej dumna niż tego dnia, gdy z promiennym uśmiechem wręczyła tatce stosik banknotów. Zawahała się, gdy zobaczyła łzy lśniące w jego oczach, i serce zaczęło jej mocniej walić, gdy powiedział chrapliwym głosem: „Dumnym z ciebie, Vivy”. Emocje wprawiły ją w zakłopotanie, ale ciepłe słowa ogrzały.

Praca w operatorni dawała jej również ekscytujące poczucie niezależności i posiadania możliwości, pierwszy raz posmakowała też władzy. Dla kogoś takiego jak Vivian było to porywające, choć w życiu nie użyłaby słowa „porywające”. Powiedziała po prostu, że to „szalone”.

Vivian ledwo mogła uwierzyć, że to od niej zależy przekazywanie połączeń telefonujących do siebie ludzi. Dziewczyneczka Vivian McGinty. Środkowe dziecko. Przestrzegała zasad co do joty przez kilka pierwszych miesięcy. Ale gdy zaufano jej, że może wykonywać obowiązki samodzielnie, zaczęła nadużywać uprawnień.

– Numer, proszę – mówiła.

– Daj mi Mason-8812, siostró, i to rychło.

Jeśli telefonujący był taki? Arogancki i niegrzeczny, bez „proszę”, za to z „i to rychło”? Niedoczekanie. Vivian wciskała przełącznik i wyszarpywała kabel, żeby przerwać połączenie, pozostawiając osobę dzwoniącą, aby wsłuchiwała się w ciszę w eterze, podczas gdy ona przechodziła do kolejnej mrugającej lampki.

– Numer, proszę.

– Tak, czy mogłaby mnie pani połączyć z Garden-3662, proszę?

To była rozmowa. Uprzejmy ton i „proszę” oznaczały, że Vivian skinie głową, przesunie z powrotem przełącznik, włoży kabel łączący rozmowę, a potem przejdzie do kolejnego mrugającego światła.

Pewnego razu, gdy Leona była na przerwie lunchowej, Vivian patrząc na pokrętną ośmiornicę z kabli podłączonych do konsoly, poczuła nagle impuls. Och, był silny. Rozciągnęła dłonie i pomyślała: „Naprawdę nie powinnaś, wiesz”. Ale impuls nią zawładnął. Wstała z krzesła i uniosła brwi do innych dziewcząt. Zgięła lewe ramię i wsunęła je pod przewody jednym zgrabnym ruchem, wyrwijąc kable wszystkich

rozmów jednocześnie i rozłączając mieszkańców Wooster. Pyk, pyk, pyk, pyknięcie, pyk – wyskoczyły kable.

– Hej!

– Hej, co...

– Co to za pomysł?

– Hej!

Inne telefonistki brzmiały tak, jakby kable wyszarpywano z ich własnych pulpitów. Vivian poczuła przypływ ekscytacji, gdy przewody wyskoczyły i upadły z brzękiem na blat. Oskarżające miny skupiły się na niej, posypały się ponure i zaskoczone „O...”, a kilka twarzy wyrażało szczery gniew. Jedna z nich (Mary Fletcher, ta skarżypyta) poszła prosto do Leony i powiedziała, co zrobiła Vivian.

Mogłaby stracić pracę, gdyby Leona bardzo jej nie lubiła. Jeśli zależałoby to od Mary Fletcher, Vivian wywalono by na zbity pysk. Ale Leona tylko zdjęła ją z grafiku na przyszły tydzień, a Vivian czuła się strasznie i miała wyrzuty sumienia, głównie z powodu straconej wypłaty.

Ten mały eksperyment dowiódł, że (pomimo plotkary skarżypyty Fletcher) Vivian w końcu miała coś pod kontrolą. Nigdy wcześniej tego nie doświadczyła. Nie mogła przewidzieć, że jakieś dwadzieścia kilka lat później to pragnienie posiadania kontroli zostanie nagle ugaszone, jak płonąca zapałka wrzucona do szklanki wody, jedną późnowieczorną rozmową przez telefon.

Rozdział 7

Poczucie sprawowania kontroli w centrali telefonicznej zniknęło u Vivian po jakichś czterdziestu pięciu sekundach podsłuchiwania tamtego jednego telefonu do Betty Miller i zostało zastąpione cholernym niedowierzaniem w to, co właśnie usłyszała. Kiedy kobiety pożegnały się prosto w jej ucho, Vivian zdała sobie sprawę, że powinna rozłączyć rozmowę. Wcisnęła przełącznik, wyciągnęła kabel i wpatrywała się nieobecny wzrokiem w ciemniejący pulpit, podczas gdy jej niedowierzanie urastało do niepokoju i strachu. Taki rodzaj niepokoju i strachu, który kiedyś czuła, gdy martwiła się, że wuj Hugh będzie miał wypadek na motocyklu podczas patrolowania autostrady, ale teraz było o wiele, wiele gorzej.

Odruchowo odłączyła słuchawki i zwinęła je w kłębek. Odsunęła krzesło biurowe i w milczeniu ruszyła za Dorothy i innymi, które kończyły o jedenastej, a teraz wskakiwały w płaszcze i opatulą się, naciągając kapelusze na uszy. Zrobiła to samo, nie myśląc i nie słysząc żadnego z „dobranoc”, które rozlegały się wokół niej. Dopiero gdy podmuch lodowatego wiatru uderzył ją z pełną mocą w twarz, kiedy wyszła na ulicę East Liberty, niepokój i strach ustąpiły, a w niej coś zawrzało. Kipiel zapalczywego gniewu. Wzburzona lawa mrocznych, okrutnych emocji przebiegła ciało Vivian, gdy stąpała po chrzęszczącym pod jej znoszonymi botkami śniegu, wracając po śladach, które zostawiła, idąc do pracy.

Temperatura na zewnątrz spadła, ale krew w jej żyłach wrzała tak, że prawie nie zważała na zimno. Vivian wiedziała, jak odczuwa się wściekłość wewnątrz, wiedziała także, jak przedstawia się z zewnątrz. Wygląda jak dożgonny demokrat Roy Patterson, kiedy Herberta Hoovera wybrano na prezydenta; i Jacob Starlin, gdy ktoś ukradł mu taczkę z podwórka za domem; albo jak biedny Bill Parker tego dnia, gdy dowiedział się, że jego żona wyjechała z miasteczka z Gilbertem Ogdenem po zrabowaniu Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne’a. Zbiegła.

Sąsiedzi Billa zarzekali się, że z nosa, uszu i czubka głowy dobywał mu się dym i Vivian niemal czuła te kłęby pod kapeluszem od Beulah Bechtel.

– To był prawdziwy dym! – upierali się sąsiedzi.

Bill trzasnął drzwiami obitymi moskitierą i wyparował z domu z dubeltówką w jednej dłoni, kapeluszem w drugiej. Opony jego auta tak bardzo paliły się na asfalcie, że wciąż byłoby widać czarne ślady po gumie, gdyby nie leżał śnieg. Gniew Billa Parkera. Taki właśnie gniew czuła Vivian, wbijając paznokcie w podszewkę rękawiczek, gdy zaciskała dłonie w kieszeniach płaszcza.

Złość napędziała jej oddech tak, że dobywał się z ust na mroźne nocne powietrze krótkimi strzałami. Zatrzymała się przed witryną u Freedlandera, teraz zaciemnioną i nieruchomą, pozbawioną wszelkich oznak świątecznej radości, które dostrzegała tu

zaledwie kilka krótkich godzin temu. Nie było też śladu po tej zamożnej suce Betty Miller – siedziała teraz gdzieś w swoim bogatym domu w północnej części Wooster z niebezpieczną nową wiedzą, której nie powinna posiadać. Kobieta spoglądająca na Vivian z odbicia miała na sobie uroczy niebieski kapelusz, ale była stara i godna pożałowania, o dziesiątki lat przekroczyła swoje trzydzieści osiem lat. Gdyby nie fakt, że ziemię pod jej stopami skuła twarda warstwa lodowatego śniegu, sięgnęłaby po luźną kostkę w chodniku i rzuciła nią prosto w szybę, rozbijając to głupie mrożone szkło i roztrzaskując podobiznę starej i godnej pożałowania kobiety, której nie poznawała.

Światło paliło się na ganku, tak jak powiedział Edward; reszta domu była pogrążona w ciemności. Ale nie tak mrocznej jak nastrój Vivian. W jej umyśle panował chaos. Ledwie poskromiony gniew odbił się od ściany niedowierzania i gdzieś pomiędzy staniem przed witryną u Freedlandera a dotarciem na własny ganek tępy łomoczący ból wybuchł w głowie Vivian. Jej ciało było zmęczone i przemarznięte do szpiku kości. Mozolnie wchodziła po schodach ganku, które w większości były odśnieżone, i chwyciła okrągłą klamkę u drzwi, obracając ją i przysłuchując się, jak zasuwka klika i uwalnia się z odrzwi. Ręce i nogi miała ocieźałe, jakby były z drewna i jak gdyby próbowała brnąć nimi przez wodę.

Gdy weszła do środka, gwałtownie pociągnęła za łańcuszek lampy stojącej i patrzyła, jak pokój się rozjaśnia. Rozejrzała się po meblach, znajomych, gdy wcześniej wychodziła z domu, ale teraz wyglądających bardzo obco, prawie tak, jakby też znajdowały się pod wodą. Fotele uszaki, telewizor, kanapa; wszystko wyglądało, jakby pływało. Stolik, na którym stał telefon, także zdawał się unosić na niewidzialnej fali. Vivian oparła się plecami o drzwi i głęboko zaczerpnęła powietrza, pragnąc, by zawroty minęły.

Zdobyli go, ich pierwszy telefon, dopiero w zeszłym roku. Ciężka czarna podstawa ze słuchawką spoczywającą na widelkach u szczytu urzędnika i cienki zwisający kabel, który kręto wędrował po podłodze do gniazdzka. Nie było możliwości wykręcania numerów jak na telefonach z filmów. Podnosiło się słuchawkę i operatorka mówiła: „Numer, proszę”, tak samo jak Vivian, raz po raz, dzień w dzień.

Zabawne, że pracowała w Bellu przez te wszystkie lata, a Daltonowie dopiero niedawno wyposażyli swój dom w telefon. Rodzice Edwarda posiadali aparat telefoniczny już od wielu lat. Był to jeden z tych starych, wiszących na ścianie: wielkie drewniane pudło – z jednej strony się mówiło, z drugiej słuchało. Vivian zastanawiała się, jakie rzeczy matka Edwarda słyszała przez telefon.

Pochyliła się i zzuła stare znoszone botki, tracąc pięć centymetrów wzrostu, gdy odziane w pończochy stopy stanęły na cienkim dywanie. Duży palec lewej stopy wyzierał przez dziurę w nylonie. Rozpięła guziki płaszcza i zrzuciła z siebie odzienie, wciąż stojąc w drzwiach wejściowych i wciąż wpatrując się w telefon.

Vivian weszła po schodach, licząc je tak jak wtedy, gdy dopiero wprowadzili się do domu. Trzydzieści stopni. Trzydzieści to pechowa liczba, jak by nie patrzeć, nie wspominając o niezłym upadku, gdyby ktoś stracił równowagę.

Drzwi do pokoju Charlotte były zamknięte, jak zawsze o tej porze nocy. Światło

nie prześwitywało przez szparę na dole. Czasami, choć nie zawsze, Charlotte lubiła do późna czytać. Książki, nie czasopisma, czego Vivian mimo starań nie potrafiła zrozumieć.

Edward spał już jak kamień i chrapał, kiedy Vivian stanęła w progu sypialni, światło z korytarza obrysowywało zza pleców jej sylwetkę. Pomieszczenie wypełniał głęboki, równy, wibrujący, nosowy pomruk. Zgasiła oświetlenie na korytarzu, zaczęła, aż jej wzrok przyzwyczai się do ciemności, po czym ostrożnie stąpała po dywanie. Stanęła z boku łóżka, obserwując, jak jego tors wznosi się i opada wraz z każdym chrapnięciem.

Kiedyś, gdy byli świeżo po ślubie, miała w zwyczaju patrzeć, jak śpi. Gdy nie mogła uwierzyć w swoje szczęście, że udało jej się znaleźć takiego faceta. Oczywiście on po miłosnych zbliżeniach niezwłocznie zasypiał, a Vivian wspierała się na łokciu i wpatrywała w detale jego twarzy. Ciemne, nastroszone brwi, prosty, dumny nos, który kończył się w najbardziej uroczym miejscu. Czasami koniuszkiem wskazującego palca lekko dotykała czubka jego nosa, przez co mąż parskał i sapał, po czym wracał do rytmicznego chrapania.

Teraz przypatrywała się brwiom, które jeszcze bardziej się nastroszyły, tu i tam ukazując siwiznę, oraz liniom wyżłobionym w policzkach i wokół kącików ust, a także wargom – wyglądały na węższe pod obfitym wąsem. Jej wzrok powędrował wzdłuż linii włosów, która zmieniła się z seksownego wdowiego szpica w ostre V przez ostatnią dekadę, a potem padł na wystające jabłko Adama, to drżące, to nieruchomiejące wraz z chrapaniem.

Budzik pasował jej do ręki jak ulał, gdy zgarnęła go ze stolika nocnego. Gładka tarcza okrągliła się pod jej dłonią, szybka przywierała do skóry, gdy wodziła palcami po metalowych krawędziach. Ciche tykanie zegara zgrywało się z łomotaniem w jej głowie. Tik, tik, tik, tik, dum, dum, dum, dum. Patrzyła na bezbronne jabłko Adama i ważyła w dłoni budzik, tak jak profesjonalny bejsbolista może ważyć piłkę, zanim ją podkręci, lekko podrzuci i pozwoli opaść w powolnym, rytmicznym podskoku.

1936

Vivian nie mogła się powstrzymać od podrygiwania i podskakiwania, gdy ford model A podrygiwał i podskakiwał po ulicy Henrietty tamtego łagodnego zimowego popołudnia. „To roadster” – donośnie pysznił się Edward ponad rykiem silnika. – „Kupiłem go za grosze”. Nie było to żadne zaskoczenie, doprawdy, jako że Ford wypuścił już nowsze modele i większość ludzi bardziej pragnęła posiadać te najświeższe wersje. Wóz Edwarda miał tylko pięć lat, ale właściciel często nim jeździł i auto już gruchotało. „Jak leciała ta piosenka... *Grosz z nieba?*” – spytała z podniesioną brwią, sądząc, że zapłacenie więcej niż kilku centów za tego grata było szaleństwem. Szybko próbując ukryć krytykę, przechyliła ku niemu głowę z szerokim uśmiechem zwycięstwa. Edward zdobył się na niewyraźny uśmieszek, był niewzruszony. „Ma dodatkowe rozkładane siedzenie z tyłu” – powiedział, poruszając brwiami w górę i w dół.

Vivian z wdzięcznością przyjęła znoszony przez Verę wełniany płaszcz (już u niej był nie pierwszej świeżości), który po części, jeśli nie w całości, trzymał podrygi i podskoki w ryzach. „Vivian, nie wierć się jak dziwka” – pewnego razu zganiła ją matka, zaskakując Vivian surowymi słowami. Zwykle tylko fukała i stękała, wyrażając niezadowolenie. Tak czy siak, Vivian próbowała nie zwracać na nią uwagi. Każda najmniejsza krytyczna uwaga zostawiała ubytek w samoocenie Vivian. Jej poczucie własnej wartości, gdy wchodziła w dorosłość, wyglądałoby jak kawałek szwajcarskiego sera, gdyby tylko można je było zobaczyć.

Samochód podrygiwał po okolicy, a Vivian założyła ręce na piersi w obawie, że biust wyskoczy jej z sukienki oraz z płaszcza, a chciała zachować przed Edwardem małą tajemnicę. Tajemniczość stanowiła ważny składnik romansu, jeśli wierzyć we wszystko, co da się przeczytać w czasopiśmie „McClure’s”. W każdym razie nie sądziła, że samochód będzie tak mały. Czuła pomadę do włosów Edwarda, tak blisko siebie siedzieli. Coś słodkiego, lecz nie potrafiła zidentyfikować zapachu. Ciemny rumieniec wykwitł na jej szyi i twarzy, a wszędzie indziej wystąpiła gęsia skórka. Kiedy tak jechał przed siebie i trzymał wzrok na drodze, kilka razy wstydliwie przeniosła spojrzenie z jego dłoni na kierownicy w górę na jego profil, prosty nos, który zwężył się do uroczonego koniuszka.

Delikatny uśmiech zakradł się do kącików ust Edwarda, gdy swobodnie i pewnie przez nierówny bruk ulicy Henrietty prowadził samochód. Nagle zaczął gwizdać, a Vivian stłumiła chichot, odwróciła głowę i wyglądała przez okno, rąbek kapelusza zasłaniał jej twarz. Próbowała skupić uwagę na mijanych domach – Gerberów,

Sawyerów i kilku innych, których nie znała, a potem na skupiskach nagich drzew i krzaków, z których ściekał topniejący śnieg. Było wprost idealnie, elementy scenerii ich własnego prywatnego świata podziwiali ze środka podróżującej puszki, siedząc przyjemnie na pikowanym siedzeniu i oddychając tym samym powietrzem. Vivian coraz dobitniej zdawała sobie sprawę z mrowienia, jakie czuła na skórze. Cicho zanuciła pod nosem *Grosz z nieba*.

Gdy Edward zaparkował samochód przy krawężniku przed domem McGintych, temperatura zdążyła spaść tak bardzo, że pogoda przypominała grudniową.

– Nie produkują grzejników do aut – powiedział z przeprasającym wzruszeniem ramionami. – Ale powinni, czyż nie?

Chociaż jej ciało przestało podrygiwać i podskakiwać, zaczęła drzeć i szcząkać zębami. Edward przerzucił bieg do pozycji postojowej.

– No już, uciekaj do domu – pospieszył ją, wciąż z szerokim uśmiechem na twarzy. – Nie chcę, żebyś zamarzła mi tu na śmierć. Postawię mnie przed sądem za zamordowanie najładniejszej dziewczyny w Ohio.

Vivian mogłaby przewrócić oczami, gdyby było to tylko tanie pochlebstwo, ale jej wzrok wędrował pomiędzy odzianymi w rękawiczki dłońmi na podolku a zamgloną przednią szybą. Choć była zmarznięta, wolałaby zostać tu w samochodzie z Edwardem niż wracać do domu McGintych z całym jego hałasem i wszystkimi domownikami. Zastanawiała się, jak by to było: zamarznąć na śmierć u jego boku. Chłód zakradł się przez używany płaszcz i przebijał ku wierzchniej warstwie skóry, lecz jej serce i reszta wnętrza żarzyły się od ciepła.

Może to dlatego, że siedziała bez ruchu, tylko wpatrując się w tablicę rozdzielczą, ponieważ przednia szyba zdążyła zupełnie zająć mgłą od ich oddechu. Jednak, nieważne skąd, Edward w końcu przypomniał sobie o manierach, wyskoczył z auta i podbiegł z jej strony, aby pomóc jej wyjść i odprowadzić po schodach do drzwi. „W końcu” – pomyślała.

Vivian była gotowa, by ją ubóstwiano. Tak jak Douglas Fairbanks wielbił Mary Pickford albo król Edward czcił Wallis Simpson. Widziała tę parę w jednym z czasopism, które lubiła kupować po pobraniu pensji z Bella. Zapewne było to „Life”, ponieważ to właśnie w nim pisano o międzynarodowych sprawach, a jeśli byłaby ze sobą szczerą, stwierdziłaby, że ten brukowiec by jej zbytnio nie interesował, gdyby nie fotografie przedstawiające rzeczoną panią Wallis Simpson z królem Edwardem VIII Windsorem na jachcie; były skandaliczne, a Vivian nie potrafiła oprzeć się żadnemu skandalowi z prawdziwego zdarzenia. Słowo „pokątny” zostało wtrącone parę razy w artykuł, a Vivian oświadczyła młodszej siostrze, Violet, że pani Simpson to ni mniej, ni więcej tylko dziwka rozbijająca rodzinę.

– PANI Simpson – syknęła, wskazując na wydrukowane słowa. – Przecież już jest mężatką! Rozbija własny dom, na litość boską.

– Vivy! – Violet zszokował język Vivian, ale skrycie też jej zaimponował. – Czy wszystkie telefonistki tak mówią?

Vivian wzruszyła ramionami. Razem z Violet śledziły historię Edwarda i Wallis, a kiedy król Anglii zrzekł się tytułu i korony, by móc ożenić się z panią Simpson, raję,

o raj, ależ Vivian zmieniła ton. Pokątne dziwkarskie rozbijanie rodziny zostało zapomniane wraz z chwilą, gdy pani Simpson rozwiodła się z mężem i przyjęła oświadczenia Edwarda.

Vivian omdlewała z zachwytu nad romanssem. Król, który rezygnuje z królestwa dla ukochanej kobiety! Przyprawiało to Vivian o zawroty głowy, rumieniec i mrowienie w miejscach, o których przyzwoite dziewczę nie zwykło opowiadać. Och, pewnie, było kilku chłopców w Wooster bliskich takiemu nabożnemu poświęceniu, ponieważ Vivian McGinty była dziewczyną pełną życia, jej pomadka była świeża, a szwy w ubraniach proste. Gorąca sikoreczka, jak mówili, płeć przeciwna oddawała jej słuszną część swej uwagi, czym Vivian poniekąd pragnęła wypełnić przynajmniej część dziur w tym szwajcarskim serze. Ale zaproszenie od Edwarda Daltona, by wybrali się na przejażdżkę, nadeszło tego samego dnia, co doniesienia brukowca o zaręczynach Wallis i Edwarda. W rozmarzonym, nieprzytomnym stanie umysłu Vivian prędko się zgodziła. To było tak, jakby gwiazdy się sprzysięgły i zaaranżowały idealne romantyczne popołudnie na przejażdżkę po wyboistej ulicy Henrietty w lichym fordzie modelu A deluxe roadsterze. W porządku, model A był gratem, ale w Wooster mogła to być rzecz najbardziej zbliżona do jachtu, przynajmniej jeśli spytacie Vivian o zdanie.

Zwracała uwagę na opowieści ku przestrodze o Sylvii Emerich z Apple Creek, która musiała opuścić szkołę i tak dalej, oraz o sąsiadce Geraldine Sigler, a także na inne historie powtarzane szeptem w miasteczku. Relacje o dziewczętach, w których brzuchach dojrzewały owoce z nieprawego łoża na miesiące, nawet na tygodnie przed tym, jak poślubiły swoich mężów (lub nie poślubiły nikogo!). Sprawy te tuszowano i nigdy, przenigdy nie wspomniano o nich publicznie, ale plotki i pogłoski krążyły po mieście, czasami po kablach telefonicznych i centrali Bella, i odejmowały przyszłym pannom młodym poważanie. Vivian słyszała nawet coś o pazerce Betty Reed, której okropnie się spieszyło, żeby poślubić Charliego Millera. Choć akurat ta insynuacja nie miała żadnych konsekwencji, jako że oboje, Betty i Charlie, byli pazerami, więc nikt nawet się nie zająknął o ich weselu. Plotka o Betty Reed niemal wprawiła Vivian w samozadowolenie z tytułu jej romansu z Edwardem. Nawet na tylnym rozkładanym siedzeniu roadstera Vivian stać było na więcej i wiedziała, że Edwarda też było stać na więcej. Nie zawdzięczała tego sobie, bo tak naprawdę to zasługa słów tatki dźwięczących jej w uszach za każdym razem, gdy witała dżentelmena w drzwiach wejściowych: „Jeśli dasz sobie zrobić brzuch, nie masz tu czego szukać”. Nigdy nie mówił tego złośliwie, tylko stwierdzał fakt. Tak więc: „Nie, proszę pana” – myślała Vivian, zanim jeszcze udała się na tę pierwszą przejażdżkę autem. „To nie będę ja, jak mi Bóg miły”. Mieszkańcy Wooster będą musieli znaleźć sobie kogoś innego, kogo będą mogli obgadywać.

Poza Verą i panią McGinty – tę drugą zaskakiwało, gdy przydarzało się cokolwiek dobrego – nikt w rodzinie McGintych nie zdziwił się, gdy Vivian zdobyła pracę w Bellu. Nie byli zaskoczeni, gdy Edward Dalton się jej oświadczył, nie zdziwiło ich, że Vivian wyszła za mąż przed Verą, całe trzy lata przed zamążpójściem Very. Pewnego przyjemnego popołudnia 1937 roku Vivian Margaret McGinty poślubiła

Edwarda George'a Daltona.

Z pieniędzmi wciąż było krucho, a piękna długa biała suknia i koronkowy welon, o jakich marzyła jako dziesięciolatka, byłyby niepraktyczne. Vivian stała się kobietą. Dorosłym człowiekiem. Z odpowiednią pracą i przystojnym panem młodym. „Coś starego” to był złoty irlandzki pierścień Claddagh od ciotki Catherine i nosiła go dumnie na prawej dłoni, stojąc w swoim najelegantszym stroju – garsonce ze spódniczką i dopasowanym kapeluszu („coś nowego” od Beulah Bechtel). Zapach bzu wpiętego do klapy jej kostiumu („coś niebieskiego”, co pasowało do jej oczu) unosił się nad głową Vivian, gdy Edward trzymał ją za rękę i pochylił się blisko, by złożyli sobie nawzajem przysięgę. Równie dobrze mogliby być sami, ponieważ wszystko wokół Vivian było rozmyte, a ona nie widziała nikogo poza Edwardem.

– Ślubuję.

DZIŚ RANO ODBYŁ SIĘ UROCZYSTY ŚLUB DALTONA Z MCGINTY

Panna Vivian McGinty, córka państwa P.W. McGintych z ulicy South Buckeye, oraz Edward G. Dalton z Syracuse w stanie Nowy Jork zostali złączeni węzłem małżeńskim dziś rano o godzinie dziesiątej w probostwie Kościoła Chrystusowego pod celebrą wielebnego T.R. Freytaga. Państwo młodzi wymienili obrączki.

Parze towarzyszyła panna Vera McGinty, siostra panny młodej.

Panna młoda miała na sobie piękny dopasowany trzyczęściowy kostium w brązie i szarości, a do tego odpowiednie brązowe dodatki. Na ramieniu przypięła bukiet z bzów.

Panna McGinty wystąpiła w szarym komplecie z szarymi dodatkami. Jej bukiet składał się z róż i pachnącego groszku.

Pani Dalton od kilku lat jest zatrudniona w Przedsiębiorstwie Telefonicznym Ohio Bell.

Wieść była oficjalna i teraz każdy w Wooster się dowie. Nie padło zbyt wiele szczegółów na temat Edwarda, ale Wooster nie było JEGO miasteczkiem. Kościół metodystów przechodził remont i ani Vivian, ani Edward nie chcieli czekać na zakończenie prac, zadowolili się więc probostwem Kościoła Chrystusowego. Co do ślubnej garderoby Wallis Simpson też nie miała białej sukni ani koronkowego welonu, więc akurat to Vivian zbyt nie złościło. Pani Simpson przywdziała suknię od projektanta, z jedwabnej krepy w niebieskofioletowym „kolorze barwinka”, jak pisały czasopisma. Barwinkowy był odcieniem bżowego, który kolorysta dobrał do oczu Vivian, gdy retuszował ślubne fotografie.

Według Vivian było to zarówno ważne, jak i znaczące, że jej ślub z Edwardem odbył się zaledwie dwa dni po uroczystości ślubnej Wallis Simpson z Edwardem. Kilka miesięcy wcześniej, pewnej niedzieli po nabożeństwie, Vivian zanotowała, by częściej używać słowa „znaczący”. „Rodzina J. Ellisa Reeda poczyniła znaczącą darowiznę” – powiedział wielebny. Myślała także, że było to ważne i znaczące, że ekstrawagancka i czarująca pani Wallis Simpson wychodziła za mąż za Edwarda, i ona – nie tak ekstrawagancka ani czarująca Vivian McGinty – także wychodziła za

Edwarda. Imiona miały wagę i znaczenie. Większe niż się ludziom zdawało.

– Posłuchaj tego – powiedziała do Violet, kiedy czytała jej na głos urywki z czasopisma. – Edward Albert Christian George Andrew Patrick David, książę Windsoru. Rany, ile imion!

Vivian nie potrzebowała tylu imion ani nazwisk. Potrzebowała tylko własnych. Nowych. Była panią Vivian Dalton (miło mi poznać). Uwielbiała szykowne brzmienie nowej tożsamości i nie mogła się doczekać, aż będzie przedstawiać się nowo poznanym osobom.

Chociaż później spróbuje go zmusić, by przyznał, że celowo wybrał wyboistą ulicę Henrietty na pierwszą przejażdżkę autem, jej mąż, pan Edward Dalton, będzie usiłował zaprzeczać wszelkiej nieobyczajnej motywacji. Ale zaprzeczy z uśmiechem na twarzy. Każdy z samochodem osobowym, powozem, rowerem czy furmanką wówczas wiedział, czego się spodziewać na ulicy Henrietty i na tamtejszym nierównym, wyboistym bruku. „O rany, czyż dostałem to, czego się spodziewałem?!” – huczał Edward, po czym poruszał brwiami w górę i w dół i szczyptał Vivian w tyłek, przez co ona mknęła do sąsiedniego pokoju, rumieniąc się ze wstydu, a jej pełną dezaprobaty minę podważał przebłysk uśmiechu.

Daltonowie w końcu uczynili z tego tradycję na rocznicę ślubu. Odświętna przejażdżka po ulicy Henrietty. Czasami Vivian zakładała cienką bluzkę bez stanika, śpiewając na cały głos *Grosz z nieba* i wierząc się jak dziwka, ponieważ była już mężatką, więc się nie liczyło. („Szach-mat, mamol!”). I czasami Edward śpiewał rymowanki, jak to lubił robić, żeby rozśmieszyć Vivian. Uwielbiała się śmiać. Głos trząśł mu się i chygotał, gdy ford model A podskakiwał na bruku.

„Ma-a-a-a-łą owie-e-eczkę mia-a-a-ła Ma-a-a-a-ry...”

Żaden był z niego Rudy Vallee, ale potrafił pociągnąć trudną melodię.

Jednak te rocznicowe przejażdżki po ulicy Henrietty przyszyły później. Po tym, jak przeprowadzili się do Wooster.

Vivian była ciut przesądna tylko wtedy, gdy zamążpójście nie przyprawiało ją o zachwyt i zawroty głowy. Skoro kościół metodystów nie był dostępny, musieli urządzić ceremonię gdzie indziej. Co z tego? Nie myślała o tym ani chwili dłużej, odkąd upuściła chustkę do nosa, wysiadając z samochodu w dzień ślubu. Gdyby zobaczyła, że coś takiego przytrafia się innej pannie młodej, przebąknęłaby pod nosem: „O Jezu, ale pech”. I może to nic. Może upuszczenie chustki do nosa nie przynosiło pecha, jak mówili, ale konieczność wyprowadzki z Wooster nie była jej pomysłem na wspaniały początek małżeństwa. Spadło to na nich jak grom z jasnego nieba.

– To znaczy, że będziesz musiała odejść z firmy telefonicznej – stwierdził Edward, przekazując jej wieść o swojej nowej pracy.

Vivian zrobiła mocno skrzywioną minę, aż przypomniała sobie, że taki wyraz twarzy powoduje zmarszczki. Zerknęła na obrączkę, która już zaczęła ciążyć jej trochę bardziej, niż się tego spodziewała. Lekko westchnęła. Była teraz posłuszną żoną („Pani Vivian Dalton, miło mi poznać”), czyż nie? Jej pensja to kieszonkowe w porównaniu z wypłatą Edwarda, czyż nie? Głupotą byłoby, gdyby próbowała się

o to spierać, czyż nie? Odpowiedź na wszystkie powyższe pytania brzmiała: „Cóż, tak”.

Zatem krótko po wyjściu za mąż za Edwarda George’a Daltona Vivian wyprowadziła się z Wooster, była teraz z dala od rodziny i pracy, w której poczuła odrobinę władzy i ociupinkę dumy. Daleko, daleko od domu McGintych przy South Buckeye i daleko, daleko od Ohio Bell przy ulicy East Liberty. Państwo Edwardowie zaczęli szczęśliwe pożycie małżeńskie w walącym się żółtym bungalowie z desek, oddalonym o osiemset kilometrów od rodzinnej miejscowości Vivian i niecałe trzy kilometry od zakładu dla ułomnych młodocianych przestępców.

Wschodnionowojorski poprawczak na prowincji stanu Nowy Jork otwarto w 1900 roku, aby poradzić sobie z przepełnieniem innych więziennych ośrodków. Pękał w szwach od złodziei, morderców, gwałcicieli. Gdyby ktoś spytał Vivian, gdzie chciałaby zamieszkać jako świeżo upieczona mężatka, odpowiedziałaby: „Och, obok parku” albo „Byłoby miło zamieszkać w sąsiedztwie salonu piękności”. Nie: „A może rzut kamieniem od Zakładu dla Ułomnych Młodocianych Przestępców w Napanoch”, bo tak brzmiała oficjalna nazwa poprawczaka, gdy Edward Dalton został w nim zatrudniony w maju 1937 roku. Kilka tygodni przed ślubem. Dom poprawczy podlegał nadzorowi departamentu więziennictwa, a osadzonymi byli mężczyźni powyżej szesnastego roku życia z ilorazem inteligencji poniżej siedemdziesięciu, odsiadujący bezterminowe wyroki.

Poza stabilną płacą i idącym za tym poczuciem bezpieczeństwa Vivian lubiła jeszcze tylko jedną rzecz w pracy strażnika więziennego wykonywanej przez Edwarda: jego mundur. Rany, Edward zaiste wyglądał dobrze w mundurze. Jej ulubione zdjęcie męża przedstawiało go, jak stał z rękami wspartymi na biodrach, z uśmiechem na ustach, w wykrochmalonej koszuli khaki, czarnym krawacie i bryczesach, z kciukami zatkniętymi za pas z metalową klamrą. Swoją drogą, w takim właśnie wydaniu poinformował ją, że otrzymał propozycję pracy w więzieniu, podstępny lis. Była taka zaaferowana wypełnianiem obowiązków w Bellu i planowaniem ślubu, że nie przyszło jej do głowy, by spytać go o cokolwiek w związku z nowym miejscem zatrudnienia. Założyła, że to gdzieś niedaleko. I Edward nie zająknął się ani słowem do chwili, aż zobaczyła zdjęcie. Wręczył je i czekał na jej reakcję. Stał tak z szelmowskim uśmieszkiem na twarzy, a ona dała się złapać. Rumieniła się i rozpląwała nad tym, jak sztywnie wygląda w uniformie.

– Cieszę się, że ci się podoba – powiedział, a potem zdradził, że muszą przeprowadzić się do stanu Nowy Jork. – Kochanie, wiem, że nie tego chciałaś, ale muszę mieć blisko do pracy.

– Nie za blisko, mam nadzieję – skwitowała podczas jazdy fordem model A z Wooster do Wawarsing, jakiegoś nieznanego miasteczka pomiędzy Nowym Jorkiem a Albany. Gdy przekroczyli granicę między Ohio a Pensylwanią, w końcu przestała szukać wzrokiem wuja Hugh na motocyklu drogówki Ohio. Przynajmniej to ją odrobinę pocieszyło, wiedza, że on był gdzieś tam na drodze. Nić wiążąca ją z rodziną, którą zostawiała za sobą. Miło byłoby zobaczyć innego McGinty’ego.

Z radością ujrzałyby Verę, na litość boską, lądującą po drugiej stronie ulicy na miotle. Vivian zaśmiała się do samej siebie, oparła podbródek na ramieniu, wystawiając łokieć przez okno, a wiatr smagał jej twarz.

Pas autostrady nie miał końca, dzień był bezchmurny i gorący. Brakowało stosownego miejsca, gdzie mogliby się zatrzymać, bo chciała skorzystać z toalety. Musiała błąkać się po lesie, by odpowiednio oddalić się od drogi. Co prawda nie było żadnych innych samochodów na trasie – proszę pamiętać, że nikt przy zdrowych zmysłach nie chciał trafić do Wawarsing w stanie Nowy Jork w lipcu – ale jak zwykle mogłaby mieć pecha, gdyby przykucnęła spocona na poboczu, a ktoś nagle przejechałby obok i na nią zatrafił. Wiedziała, że Edward tylko by się roześmiał. Powiedział, że nie ma takich problemów ze wstydlivością jak ona. On nazwał to problemami, ona nazywała to manierami. Podczas tamtej podróży do Wawarsing nauczyła się jednego: będzie ją to kosztować trochę wysiłku, zanim przywyknie do bycia mężatką.

– Jak często uciekają? – spytała, ocierając pot z czoła i nerwowo wyglądając przez otwarte okno samochodu, gdy przejeżdżali obok zajętej przez dzikich lokatorów twierdzy oddalanej od drogi. Zastanawiała się, jakim cudem to miejsce wygląda tak ponuro i niebezpiecznie nawet w późnopołudniowym lipcowym słońcu.

– Uciekają? – Edward się zaśmiał. – Kto, więźniowie? – I prawą ręką zmierzwił jej włosy. – Kiedy ja stoję na posterunku?

Nie zadowolila jej ta odpowiedź, ale Edward musiał akurat pokonać fordem model A dwa rowy pełne zaschniętego błota obok ulicy Lundy, które prowadziły do domu od zachodniej strony, i zaparkować; no i zanim Vivian się zorientowała, była już zajęta czymś innym. Mały żółty bungalow przy Lundy miał obdrapane okiennice z otworami w kształcie choinki, sufit się ugiął, a ganek przed wejściem chybotął – i to wszystko było ich.

Pierwszy dom Daltonów. Państwa Daltonów! Miło poznać i witamy w naszym domu! Vivian energicznie otworzyła drzwi na oścież, po czym zaczęła wciskać miotłę w zasnute pajęczyną kąty oraz wkładać mizerniejące zakupy do lodówki turystycznej. Potem stanęła w tylnym wejściu i objęła wzrokiem zarośnięty ogródek obok niewielkiego żółtego wychodka.

– Jezu Chryste.

Vivian całymi dniami sprzątała dom, prała ubrania i rozwieszała je na lince w ogródku na tyłach, a także gotowała obiady dla dwojga. Zupy z puszki i warzywa podgrzewała na kuchence oraz od czasu do czasu przypalała w piekarniku kurczaka lub szynkę. Czasami gapiła się na puste puszki i przypominała jej się stara gra w telefon, w którą bawiła się z Henrym w dzieciństwie. Puszki z naprężonym sznurkiem pomiędzy nimi. A potem myślała o szklance przytkniętej do ściany, to wspomnienie z kolei przywiodło jej na myśl dawną pracę w Bellu. Wszędzie ośmiornice z kabli i żywa osoba trajkocząca jej do ucha co kilka minut. Podniosła puszkę po groszku do ucha. „Numer, proszę”. Trzymała ją tak przez chwilę, kołysząc się w przód i w tył, jednocześnie wyglądając przez kuchenne okno. Gdy odstawiła puszkę na blat, wydała

z siebie tęskne „Hmm” i koniuszkiem fartucha otarła oczy.

Edward wracał do domu ze zmiany w więzieniu, wyglądał na wykończonego i prosił ją, by nie pytała, jak mu minął dzień; żeby zjedli w ciszy. W tej samej ciszy, której musiała słuchać cały dzień.

– Do diabła, co to za zapach? – spytał Edward pewnego wieczoru, gdy Vivian znów przypaliła zupę.

Tyle że tym razem nie mówił o zupie. Był w sypialni.

– Cóż – wrzasnęła poirytowana Vivian przez zadymioną kuchnię – to nasze dziecko wywraca mi bebeczy, ot co!

Przez ostatnich kilka tygodni korzystała z miednicy do wymiotowania. Przeklęty wychodek był za daleko. Dziś po raz pierwszy zapomniała opróżnić zwróconą zawartość.

Wyszły więc o wiele bardziej niezręcznie, niż planowała, te jej nadzwyczajne wieści. Chciała przygotować coś odrobinę wytworniejszego, może nieprzypaloną kolację przy świecach, przy bukietach późnojesiennych kwiatów polnych w kryształowym wazonie, który dostali w prezencie ślubnym od kuzynki Edwarda, Evelyn. Stół kuchenny nie pomieściłby tych wszystkich rzeczy naraz, ale co z tego. Nie tak chciała to zrobić.

„Niech to szlag”.

Tamtej nocy leżała obok Edwarda, nie mogąc zmrużyć oka, podczas gdy on głośno chrapał. Ciepło i blask płynące z przejścia Edwarda dzieckiem przygasły, gdy tylko małżonek zasnął, a Vivian znów krzywiła się na jego pretensje. Jej nastrój obniżał się coraz bardziej, gorkniała z każdym tygodniem. Łatwiej było okazywać rozdrażnienie niż smutek i użalać się nad sobą. Nie chciała pozwolić, by ta beznadziejna bezsilność pochłonęła ją w pełni, poza tym kim on był, że skarżył się na zapachy? Miednica z wymiocinami, przypalone kolacje. „Przychodzi do domu, śmierdząc jak przeklęta latryna w pożarze, a ja nie mówię ani słowa”. Chłopcy, mężczyźni. Nigdy się nie nauczą odpowiedniego zachowania. Skrawki, ślimaki i szczeniaków ogonki. Miała nadzieję, że to będzie dziewczynka.

Życzenie Vivian spełniło się i mała Charlotte Catharine Dalton (śliczne, znaczące i ważne imię) przysłała na świat dwudziestego drugiego lutego, dziewięć miesięcy i siedemnaście dni po ślubie Vivian i Edwarda. Cięża stanowiła dziewięciomiesięczne pasmo mdłości, utyskiwania i bólu, a potem poród, o rany, nigdy więcej. Vivian powiedziała Edwardowi, że to by było na tyle.

– Lepiej polub to jedno – szepnęła, wspierając się na szpitalnym łóżku, blada, spocona i bez sił. – Zostanie jedynaczką.

„Kiepsko się to złożyło dla Edwarda” – pomyślała. Pewnie chciał mieć chłopca. Nie powiedział tego, ale ona znała się na ludziach.

Narodziny Charlotte podwoiły niepokój Vivian w porównaniu z tym, jaki czuła podczas przeprowadzki do małego żółtego bungalowu przed rokiem. Tak długo zamartwiała się więzieniem, więźniami i małą odległością dzielącą domostwo Daltonów od tego wszystkiego, że nie miała czasu ani głowy, żeby wziąć pod uwagę

inne zagrożenia. Mała Charlotte miała w dniu napaści tylko siedem miesięcy.

Rozdział 9

Matka Charlotte uderzyła ją cztery dni po Świącie Dziękczynienia. To był pierwszy raz w piętnastoletnim życiu Charlotte, gdy oberwała od matki, i wciąż była trochę wstrząśnięta. Jasna cholera, to był szok. Wprost w tył głowy, gdy czmychała z kuchni, by uciec od kłótni. PLASK! Otwartą dłonią i mocno. Gwiazdki jak z kreskówki zatańczyły Charlotte przed oczami.

Gdyby Charlotte miała precyzyjnie wskazać, kiedy relacja z matką zaczęła przejawiać oznaki napięcia, powiedziałyby, że zaczęło się kilka lat temu, mniej więcej w gimnazjum. Kiedy naprawdę zaczęła podniecać się tym, czego się uczyła. Chociaż tak naprawdę odkryła to dopiero w liceum. Wtedy Charlotte zaświtało w głowie, że istnieje ścisły związek między jej tętniącym entuzjazmem po przeczytaniu powieści Roberta Louisa Stevensona *Wyspa skarbów* lub jakiegokolwiek powieści sióstr Brontë a dąsami matki. Piętnaście numerów „Parady Gwiazd Kina” piętrzyło się na stercie, dorównując objętością wydaniu *Mansfield Parku* leżącemu na stoliku obok kanapy, ale żadna siła nie zdołała przekonać Charlotte, że cokolwiek z tych czasopism mogło równać się wnętrzu książki Austen. Założyłyby się, że matka nawet nie rzuciła okiem na tytuł na okładce, a córka po trochu martwiła się, że jej matka może pomyśleć, iż Jane Austen była prezeską woosterskiego Klubu Ogrodniczego „Grabie i Taczka”. „Ach tak, Jane Austen. Chyba widziałam ją u Beulah Bechtel. To ta z pieprzykiem na brodzie i z niebieską płukanką na włosach”.

„Mądra” – powiedziała ciocia Vera. Charlotte podsłuchiwała, jak ciocia Vera rozmawia z ciocią Violet. Ciotka Vera nie miała swoich dzieci, ale uwielbiała Charlotte, jakby była jej własna. Uwielbiała, ale nie rozpieszczała. Reszta komentarza do cioci Violet brzmiała: „Ale odrobinę naiwna”. Charlotte westchnęła z oburzeniem na te słowa, po czym założyła ręce na piersi i chmurząc się, i dąsając, zachodziła w głowę, co ciocia Vera miała na myśli.

Owszem, czuła się naiwna w pewnych kwestiach, jak wtedy, gdy nie rozumiała, czemu rodzina Rosie Gianetti nie otrzymała odszkodowania z Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne’a po skandalu z defraudacją. Rodzice Charlotte dostali rekompensatę. Rodzice Rosie nie. „Jak sądzisz, czemu nie dostali pieniędzy z powrotem, Charlotte?!” – krzyknęła Rosie z zacisniętymi w pięści dłońmi i poczerwieniałą twarzą, ponieważ plotka krążąca po sąsiedztwie Rosie głosiła, że żadna z włoskich familii nie doczeka się refundacji.

Charlotte stała tak w osłupieniu, nie potrafiąc odpowiedzieć na pytanie, które tak naprawdę było retoryczne. Pamiętała, że pani Betty Miller zorganizowała wydarzenie na Placu Wooster, by uhonorować ojca, który zapewnił, że wypłaci odszkodowanie tym, co stracili pieniądze. Tamten letni dzień był skwarny, obok stały głośniki, a pani

Miller wykrzykiwała do tłumu o „uczczeniu zwykłej ludzkiej przyzwoitości”; przemawiała, że hojność ojca to rzecz, jaką wszystkie lokalne społeczności powinny uczcić. Charlotte słyszała nawet, jak Margie Miller mówiła, że zdaniem jej mamy na placu powinien stanąć jego pomnik oraz winni wyznaczyć specjalne święto J. Ellisa Reeda, na co przewracano oczami.

Charlotte uwierzyła wtedy burmistrzowi Reedowi w sprawie rekompensat, ale za kilka tygodni miały być święta Bożego Narodzenia, a rodzina Rosie wciąż nie odzyskała pieniędzy. Może zajmowało to więcej czasu, niż sądziła. „Po prostu tego nie rozumiesz” – powiedziała Rosie, a Charlotte wpadła do domu i rzuciła się z płaczem na łóżko. W wieku Charlotte jej najważniejszymi potrzebami były posiadanie przyjaciół i przynależność do grupy, a jeśli nie należało się do pazerów, trzeba było na to trochę ciężiej zapracować.

Niedawno Charlotte spotkał zaszczyt dołączenia do Towarzystwa Gimnastycznego Dziewcząt, co dla drugoklasistki było ważną sprawą; tylko czterem dziewczynom udało się to w tym roku. Żeby zakwalifikować się do TGD, należało zdobyć określoną liczbę punktów za udział w zajęciach pozalekcyjnych i Charlotte wyłaziła ze skóry, żeby to zrobić. Hokej na trawie, pływanie, softball, koszykówka, kręgle. Była wykończona i niezmiernie z siebie dumna. Odnoszące sukcesy członkinie wyczytywała przez szkolny radiowęzeł panna Vickers, nauczycielka wuefu, i uśmiech od ucha do ucha, który wykwitł na twarzy Charlotte, został tam, dopóki nie przekroczyła progu domu.

– To co, teraz należysz do klubu, czy tak? – spytała matka tym samym tonem, który zwykle był zarezerwowany dla przedrzeźniania pazerów, i podniosła drżąca dłoń do serca.

Tata czule ścisnął jej ramię, po czym zmierzwił jej włosy ze słowami:

– Brawo, Lottie. Brawo.

Członkostwo w TGD wymagało otrzęsin. W ciągu jednego tygodnia dziewczęta musiały robić kompromitujące rzeczy: podchodzić do chłopców na korytarzu i śpiewać im piosenki, wykonywać irlandzki skoczny taniec przed całą klasą i tym podobne. Podczas tygodnia otrzęsin nie mogły malować się do szkoły. Musiały ubierać się w szalone przebrania: zakładać skarpetki nie do pary, spódniczki w paski i kwiaty oraz robić sobie zwariowane fryzury do kompletu.

Matka Charlotte upuściła łopatkę na kuchenną podłogę na widok córki: warstwy krynolin ubranych na ołówkową spódnicę w szkocką kratę i wystających spod zimowego płaszcza, warkoczyki sterczące na połowie głowy, podczas gdy włosy na drugiej połowie leżały gładko, niepolakierowane, i twarz nienosząca śladów makijażu – tak Charlotte miała zamiar wyjść z domu.

– Charlotte, wracaj tu natychmiast.

Charlotte przewróciła oczami, ale posłusznie cofnęła się do domu i przysła do kuchni.

– Co ty sobie wyobrażasz, że gdzie pójdziesz w takim stroju?

Matka z przerażeniem spoglądała na fryzurę i ubiór.

– Na tym polegają otrzęsiny.

– Nie wyjdiesz z domu tak ubrana.

Zwykle Charlotte zgodziłaby się z nią. Wyglądała jak w przebraniu na Halloween i po trochu chciała uniknąć całej hecy i zostać w domu. Pojawiło się jednak silniejsze uczucie, duma popychająca ją w przeciwnym kierunku.

– Muszę – zaprotestowała. – Nie mam wyboru.

– Ooch. – Matka przybrała drwiący ton. – Nie masz wyboru? Co to ma być, Charlotte? Bzdura, nie pokażesz się tak ludziom!

Charlotte obejrzała się za siebie z rozpaczą, mając nadzieję, że tata nie wyszedł jeszcze do pracy. Wszedł. Zawsze, ale to zawsze pracował. Gdy odwróciła twarz ku matce, poczuła kipiącą frustrację. Już i tak czuła się absurdalnie w tym stroju i z warkoczykami huśtającymi się jak opętane za każdym razem, gdy ruszyła głową, oraz z jedną stopą w eleganckim wsuwanym bucie i z drugą w oksfordce. Ale „Charlotte nie miała wyboru”. Na tym po części polegała przynależność do czegoś ważnego i niczego nie przegapi tylko dlatego, że jej matka tego nie pojmuje. Może nawet miała zamiar zatrzymać te myśli dla siebie, ale usłyszała, jak mówi na głos:

– Nic nie rozumiesz, bo nigdy nigdzie nie należałaś! – warknęła, przestraszona własnym tonem, i zanim zdążyła się zastopować, dodała: – Wcale nie chodziłaś do liceum!

Słowa zawisły w powietrzu jak dym, gdy Charlotte obróciła się na pięcie, by znów wyjść z domu.

PLASK! Prosto w tył głowy.

Uderzenie sprawiło, że się zachwiała, a kiedy odzyskała równowagę, zamarła na krótkie sekundy, pogrążona w autentycznym zdumieniu. Potem jednak odzyskała rezon, rozmyślnie przechodząc przez salon w butach nie do pary i wychodząc za drzwi. Łzy piekły ją w oczy. Miną długie lata, zanim dostrzeże strach kryjący się za ciosem matki. Bezradną panikę, jaką Vivian czuła, gdy jej młoda córka oddalała się i wysuwała na prowadzenie, prześcigając ją w życiu. Wtedy łzy też zapieką Charlotte w oczy.

Rozdział 10

1938

Dym ze sterty palonych u sąsiadów liści tylko trochę kłuł Vivian w oczy, gdy wisiał w powietrzu nad podwórkiem na tyłach Daltonów tamtego zimnego wieczoru tuż przed Halloween. „Plus jest taki – pomyślała, gdy drzwi do wychodka zatrzasnęły się za nią z hukiem – że przynajmniej nie czuć smrodu”. Zerknęła na kilka drzew okalających ogródek, jednocześnie otulając się znów paltem Edwarda i prędko wracając do domu. Wciąż nie zrzuciły liści, ale „tak – pomyślała – nadchodzi zima”. Zima z wychodkiem, tematem przewodnim wielu reprimend, którymi suszyła Edwardowi głowę w zeszłym roku, bez wątplenia. Vivian wiedziała, że tylko kryzys lub dwa kryzysy dzielą ją od tego, by zmusiła męża do powrotu do Wooster.

Mała Charlotte spała w kołysce w sypialni, podczas gdy Edward i Vivian słuchali *The Chase and Sanborn Hour* w radiu. Zawsze włączali tę audycję, żeby usłyszeć dowcipy Edgara Bergena i jego kukły, Charliego McCarthy'ego. Punktualnie dwanaście po dwudziestej nastąpiła przerwa muzyczna w programie i Edward, jak to miał w zwyczaju, przestawił pokrętko odbiornika ze stacji NBC na CBS, żeby sprawdzić, co tam nadawali.

– Nie wiem, czemu nie możesz po prostu nacieszyć ucha muzyką i poczekać, aż wrócą na antenę – zrzędziła Vivian, stukając drutami, ponieważ szyła czerwone buciki dla Charlotte.

Nie mówiła tego za każdym razem, lecz na tyle często, że działało Edwardowi na nerwy.

Zignorował ją i pogłośnił:

Panie i panowie, właśnie otrzymałem wiadomość, która dotarła do mnie przez telefon z Grover's Mill. Proszę o chwilę cierpliwości. Przynajmniej czterdzieści osób, w tym sześciu funkcjonariuszy policji stanowej, poległo w polu na wschód od wioski Grover's Mill, a ich ciała spalono i zdeformowano tak, że identyfikacja zwłok okazała się niemożliwa.

– Jezu Chryste – powiedziała Vivian, przestając dziergać. – Sześciu policjantów? Gdzie jest Grover's Mill?

Edward uciszył ją gestem ręki.

Wieści nadawano dalej, a Vivian i Edward nie mogli się oderwać od transmisji, kiedy kilku spikerów opisywało przerażający atak rozgrywający się w Grover's Mill, aż w końcu Edward wyszeptał:

– W New Jersey.

Panie i panowie, mam poważne wieści. Choć może wydawać się to niewiarygodne, zarówno obserwacje naukowe, jak i naoczne dowody prowadzą nas do nieuchronnego wniosku, że te obce istoty, które wylądowały dziś w nocy na polach uprawnych w Jersey, to forpocztą armii najeźdźców z Marsa. Bitwa rozegrana dzisiejszej nocy w Grover's Mill zakończyła się jedną z najbardziej wstrząsających klęsk wojsk w czasach nowożytnych; siedem tysięcy mężczyzn uzbrojonych w strzelby i karabiny maszynowe wystąpiło przeciwko jednej maszynie bojowej marsjańskich agresorów. Odnotowano stu dwudziestu ocalałych. Reszta poległa na polu bitwy pomiędzy Grover's Mill a Plainsboro, zmiażdżona i stratowana metalowymi stopami Trójnoga albo spalona na popiół jego rażącymi promieniami. Potwór przejął kontrolę nad środkowym pasmem New Jersey i skutecznie przedzielił stan przez środek. Łączność została odcięta od Pensylwanii po Ocean Atlantycki.

Edward i Vivian spojrzeli po sobie. Edward zwlekał z założeniem linii telefonicznej w domu, ponieważ nie chciał mnożyć kosztów, poza tym nie widział takiej potrzeby.

– Cóż – powiedziała powoli Vivian, próbując zdusić panikę podchodzącą jej do gardła, gdy odkładała na bok druty do robótek ręcznych, włóczkę i buciki – nie możemy nigdzie zadzwonić, żeby dowiedzieć się, czy to prawda, ponieważ nie mamy telefonu. Nie będziemy wiedzieć, czy linia padła.

Niebezpieczeństwo nagle zdawało się bardzo realne. Od New Jersey dzieliło ich tylko kilka godzin jazdy. Edward odsunął krzesło i sprawnie zrobił obchód domu, po drodze zamykając okna, energicznie zasłaniając rolety okienne i ponownie sprawdzając, czy drzwi wejściowe i na tyłach są zamknięte.

Vivian zniknęła w sypialni i wzięła w ramiona Charlotte zawiniętą w kocyk, zerkając na jej twarzyczkę, by upewnić się, że z małą wszystko w porządku.

– Do piwnicy – zarządził Edward, po czym zgasił światła w salonie i ruszył za żoną na dół po schodach. Podeszedł do półek na ścianie chłodnej piwnicy, gdzie trzymał część narzędzi i małe przenośne radio. Włączył je i ustawił częstotliwość tak, że usłyszeli ostrzeżenie.

Następne dwadzieścia minut przesiedzieli, milcząc i drżąc w wilgotnej piwnicy niewielkiego bungalowu, przysłuchując się rozwojowi wypadków marsjańskiej inwazji. Vivian siedziała sztywno na drewnianym stole warsztatowym Edwarda, kołysząc Charlotte pomiędzy swoją piersią a huśtającą się z niepokoju zgiętą nogą, i jednocześnie posyłając Edwardowi gniewne spojrzenia z tytułu braku telefonu.

Audycja dalej huczała, gorączkowy ton spikera nieco złagodniał, po czym popłynęła fala muzyki. W eterze przedstawił się Orson Welles, jego niski głos rozszedł się po zawilgotniałej piwnicy. Pełna napięcia relacja z inwazji dobiegła końca, teraz Orson Welles opowiadał o Halloween. Edward z Vivian w zmieszaniu utkwili wzrok w przenośnym radyku, po czym usłyszeli:

Śłuchają państwo Orsona Welleśa i The Mercury Theatre on the Air w adaptacji radiowej powieści H.G. Wellsa *Wojna światów*. Wznowimy słuchowisko po krótkiej przerwie. Tu CBS, Columbia Broadcasting System.

– Och! – wykrzyknęli jednym głosem Vivian i Edward, gdy oderwali wzrok od

radioodbiornika i spojrzeli po sobie w popłochu. Edward roześmiał się pierwszy. Tylko on się zaśmiał. Vivian jeszcze kilka razy powtórzyła: „Och!”, po czym dodała: „Cóż...”. Następnie Charlotte zaczęła płakać i Vivian warknęła. Pomaszerowała wprost do radia i gwałtownie je wyłączyła.

– Cóż, kto by się... – Vivian przyciskała do siebie płaczącą Charlotte, pokonując z tupotem schody do kuchni, Edward włókł się za nią.

Zawędrowała na środek salonu i stanęła, nie wiedząc, co robić dalej. Kołysała Charlotte, usiłując utulić ją w płaczu. Nie mogła uwierzyć, że cały ten czas przesiedzieli w piwnicy, bojąc się marsjańskiej inwazji, podczas gdy była to tylko głupia powieść. Brzmiała tak prawdziwie.

– Już. – Edward wyciągnął ręce po dziecko.

– Nie znoszę, jak robi się ze mnie idiotkę! – wypluła z siebie Vivian, jednocześnie uparcie ściskając kwilące zawiniątko.

– Kochanie, proszę, daj mi ją.

Fuknęła, wcisnęła mu dziecko w ramiona i głośno pobiegła do tylnego wejścia, otworzyła zamek i pchnęła drzwi, by złapać świeże powietrze. Zapach palonych liści wciąż się unosił, gdy podniosła wzrok na bezkłęskowe niebo, tupiąc nogą z rozdrażnieniem, prawie rzucała marsjańskiemu statkowi kosmicznemu wyzwanie, by się zjawiał. Usłyszała trzask gałązek i zamarła, oczami wodząc za dźwiękiem ku krzakom otaczającym odległy zakątek ogrodu.

– Edwardzie... – rozległ się jej szept. Czuła, że głos uwiązł jej w piersi, jakby coś go tam trzymało i nie pozwalało się wydostać. Palcami ścisnęła okrągłą klamkę i głęboko nabrała powietrza do płuc.

– EDWARDZIE!

Wrzask sprawił, że Edward przybiegł z salonu, przyciskając wciąż płaczącą Charlotte do piersi.

– Coś tam jest w krzakach! – na wpół syknęła, na wpół szepnęła, podczas gdy mąż wciągał ją wolnym ramieniem z powrotem do domu. Oddał jej Charlotte, a potem przekroczył próg i wyszedł na tylny ganek, po czym postawił kilka kroków po podwórku, mrużąc oczy w kierunku miejsca, które wskazała. Stał nieruchomo przez całą minutę, wpatrując się w zarośla. Krzaki się nie poruszyły i słychać było tylko cykanie nielicznych późnych świerszczy.

– Viv. – Zwrócił ku niej twarz. – To mogą być Marsjanie, więc zamkniemy drzwi i zamki.

Edward pozbył się niedawnego strachu trochę szybciej od Vivian, co ani trochę nie przypadło jej do gustu. Krzywo na niego patrzyła, gdy wrócił do domu, zamknął za sobą drzwi i przekręcił zamek.

– Wiem, że coś widziałam.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w policzek.

– „Kto się boi dużego złego wilka?” – zaśpiewał.

– Taa, nie byłeś taki do przodu, jak myślałeś, że nadlatują Marsjanie – wymamrotała pod nosem, wychodząc do sypialni, by odłożyć Charlotte do kołyski, gdzie dziecko natychmiast przestało płakać. Vivian w skrytości ducha cieszyła się, że

dali się nabrać na audycję radiową, ponieważ Edward właśnie w ten sposób lubił się z nią przekomarzać. No tak się sprawy mają. Jej mąż był równie łatwowierny co ona. Gdy rozważała tę myśl, doszła do wniosku, że to wcale nie tak dobrze.

Godzinę później Vivian leżała w łóżku, to zapadając w sen, to kurczowo zaciskając dłonie na kołdrze i budząc się na każdy skrzyp, pomruk i trzask, które usłyszała. Edward spał obok niej jak zabity, pochrapując jak zwykle. Bez względu na to, czy był łatwowierny, czy nie, z pewnością żaden problem nie spędzał mu snu z powiek. Przytuliła się na powrót plecami do jego pleców i pomyślała o Marsjanach. Po kilku minutach chichotała w poduszkę.

Gdy jego budzik zadzwonił o czwartej rano, Vivian siedziała już w bujaku, pewnie trzymając butelkę w buźce Charlotte. Edward przeturlał się po łóżku na stronę Vivian i włączył lampkę, potem wrócił na miejsce, wysunął nogi i wstał. Ubrał skarpetki i bryczesy, potem zapiął guziki koszuli i zawiązał krawat, po czym poczłapał do salonu w kapciach, żeby włączyć radio. Przeszedł cztery kroki do kuchni, by zrobić sobie kawę, gdy z głośnika radiowego wydobył się z trzaskiem alarm nadawany w nagłych wypadkach.

Tym razem nie chodziło o Orsona Wellesa, nie wspomniano też Marsjan. Zakład dla ułomnych młodocianych przestępców zauważył ucieczkę osadzonych. Trzej więźniowie nieświadomie wybrali wieczór marsjańskiej inwazji, aby uciec z więzienia.

Skazani przebywają na wolności. Lokalne organy ścigania zalecają mieszkańcom, by pozamykali drzwi na klucz i pozostali w domach do odwołania.

Vivian usłyszała każde słowo ostrzeżenia i teraz syknęła w stronę kuchni ponad główką już uspiionej Charlotte.

– Eddie! Mówiłam ci, że coś tam było!

Edward zmarszczył brwi i podszedł do tylnych drzwi, odchylając zsuniętą kraciatą zasłonę, żeby wyjrzeć na podwórko. Niebo wciąż było ciemne i zdołał tylko zobaczyć, że nic się nie ruszało, wszystko pokrywał lekki szron. Mijając róg, wszedł do sypialni.

Vivian gwałtownie wykręciła głowę do okna wychodzącego na ogródek na tyłach. Edward znów wyrzwał na dziedziniec. Wdział tylko ścięty mrozem trawnik i niewielki żółty wychodek.

– Dziś znów będziesz musiała skorzystać z nocnika.

Vivian popatrzyła na niego wilkiem i zakołysała się na fotelu. Cywilizowani ludzie nie powinni się załatwiać do salaterki. Oboje musieli skorzystać z nocnika wczoraj wieczorem przed pójściem spać. Vivian – ponieważ nie miała zamiaru opuszczać bezpiecznego schronienia w domu, i Edward – ponieważ twierdził, że nie chce zostawiać jej oraz dziecka bez opieki. Vivian podejrzewała, że pomimo radosnych przyśpiewek i zwykłego zachowania był równie zaniepokojony co ona. Przynajmniej do czasu, aż zasnął.

– My – powiedziała cicho. – MY będziemy musieli robić do nocnika. TY nie idziesz dziś do pracy.

– Kochanie, muszę iść.

– I zostawisz mnie tu z dzieckiem, gdy ci zbrodniarze grasują na wolności? – Jej cichy głos przerodził się w pisk.

– Okna są zamknięte, tylne drzwi zamknięte, zamknę też drzwi wejściowe, jak będę wychodził. Nic ci nie grozi, o ile zostaniesz w domu.

– Co, jeśli wybiją okno?

Edward westchnął i otarł dłonią czoło.

– Dobrze – powiedział. – Zostanę z tobą.

Vivian wcisnęła głowę w ramię i próbowała stłumić szloch.

– Kochanie, powiedziałem, że zostanę.

Łzy popłynęły po policzkach Vivian i kilka razy pociągnęła nosem.

– Jestem taka zmęczona, Edwardzie. Jestem tak cholernie zmęczona.

– Wiem, kochanie. – Wziął od niej Charlotte i odłożył ją do kołyski.

– Edwardzie – ciągnęła szeptem, spokojnie dobierając słowa. – W naszym następnym domu będzie łazienka.

– Obiecuję – powiedział i palcem wskazującym uczynił znak krzyża na sercu.

– Łazienka wewnątrz domu.

– Oczywiście, wewnątrz.

– I telefon – dokończyła.

– I telefon. No pewnie. Wszystko, co najlepsze dla moich dziewczyn. – Pochylił się i pocałował Charlotte w czołko. – Wiesz, czułabyś się bezpieczniej, gdybyśmy wzięli tamtego psa, o którym mówiłem. – Podszedł znów do bujaka, ujął twarz Vivian w swoje dłonie i cmoknął jej ściągnięte wargi.

– Edwardzie, nie będziemy znów rozmawiać o psie. Wiesz, że mam uczulenie.

– Jak uważasz, moja droga – powiedział, a w jego głosie dało się słyszeć powątpiewanie. – Może odpoczniesz? – Pomógł jej wstać z bujanego fotela i dojsć do łóżka, które odkrył, przesuwając na bok wymiętą kołdrę.

Zaczekał, aż zaśnie, potem włożył skórzane buty. „Trzech?” Puls Edwarda zaczął przyspieszać, gdy wyjrzał przez frontowe okno, rozejrzał się po ulicy i wyszedł na zewnątrz. „Których trzech więźniów?” Pamiętał, żeby przekręcić zamek w drzwiach, po czym zapalił latarkę i poszedł do forda, skrzypiąc buciorami po skutej mrozem trawie. Omiótł światłem latarki samochód ze wszech stron, gdy go okrążał, zaglądając do środka, sprawdzają go na zewnątrz, a potem pod podwoziem. W sąsiedztwie wciąż było ciemno. Większość sąsiadów przesłuchiwała całą audycję *The Chase and Sanborn Hour* razem z przerwą muzyczną i takimi tam. Nie chciało im się przełączać na inną stację radiową, więc przegapili przerażającą inwazję Marsjan. Oszczędzili sobie też bliskich zawałów serca i bur od żon. Powinni wsadzić przekłętą Orsona Wellesa za kratki.

Edward wdrapał się na zimne skórzane rozkładane siedzenie w aucie, wciągnął powietrze przez zęby, bo jego tyłek i uda doznały szoku. „Którym trzem więźniom udało się uciec?” W komunikacie radiowym nie podano nazwisk. Był tylko jeden, którego musiał się obawiać. Jeden osadzony stanowiłby dla Edwarda problem w świecie za murami więziennymi. Vivian będzie się na niego gniewać, gdy się

zbudzi i odkryje, że i tak poszedł do pracy, ale przejdzie jej. To więźniem jedenaście trzy zero pięć powinien się przejmować.

Ściągnął wargi, zamartwiając się tym jednym skazańcem i przygotowując na chaos, który powita go, gdy minie bramy. I tak był już pół godziny spóźniony przez paranoję Vivian. Ale gdy samochód turkotał po drodze, Edward wrócił myślami do rozmowy, jaką odbył z żoną, zanim położył ją do łóżka. Zaśmiał się pod nosem, gdy przypomniał sobie jej żądania. „Telefon”. Tylko kobieta mogła pragnąć telefonu w domu. „Jeszcze więcej plotek, moja droga!”

Rozdział 11

Betty Miller nie była największą plotkarą w Wooster; Vivian przyznałaby ten tytuł Ruth Craven z Bella. Uważała Ruth za przyjaciółkę, tylko nie taką przyjaciółkę, której powierza się sekrety, jeśli pragnie się, by pozostały sekretami. Betty Miller nie tylko nie była przyjaciółką, ale miała też kłopotliwy dla Vivian wpływ na miasteczko. A teraz, po tamtym telefonie, znała tajemnicę, która mogła zniszczyć Vivian, i Vivian czuła, że unicestwienie już się zaczęło. Była sama jak palec z tą grozą wiszącą nad jej myślami jak śmiertelny całun, gdy tamtego ranka szła do pracy, a błądy róż okalał horyzont. W nocy padał lekki śnieg, więc znoszone botki zostawiały świeże ślady na chodnikach.

Jaką głupią trzeba być, żeby zgodzić się na wieczorną zmianę jednego dnia, a nazajutrz na poranną? Cholernie głupią. Ostatni obrót spraw sprawił, że groza dopadła także monologi wewnętrzne Vivian. Była wobec siebie o wiele surowsza niż zwykle. Podczas monologu brzmiała jak własna matka. Ale przecież miała już pewien staż i musiała o tym przypomnieć, kiedy Leona układała grafik. Leona posuwała się w latach i potrzebowała przypomnienia. Nieważne. Vivian i tak zostanie dość czasu, by przygotować dziś wieczorem spaghetti. Dla Edwarda. „Dla Edwarda”. Tupąła botkami na te słowa, a przy drugim „Edwardzie” nastąpiła prawym butem na ukryty kawałek lodu, przez co się poślizgnęła, wymachując torebką nad głową i próbując z trudem odzyskać równowagę. Groźba upadku sprawiła, że zadrżała, odzyskała jednak równowagę. Fuknęła, wygładziła płaszcz i poprawiła kapelusz od Beulah Bechtel. Czuła się teraz wściekła i... niemądra. W innych okolicznościach śmiałyby się z siebie. Śmiejąc się, powiedziałyby: „Ups!” i cieszyłyby się, że nie wylądowała na czterech literach. Ale dziś gorące łzy zaczęły wzbierać w kącikach oczu. Nie powinna kupować tego kapelusza. Pokarało ją, że dumnie zdecydowała się na zakup nakrycia głowy.

Nie mogła z nikim porozmawiać. Nie o tym. Z chęcią zwierzyłaby się koleżance z pracy, ale jej przyjaźnie z kobietami z Bella były tak jakby, jak brzmiało to słowo... powierzchowne. Och, jasne, zdradziła Pearl, że dentysta wyrwał jej wszystkie zęby, by mogła nosić sztuczną szczękę, która była prosta, równa i dobrze wyglądała, jak u Joan Crawford, choć czuła się z tego tytułu trochę głupio. Owszem, powiedziała Dorothy o jej spartaczonej histerekтомii (po Charlotte nie będzie więcej małych Daltonów), ale konowały wyjęły wszystko, a potem wrzuciły z powrotem jak popadło. To była masakra. Została bez własnego pępka, ale na co jej właściwie pępek? Dorothy zachowała się uprzejmie. „I kto się dowie, Vivy? Nie zaprzętaj sobie tym głowy”.

I Ruth. Stara dobra Ruth. Zawsze pierwsza do plotkowania, nie można jej zdradzić

żadnego sekretu, ale Ruth była niezastąpiona, gdy miało się ochotę niezobowiązująco ponarzekać na życie małżeńskie. Przy mężu Ruth Edward wyglądał jak Rhett Butler. Ale tylko Rhett Butler grany przez Clarka Gable'a, nie ten z książki. Charlotte powiedziała jej, że przed filmem była książka. Czasami Charlotte się tak popisywała, że działo to Vivian na nerwy.

Te towarzyskie spowiedzi u Pearl, Dorothy i Ruth przez te wszystkie lata znajomości podczas pracy w Bellu nigdy nie wykraczały poza powierzchowność. Nic zbyt głębokiego i nic zbyt dramatycznego. Vivian nie mogła pozwolić, by któraś z przyjaciółek lub koleżanek sądziła, że w jej życiu nie dzieje się po prostu dobrze, ponieważ to ludzi z problemami obmawiano za plecami. „Nie wierć się jak dziwka, nie przynos sobie wstydu”. To burza, którą przetrwa sama. To ulewa. To sytuacja pod tytułem „Chwytaj pelerynę i kalosze, leje jak z cebra, spływa rynnami i zalewa piwnice”.

„Pada deszcz, leje deszcz, mąż twój chrapie...”

Ale czy burza rozpełtała się już nad Ohio Bell przy ulicy East Liberty? Czy Betty Miller ułała się już plotka ze złych, nieszczerych ust? Minęło dopiero dwanaście godzin. Nic nie zdołałoby obieć Wooster tak prędko.

Choć było to zupełnie niemożliwe, żeby plotka już zdążyła wydostać się z ust pani Betty Miller (pewnie wciąż dojrzewała w jej głowie), Vivian miała poczucie, że ludzie mogli już ją słyszeć. Zdrowy rozsądek został zjedzony przez strach niczym zapiekanka. Serce waliło jej tak, że czuła je w gardle, a skóra mrowiła, gdy przekraczała próg centrali telefonicznej. Był to inny rodzaj niepokoju niż ten, który czuła, wracając do Bella po przerwie, kiedy Edward w końcu odszedł z tamtej strasznej pracy w więzieniu i przeprowadzili się z powrotem do Wooster z małą Charlotte. Nie było jej raptem kilka lat, Leona wciąż trwała na stanowisku i większość telefonistek, z którymi zaczynała, wciąż tu pracowała; Pearl, Dorothy, Ruth ucieszyły się na jej widok. Mimo to czuła się jak nowa, co napędziło jej lekkiego pietra tamtego pierwszego dnia. Jednak niepokój ten był niczym w porównaniu z paralizem odczuwanym teraz.

– No i mówię do niego: „Na pewno tak”, na co on: „Uwierz mi na słowo”, więc odpowiadam... Hej, Viv! – Ruth przerwała opowieść, żeby pomachać Vivian na przywitanie.

Vivian zatrzymała się i zamarła, zachodząc w głowę, czy Ruth zrobiła przerwę w opowiadaniu, ponieważ mówiła o niej. Czy w powitaniu Ruth nie było pewnej przesady? Czy jej palce w geście powitania nie zatrzepotały ciut za mocno?

– Rusz się, ślicznotko – Zaczepiła ją Laura Eagan, delikatnie klepiąc Vivian w tyłek, gdy ją mijała.

Vivian podskoczyła, wysiliła się na nerwowy uśmiech, przechodząc do szatni. Laura była dziesięć lat młodsza od Vivian. Wciąż nie wyszła za mąż i zapewne sądziła, że pretensjonalne zachowanie i dziecinna gadka sprawią, że się hajtnie. Vivian raz popełniła ten sam błąd. Spróbowała gaworzyć do Edwarda na drugiej randce. Podniósł na nią brew, jakby siedziała na ławce w parku w pieluchach, ssąc gryzaczek. Od tamtej pory śpiewał jej rymowanki, żeby przypomnieć jej, jaką

niedorzecznością była dziecinna gadka, i żeby Vivian śmiała się sama z siebie. Laura Eagan nie uświadczyła jednak drugiej randki z Edwardem Daltonem. Szczęściara.

Laura pracowała w Bellu krócej i Vivian nie powiedziałyby, że znały się tak dobrze. Zastanawiała się, czy w oczach Laury kryło się podstępne, chytne spojrzenie, czy to tylko zwykłe rozgoryczenie, które czasem wychodziło na jaw, gdy koleżanka próbowała być zalotna i urocza. „Już ja jej dam ślicznotkę”.

– Właśnie zmarnowałaś przerwę – cicho powiedziała Dorothy, dłonią zakrywając mikrofon. Skinęła na zegarek, gdy Vivian odsunęła biurowe krzesło stojące obok niej.

Vivian nie potrafiła stwierdzić, czy Dorothy wydawała się wścieklejsza niż zwykle z powodu jej spóźnienia, czy dlatego, że dziś miała brwi podkreślone brązową kredką. Vivian najczęściej przychodziła o czasie, ale bywała też niepunktualna, a wówczas Dorothy od razu dawała jej o tym znać. Ale czy w jej reakcji było coś więcej prócz poirytowania spóźnieniem? Czy wiedziała coś i zdążyła już wydać na nią wyrok? Vivian miała wypieki na policzkach, a rytm bicia jej serca nadawał pospiesznie SOS.

Pochyliła się na krzesło i nieśmiało przysunęła do pulpitu. Ręce jej drżały, gdy nakładała słuchawki. Lampki migąły przed nią, a rozgoryczenie wzbierało w niej jak żółć, zajmując miejsce niepokoju. Wpatrując się w te mrugające zdrady, przypominając sobie każde słowo podsłuchanej wczoraj wieczorem rozmowy, czuła, jak gorycz znów wrze i zamienia się w gniew.

– Vivian! – syknęła Dorothy i wskazała na mrugające światełka konsoly.

Vivian chwyciła tylną wtyczkę i wcisnęła ją w pulpit tak mocno, że całe urządzenie się zatrzęsło. Zignorowała zdumione miny pozostałych dziewcząt i odebrała rozmowę, jakby to był kolejny zwykły dzień. Jej dykcja była tylko trochę ostrzejsza, a ton tylko trochę dosadniejszy niż zazwyczaj.

– Numer, proszę.

Przeżyła koszmarne dzień w centrali telefonicznej.

koszmarne

1. pełen koszmarów, wstrząsający, przerażający, okropny, straszny, makabryczny: Życie w koszmarnych warunkach.

2. *pot.* bardzo brzydki, tandetny, mało gustowny: Koszmarne sukienki.

Teraz stała przy kuchennym blacie w białym fartuszkach o marszczonym rąbku, mocno trzymając nóż w prawej dłoni, a lewą naciskając tępą stroną ostrza równo krojącego marchewkę na desce. Z każdym ciachnięciem Vivian przypominała sobie pełne zaskoczenia „ochy!” i „nie!” Betty Miller wybrzmiewające wczoraj wieczorem w słuchawce, kiedy przysłuchiwała się historii, która mogłaby zrujnować jej życie. Edward wyszedł już do pracy, zanim wstała z łóżka tego ranka. Teraz siedział przy kuchennym stole, czytając gazetę, spokojny, tak spokojny jak sos do spaghetti bulgoczący na kuchence.

– Coś ciekawego? – spytała Vivian przez ramię; kąśliwość jej tonu wyrażała się w twardo wypowiedzianych spółgłoskach.

– Hmm? – Edward nie podniósł wzroku.

– Zapytałam, czy piszą „coś ciekawego” w gazecie – Vivian wycodziła każdą sylabę przez zęby. – Jakież ciekawe historie?

– Uch – brzmiała odpowiedź Edwarda.

W końcu oderwał wzrok od gazety i zobaczył ją, jak stała twarzą do niego i wpatrywała się, opierając lewą dłoń na prawym łokciu i machając dużym nożem to w jedną, to w drugą stronę, jak jedną z tych flag, które rozdawali podczas parady z okazji Dnia Niepodległości.

– Zamierzasz mnie ciachnąć, jeśli nie powiem ci nic ciekawego? – Uśmiechnął się od ucha do ucha, patrząc na nią, potem znów na gazetę i popijając piwo. – Cóż, w takim razie rozdzielili te bliźniaczki syjamskie z Chicago.

– Bliźniaczki syjamskie – powtórzyła obojętnym tonem Vivian, po czym odwróciła się i wzięła następną marchewkę z blatu.

– Mmm hmm.

Ciach, ciach, ciach, ciach.

– Zrośnięte główkami, ale nie były do siebie podobne według tego, co tu piszą. Wyobraź to sobie.

Charlotte wparowała do kuchni, tylko raz omiotła wzrokiem sztywną posturę matki, nóż przekrawający marchewkę, zmierzyla napięcie w powietrzu i prędko wyparowała, jej związany chustką kucyk zniknął za rogiem.

Później przy stole jadalnianym panowało milczenie, gdy Edward, Vivian i Charlotte nabierali nitki ociekającego sosem makaronu spaghetti na łyżki i wkładali starannie nawinięte zwoje do ust.

– Naprawdę dobre, matko. – Charlotte jak zwykle próbowała rozluźnić napięcie komplementem o zdolnościach kulinarnych mamy, które w najlepszym razie były przeciętne.

– Dziękuję, Charlotte – odpowiedziała lakonicznie. – Dostałam ten przepis od pani Tomasetti.

– Więc jest włoskie? – Charlotte wzięła pierwszych kilka kęsów i stwierdziła z pewnym zaskoczeniem, że na pewno sięgnie po kolejne.

– Mm hmm – zamyślił się Edward. – Mieszkają w Żabim Dołem? Z resztą makaroniarzy?

Vivian ściągnęła mocno wargi. Maria Tomasetti pracowała z nią w Bellu i mieszkała w południowo-wschodniej części Wooster razem z resztą włoskiej społeczności. Vivian i Edward nazywali okolicę Żabim Dołem i nie potrafili wytłumaczyć czemu. Tak samo jak używali słowa „pazerzy”, gdy narzekali na bogaczy z północy Wooster. Mówili tak, ale nie potrafiliby powiedzieć, skąd się to wzięło. Czy odsyłało do liczby zer na ich kontach i faktu, że są tak obrzydliwie bogaci? Czy znaczyło, że są tak dziani i rozrzutni, że wszystkim tym, czym wyposażyli swe domy, chcą stworzyć odpowiednie pozory? A może, że są tak pazerni? Daltonowie naprawdę nie wiedzieli. Wiedzieli za to, że pazerzy byli bogaci, okropni i prawdopodobnie knuli coś paskudnego z posiadanymi pieniędzmi.

Romantyczny żar, który połączył Vivian i Edwarda oraz przypieczętował ich związek na początku, wypalił się i zamienił w zwilgotniałą stertę popiołu, mało

atrakcyjną, choć wygodną – tak zresztą bywało w większości małżeństw. Ich partnerstwo przerodziło się w układ oparty głównie na przywiązaniu, córce Charlotte i wspólnej niechęci do każdego, kto zbyt od nich różnił. Zwykłego wieczora Vivian nawet nie mrugnęłyby okiem na Edwardowe określenie mieszkańców Żabiego Dołu „makaroniarzami”. Ale dziś oburzyło ją, gdy to słowo padło z jego ust. Zamiast odpowiedzieć na jego pytanie, Vivian zapalczywie dźgała widelcem po talerzu, aż w końcu nabiła zwiotczały listek sałaty lodowej.

Nazajutrz rano, Drugiego Poranka, gdy Vivian otworzyła oczy i na powrót przypomniała sobie wszystko, poczerwieniła ze złości. Miejsce obok niej w łóżku było puste. Edward zawsze wstawał wcześniej w soboty i szedł prosto do warsztatu, zapewne właśnie przybijał coś młotkiem lub piłował. Vivian rozważała, jaką satysfakcję przyniosłoby jej teraz przybijanie czegoś ciężkimi narzędziami albo piłowanie ostrą piłą i cięcie na kawałki lub plastry, gdy jej wściekłość sięgnęła zenitu, a ona wyczołgiwała się z łóżka i wkładała kapcie i szlafrok.

Przypomniało jej się także, gdy krzątała się w gorączkowym zamroczeniu, że nie miała nikogo, z kim mogłaby podzielić się złością. Myśli o koleżankach z pracy i przyjaciółkach, których tak naprawdę nie miała poza pracą, były rozmyte. Kto znajdował czas na przyjaźnię, mając pracę i rodzinę? Ręce jej drżały, gdy zdjęła sukienkę z wieszaka. Kogo mogła tym obciążyć? A była cholernie pewna, że nie chce cierpieć w samotności. Siostra Vera? Ha! To było dobre. Vera prawdopodobnie wydrukowałaby ogłoszenie w prasie, żeby obwieścić wszystkim tę informację; wyprawiłaby pieprzone przyjęcie, by uczcić niepowodzenie Vivian. Myśli Vivian były sarkastyczne, wyraźne, ale jej nogi zaczęły się chwiać, a głowa kiwać. Musiała podsycać w sobie gniew, żeby dać sobie z tym radę.

Gdyby Vivian zdecydowała się zwierzyć komuś z rodzeństwa, byłby to Henry, ale Henry przepadł i ożenił się z Normą Barfield, której Vivian nie znosiła, i przeprowadził się do Fredericksburga. Nie rozmawiali ze sobą zbyt często i tęskniła za nim. Była też Violet. Słodka, serdeczna Violet, można było na nią liczyć. Jedyne problem był taki, że aktualnie Violet trzymała we wszystkim stronę Very. Nie miało to znaczenia w dzieciństwie. Violet zawsze była za małą. Teraz jednak osiągnęła dorosłość, miała własną rodzinę i znały się z Verą jak łyse konie. Chociaż nie minie pół roku, a Violet zapewne wścieknie się na Verę o coś – wtedy przybiegnie do Vivian i wspólnie zasiądą, by skarżyć się na Verę. Ale nie teraz. Teraz Vera i Violet stanowiły drużynę i Vivian nie miała się do kogo zwrócić. Niezadowolenie, panika i strach były niczym fizycznie istniejące guzy, niemal widziała, jak rosną w jej głowie, brzuchu, gardle. Nie miała się do kogo zwrócić. Nie miała się gdzie zwrócić.

Gdy Charlotte posprzątała po śniadaniu, czmychnęła po schodach do swojego pokoju i Vivian została przy kuchennym stole sama. Pięć minut później Charlotte zbiegła znów po stopniach, chwyciła płaszcz i łyżwy z szafy w przedpokoju i wystrzeliła za drzwi w chłód poranka, po czym skierowała kroki do Parku Bożonarodzeniowego. Vivian odprowadziła ją wzrokiem, żałując, że nie może iść w jej ślady. Była taka młoda, taka swobodna, taka beztraska. Młodzi nie doceniają

młodości. Nigdy do końca nie zrozumiała tego powiedzenia. Ani teraz, ani gdy usłyszała je po raz pierwszy, kiedy sama była młoda.

Odsunęła się na krzesło, wstała i przeszła do salonu, gdzie podniosła poduszkę z kanapy, przyłożyła ją do twarzy i krzyknęła. Z mocno zaciśniętymi powiekami i szeroko otwartą buzią krzyczała w tę watowaną beżową poduszkę przez pełnych dziesięć sekund i gdy w końcu odjęła ją od twarzy, zakręciło jej się w głowie i musiała usiąść. Opadła na kanapę, przytulając poduchę do piersi, tak jak zwykła tulić lalki, kiedy była mała, i oddychała powoli, aż zawroty minęły.

Wstała, rzuciła poduszkę na miejsce, wróciła do kuchni i zawiązała fartuch. Trzaskała szafkami i szufladami, wyjęła za duże miski do mieszania, kubki do mierzenia oraz mąkę, proszek do pieczenia, cukier trzcinowy, melasę i wszystkie pozostałe składniki i zrobiła to, co zawsze robiła o tej porze roku. Upiekła keks. I gdyby w pudełku została odrobina trucizny na szczury, może przyrządziłaby też specjalne ciasto dla Edwarda.

ŚWIĄTECZNY KEKS (PODWÓJNA PORCJA)

- 6 szklanek mąki uniwersalnej
- 2 łyżeczki proszku do pieczenia
- 1 łyżeczka soli
- 2 szklanki masła
- 2 ½ szklanki białego cukru
- 8 jajek
- 3 szklanki rodzynek
- 2 szklanki czerwonych i zielonych wiśni kandyzowanych
- 1 ½ szklanki daktyli, bez pestek i pokrojonych
- 1 ½ szklanki kandyzowanych ananasów, pokrojonych w kostkę
- 1 ½ szklanki posiekanych orzechów włoskich
- 1 szklanka wiórków kokosowych
- 4 łyżeczki soku z cytryny

1. Rozgrzej piekarnik do 150 stopni. Nasmaruj formy tłuszczem.
2. Do dużej miski (ale nie tej zielonej, bo z niej nie schodzi zapach sosu do sałatek) wsyp mąkę, proszek do pieczenia i sól. Dodaj rodzynek, daktyle, wiśnie, ananasy, orzechy włoskie i wiórki kokosowe. Mieszaj, aż wszystkie owoce się obtoczą.
3. W drugiej dużej misce utrzyj masło z cukrem. Dodaj sok z cytryny i jajka; dokładnie wymieszaj. Dosyp mieszankę owoców. Rozprowadź ciasto po przygotowanych formach.
4. Piecz 2 godziny do suchego patyczka. Zostaw do zupełnego ostygnięcia.

Rozdział 12

Vivian nie roztrzaskała budzika o grdykę męża tamtej pierwszej nocy, nie dźgnęła go kuchennym nożem w noc później i nie otruła go zepsutym keksem. Bo co, jeśli to nie była prawda? „Ale taka była prawda”. Co, jeśli rozmowa, którą podsłuchiwała, była tylko nienawistną, czczą plotką; taką, w jakie zawsze mieszała się Betty Miller? „To nie była czcza pogłoska”.

Vivian pozwoliła, by jej gniew zagnieździł się i jątrzył tuż pod powierzchnią, tymczasem na zewnątrz przyklejała sztuczny pogodny uśmiech podkreślony czerwoną pomadką Revlon w odcieniu „Ogień i lód”.

– Dziękuję, dobrze! – tak brzmiała automatyczna odpowiedź dla każdego, kto pytał, jak się ma albo jak minął jej dzień, lub nawet na uwagę dotyczącą pogody.

– Słonecznie dzisiaj, prawda?

– Dziękuję, dobrze!

W następnym tygodniu przygotowywała śniadania, jak miała w zwyczaju, ubierała się i szła do pracy, jak miała w zwyczaju, i podsłuchiwała rozmowy telefoniczne, jak miała w zwyczaju. Ale już nie nasłuchiwała codziennych woosterskich plotek. Ludzie mogli zabrać swoje ukochane narzuty, zapomniane portfele i wyjścia do A&W i się nimi wypchać. Vivian czekała i obawiała się, że każdy telefon może ją zdradzić. Skąd wiedziała, że to stanie się na linii? Skąd mogła wiedzieć, że mieszkańcy nie zbierali się właśnie teraz, by ją obmawiać? Prawda była taka, że nie wiedziała. Ale przyszedł grudzień, było zimno i tuż przed świętami Bożego Narodzenia, więc ludzie zajmowali się własnymi rodzinnymi sprawami. Gdyby tylko nie musiała wychodzić z domu.

Każde wyjście do miejsca publicznego stanowiło teraz sprawdzian dla nerwów Vivian. Komu Betty Miller powiedziała? Kto wiedział? Kto obmawiał ją za jej plecami? Każde powitanie przyjmowane było ostrożnie, z podejrzliwością, każde spojrzenie spotykało się z obroną, fałszywą radością.

– Dziękuję, dobrze!

Wyprawa do Buehlera kiedyś stanowiła sposobność do spotkań towarzyskich pod przykrywką załatwiania sprawunków spożywczych. Dawniej dumnie paradowała wzdłuż alejek sklepu, w myślach odfajkowując wszystko, co wiedziała o każdym, kogo spotykała. „Oto Ann Metcalf; jej ojciec przebywa w domu starców, a ona nie chce go odwiedzać, bo nie może znieść zapachu. Oto żona Stewarta Bowena, jak jej tam. Będzie musiała oszczędzać na zakupach, ponieważ Stewart właśnie stracił pracę”.

Jednak teraz wycieczki do sklepu Buehlera przypominały spacer po polu minowym, ponieważ każdy klient mógł wiedzieć o Vivian. Była przerażona, zatem nadmiernie się starała. Poświęciła piętnaście minut więcej na fryzurę oraz dwadzieścia

minut więcej na makijaż, zanim minęła frontowe drzwi domu Daltonów, tak jakby dodatkowa warstwa lakieru do włosów marki Spray Net i pudru Max Factor mogły ochronić ją przed osądem i szyderstwem mieszkańców Wooster. „Włosy jak Bette Davis, zęby jak Joan Crawford”. Robiła, co mogła. Sukienki, swetry i buty, które zwykle zostawiała na specjalne okazje, przykładowo wesela czy wizyty w przerwie świątecznej, teraz były w regularnym obrocie – na bożonarodzeniowe zakupy u Freedlandera i w Dari-Landzie oraz zakupy spożywcze u Buehlera.

– „Na targu, na targu kupiona tłusta świnia” – śpiewała pod nosem Vivian z kamienną twarzą i zaciśniętą szczęką. Obłoczki pary wydostawały się z jej ust i unosiły w aucie, gdy prowadziła. – „Do domu znów, do domu znów ścieżyna, nanana”. To tylko tyle. Krótka wycieczka, tam i z powrotem. Dziś na targ wybrała chabrową sukienkę Dacron z dzianiny poliestrowo-wełnianej, uszytą własnoręcznie wedle kroju #9150 z magazynu „McCall’s”, z kolczykami z imitacją pereł i broszką w kształcie koguta z kryształu górskiego. Kukuryku! Błękit sukienki pasował do koloru jej oczu, tak jak pasowałyby sukienka Wallis Simpson z tamtych dawnych dni beztroskiego romansu i głupoty. Gdyby nie wpadła u Buehlera na zaproszonego na kolację gościa, wieczorem miałyby na sobie tę samą kreację wraz z czarnymi czólenkami z lakierowanej skóry, a nie znoszonymi botkami, które musiała włożyć, żeby przedrzeć się przez ten cholerny śnieg.

Siedziała za białą kierownicą buicka super, trzymając ją dłońmi odzianymi w rękawiczki, mocniej, lżej, mocniej, lżej. Wpatrywała się w samochód Schaefferów zaparkowany naprzeciwko miejsca, gdzie właśnie się zatrzymała, i jęknęła, zastanawiając się, czy powinna przycząić się, aż Madeline Schaeffer zapakuje kościsty tyłek do auta i odjedzie. Vivian rozglądała się po parkingu, szukała wzrokiem innych znajomych aut, ale doszła wówczas do wniosku, że nie może tu tak siedzieć i przeczekać wszystkich. Jeśli nie przyłoży się do zorganizowania proszonej kolacji w kameralnym gronie, równie dobrze może odłożyć wycieczkę do Buehlera na kiedy indziej. Zostało im dość resztek: makaronowej zapiekanki z szynką, zupy z soczewicy i wędlin do kanapek. Ale dzisiejszy wieczór był ważny i musiała dokupić kilka artykułów do specjalnie zaplanowanych potraw.

Gdy ruszyła wzdłuż ustawionych w rzędzie aut na parkingu, zobaczyła, jak Madeline Schaeffer wychodzi ze sklepu w asyście ekspedienta. Był to Roger lub Michael, nie widziała jego twarzy zza ogromnej futrzanej czapki Madeline. Chryste, ależ ta kobieta lubiła się popisywać. Vivian schowała się między zielonym fordem a białym chevroletem i niezdarnie przykucnęła, udając, że zgubiła kluczyki. Wpatrywała się w brudny, ubity śnieg wokół jej botek, czekając, aż usłyszy otwierający się, a potem zatraskujący bagażnik Schaefferów. Obserwowała, jak jej oddech tworzy obłoczki, a potem znika, w końcu dosłyszała, jak Madeline mówi: „Dziękuję, Rogerze”, potem zapewne wręczyła mu, jak Vivian się domyślała, żenująco niski napiwek. Nawet w okresie świąt Bożego Narodzenia. Skąpiła sobie jedzenia i skąpiła napiwków. „Zjedz coś i daj chłopakowi dobry napiwek, na litość boską”.

Vivian siedziała dalej w kuckach, dopóki nie usłyszała zapalnego silnika, potem

odczekała piętnaście sekund, aż była pewna, że Madeline opuściła miejsce parkingowe i sam parking. Zahaczyła rękawiczkę o srebrną klamkę w drzwiach forda i podniosła się, po czym otrzepała płaszcz, zmrużyła oczy, wpatrując się w wejście do sklepu. Sięgnęła do portfela, gdy przechodziła obok innych samochodów, i wyjęła garść monet. Na chwilę przystanęła przy radosnym wolontariuszu Armii Zbawienia z dzwonkiem i głośno wrzuciła drobne do czerwonej skarbonki, po czym ruszyła wprost w zgiełk u Buehlera.

Kurczowo trzymając wózek zakupowy, mijała alejki z wysoko podniesioną głową, zdeterminowana. Starła się ze wszystkich sił patrzeć na produkty na półkach, nie na mijane czy zbliżające się postaci. Nie знаła wszystkich w Wooster, ale znała dość osób, by wiedzieć, że zapewne natknie się na kogoś znajomego. Tego dnia nie chciała wpaść zwłaszcza na siostrę, Violet, ani na matkę, ponieważ nawet jeśli nie wiedziały, co było nie tak, domyślały się, że coś jest nie tak.

Tylne kółko w wózku zadrżało i zaturkotało, sprawiając, że zazgrzytała sztucznymi, ale idealnymi zębami. Zatrzymała się przed płatkami Quaker Oats i pomyślała, czy aby nie chce wymienić wózka na inny, po czym sfrustrowana i poirytowana staranowała nim niczego niepodejrzewającą klientkę. Podniosła wzrok i zobaczyła kolorową służącą Betty Miller, która stała przy owocach morza na końcu alejki. „Wiedziałam. Drogie ryby. Kosztowne, wytworne ryby na kosztowną, wytworną kolację bożonarodzeniową u Betty”. Vivian zawróciła koszyk i ruszyła w przeciwną stronę.

– Vivian! Heeej, Vivian!

Vivian przymocowała uśmiech marki Revlon „Ogień i lód” do twarzy i szeroko otworzyła oczy, żeby nie patrzeć spode łba, po czym obróciła się i zobaczyła Helen Harper, która do niej machała.

„Czy ona wie?”

– Hej, Helen, witaj! Ładnie wyglądasz.

Naprawdę lubiła Helen. Matkę najlepszej przyjaciółki Charlotte, Barbary. Kochana, doprawdy, i innym razem chętnie ucięłyby sobie z nią pogawędkę, ale w dzisiejszym stanie umysłu Vivian w każdym widziała potencjalnego wroga.

– Kto, ja? Och, phi, jesteś słodka. Przerwa świąteczna mnie wykańcza, a Gwiazdka dopiero w przyszłym tygodniu!

Helen pospieszyła do niej, miała ten sam radosny ton co zwykle i Vivian nie zauważyła w jej oczach nic prócz przedawkowania kofeiny i ogólnej świątecznej gorączki. Rozluźniła ramiona i stłumiła westchnienie ulgi.

– Hej, Vivian. – Helen obniżyła głos o oktawę. – Słyszałam coś... – Położyła dłoń na ramieniu Vivian i zerknęła ponad zdobionymi kryształkami rogowymi oprawkami okularów, które zawsze miała na nosie.

Vivian znów usztywniła ramiona, z trudem uśmiechała się pogodnie i szeroko otwierała oczy.

– Czy to prawda, że próby cheerleaderek odbywają się przed całą szkołą? Dziewczeta mają występować przed dziewięciuset osobami?

Vivian wciągnęła powietrze przez zęby, Helen pewnie sądziła, że była to reakcja

na liczbę uczniów oglądających próby, a nie ulga, że udało jej się uniknąć kryzysu w rozmowie.

– O raju, sama nie wiem – odparła Vivian, nie zastanawiając się nad tym.

– Mnóstwo osób. Nie wiem, jak dziewczyny to robią. Są takie odważne!

Barbara i Charlotte miały zamiar zgłosić się do cheerleaderek wiosną czy jakoś tak. Jeśli Charlotte dostanie się do drużyny, będzie potrzebować nowych oksfordek. To przyszło Vivian do głowy, gdy zaczęła myśleć o kwalifikacjach: że musiałaby poprosić Edwarda o pieniądze na nowe półbuty, a nie przeszło jej to przez myśl, odkąd podsłuchiwała rozmowę telefoniczną Betty Miller. Kogo interesowały rozmiary tłumu oglądającego dziewczęta? Czyż nie na tym polegało bycie cheerleaderką? Na trzęsieniu melonami przed ogromnym tłumem? Jakim cudem stać ją będzie na nowe buty z własnej pensji, jeśli będzie musiała odejść od Edwarda? Jej wewnętrzny głos zaczął jazgotać.

– No cóż – zanuciła Helen. – Upłynie jeszcze mnóstwo wody w rzece do tego czasu. Nie musimy się teraz tym przejmować. Jeśli nie spotkamy się przed świętami, życząc wesołych!

– DZIĘKUJĘ, DOBRZE!

Helen już myślała o wiośnie, a wewnętrzny jazgot Vivian właśnie rozważał odejście od Edwarda. Co ty na to? Dreszcz przebiegł jej ciało. Przecząco pokręciła głową, po czym spojrzała na listę zakupów; wciąż ścisła ją między kciukiem a palcem wskazującym. Cóż, dobrze się złożyło dla Helen, że nie miała strasznego skandalicznego sekretu, który pragnęłaby utrzymać w tajemnicy. Niepokój powrócił w mgnieniu oka i Vivian pospiesznie pchała wózek wzdłuż alejki.

Znalazła pozostałe produkty z listy sprawunków w rekordowym czasie, umiejętnie poradziła sobie przy kasie, rzucając jedynie przelotny komentarz na temat pogody do kasjerki Marjorie („Tak, Marjorie, wciąż jest zimno”), po czym prędko przemaszerowała przez zaśnieżony parking do samochodu, butami wystukując sylaby rymowanki powtarzanej w głowie („nanana, nanana”). Roger z trudem dotrzymywał jej kroku z torbami pełnymi zakupów. „Do domu znów, do domu znów, nanana”.

Miotelka do kurzu w pośpiechu omiatała szczyty zasłon, gdy Vivian stała na kanapie stopami odzianymi w pończochy, wyciągając się, aby sięgnąć do krawędzi, gdzie ściana stykała się z sufitem, oraz w kąt nad fotelem Edwarda. Pajęczyny nie miały szans się zagnieździć, chociaż minął prawie miesiąc od ostatniego ścierania kurzy.

Vivian sprzątała dom w każde sobotnie popołudnie, ale odkurzanie było jej oczach już lekką obsesją – jak u Betty Miller, która kazała wykonywać pokojówce tę czynność co drugi dzień. Vivian wprawiała w ruch miotłę po linoleum w kuchni, po czym przed dwadzieścia minut popychała odkurzacz po sypialniach na górze, a następnie po salonie i jadalni. A tak poza tym dopiero katastrofa z jakimś wybuchowym płynem zmuszała ją do solidnego szorowania, jak wtedy, gdy niosła garnek z wrzącym dżemem z kuchenki do zlewu i jedna łapka kuchenna się ześlizgnęła, a na kuchennej podłodze pojawiła się klejąca truskawkowa plama, albo wówczas, gdy Charlotte miała grypę i nie zdążyła do łazienki. Chryste, ale wtedy się

zrobił bałagan.

No a dzisiejszy wieczór był ważny. Końcem miotły przesunęła wzdłuż listewek przypodłogowych w kuchni i dźgnęła kłębek kurzu z kąta, mówiąc pod nosem: „Zajrzyj w każdy kąt, znajdź wszelki brud”. Powtarzała to do siebie, gdy odkurzała dywan pod stolikami i odsuwała fotele i kanapę od ściany. „Wszelki brud”.

Wtedy do niej dotarło. To samo zrób z płotką. „Wślizgnij się do środka, wszędzie zajrzyj, poszperaj w zakamarkach. Znajdź wszelki brud”.

Będzie musiała poczekać do jutra, ale pomysł sprawił, że poczuła przypływ nowej energii do sprzątania oraz niezdrowej ekscytacji przed proszoną kolacją. Uśmiechnęła się z wyższością, kiedy trzepała poduszki na kanapie i uszakach, oraz przybrała drwiący uśmieszek, gdy polerowała srebro – prezent ślubny od matki Edwarda, dziedziczony w rodzinie – podnosząc je do światła, a potem przeglądając się w lśniącej powierzchni.

– Charlotte, skończyłaś już?! – zawołała w stronę kuchni, gdzie Charlotte prasowała obrus i serwetki.

– Prawie – nadeszła odpowiedź. – Kto przychodzi na kolację, matko, i czemu robisz z tego taką wielką tajemnicę?

– Och, nie zwracaj sobie głowy – odparła Vivian. – Tylko para bardzo miłych przyjaciół. A teraz przebierz się w tę koralową sukienkę i zgarnij włosy z twarzy. Chcę, żeby wszyscy wyglądali nienagannie.

Edward nie wrócił jeszcze z pracy do domu, ale Vivian ułożyła już starannie u stóp łóżka strój, który miał na siebie włożyć. Przywykł, że tak się działo, gdy świętowali specjalne okazje albo w niedziele szli do kościoła. Vivian wiedziała, że nie będzie miała ochoty odwiedzać kościoła w tę niedzielę, więc Edward mógłby wybrać sobie głupie ubrania. Z uwagi na różne godziny pracy widziała się z nim twarzą w twarz tylko dwa razy od tamtego poniedziałkowego wieczoru. Od czasu rozmowy telefonicznej Betty Miller. Zastanawiała się, czy w ogóle przyszło mu do głowy, że coś było nie tak; ledwie odrywał wzrok od gazety albo talerza, mógł więc co najwyżej zauważyć czyjaś obecność, i nic więcej.

Cóż, dziś wieczorem zauważy. Była pewna, że będzie zaskoczony, jako że nie spodziewał się towarzystwa, a już na pewno nie takiego towarzystwa, jakie zaprosiła. I właśnie tego pragnęła – by sprawy potoczyły się tym torem.

Rozdział 13

Gdy rozległ się dzwonek do drzwi, Vivian stała już przy wejściu, chciała otworzyć, a w uszach dzwoniły jej słowa Edwarda wypowiedziane innego wieczoru: „Nie przeszkadzają mi jakoś bardzo. Ale nigdy nie zaprosiłbym ich do domu”. Na ganku pod światłem lampy stali Maria i Dominic Tomasetti. Wyglądali, jakby drżeli; sprawiali wrażenie trochę zdenerwowanych, ale przyjaznych. „Makaroniarze z Żabiego Dołu”.

– Witajcie! – zawołała Vivian odrobinę za głośno.

Maria wręczyła Vivian małe białe pudełko, Dominic zdjął kapelusz.

Zażyłość łącząca Vivian z Marią w pracy nie wykraczała poza opłotki budynku Bella. Bez centrali telefonicznej, kabli, słuchawek i szumu połączeń gospodyni nagle poczuła się skrępowana obecnością Marii. Siedzenie obok niej przy konsolocie to jedno, tak samo jak wspólne picie kawy w kuchni. Ale goszczenie Tomasettich w domu Daltonów dalece wykraczało poza ów kontekst. Zapadła niezręczna cisza i Vivian zastanawiała się, czy popełniła duży błąd. Wystarczyło jedno spojrzenie na wyrażającą szok minę Edwarda, aby upewnić się, że było warto.

– Bardzo dziękujemy za zaproszenie, Vivian – powiedziała Maria, jej ruchy zastygły w tej samej niepewności, jaką okazywała Vivian, ale Dominic pokierował ją naprzód, przez próg Daltonów.

Edward wstał z fotela, ale nie potrafił ukryć zaskoczenia. „Zgadza się – pomyślała Vivian, gdy na niego spojrzała – coś ciut nieprzyjemnego, czego się nie spodziewałeś. Zaskoczyło cię to, prawda? Ty sukinsynu”. Charlotte w koralowej sukience i odgarniętych z twarzy włosach prędko ruszyła na powitanie Tomasettich z wyciągniętą ręką.

– Witam, jestem Charlotte. Bardzo miło mi poznać.

Od czasu do czasu Vivian odnotowywała, że Charlotte wzdraga się, gdy padają z ich ust słowa takie jak „makaroniarze” czy „czarnuch”. Vivian nie wiedziała, skąd Charlotte wzięła tę pretensjonalną postawę, jakby była ponad to; zapewne od innych dzieciaków z liceum albo z ksiązek, w których zawsze trzymała nos.

– Pani Tomasetti, wprost uwielbiam pani przepis na sos do spaghetti! Matka zrobiła go w tym tygodniu.

Maria Tomasetti zakłopotana się i spojrzała na buty.

– Dziękuję.

Charlotte wzięła płaszcz pana i pani Tomasettich i powiesiła je w szafie w przedpokoju.

– Proszę – zagruchała Vivian i zaraz obniżyła głos do stosownego tonu. – Siadajcie!

Daltonowie i Tomasetti ostrożnie usadowili się w salonie, przyklejając sobie do twarzy uśmiechy.

– Piękna sukienka – powiedziała Maria do Vivian. – I cudowna broszka. To kura?

– Kogut – odparła Vivian, wygładzając dłońmi dół niebieskiej sukienki kroju z „McCall’s”, zadowolając się zarówno komplementem, jak i faktem, że mogła włożyć na kolację ten sam strój, jaki przywdziała na zakupy w sklepie spożywczym.

– Ach.

Vivian zdała sobie sprawę, że powinna włączyć radio, zanim przyszli. Muzyka w tle wynagradzałaby brak rozmowy. O czym mieliby rozmawiać z tymi zupełnie obcymi ludźmi i czemu nie pomyślała o tym wcześniej? Wstała z kanapy, zanim poduszki w ogóle zdążyły nagrzać się pod jej czterema literami.

– Cóż, może usiądziemy do stołu?

Bożonarodzeniowa kolorystyka była niezamierzona, ale gdy wszyscy spojrzeli na stół jadalniany, nie sposób było nie zauważyć. Zaczęli od zielonej szpinakowej zupy z kwaśną śmietaną i gotowanymi jajkami. Maria posmakowała zupy, a potem tylko mieszała łyżką, aż wszyscy pozostali skończyli. Galaretką z owocami była równie zielona co pole golfowe w Wooster w czerwcu, pełna winogron, ananasów z puszek i wisienek koktajlowych. Galaretka stanowiła stary, sprawdzony numer popisowy – każda pani domu zawsze przyrządzała taką na różne okazje, gdy proszono o przyniesienie sałatki. Strogonów z wołowiną był lekko zabarwiony czerwienią, jako że Vivian lubiła dodawać ketchupu do potraw, choć tak naprawdę go nie potrzebowały. Gotowanie nie koło jej nerwów tak jak pieczenie, być może dlatego wkładała w nie trochę mniej wysiłku. Jednak przypisywała sobie spore zasługi za dzisiejszą kolację, ponieważ przyrządziła ją od zera. Zielona i czerwona uczta została zwieńczona pandoro posypanym cukrem pudrem, które Maria przyniosła w małym białym pudełku, i choć brzmiało obco, Vivian musiała przyznać, że było dość smaczne.

Po kolacji Vivian skupiła na sobie całą uwagę Marii, chwalać jej przepis na sos do spaghetti, pytając o rady kulinarne i tym podobne. O tym mogły rozmawiać. O jedzeniu. Charlotte przeprosiła towarzystwo i poszła na górę do swojego pokoju, więc zostali Edward i Dominic, siedzieli naprzeciwko siebie w fotelach uszakach. Vivian ignorowała ich, dostrzegając wyłącznie Marię. Planowała, że wieczór będzie pełen napięć i nieprzyjemności, ale okazało się, że polubiła towarzystwo Marii. Miała wolne od dnia, kiedy Pearl Fry kichnęła jej do słuchawki podczas podsłuchiwania rozmowy zamiejscowej Jean Cahill z matką, wówczas matka Jean wykrzyknęła: „Jeannie, mówiłam ci, że złapiesz poważne choróbsko, jak będziesz nosiła kiecki z takim dużym dekoltem! A nie mówiłam?!”. Maria żywo opowiadała historię, wyraźnie oddając manieri postaci. Vivian nie przypominała sobie, kiedy ostatnim razem się tak śmiała. Nie pamiętała, kiedy ostatnio w ogóle się śmiała.

Vivian była pewna, że Edward nie bawił się tak dobrze, zabawiając Dominica Tomasettiego. Prawie zakreśliło jej się w głowie, gdy Dominic się przedstawił. Mówił z wyraźnym obcym akcentem, a jego angielski był o wiele mniej zrozumiały niż Marii. Wiedziała, że Edward przez cały wieczór będzie zaciskał zęby. U Marii nie

było słycać ani śladu akcentu, ponieważ przyjechała do Stanów Zjednoczonych i nauczyła się języka angielskiego w wieku czterech lat, ale gdyby ktoś powiedział to Vivian, nie uwierzyłaby. Przedsiębiorstwo telefoniczne prowadziło politykę zatrudniania wyłącznie osób biegle posługujących się angielskim, lecz Vivian nadal sądziła, że Maria mówiła z dość silnym włoskim akcentem. Chociaż teraz, gdy przegadały kilka godzin, prawie go nie zauważała.

Maria opowiedziała jej, że Dominic trafił do Stanów zaledwie pięć lat temu i pracuje w Przedsiębiorstwie Wyrobów Gumowych w Wooster, które w końcu stanęło na nogi po okresie wojennej reglamentacji. Jego starszy brat Vincenzo (teraz Vincent) osiedlił się w Wooster tuż przed krachem giełdowym i został zatrudniony w roli kierowcy samochodu dostawczego Miejskiego Nabiału. Vincenzo Tomasetti starał się o względy Marii DiLucci, najładniejszej, najszatałniejszej dziewczyny na jego mlecznej drodze, i Maria przyznała, że poszła z nim na kilka randek.

– Trochę go zachęcałam – wyznała. – Tylko trochę.

Trochę, ponieważ chciała przejechać się mleczarką, i trochę, bo schlebiała jej poświęcana przez niego uwaga. Ale kiedy zjawił się Dominic... „To było to” – wyjaśniła.

Vivian słuchała tej opowieści. O rany, ależ uwielbiała dobre historie miłosne. Twarz przechyliła ku Marii, jedną ręką wspierała podbródek, a w drugiej trzymała porcelanową filiżankę z kilkoma ostatnimi kroplami kawy. Gdy Maria relacjonowała, jak zakochali się w sobie z Dominikiem, Vivian zaczęła myśleć o Edwardzie. Nie będąc tego świadomą, posłała gniewne spojrzenie w jego stronę. Cisnęła filiżankę na podstawkę, małej odłamek odbił się od ściany.

– Vivian. – Maria nieznacznie podniosła głos, a Vivian skupiła uwagę z powrotem na gościu i zmusiła się do uśmiechu z szeroko otwartymi oczami, gdy Maria spytała: – Pracujesz w Bellu od dawna, prawda? Ile to już minęło?

– Och. – Vivian powoli wypuściła powietrze z ust i machnęła wolną dłonią po tym, jak odstawiła spodek i filiżankę na stolik obok. Zdaje się, że cała wieczność.

– Mam szczęście, że mnie zatrudnili – wtrąciła Maria. – Po defraudacji w Kasie Oszczędnościowo-Pożyczkowej – tu zamilkła i wbiła wzrok w podłogę – wpadliśmy w lekkie tarapaty.

– Och, kochana. – Vivian zupełnie przestała rozmyślać o Edwardzie wraz z tą nagłą (i być może zamierzoną) zmianą tematu. Poczula natychmiastową i nieznaną chęć, żeby objąć Marię Tomasetti ramieniem. Zamiast tego spojrzała na swe dłonie na podolku.

Całe miasteczko rozpływało się w pochwałach pod adresem J. Ellisa Reeda, gdy zapewnił, że klienci banku otrzymają odszkodowanie. Każdy nazywał go woosterskim George'em Baileyem. Jego wnuki zrobiły mu nawet szarfę oraz szykowną laseczkę (Charlotte nazywała ją „berłem” i mówiła, że jest z papier *mâché*). Vivian wiedziała już, że bank nie wypłacił rekompensat wszystkim, którzy stracili pieniądze, i miewała niekiedy poczucie winy z tego tytułu, zwłaszcza że znała rodziny, którym powodziło się gorzej od jej własnej. Nie było to sprawiedliwe. Ale jej matka zawsze powtarzała: „Życie nie jest sprawiedliwe”. Zmarszczyła na chwilę brwi, po czym podniosła wzrok

i spojrzała Marii prosto w oczy.

– Cóż – przybrała rzeczowy ton i skinęła głową – bez względu na to, co spowodowało cię do Bella, cieszymy się, że z nami jesteś.

Vivian z zaskoczeniem stwierdziła, że naprawdę tak myśli.

Mina Marii ze zbolalej zamieniła się w pełną wdzięczności, kobieta przybliżyła się i ujęła obie dłonie Vivian we własne.

– Vivian – powiedziała z pewną powagą. – Powinnam o czymś ci powiedzieć.

Oddech zatrzymał się w piersi Vivian, palcami ścisnęła dłonie Marii z czystego niepokoju. To będzie to. Maria słyszała plotkę. Nie przyszło jej nawet do głowy, że pogłoska dotrze do kogoś takiego jak Maria. Nie sądziła, że Maria była częścią Wooster. Serce waliło jej w klatce piersiowej i uśmiech zamarł na ustach tak samo jak w sklepie spożywczym przy Helen Harper.

– Ten przepis na sos, który ci dałam... – Maria powędrowała wzrokiem do męża, ów wpatrywał się w punkt na ścianie za głową Edwarda, podczas gdy Edward w milczeniu popijał kawę. – W mojej rodzinie nie gotujemy według tej receptury. – Wyglądała na zmieszaną.

– Hmm? – Vivian zastanawiała się, dlaczego Maria mówi o sosie do spaghetti. Ci Włosi lubili przeskakiwać z tematu na temat.

– Naprawdę mi przykro. Traktujemy naszą kuchnię bardzo poważnie, więc przepis, który dajemy innym ludziom, nie jest dobry. Albo nie tak dobry jak nasz własny.

– Och, cóż, cholercia – powiedziała Vivian, wciąż próbując dojść, co Maria miała na myśli.

W takim razie nie usłyszała plotki. Dłonie Vivian zaczęły się pocić, gdy zabrała je i złożyła na podółku. Pamiętała, że prosiła Marię o dobry przepis na sos do spaghetti pewnego popołudnia podczas przerwy w centrali telefonicznej, ciesząc się, że zna prawdziwą Włoszkę.

– Byłaś dla nas taka miła, ugościłaś nas w swoim domu. – Maria uśmiechnęła się i również skrzyżowała dłonie na podółku. Wbiła wzrok w sufit, jakby nie była pewna, gdzie chwilowo podziąć oczy. Niewielki pajak przechadzał się po bezmiarze bieli i zdawało się, że szuka czegoś, czego tam nie było. Maria uniosła brwi i zabawnie kiwała głową na boki.

– Zasłużyłaś na prawdziwą recepturę Tomasettich, jeśli chciałabyś ją poznać.

Vivian nie wiedziała, co sądzić. Lekko opadła jej szczęka, gdy Maria z jakiegoś powodu wpatrywała się w sufit, a potem jakby potrząsnęła głową. Vivian porzuciła nieuzasadniony niepokój o plotkę, jednocześnie w brzuchu zaczęło kiełkować jej ziarnko zakłopotania. Słodkie kiwanie głową przez Marię na pewno temu nie pomoże. To było prawie tak słabe jak gaworzenie Laury Eagan. Maria chwyciła spoconą dłoń Vivian i ścisnęła ją. Vivian wybuchła wymuszonym śmiechem, który zamiast być uroczym chichotem pani domu, wyszedł jak rzenie osła w stodole.

– Cóż, tak. – Odchrząknęła, żeby pozbyć się oślego brzmienia. – Chciałabym.

Poczuła, że się rumieni. Czowała się głupio, urażona, ale wciąż była gospodynią, do cholery. Dlatego właśnie miała kłopot z ludźmi. Zawsze skrywali tajemnice. Tak

ciągle powtarzała jej matka.

– Chodź do kuchni. Trzymam tam zeszyt z przepisami. Mam chyba kilka pustych stron. Może dostanę też przepis na ciasto, jak je nazywacie? Pandora?

Edward przez okno obserwował, jak Tomasetti wyszli z domu i wsiedli do zardzewiałego, starego modelu forda pikapa Dominic pomógł żonie zająć miejsce pasażerki, po czym obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Gdy tylko odjechali, mąż przyszpilił Vivian i zapuścił się w warkliwą tyradę. Vivian pomyślała: „Nie potrzebujemy psa, mamy Edwarda”. Odwróciła się na pięcie i wyszła z kuchni – to była jej odpowiedź.

Szczał w kółko: „jak śmiesz” oraz „makaroniarze” i „mój dom”, podczas gdy Vivian wycierała ściereczką naczynia w zlewie. Głośność tyrad Edwarda nigdy nie przekraczała poziomu pięciu w jego własnej skali, ale to było zdecydowanie gorsze, niż gdyby wydarli się na całe gardło. Złość i jad nie znajdowały ujścia, tkwiły w Edwardzie albo tryskały z jego ust kropelkami niewidzialnego, nienawistnego szlamu.

Vivian zdrapywała zeschnięty ketchup ze strogonowa, zgęstniałą breję równie upartą co uśmiezek, którego nie chciała zetrzeć z ust. Edward siedział w fotelu w salonie, biadoląc i pomstując pod jej adresem. Z tego jak Dominic Tomasetti pomógł Marii wsiąść do samochodu i jak ułatwił jej zejście po schodach, Vivian wnioskowała, że pewnie nigdy na nią nie pomstował. Znała się na ludziach. Papużki nierozłączki. Potrafiła wyobrazić sobie, jak słodko spacerują pod rękę po ulicy, szczebiocząc do siebie. Tomasetti szanowali siebie nawzajem.

– Ha – zadrwiła i zdzieliła ścierką kran. Szacunek. Zanurkowała ręką w stygnących pomyjach, wyławiając ostatnie sztucce i łyżki z miarką. Szacunek oznaczał nieokłamywanie kogoś w pewnej sprawie, czyż nie? Vivian wyciągnęła korek z odpływu, oparła się o zlew i ściągnęła wargi, gdy wycierając ręce w suchy ręcznik, pomyślała o kłamstwie Marii w sprawie sosu do spaghetti. No cóż, były kłamstwa i były KŁAMSTWA. Maria przynajmniej powiedziała jej dziś wieczorem prawdę.

– Pff. – Vivian przecięła ręcznikiem powietrze, machając w kierunku salonu.

Muzyka z adaptera rozległa się głośniejsz nad jej głową – Vivian wiedziała, że Charlotte próbowała zagłuszyć niski, gniewny warkot ojca. Vivian rozwiesiła ręcznik na metalowej poprzecznej rączce, zdarła z siebie fartuch, wystrzeliła z kuchni i wtargnęła na górę. Może dzisiejszego wieczoru w końcu się z nim skonfrontuje. Jeśli ją sprowokuje, może tak zrobi. Ale gdy zdjęła kogucią broszkę i schowała ją do szkatułki z biżuterią, przypomniała sobie genialny pomysł. Ten o znajdowaniu informacji. „Wślizgnij się do środka, wszędzie zajrzyj, poszperaj w zakamarkach. Znajdź wszelki brud”.

Rozdział 14

Unikanie odnalezienia stało się sposobem na życie Flory Parker i Gilberta Ogdena, których teraz, po defraudacji w Kasie Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne'a w czerwcu zeszłego roku, uważano za „przestępców”, i to „na wolności”. I Flora by się z tym zgodziła. Kanada rzeczywiście była wolna. Wydało jej się takie dziwne, że był to kraj zupełnie suwerenny względem Stanów Zjednoczonych. Spodziewała się czegoś innego. Ale ludzie byli tacy sami, język był taki sam, może prócz kilku dodatkowych samogłosek tu i tam, samochody, domy, budynki i ulice też takie same. Całkiem inne były tylko pieniądze. Na minus musieli sobie zapisać fakt, że stracili około trzech tysięcy dolarów na wymianie po kursie, ale i tak zapłacili niską cenę za poczucie większego bezpieczeństwa.

Flora zapamiętała dzień, kiedy z Gilbertem uciekli z banku, jako najbardziej ekscytujący w całym życiu. Tego ranka prawie nie dawała rady zapiąć guzików bluzki przed lustrem, tak bardzo drżały jej palce. Nieomal dźgnęła się w głowę szpillką do kapelusza. Właśnie wtedy potrzebowała zafundować sobie przemowę motywacyjną, ponieważ musiała przepracować cały dzień, wiedząc to, co wie, i jeśli tego ranka weszłaby do banku z drżącymi palcami i roztrzęsionym głosem, zaprzepaściłabym całą sprawę.

Jej torebka ważyła więcej niż zwykle, bo mieściła w sobie osiem puzderek po kosmetykach do makijażu wypchanych tłuszczem do pieczenia. Gilbert powiedział, że tłuszcz będzie potrzebny do zamków w szufladach, pudłach albo w skarbcu. Gdyby ktoś zajrzał do torebki, stwierdziłby, że jej właścicielka ma delikatną obsesję na punkcie malowania, choć tak naprawdę nie miała. Gdy jej mąż Bill wiózł ją do pracy, głęboko i powoli oddychała, powtarzając sobie w kółko w myślach: „Dasz radę, Floro. Dasz radę”.

Gdy pożegnała się z Billem i zamknęła drzwi auta, każdy ruch wykonywała niespiesznie i z rozwagą. Od wsunięcia klucza do zamka tylnych drzwi prowadzących do banku, przez fałszywy, radosny uśmiech posłany panu Hunsickerowi, kiedy się zjawiał (czterdzieści pięć minut po wszystkich pracownikach banku), po przyjazne „Miłego weekendu!” i „Do zobaczenia w poniedziałek”, wypowiedziane do każdego pod koniec dnia. Nigdy się nie dowie, czy weekend upłynął im miło, czy też nie, i nie zobaczy ich w poniedziałek ani dzień później, i kłamstwo trochę gniotło się i chlupotało w jej żołądku. Zwykle Flora w pracy trzymała się z boku, ale każdy, kto z nią pracował, powiedziałby, że naprawdę ją lubił. I to zawsze zajmowało jej sporą część codziennej egzystencji – pilnowanie, żeby dało się ją lubić.

Wewnętrznemu niepokojowi i przerażeniu, które czuła, towarzyszyła ulga, że nie będzie musiała ciągnąć tej farsy z romansowaniem z odrażającym szefem. Odgrywała

rolę w roli i była w tym bardzo przekonująca, wiedziała, że mogłaby brylować na deskach teatru albo może nawet w Hollywood. Pan Hunsicker musiał wierzyć, że ona go lubi, ale nie ośmieli się zdradzić męża. Nikt inny nie miał tego wiedzieć ani choćby podejrzewać. Gilbert nie pozostawił wątpliwości, że to było okrutnie ważne. Odstawiła niezłe przedstawienie w tym celu i dorównywała samej Barbarze Stanwyck. Co prawda Barbarze w *Podwójnym ubezpieczeniu*, nie Barbarze ze *Świąt w Connecticut*. „Dwulicowa”, tak brzmiało słowo, które raz po raz powtarzała w myślach podczas pracy. Pomogło jej to wprawić się w odpowiedni nastrój i świetnie spisać w występach.

Boyd Hunsicker należał do typu mężczyzn, którego Flora przez większość życia starała się unikać. Apodyktyczny, otyły, przesadnie pewny siebie, przechwalał się, akcentował słowa, wymachując niezapalonym papierosem, ponieważ lekarz zabronił mu palić. Flora skrzywiła się, gdy jego rozdęte w pasie ciało otarło się o tył jej krzesła, i zastanawiała się, czy było coś jeszcze, czego lekarz zabronił mu robić.

Na początku zwykł tylko przyglądać się jej z niepokojącą poufałością. Jego wzrok wędrował po rysach jej twarzy i konturach ciała, tak jakby uczył się ich na pamięć. Flora złamała mnóstwo ołówków z powodu wzbierających na sile strachu i złości; próbowała odsunąć od siebie poczucie naruszenia jej granic, które budziły w niej jego niestosowne spojrzenia.

Z czasem pan Hunsicker nabrał śmiałości, czuł się pewniej, ponieważ był jej zwierzchnikiem.

– Ten twój mąż, Phil, czym się zajmuje? – spytał.

– Bill – odpowiadała Flora wyważonym, cierpliwym tonem. – Ma na imię Bill. – Była przekonana, że pan Hunsicker znał imię jej męża oraz wiedział, że Bill „zajmował się” po części dostawami do kwaciarni Barretta i przyuczał się fachu elektryka w Rambo & Long.

Pan Hunsicker wiedział, że jej mąż (Bill) nie zarabiał wystarczająco pieniędzy, by zapewnić im byt, i miał świadomość, że ona musiała utrzymać posadę w Kasie Oszczędnościowo-Pożyczkowej. Kobiety mające niewielki wybór zawsze były najlepszymi celami. W zaciszu swego biura, kiedy ona musiała być na jego rozkazy, deklamował kilka wersów na temat spraw bankowych, ale nagle przerywał wypowiedź stwierdzeniem, że jej dzisiejsza spódniczka „naprawdę go kręci”, a potem prawie na jednym wydechu pytał ją: „Jak się miewa Phil?”. Po czasie przestała go poprawiać i pozwoliła, by przekręcał imię jej męża. Wyglądało na to, że sprawia mu to przyjemność.

Jej małżeństwo zaczęło wzbudzać w nim groteskową ciekawość, co doskwierało Florze prawie tak samo jak jego zainteresowanie jej ciałem. Tylko tyle mogła zrobić, by powstrzymać wymioty, gdy ją dotknął. Tłusta spuchnięta dłoń na jej łokciu, celowe otarcie się ramieniem o jej pośladki, gdy wychodziła z biura. Cuchnął whiskey i grillowanym stekiem bez względu na porę dnia. Ale to wszystko było dla większego dobra, dla przyszłości, stłumiła więc odrazę i koncertowo odgrywała rolę. Nigdy wprost go nie odtrąciła i zamieniała powstrzymywane mdłości w zalotne chichoty, dając mu odczuć, że idzie w odpowiednim kierunku i to tylko kwestia czasu. Phyllis

Dietrichson w wykonaniu Stanwyck nie dorastała Florze Parker do pięt.

Gilbert Ogden szóstym zmysłem wyczuwał wewnętrzną udrekę Flory i zawsze pilnował, żeby odwiedzić ją przy biurku po tym, jak przebywała w gabinecie Hunsickera za zamkniętymi drzwiami. Wykonywał drobne gesty, które umykały pozostałym, krzepiaco kładł dłoń na jej rękę leżącą na blacie, potem wygładzał szelki, prostował muchę i wracał na swoje miejsce w okienku, gdzie obgryzał paznokcie u rąk, bo też się denerwował. Flora kochała go za wysiłki, jakie podejmował, żeby ją pocieszyć, ale i tak pędziła do domu i dokładnie szorowała ciało pod gorącym strumieniem prysznica, próbując usunąć jakiegokolwiek ślady Boyda Hunsickera.

Flora pękała z dumy, patrząc na Gilberta, który zaplanował całą defraudację i ucieczkę prawie w pojedynkę. Widziała, że nikt w banku go nie doceniał, ani pracownicy, ani klienci; oraz to, jak pan Hunsicker się nad nim znęcał. Widok kogoś tak bogatego i wpływowego jak Boyd Hunsicker, kto gromi i umniejsza komuś takiemu jak Gilbert, doprowadzał ją do szału. Był o wiele mądrzejszy i silniejszy, niż pozostali sądzili. Pod jego drobną posturą krył się duży intelekt i jeszcze większe serce. I Flora wiedziała, że zrobiłby dla niej wszystko.

Prasa oszalała na punkcie obrabowania Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne'a i ucieczki, wieści przekroczyły granice stanu Ohio i zawędrowały aż do Kanady. Ogólne oburzenie zuchwałością przestępstwa, oszołomienie sumą skradzionych pieniędzy, a także niektóre reakcje mieszkańców Wooster szczegółowo opisano w okolicy w dziesiątkach publikacji. Wśród reakcji miejscowej ludności znalazł się przyprawiający o dreszcze wyimek z wypowiedzi sąsiadów Flory, którzy opisali gwałtowny wybuch gniewu jej męża rogacza, gdy wybiegł z domu z dubeltówką w ręku, wskoczył do samochodu i ruszył w natychmiastową pogoń za zdradliwą – nie wspominając o tym, że wyjętą spod prawa – żoną. „Dym wydobywał się z uszu Billa Parkera. Prawdziwy dym, jak Boga Kocham”.

Nikt nie mógł uwierzyć, że Gilbert tego dokonał. Choć z pierwszych stron gazet wylewało się niedowierzanie, a taka skuteczna ucieczka wymagała skalkulowanej błyskotliwości umysłu, Gilbert wypowiadał się o całej sprawie w uroczo skromny sposób. Lekceważąco machał ręką na pochwały, którymi Flora go karmiła, potem jakimś cudem zmieniał temat i wychwalał jej wkład w operację oraz pytał, czy dobrze się ma.

Były chwile, kiedy Florę dopadała melancholia na myśl o opuszczeniu Wooster. Wiedziała, że nigdy nie będzie mogła wrócić, a zdążyła polubić schludne miasteczko i jego mieszkańców. Gilbert powiedział, że nie powinni ryzykować i ponownie przekraczać granicy Stanów Zjednoczonych, a co dopiero pokonywać całą drogę aż do Ohio. Kanada, dokładniej Toronto – to był ich nowy dom, a z pieniędzmi, które posiadali, czekało ich tam wygodne życie, choć w ciut większym chłódzie. Uśmiechnęła się na te słowa.

– W ciut większym chłódzie, Floro.

Wiedział, że nie znosiła zimna, i w październiku, kiedy temperatury zaczęły spadać, kupił jej długie futro z norek w Eaton's przy ulicy Queen. To był pierwszy naprawdę kosztowny podarunek, jaki otrzymała. Byli ostrożni, nie szastali

pieniężni, wymieniali na kanadyjską walutę jedynie skromne sumy. Tylko trochę za jednym razem i nigdy dwukrotnie w tym samym banku. Wynajmowali bezpretensjonalne trzypokojowe mieszkanie w neogotyckim bliźniaku z wykuszami w rodzimym kanadyjskim stylu w spokojniejszej dzielnicy miasta i wydawali pieniądze wyłącznie na konieczne potrzeby. Flora rzeczywiście nienawidziła zimna, ale bardziej przeszkadzał jej ogrom Toronto.

– Jest za duże – powiedziała Gilbertowi, choć wybrał bardziej kameralną okolicę, zamiast wynajmować coś w samym centrum miasta. – To naprawdę niepraktyczne, Gil.

– Potrzebujemy dużego miasta. – Tak brzmiała jego odpowiedź.

Śmiał się z jej niewytłumaczalnej sympatii dla Wooster, miejsca, którego on nigdy nie docenił.

– Ludzie nie wydawali ci się zbyt prostolinijni? W końcu mieszkałaś wcześniej w Nowym Jorku.

– Trochę. – Flora uśmiechała się od ucha do ucha, a dołeczki rysowały się głęboko w jej policzkach. – Ale uwielbiałam ich. Kochałam urok, przytulność, przewidywalność całego miasteczka. A najbardziej ludzi. Nigdy cię niczym nie zaskoczą, ci małomiasteczkowi, wiesz?

Gilbert uniósł jedną brew i rozsiadł się na kanapie z rękami założonymi za głowę, uśmiech powoli pojawił się na jego twarzy. Nawet gdy miał poczucie, że zna ją na wylot, zaskakiwała go. I zawsze potrafiła sprawić, że się uśmiechnie.

– Ale wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą. – Lubił zgrywać adwokata diabła, kiedy rozmawiał z Florą.

– Nie, jeśli zachowasz ostrożność – odparła i w odpowiedzi uniosła obie brwi. – Lubię, gdy wiadomo, czego można się spodziewać – ciągnęła. – Wiesz, kiedy wychodzisz z domu, będą cię obserwować, bo nie mają nic innego do roboty. Gdy jesteś w sklepie, zerkną, co kupujesz, ponieważ nudzi im się i chcą porównać swoje życie z innymi. „Ooch, spójrzcie tylko, kto dostał takie porządne sztuki mięsa”. Albo: „Widziałas te wszystkie pianki cukrowe w jej koszyku? Na Boga, co ma zamiar zrobić z tymi wszystkimi słodyczami?”.

Gilbert klepnął się w kolano, zaśmiewając się.

– Zawsze muszą się wypowiedzieć na temat tego, jak jesteś ubrany, co jesz, co robisz, w kim się kochasz. – Flora wzruszyła ramionami. – Ale jeśli masz na tyle oleju w głowie, żeby trzymać się na dystans, możesz wygodnie rozsiąść się w fotelu i tak samo im się przyglądać. I cieszyć oczy, tak samo jak bawiłaby cię sztuka w teatrze czy seans filmowy.

Flora z pewnością знаła kilka osób, które teatralnie występowały w codziennym życiu, tak jakby pan Frank Capra właśnie zawołał „Akcja!” zza kamery.

Rozdział 15

Przyjęcie bożonarodzeniowe było na językach całego miasteczka, szczególnie na języku Betty. Tak, Uroczystej Wieczery Zbawiciela w 1952 roku (nieoficjalna nazwa, ale Betty brała ją pod uwagę) nic nie przebije. Dekoracje będą nadzwyczajne, jedzenie i napoje znakomite, a jej sukienka stanie się gwoździem programu. Nie żeby przyjęcie miało program. Nie były to jasełka, choć gdyby ktoś chciał tak określić wydarzenie, Betty nie miałyby nic przeciwko. Lecz gdyby były to jasełka, choć oczywiście nie były, sukienka Betty wygrałaby konkurs. Jednak nie był to konkurs. Nie miała konkurencji, w każdym razie żadnej liczącej się.

Sądziła, że będzie zmuszona wybrać się do Akron lub Cleveland, ale ostatecznie stanęło na salonie Beulah Bechtel, bo miał dostawę w środku tygodnia, w skład której weszła oszałamiająca ciemnoszkarłatna sukienka z ciężkiej, solidnej wełny, z długimi rękawami, idealnie zebrana w talii, sprawiająca jeszcze bardziej dramatyczne wrażenie dzięki halce. Betty dodała szczyptę własnego smaku do dekoltu sukienki, każąc Dolly obszyć rąbek puszystym białym gronostajem, który kojarzył się bezsprzecznie z ponadczasowym świątecznym strojem Pani Mikołajowej, a także zwracał uwagę na dekolt. Tylko ów głęboki dekolt powstrzymywał Betty przed włożeniem tej kreacji na nabożeństwo wigilijne w kościele. Choć apetyczny, zwłaszcza jak na osobę w jej wieku, po prostu nie był stosowny.

Najwidoczniej Vivian Dalton nie podzielała odczuć Betty odnośnie do tego, co było, a co nie było stosowne w Wigilię, bo wymalowała buzię jak tania gwiazdeczka filmu klasy B. Gdy tylko Daltonowie przekroczyli próg kościoła, Betty przypomniała sobie o rozmowie telefonicznej. Otworzyła szerzej oczy, gdy przyglądała się, jak przechodzą nawą po lewej. Nie wierzyła! Pozwoliła, by coś takiego wypadło jej z głowy. Cóż, mogło się tak stać, biorąc pod uwagę szkolne jasełka oraz jasełka u Millerów (choć wcale nie były to jasełka) oraz wieści o niedawnym awansie i podwyżce Charlesa, tak naprawdę więc nie dziwiła się, że zapomniała. Zwykle w ogóle nie zwracała uwagi na Vivian Dalton, choć historia była szokująca i odrobinę skandalizująca.

Patrzyła, jak rodzina Daltonów zajmuje miejsca w ławce, Eddie Dalton prezentował się dość szacownie w wełnianym kapeluszu i palcie, ich córka Charlotte – ile to lat musiała mieć teraz Charlotte, chodziła do liceum, tyle Betty wiedziała – była rok czy dwa lata starsza od Margie, o rany, ależ była z niej tyczka, nieprawdaż?, płaska jak deska, oraz Vivian, z tym kapeluszem na głowie, choć kto zwracałby uwagę na kapelusz, kiedy zafundowała sobie taki makijaż. Betty uszczypnęła się w miękką skórę poniżej paska od zegarka na nadgarstku, gdzie przymocowała zawieszkę aniołka. To był pomysł jej psychoanalityka i miał

przypominać o tym, by powstrzymywała się od osądzania. „Pamiętaj, dlaczego tu jesteśmy”. Płaszcz Vivian z futrem u kołnierza był nawet ładny. Choć pewnie z farbowanej wiewiórki. „Są święta” – pomyślała Betty, po czym odruchowo dotknęła rękawa z norki.

Zastanawiała się, czy mogła ponownie rozważyć plan zakładający rozpowszechnienie plotki, którą usłyszała. Zerknęła na naturalnej wielkości krzyż wiszący naprzeciwko na ścianie i spuściła wzrok. Była ponad to, doprawdy. Stanowiła filar społeczności. To do ludzi takich jak Betty należał obowiązek stanowienia przykładu, przewodzenia reszcie mieszkańców Wooster tak, żeby byli najlepsi, jak tylko potrafią.

Betty, jak robiła to w każdą wigilię Bożego Narodzenia, tak samo teraz dopilnowała, by Millerowie zjawili się w kościele na tyle wcześnie, aby przywitać wielbego Alsopa, zanim oddali się do zakrystii, żeby na ostatnią chwilę przygotować kazanie. Upewniła się, że będą dość wcześnie i zdołają dokonać ostatniego pobieżnego przeglądu kruchty i nawy głównej oraz poprawić świąteczne ozdoby. Betty przewodniczyła kółku adoracyjnemu, ale to Harriet Barnham odpowiadała za wystrój i wszyscy wiedzieli, że Harriet bywała niestaranna. Gdy już Betty poprawiła większość sosnowych wieńców oraz pęków gałęzi bożonarodzeniowego ostrokrzewu przymocowanych do szczytu ławek oraz poleciła Harriet umieścić podstawkę pod każdą świeczką, żeby nie spalić kościoła, zmieniając go w piekło w dzień narodzin Jezusa, ustawiła czworo swoich dzieci w rzędzie obok ojca: Margie, Duncana, Małą Bitty i Charlesa Juniora, tak by rodzina mogła powitać większość wiernych wchodzących do świątyni. Betty przypilnowała także, by Millerowie siedzieli na swoich miejscach w ławce dokładnie dziesięć minut przed rozpoczęciem nabożeństwa. Punktualność świadczyła o należnym szacunku. Wczesne przybycie umożliwiło przeprowadzenie potrzebnych korekt i przypominało wszystkim, kto tak naprawdę tu rządzi.

Wnętrze kościoła metodystów było skąpane w ciepłym blasku świec, rozbrzmiewało melodyjnym chórem śpiewających parafian i pęczniało od magicznej aury bożonarodzeniowego ducha. Oczywiście część młodszych dzieci niecierpliwiła się i marudziła, a część starszych udawała, że wcale im się nie podoba, ale i tak wierni stali się jedną kołyszącą się, rozmodloną, pełną miłości całością; a na to właśnie zasługiwał Jezus w wigilię urodzin. „Niech będzie pochwalony!”

Dopiero po zakończeniu nabożeństwa ciepły, magiczny, pełen miłości, ale także idealnie rozplanowany i zorganizowany wieczór zaczął się sypać. Przed wszystkim Vivian Dalton musiała wyskoczyć z miejsca zajmowanego w ławie, jakby wystrzeliła ją święta katapulta, zanim jeszcze dokończono pieśń, i stała pierwsza przy ambonie, żeby życzyć wielbnemu Alsopowi wesołych świąt. Betty, która zawsze była pierwszą osobą przy ambonie, nagle stanęła druga w kolejce. Stojąc za Vivian i czekając na swoją kolej, prychała ze złości na okrutnie tandetny kapelusz i zastanawiała się, czy czuje od Vivian alkohol.

Betty uściśnęła dłoń wielbego Alsopa obiema rękoma i złożyła mu najgorliwsze życzenia „Wes-oł-y-ch-świą-t”, jakie zdołała z siebie wykrzesać, starając się

najbardziej zapisać w pamięć, skoro nie była pierwsza. Stała potem z przodu kościoła i ucinając sobie uprzejmą pogawędkę z Mary i Geraldem Houderami, usiłując stłumić kipiącą w niej w Wigilię złość. Głośniejszy Houder, jak niektórzy nazywali Geralda w mniej życzliwych chwilach, działał jej na nerwy. Nie chciał nosić aparatu słuchowego i ciągle domagał się, by każdy wszystko powtarzał.

– Co mówisz? Nie słyszę cię. Mów. Głośniej!

– SPYTAŁAM – podniosła głos prawie do krzyku – CZY CIESZYSZ SIĘ, ŻE SPĘDZASZ CZAS Z WNUKAMI?!

Vivian zachowywała się tak, jakby nie zauważyła Betty stojącej za jej plecami, i teatralnie życzyła wielebnemu Alsopowi wesołych świąt Bożego Narodzenia, a potem odeszła w stronę rodziny. Kątem oka Betty spostrzegła, że Eddie Dalton rozmawiał z Johnem Randallem, a córka Daltonów klapnęła z powrotem w ławce obok Lacy Granger – pewnie rozprawiły o tym, jak bardzo pragnęły, by Margie włączyła ich do grona swoich koleżanek. Margie cieszyła się w szkole niezwykłą popularnością. Betty rozejrzała się po Daltonach i po twarzach Mary i Głośniejszego Houdera i zobaczyła, że Vivian stoi za Eddiem, gdy ten rozmawia z Johnem. Mężczyźni najpewniej omawiali temat związany z łopatami do odśnieżania.

Betty wiedziała, że Charles zapewne myśli o mocnym martini, którego zamierzał sobie nalać, gdy tylko Millerowie wrócą do domu, i wymieniał uściski dłoni ze znajomymi wiernymi, przesuając się wzdłuż nawy głównej. Kiedy dotarł do Vivian Dalton, Betty nastawiła radar i nagle zupełnie straciła zainteresowanie Głośniejszym Houderem. Tym razem zdołał usłyszeć ją bez zarzutu, ale tylko dlatego, że pochylił się nisko i dzieliło ich zaledwie pięć centymetrów; najwyraźniej zapomniał miętowych pastylek do żucia. Spiorunowała ich spojrzeniem. Vivian zdecydowanie przymilała się do Charlesa, zbierając nieistniejące paprochy z jego garnituru, raz po raz dotykając jego ramienia, potem palcami muskając chusteczkę w kieszonce; przy tym trzepotała rękami i chichotała w sposób, który przystoi osobie o wiele młodszej niż ona.

Betty założyła ręce, rozděła nozdrza, przeprosiła państwa Houderów i przepchnęła się obok Hooperów i Chandlerów, ledwie pamiętając, żeby rzucić „Wesołych świąt” przez zaciśnięte zęby ze sztucznym uśmiechem. Szybko uszczypnęła męża w łokieć i odciągnęła go od Vivian, która wówczas zwróciła się do Burta Chandlera. Betty zaklęła pod nosem, posyłając przepaszające spojrzenie wielebnemu Alsopowi, który zszedł z ambony i ruszył wzdłuż nawy. Znajdował się w zasięgu słuchu, choć była pewna, że jej nie słyszał.

– Wesołych świąt, wielebny Alsopie – powiedziała raz jeszcze, nadal przez lekko zaciśnięte zęby.

Pomachała z irytacją Margie i Duncanowi, ci trzymali Małą Bitty i Charlesa Juniora za ręce, ale nadal stali w ławce z przodu.

Rzuciła bezgłośnie „Wychodzimy” i popychała Charlesa między ławami ku głównemu wyjściu. W kruchcie zdała sobie sprawę, że zostawiła norki na swoim miejscu w ławce. Zesztywniała z irytacji z trudem utrzymywała radosne spojrzenie i uśmiech na ustach, gdy ludzie mijali ich i śpiewali „Wesołych świąt!”

– Kochanie – powiedział Charles z ręką na jej ramieniu – gdzie masz płaszcz?

– Tutaj, mamó. – Margie w czerwonej aksamitnej sukience z białym koronkowym kołnierzykiem niosła futro z nerek przewieszane przez lewe ramię i prawą ręką popychała przed siebie Małą Bitty ubraną w sukienkę i pumpy w paski przywodzące na myśl świąteczne łakocie. Duncan i Charles Junior szli za nimi w pasujących do siebie popielatych garniturach i zielonych jedwabnych krawatach.

Betty spojrzała na dzieci, potem na męża.

– Dziękuję ci, kochanie. Dobra z ciebie dziewczyna.

Czule uszczypnęła Margie w policzek, po czym do głowy przyszły jej trzy myśli: jak bardzo cieszyła się, że Margie ma jej delikatne rysy twarzy; że święta Bożego Narodzenia naprawdę są najwspanialszym czasem w roku oraz że Vivian Dalton dostanie, na co zasłużyła.

Rozdział 16

Vivian nie zakładała, że w ostatecznym karmicznym rozrachunku spotkają ją jakieś sankcje za dotychczasowe uczynki lub postępowanie.

sankcje

konsekwencje prawne, jakie powinny być zastosowane przez organy państwowe wobec osób, których zachowanie nie było zgodne z obowiązującą normą prawną: Sankcje cywilne, dyscyplinarne. Obawiać się sankcji. Komuś grożą ostre sankcje karne. Ktoś podlega za coś sankcjom karnym, administracyjnym.

Ale przez lata kilka spraw mogło wylecieć jej z głowy. Kto by pamiętał drobne rzeczy, które powiedział lub zrobił? Vivian o wiele lepiej zapamiętała wszystkie afronty, docinki i dokuczanie, jakie musiała ścierpieć, niż cokolwiek niemiłego, co mogła powiedzieć lub uczynić drugiemu człowiekowi. A obecnie cierpiała więcej, niż sądziła, że na to zasługuje.

Od czasu rozmowy telefonicznej Betty Miller w straszny czarny dzień piętnastego grudnia emocje Vivian zmieniały się jak w kalejdoskopie: przez szok, niedowierzanie, wściekłość, a potem niepokój, w końcu zatrzymały się na mieszaninie wściekłości i niepokoju. Wigilia była jedynym wieczorem, gdy schowała to wszystko w skrytce w najdalszym zakamarku głowy. Jej spokój został lekko zmacony za sprawą wydarzenia jak ze snu, gdy Vivian, choć zwykle nie piła żadnego alkoholu, zaszalała i szybko poradziła sobie z wysoką szklanką kuchennej sherry, zanim Daltonowie wyszli do kościoła. Była trochę wstawiona, kiedy poprawiała makijaż, ale ciemne worki pod jej oczami potrzebowały sporo pudru, ten sprawił, że wyglądała blado, więc dodała więcej różu. I może jeszcze ciut cienia do powiek? W końcu święta Bożego Narodzenia są tylko raz w roku!

Przyjemne ciepło od picia sherry rozprzestrzeniło się po jej wnętrznościach oraz kończynach podczas jazdy samochodem do kościoła. Rolka papieru toaletowego w zatłoczonej kościelnej łazience wydała z siebie zabawny odgłos, gdy mocno ją pociągnęła i patrzyła, pyk, pyk, pyk, pyk, jak się rozwija; kiedy w końcu przerwała papier, chichotała, patrząc na miękką stertę. Zanim wielebny Alsop poprosił, by wstali na *Gloria in excelsis Deo*, w witrażowych oknach paliły się świeczki, nawet wypełniał zapach świeżych sosnowych igieł, przeróżnych perfum i wód kolońskich, a Vivian przepełniał święty duch i czciła wigilię narodzin Pana. Głośno.

Gdy padło ostatnie „Amen” nabożeństwa, ciepło i radosny duch Vivian trochę opadły i chciała koniecznie życzyć wielebnemu „Wesołych świąt”, zanim jej świąteczna radość zamieni się w umiarkowany ból głowy i delikatne, woniejące sherry odbicia. Nie powiedziałyby, że zapamiętała zbyt wiele z tego wieczoru, ale,

o rany, czy ta sherry nie uczyniła jej – jak każdego zgromadzonego w kościele – odrobinę lepszą? Ludzie nie byli tacy źli!

Kiedy zdjęto świąteczne dekoracje i radosny nastrój zamieciono z podłóg kościoła metodystów, Vivian czuła się, jakby ją też odarto z bożonarodzeniowego dekoru. Pozostały jej kipiąca wrogość i skrajna paranoja. Podczas nabożeństwa w kolejną niedzielę jej głowę zbyt zaprzęta parafianie, by zwróciła uwagę na duchowe wskazówki wygłaszane przez wielebnego Alsopa z ambony. Ledwie zauważyła, że Dora Archer stała sama, co w przeszłości stanowiłoby świetną okazję, żeby zażartować z zapominalstwa Earla Archera. Stary pierdziel zapomniał zebrać się do kościoła! Ponadto ledwo odnotowała, że żona Stewarta Bowena ma nowy płaszcz i kapelusz, co być może znaczyło, że Stewart dostał nową pracę. I Maxine Butler przyszła z matką, może przyjechała na święta i może w końcu podziękowała za narzutę. Vivian ledwie zarejestrowała te sprawy. Skoncentrowała się na samej sobie. Na sobie i na tym, jak wszyscy inni zachowują się w stosunku do niej. Każdy jej zmysł nastrojony był na uwagę jej poświęconą lub niepoświęconą. Wyłapywała spojrzenia, szept, gesty. Była świadoma obecności Betty Miller, ale ostrożnie unikała jej wzroku.

Vivian wybrała się do działu papierniczego Woolworths pomiędzy świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem i kupiła brązowy notesik oraz niewielki kalendarz ścienny. Zakreśliła 15 grudnia na kartce kalendarzowej. Dzień, w którym zmieniło się jej życie. W rogach każdej kartki z datą zostawiła miejsce do odfajkowania dni następujących po tamtym. To był jej własny adwentowy kalendarz trosk.

Na dniach poprzedzających święta Bożego Narodzenia widniały lekko zaznaczone ołówkiem ptaszki w rogu każdego pola. Miała się na baczności, przysłuchiwała każdej rozmowie przez telefon, jaką łączyła w centrali telefonicznej, drugie ucho nadstawiała na szczebiotanie i zachowanie innych operatorek w pomieszczeniu, gdyby przypadkiem rozmawiały o tym, co podsłuchały. W polu dwudziestego listopada w rogu kalendarza widniał mały krzyżyk zamiast zwykłego ptaszka. Tego wieczoru udało jej się zezłościć Edwarda kolacją dla Tomasettich. „I jak się z tym czułeś, Edwardzie?”

Dalej pojawiały się kolejne ptaszki, ale drugi krzyżyk umieszczono w rogu dwudziestego czwartego grudnia. Edwarda z pewnością drażniło jej zachowanie w kościele i większość gniewnego mamrotania zaserwował jej podczas jazdy powrotnej do domu, a trochę zostawił na pierwszy dzień świąt. „Dobrze”.

„Ptaszek, ptaszek, ptaszek, ptaszek, ptaszek”. Zaniepokojenie Vivian przerodziło się w znaczącą ciszę. Taką, którą zamykano w pudełku, tak jak pajacyka wyskakującego na sprężynie przed ostatnią zwrotką rymowanki „Hop, wyskakuje łasica”.

Sylwester to był tylko kolejny odfajkowany dzień. Vivian wymówiła się okropnym bólem głowy od świętowania wieczoru z Giffordami z sąsiedztwa. Podczas gdy Edward wyszedł wypić parę piw i wypalić kilka papierosów z Quentinem Giffordem, a Charlotte została na noc u Sue Barker, Vivian siedziała w łóżku we

flanelowej koszuli nocnej i z wałkami na włosach. Wyjęła sztuczną szczękę, obficie posmarowała twarz kremem i postawiła kilka pasjansów. „Ser zostaje w kole, ser zostaje w kole...”

Podniesione głosy i śmiech przywędrowały tu z domu obok i przeniknęły przez ściany sypialni na piętrze Daltonów. Vivian zwróciła się w stronę dobiegających odgłosów z rozdrażnieniem, po czym sięgnęła po drinka. Przechyliła kieliszek, osuszając kilka ostatnich kropel sherry. Chciała, by napój ją rozluźnił tak jak przed kościołem w Wigilię, ale miała podlejszy nastrój. Mrużyła oczy, wpatrując się w szlifowanie w romby i przypominając sobie pierwszy raz, kiedy przytknęła szklanekę do ściany, żeby podsłuchać rozmowę, której nie powinna słyszeć. Cofnęła dłoń i rzuciła kieliszkiem tak mocno, jak tylko potrafiła. Uderzył w wysoką toaletkę tuż obok łóżka, rozbił się na kawałki, które spadły na dywan i utworzyły wysepkę szklanych odłamków.

Vivian oglądała filmy, gdzie taki zaskakujący ruch doprowadzał do przełomu u głównej bohaterki, uświadamiał jej pewną prawdę. Szokowi, który sprawiał, że pojawiała się świadomość czegoś, zwykle towarzyszyły dudnienie cymbałów i huczenie trąb. Ale zbity kieliszek Vivian spowodował tylko bałagan do posprzątania. Sięgnęła po poduszkę Edwarda, ukryła w niej twarz i krzyczała.

Nie było żadnego przełomu, żadnego wstrząsu czy uświadomienia sobie sprawy z czegoś, żadnej Prawdy, aż do trzeciego stycznia. Trzeci stycznia został zakreślony w kalendarzu od Woolworthsa kółkiem granatowego atramentu. Ciemny okrąg narysowano długopisem przyciskany tak mocno, że odcisnął się na wszystkich pozostałych kartkach. W dniach, które nastąpiły potem, Vivian hodowała pasujące doń ciemne worki pod oczami, tak jakby raz po raz wściekle kreśliła je niebieskim długopisem we śnie.

Rozdział 17

Vivian Dalton powinna dziękować losowi, że Betty Miller musiała wyjechać z miasteczka w tygodniu pomiędzy świętami a Nowym Rokiem. Życzliwość Betty względem ludzi szybko się skończyła wraz z małym występem Vivian w kościele w Wigilię, ale nazajutrz było Boże Narodzenie, więc nie starczyło ani miejsca, ani czasu na nic poza prezentami, zabawkami i rodziną. Tak dużo zabawek! Mikołaj był dla wszystkich dobry. Dopiero kiedy dzieci poszły do łóżek tego wieczoru, najedzone czekoladą, cukrowymi laskami świątecznymi i kruchymi ciasteczkami, Betty odebrała telefon od Marilyn Dean, i natychmiast zaprosiła ją do siebie na koktajle.

– Cholllera – szepnęła, a litera „a” oderwała się jak jeden z ostrych sopli zwisających z dachu jej domu. Niezamierzenie stworzyła Marilyn sposobność.

Gdy ojciec Betty został wybrany na burmistrza, każdy chciał, by wyświadczyła mu jakąś przysługę. To nie tak, że w skrytości serca nie cieszył jej dodatkowy wpływ, jaki miała na pewnych ludzi, ale gdy nie była w nastroju, takie sytuacje ją drażniły. Marilyn Dean nagabywała i naciskała na Betty, chciała, by jej ojciec mianował Farleya, męża Marilyn, dyrektorem finansowym Wooster. Betty stukała wymanikiowanym w czerwień Revlona „Ogień i lód” palcem wskazującym w stolik i wpatrywała się w telefon. Czy powinna oddzwonić do Marilyn i odwołać spotkanie? Nie. Nie, oczywiście, że nie powinna odwoływać. Co sobie wyobrażała? Boże, ależ to samolubne z jej strony. Były święta! I Marilyn brzmiała na bardziej przepracowaną niż zwykle. Najpewniej potrzebowała odprężyć się po świątecznej gorączce znanej każdemu, kto posiadał dom pełen przebudźcowanych, skąpanych w cukrze po dziurki w nosie dzieci. Małą Bitty i Charlesa Juniora tak poniosło z ich nowym zestawem Mr. Potato Head, że zrobili dziury w połowie ziemniaków, jakie Dolly przeznaczyła do zapiekanki au gratin. Musiała podskoczyć do sąsiadów, Talbotów, i pożyczyć od nich trochę ziemniaków. Betty nie miała wątpliwości, że Marilyn miała za sobą podobnie zabiegany i chaotyczny dzień, ale na wszelki wypadek...

Betty przygotowała się, by złapać Marilyn w zasadzkę zastawioną przez plotkę o Vivian Dalton, gdy tylko przyjaciółka przekroczy próg. Ale ku jej zaskoczeniu Marilyn wpadła do niej z własnym kryzysem, rozpaczliwie pragnąc porozmawiać, i nie miało to nic wspólnego z posadą dyrektora finansowego. Betty nie mogła dojść do słowa, podczas gdy Marilyn nadawała o tym, jak Farley spędził poranek z nią i z dziećmi, a potem stwierdził, że ma coś ważnego do załatwienia w biurze.

– No i ot tak wyszedł – powiedziała. – Wyszedł z domu w Boże Narodzenie, żeby pójść do pracy?

Betty powoli pokręciła głową i zamieszała manhattanem w szklance.

– Jest księgowym. Jaka nagła sprawa mogła wydarzyć się w dziale księgowości

w święta, że nie mógł zająć się nią kiedy indziej? Hmm?

Betty chwyciła butelkę whisky i dolała do szklanki Marilyn.

– Jeszcze wisienkę, kochana?

Marilyn przytaknęła.

– Przecież żaden z niego szeryf ani choćby miejscowy policjant. Nie jest też lekarzem.

– No nie – zgodziła się Betty.

Pomyślała, że jeśli Marilyn zamierzała wspomnieć o posadzie dyrektora finansowego, to będzie dla niej sygnał. „Nie jest też burmistrzem, a skoro mowa o twoim ojcu...” Jednak Marilyn nie stworzyła okazji do gładkiej zmiany tematu i popychała rozmowę do przodu, rozwodząc się nad podejrzeniami co do Farleya. Betty rozsiadła się z powrotem na kanapie w kwiecistą tapicerkę i dalej słuchała jednym uchem. Barek był w zasięgu ręki.

– Ale naprawdę martwi mnie to – tu Marilyn pociągnęła solidny łyk drinka – że znalazłam książeczkę czekową, leżała otwarta na biurku w jego gabinecie. Wiesz, ile premii świątecznej dał swojej sekretarce w tym roku?

– Ile?

– Dwieście dolarów. Wiesz, ile dostała w zeszłym roku?

– Ile?

– Pięćdziesiąt. Powiedz mi, jaka sekretarka zaczyna od pięćdziesięciu dolarów świątecznej premii, a kończy na dwustu dolarach świątecznej premii? Chcę to wiedzieć.

Koktajle uderzyły im do głowy, Marilyn zarumieniła się na twarzy. Zaczynała mówić ciut niewyraźnie.

– Och, kochanie. – Betty poklepała Marilyn po kolanie. – Jestem pewna, że to nic takiego. Farleyowi bardzo dobrze poszło w zeszłym roku, czyż nie? Tak mi mówiłaś. – Jednak sądziła, że podwyżka w wysokości stu pięćdziesięciu dolarów wyglądała niezwykle podejrzanie. Próbowiła przypomnieć sobie, jak wyglądała sekretarka Farleya Deana, i wahała się, czy powinna ryzykować rozjąttrzenie Marilyn jeszcze bardziej, jeśli ją o to spyta. Postanowiła odpuścić.

– Cóż. – Marilyn trzymała wysoką szklankę tuż obok zarumienionego policzka. – Tak było.

Betty ściągnęła wargi w ciup, rozmyślając, że już ona pokazałaby Farleyowi, gdyby była na miejscu Marilyn, ale Marilyn nie była taka mądra ani nie wymagała równej uczciwości co Betty.

– Nie zaprzętałabym sobie tym głowy na twoim miejscu – skłamała w równym stopniu dla dobra Marilyn, jak i swojego. – Wrócisz do domu, wypisz się, a jeśli będziesz potrzebowała jutro pogadać, zadzwoń do mnie.

Betty nie miała ochoty dalej wysłuchiwać opowieści Marilyn o zdradzającym ją w sposób oczywisty mężu i wystosowała hojną propozycję, że nachyli swego współczującego ucha nazajutrz, ponieważ wiedziała, że nie będzie jej w domu i nie podniesie słuchawki.

– Wiesz – zaczęła Marilyn. – Chciałam porozmawiać z tobą o Farleyu i posadzie

dyrektora finansowego.

Betty wzięła szklanę z manhattanem od Marilyn i delikatnie pokierowała znajomą do wyjścia. Niewiarygodne. On ją zdradza, a ona mimo wszystko chce pomóc mu awansować.

– Oczywiście. – Betty uśmiechnęła się sceptycznie, pewna, że nie pomoże już Farleyowi. To Marilyn potrzebowała pomocy. – Ale porozmawiajmy o tym jutro.

I zanim Marilyn Dean się zorientowała, była już w pasujących do siebie lisiej czapce i lisim płaszczu, z kluczykami do samochodu w dłoni odzianej w rękawiczkę, lawirując w stronę coupe de ville zaparkowanego na okrągłym podjeździe.

Nazajutrz Millerowie wyjechali z miasteczka, żeby spędzić resztę tygodnia u rodziców Charlesa w Cooperstown w stanie Nowy Jork. Betty nie było w domu, nie mogła odebrać telefonu od Marilyn, dzięki Bogu, ponieważ byłaby to długa rozmowa, a ona miała inne zmartwienia na głowie. Teściową, możliwą śnieżycę na drodze, teściową, chronienie dzieci przed odmrożeniami, no i teściową.

Dopiero w Nowy Rok, po tym, jak Betty wróciła do Wooster, mogła poświęcić niepodzielną uwagę plotce o Edwardzie i Vivian Daltonach. „Cóż, skoro Marilyn była zbyt zajęta własnym skandalem, chyba sama będę musiała się tym zająć” – pomyślała, gdy otworzyła książkę telefoniczną na kwiaciarniach i wycelowała czerwonym szponem w górę strony. I zaczęła planować popołudniowe spotkanie, na którym będzie mogła to zrobić.

– Tak, proszę mnie połączyć z kwiaciarnią Barretta. – Sięgnęła po notes i ołówek. – Halo?

Cisza po drugiej stronie słuchawki.

– Halo?

Betty agresywnie stukała w widelki.

– HALO!

„Och, doprawdy, takie wynalazki miały ułatwiać nam życie” – utyskiwała, jednocześnie znów wybierając numer centrali telefonicznej.

Betty kazała Dolly doręczyć zaproszenia na podwieczorek do rąk własnych, a ona sama miała załatwić: kwiaty, jedzenie, drinki, ale zastanawiała się, czy nie powinny zrobić na odwrót. Przygotowania zajęły trzy razy więcej czasu, niż powinny, ponieważ linia telefoniczna rozłączała się prawie za każdym razem, gdy Betty próbowała zadzwonić.

Gdy Betty Miller rozdała pisemne zaproszenia, kobiety Wooster podniosły wrzawę, potwierdzając przybycie. Było to dość nietypowe zaproszenie, pozornie bez okazji. Nie świętowano niczych urodzin, zaręczyn, ślubu ani narodzin dziecka, nie była to też zbiórka charytatywna. Betty Miller była fanką zbiórek. Styczeń powinien być zarezerwowany na dochodzenie do siebie po świątecznej gorączce. Żeby każdy mógł złapać oddech, zgodziłyby się wszystkie panie. Ale na zaproszeniu widniało: 17 stycznia, sobotni podwieczorek z kanapkami z rzeżuchą i uprzejmą rozmową. Do licha, o co chodziło?

Clarę Weaver zaproszenie zirytowało nie tylko dlatego, że przerwało do tej pory

odprężający styczeń, ale też oznaczało przywdzianie sukienki koktajlowej. Wciąż miała te dodatkowe trzy (lub pięć) kilogramów poświętej nadwagi (te wszystkie bożonarodzeniowe ciasteczka i krówki), a najstosowniejsza sukienka, w jaką zdoła się wbić, to była ta po jej ostatniej ciąży. Jednak wiedziała, że jeśli odrzuci zaproszenie Betty Miller, nie dostanie następnego, aż gospodyni orzeknie, że Clara odsiedziała swój wyrok w towarzyskim czyścću Wooster.

Zapięła pasek luźno na sukience i poszła na podwieczorek tak jak każdy inny z listy zaproszonych. Rozmawiały o świętach u siebie w domu, zjadły podwieczorkowe kanapki i ciasteczka, sączyły herbatę i poncz. I wszystkie dowiedziały się o Vivian Dalton i jej mężu. W salonie Betty Miller tego popołudnia było więcej świętego oburzenia i cmok, cmok, cmokania niż zeszłego lata na Jarmarku Wayne'ów, kiedy odkryto, że Lucy Kratz ukradła przepis Ethel Armstrong na placek z wiśniami i upieczone ciasto podawała jako własnego pomysłu. Ann Metcalf tak zaskoczyły wieści o Daltonach, że wysypała sałatkę krewetkową na nową pomarańczową sukienkę z szantungu od Beulah Bechtel, którą kupiła specjalnie na tę popołudniową okazję.

Wszystkie kobiety na podwieczorku były biegłe w sztuce wyrażania fałszywej troski. Ciągłe chwytaly się ze świętym oburzeniem za naszyjniki z pereł i cmok, cmok, cmokały, zastanawiając się, co, u licha, zrobi biedna Vivian, gdy wieści dotrą do reszty Wooster. Edward Dalton miał drugą żonę.

Rozdział 18

– Moja matka przerobiła nasz pokój na poddaszu na gabinet – powiedziała Charlotte Dalton do Sue Baker podczas lunchu w stołówce woosterskiego liceum.

Rozmowy przeprowadzano tu głośniej niż w salach lekcyjnych czy na korytarzach szkoły, a pobrzękiwanie sztućców o tacki nie ustawało. Otaczający je zgiełk tworzył poczucie bezpieczeństwa, rozpraszał chaos, i dzięki temu pozwalał Charlotte dzielić się jej rosnącymi obawami o zachowanie matki.

– Kilka dni po sylwestrze. Upchnęła wszystkie pudła po kątach, ustawiła stolik pod oknem, a na nim maszynę do pisania, ryzę papieru i ołówki.

– Po co? – spytała Sue, po czym ugryzła duży kęs kanapki z paszтетową.

– Kto wie? – odparła Charlotte, wzruszając ramionami bardziej obojętnie, niż naprawdę to czuła. – Dziwnie się zachowuje od świąt. Cóż, dziwniej niż zwykle. Jest bardzo oziębła dla mojego taty, ale on chyba jeszcze tego nie zauważył.

– Ha, typowe, co nie? Mój tata jest taki sam. Nie ma o niczym zielonego pojęcia.

– Taa – zgodziła się Charlotte i ugryzła jabłko. Gdy owoc chrupnął, obie rozejrzały się po stołówce. – To znaczy... – Przesunęła kęs jabłka na bok, w policzek, żeby mogła mówić. – ...wydaje się na niego serio, serio zła.

– Tak serio lodowato oziębła? – Sue mocno podrapała się po nosie, aż zachręściło, jak to miała w zwyczaju, gdy sypała gierkami słownymi jak z rękawa. – Jakby mroziła lodowato oziębłym chłodem.

– Nawet nie pojechaliśmy do Akron w tym roku, żeby pooglądać świąteczne witryny. – Charlotte zignorowała uwagę o lodowatej oziębłości, ponieważ Sue jak zwykle obracała wszystko w żart, a Charlotte czuła, że to poważna sprawa. – Jeździliśmy tam co roku, całą rodziną. Czekałam na to. Wiesz, na zakupy i lunch u O’Neilla.

– Ooo. – Sue solidarnie się nadąsała. – My pojechaliśmy. Nie było wcale tak świetnie. Nie żałuj. Myślisz, że powinnam zamówić jeszcze kawałek ciasta? – Wyciągnęła szyję ku kolejce po jedzenie.

Charlotte wiedziała, że Sue próbuje być miła w kwestii O’Neilla. U O’Neilla w święta Bożego Narodzenia zawsze było świetnie. W weekend, kiedy mieli się wybrać, matka zachorowała. Tak bardzo, że nie mogła wstać z łóżka i Charlotte przyniosła jej sok pomarańczowy, tost i rosół z kury. Potem, około piętnastej w sobotę, zniecka zerwała się z pieleszy i uparła, że posprząta dom, zrobi pranie, ugotuje kolację. Charlotte myślała, że był to albo bardzo szybki wirus, albo jej matka udawała, żeby uniknąć wycieczki do Akron.

– Zachowywała się trochę przerażająco. – Charlotte wpatrywała się jak zahipnotyzowana w punkt tuż za ramieniem Sue, przypominając sobie tamten wieczór

i matkę z nożem w kuchni, i późniejsze dźganie widelcem w talerz.

– Mówiłam ci już, że raz zaprosiła parę Włochów na kolację?

Oczy Sue wylazły z orbit, zmarszczyła się też nad kęsem jedzenia.

– Tak – ciągnęła Charlotte. – Jakaś babkę, z którą pracuje. Potem urządziła mi wielką scenę, że nie mogę już przyprowadzać Rosie Gianetti do domu.

Charlotte znów utkwiała wzrok w punkcie za ramieniem Sue, rozmyślając o dziwnej, przesadnej, promieniejącej „gościnności” względem tej miłej włoskiej pary, która przyszła na kolację. I od kiedy matka zapraszała koleżanki z pracy do domu? Nawet przyjaciół nie spraszała na kolację. Cóż, nie miała żadnych przyjaciół, prawdę mówiąc. No i jeszcze to nieodpowiednie zachowanie w kościele w wigilię.

– Wciąż czuję się nieswojo w domu i, rajusiu... – Przestała wpatrywać się jak w transie w jeden punkt i spojrzała znów na tacę z lunchem. – ...wydaje mi się, że ostatnio podsłuchuje, kiedy korzystamy z telefonu. Zadaje mi mnóstwo pytań, ciągle wypytuje tatę, gdzie się podziewa.

– Uch – skwitowała Sue. – Matki.

– Ale pewnego dnia, tuż po Nowym Roku, ojacie, ale się wściekła. Chyba nigdy wcześniej nie widziałam jej tak złej.

– Naprawdę? – spytała Sue, nie dowierzając. – Nawet wtedy, gdy przyniosłaś do domu książkę o syfilisie? – Gdy tylko wypowiedziała „książkę o syfilisie”, wybuchła śmiechem.

Charlotte wbiła w nią oczy, nie śmiejąc się.

– Co cię tak śmieszy? – Barb Harper usiadła obok Sue z tacką lunchową, na której miała czekoladowe mleko w kartoniku i kupkę zielonej fasolki z puszki.

– Och, nic takiego. – Charlotte machnęła ręką, usiłując wyjść na nonszalancką.

– Och, nic, nic. – Sue z zaskoczeniem wstrzymała oddech i omiotła tackę Barb wzrokiem, odnotowując brak ciasta. – Pamiętasz, jak musieliśmy przeczytać *Mit o Syzyfie* na angielski?

– Sue... – ostrzegła Charlotte.

– No tak – odparła Barb, otwierając kartonik z mlekiem.

– Cóż, Charlotte pewnego popołudnia wróciła do domu ze szkoły i przyniosła ze sobą książkę, jej mama zobaczyła okładkę i wpadła w szal.

– Sue! – Charlotte uderzyła dłonią w stół, jakby próbowała zrugać niegrzecznego szczeniaka.

Ale Sue nic sobie z tego nie robiła.

– Przypomnij mi, co powiedziała? – wypaliła Sue, szukając pomocy u Charlotte, ale Charlotte zakryła twarz dłońmi. – Coś w stylu: „NIE BĘDZIESZ ZNOSIĆ PORNOGRAFII DO DOMU!”.

Wszyscy siedzący przy stolikach przed i za nimi obrócili się i gapili na Sue z otwartymi buziami. Charlotte oparła czoło o blat, ramiona zaplotła wokół włosów.

– Nie! – wystrzeliła Barb, równie zszokowana co gapie przy innych stolikach.

Charlotte przytaknęła spod splecionych ramion.

– Tak – dobył się jej stłumiony głos. – Od razu odarła książkę z okładki. Próbowała przedrzeć ją na pół.

– O rany.

Sue znów pokładała się ze śmiechu, a Charlotte zebrała się ze stołu i głęboko zaczerpnęła powietrza do płuc, wyglądając na siebie sweter.

– Cóż, przynajmniej nie przyszła do szkoły i nie urządziła awantury panu Grandy’emu z tego tytułu.

Barb westchnęła.

– Wyobrażasz to sobie?

– Tak.

Charlotte zdumiał obłąkańczy wybuch matki i potrzebowała kilku minut, żeby zrozumieć zniekształcenie poznawcze. Matka była tak rozjuszona, że Charlotte nie zdołała wytłumaczyć jej pomyłki i tylko poszła do swojego pokoju ze strzępami, jakie zostały z książki. Zalała ją fala strachu, bo wyobraziła sobie, jak jej matka zabiera swą Złość przez wielkie Z do liceum, wparowuje tam z rozwianym włosom i szaleńczym wzrokiem, przy boku dzierząc niczym broń kieszonkowe wydanie lektury i domagając się rozmówienia z obleśnym potworem, który dał jej córce pornografię.

Charlotte musiała poczekać do jutrzejszego poranka, kiedy przy śniadaniu matka spokojnie piła kawę, by wytłumaczyć, że Syzyf to grecki bóg, nie choroba weneryczna. Matka przytaknęła i dała Charlotte papierowy worek oraz taśmę do przyklejenia okładki książki na miejsce. Ale nie przeprosiła. Nigdy nie mówiła przepaszam.

– *Mit o Syfilisie*, ha, ha, ha. Hej, oglądacie *Kocham Lucy* dziś wieczorem, co nie? – spytała Sue, gładko zmieniając temat z horroru omyłkowego uznania literatury pięknej za pornograficzną na popularną w tym tygodniu rzecz, przy tym zupełnie zapominając o rodzinnych zmartwieniach Charlotte. – Będzie miała dziecko!

– No jasne – odparła Barb. – A kto nie ogląda?

Charlotte żałowała, że nie potrafiła równie mocno jak pozostali ekscytować się powiększeniem rodziny przez Lucy i Ricky’ego Ricardów. Nie mogła pozbyć się nękającego ją złego przeczucia co do własnej rodziny. Coś było bardzo nie tak z jej matką. Znajdowała się na krawędzi.

Rozdział 19

Vivian chciała wierzyć, że jest Lucy, a każdy inny to Ethel. Problem polegał na tym, że Lucy przydarzały się same nieszczęścia. Lucy i Ricky musieli przejść długą drogę usianą nieporozumieniami i byłoby cudownie, gdyby chodziło tylko o to. Jeszcze ta sprawa z Edwardem i jego przekłętą drugą żoną. Tym razem Vivian była całkowicie pewna, że nie nastąpiło żadne nieporozumienie. Do dzisiejszego wieczora Edward wciąż nie miał pojęcia, że wie, a ona wciąż nie miała pojęcia, co z tym zrobi.

Telewizor Daltonów ustawiono na CBS i Edward, Vivian oraz Charlotte usadowili się w salonie na swych zwyczajowych miejscach, tak jakby wszystko było przez minione trzy tygodnie w porządku. Edward w fotelu, Vivian na skraju kanapy najbliżej teleodbiornika, Charlotte na podłodze, opierając się o odległy kraniec kanapy i trzymając miskę popcornu na kolanach. Zawsze w ten sam sposób oglądali *Kocham Lucy*, całą rodziną. Vivian zerknęła na Charlotte w rybaczkach i krótkich skarpetkach, wybierającą twarde ziarna z miski.

– Mało niedoróbek w tym rzucie – zauważyła Charlotte, wyrzucając kilka nieuprażonych ziaren kukurydzy na półmisek leżący obok niej na podłodze.

Vivian mruknęła, przytakując. Niedoróbki. Pamiętała, jak krzyczała „Niedoróbka!” na siostrę Verę po tym, jak kłótnia o pierścień Claddagh wymknęła się spod kontroli. Potem Vera uderzyła ją w twarz. Vera zawsze była najagresywniejszą z sióstr McGintych i nie zawahałaby się raz czy dwa kogoś spoliczkować, gdyby wystarczająco się wściekła. Vivian zmusiła się, by jej oddać, ale słownie, przy czym słowa dobrała niezbyt wyszukane: „Jesteś głupia” albo „Wiem, że jesteś, a ja to co?”. A dłonie zacisnęła w pięści tak mocno, że paznokcie zostawiły małe odciski w kształcie półksiężyca na jej dłoniach. Biedna mała Violet zwykle zwijała się w kłębek, szlochając na łóżku, a Henry i Will znikali z podwórka, skrepowani tym, jak kobiety McGinty zwracały się do siebie. Rodzina przynosiła czasem więcej zmartwień niż pożytku.

To Vivian dostała pierścień Claddagh, ponieważ ciotka Catharine przepisała go pierwszej siostrzenicy, która stanie na ślubnym kobiercu. Taka była zasada. „A skoro wszyscy i tak ignorują zasady – pomyślała Vivian – jaki jest sens w ogóle je ustalać?” Ciotka Catharine, rzecz jasna, postępowała według własnych zasad gry. Wyszła za mąż trzy razy, czyli o dwa za dużo, niż zalecał Kościół katolicki. „Małżeństwo – powiedziała ciotka Catharine – to cudowna sprawa, ale ludzie popełniają błędy”. Ona popełniła dwa błędy, ale Bóg zrozumie, że je naprawiła, była o tym przekonana. Nikt nie powinien zbytnio się zżymać.

Oczywista sprawa, przynajmniej jeśli spytać Vivian. To ona była pierwszą siostrzenicą z rodziny McGintych, która wyszła za mąż, i Vera nie powinna się o to

spierać. Jak twierdziła Vera, ciotka Catharine powiedziała, że pierścień powinien trafić do najstarszej siostrzenicy, ale nikt inny tak tego nie zapamiętał. Vera, podobnie jak ciotka Catharine, miała własny pogląd na zasady. Gdy przybywało jej lat, drwiła, że i tak wcale nie chciała paskudnego starego pierścionka ciotki Catharine i zaczęła nazywać ją „dziwką” rodziny McGintych.

Vivian kręciła złotym pierścionkiem wokół prawego serdecznego palca, podczas gdy muzyka popłynęła z głośników telewizora i tytuł przewinął się po ekranie. *Kocham Lucy* wciągał Daltonów w radosny, beztroski i jasno rozświetlony świat Ricardów i Mertzów – byli jak zwierzaki z kreskówek podążające za aromatem ciasta stygnącego na parapecie. Na pół godziny w poniedziałkowe wieczory wszystko, co znajdowało się poza światem Lucy, było zapominane, wisiało w powietrzu wokół teleodbiornika. Vivian podejrzliwie zerknęła na Edwarda, lecz wkrótce dała się wciągnąć w odcinek, jak zawsze. Szczęśliwe rodziny z telewizji zdawały się udowadniać, że matka Vivian miała rację. „Wszyscy mają lepiej od nas”. Vivian od zawsze tkwiła pomiędzy poczciwym usposobieniem ojca a posepnością matki. Musiała mocno odpychać od siebie mrok. Swoje ważył.

Daltonowie śmiali się bez wyjątku z tego, jak łąpczywie Ricky obsypywał wybrankę zuchwałymi pocałunkami. Śmiali się, kiedy Ricky, Fred i Ethel przeprowadzali próby dowiezienia Lucy do szpitala. Śmiali się, gdy Lucy ogłosiła: „Już czas”, a pozostała trójka bohaterów popadła w slapstickowy zamęt, Ricky wyrzucił nawet zawartość walizki podróźnej. I śmiali się, gdy Ricky, Fred i Ethel wrzeszczeli na siebie, że trzeba załatwić taksówkę dla Lucy, potem całe trio wybiegło z domu, by złapać samochód, i zapomnieli o Lucy, zostawiając ją samą w mieszkaniu, gdzie krzyczała: „Zaczekajcie na mnie!”.

Podczas przerwy na reklamę papierosów Vivian wróciła myślami do nocy, kiedy urodziła się Charlotte, do tego, jak spanikowany był Edward; jaki był kochający, zmartwiony i rozgorączkowany, jak klócił się z pielęgniarkami i personelem, że chce być w sali z żoną. „Moja żona mnie potrzebuje!”

Kiedy *Lucy* wróciła na ekran telewizora, drzwi szpitala otworzyły się, a pielęgniarka powiedziała „Nadchodzi kolejny przypadek”, po czym Ricky wjechał do środka na wózku inwalidzkim, za nim szła ciężarna Lucy, drobiąc jak kaczką i sama niosąc walizkę. Edward i Vivian najgłośniej śmiali się z tego. Edward też miał chwilę omdlenia w szpitalu, gdzie „tylko trochę kręciło mu się w głowie” i musiał usiąść na krzesłach w poczekalni.

Vivian wpatrywała się w ekran, gdy Lucy i Ricky całowali się, zanim Lucy zabrano na porodówkę; wiedzieli, że następnym razem, gdy się zobaczą, będą mieli całkiem nowego członka rodziny. Edward oderwał wzrok od telewizora i spojrzał na Vivian, podniósł dłoń do ust i posłał jej całusa. Jego oczy lśniły za okularami, które miał na nosie. Vivian mocno zacisnęła wargi i wbiła wzrok z powrotem w ekran.

Ricky musiał skorzystać z telefonu w szpitalnej poczekalni. Jako że aparat telefoniczny nie był wyposażony w tarczę numerową, był zmuszony połączyć się przez telefonistkę. I choć operatorki nie pokazano na ekranie, Vivian wyobraziła sobie dziewczynę po drugiej stronie kabla i wiedziała, że będzie miała na głowie okazałe

słuchawki, w rękę wtyczki, a jeśli zechce przysłuchiwać się rozmowie, zrobi to. Kto wie, co usłyszy? „Znasz Edwarda Daltona...? Jest żonaty, prawda...? Cóż, załatwił sobie drugą żonę”.

Lucy urodziła chłopca i Vivian trzymała się do momentu, aż na czarno-białym ekranie ukazało się w zbliżeniu dzieciątko – malec mocno zaciskał oczka i trzymał rączki zwinięte w pięstki pod małym podbródkiem. Gdy popłynęła muzyka i zaczęto wyświetlać napisy końcowe, Vivian poczuła łyzy płynące po policzkach i wiedziała, że jeśli musiałaby się odezwać, jej głos wypaliłby z gardła w postaci zduszonego szlochu. Powstrzymując oddech, przeszła nad wyciągniętymi nogami Charlotte i zniknęła za rogiem; weszła na górę po schodach, zanim Edward albo Charlotte mogli zobaczyć jej minę.

Kłapa sedesowa ziębiła jej pośladki, kiedy podciągnęła kolana, żeby mieć gdzie oprzeć czoło, chociaż w takiej pozycji pas wpijał jej się w ciało. Małe dzieciątko. Miłość między mężem i żoną. Kiedyś miała wszystko. Łzy popłynęły z oczu i przy wtórze stłumionych szlochów wylądowały na podolku, a przez głowę przelatowały jej migawki z życia. Szczęśliwa! Uśmiechnięta! Kochająca!

Ciało Vivian przebiegł wstrząs i zaczęła kiwać się na boki, szlochając, a łyzy oraz krople lecące z nosa opadały na podolek. Płakała i płakała, aż płacz ją zmęczył, a każdy oddech stał się dużym wysiłkiem. Wreszcie doszła do wniosku, że wypłakała wszystko, co miała, i teraz czuła się tylko pusta. Nic nie zostało.

Z łoskotem opuściła stopy z deski sedesowej na kafelki i sięgnęła po papier toaletowy, żeby wydmuchać nos. Racjonalna część umysłu podpowiadała jej, że rozstroiło ją przede wszystkim słodkie niemowlę z telewizji. Ale to tylko serial. To nie była rzeczywistość. Vivian głośno pociągnęła nosem, ostatni raz wytarła smarki papierem toaletowym, po czym podniosła głowę, czując, jak zasechł jej makijaż, który zdążył spłynąć po policzkach. Pomyślała o tym, jak to Lucy dała się złapać w pułapkę małżeństwa z Rickym. Nie ma łatwej drogi ucieczki z tej sytuacji. No i było jeszcze dziecko.

Na pierwsze miejsce w ciągu jej przemyśleń wysunęło się imię i nazwisko: Sylvia Emerich. Wpadła w pułapkę dziecka, ta cała Sylvia Emerich z Apple Creek. Była zmuszona rzucić szkołę, ponieważ wpadła w pułapkę dziecka. Mężczyźni robili sporo rabanu, że kobiety „łapią” ich na małżeństwo, ale to kobiety dawały się na nie złapać. Z powodu mężczyzn, z powodu własnego ciała. Rany, kobiety nieobarczone dziećmi były takie szczęśliwe, czyż nie? Flora Parker z Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej miała szczęście. Gdy się nie miało dzieci, można było ot tak ukraść dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów i uciec, zostawiając wszystkie kłopoty (i swojego męża) za sobą. Tańcowała igłą z nitką, a potem wyhaftowały niezłą ucieczkę.

Szminka Vivian została starta ponad godzinę temu serwetką obiadową, ale kolejne zużywane kawałki papieru toaletowego wciąż okazywały się brudne od tuszu do rzęs, pudru i różu do policzków i lądowały w koszu. Twarz, jaką usiłowała pokazać światu, miała paskudnie poprzyklejane do skóry paski rozmokłego papieru.

Unikała odbicia w lustrze, gdy stanęła nad zlewem; trącała buteleczkę tabletek nasennych, podważała jej wieczko. Butelka zawsze dostarczała takich wyzwań, że

ręce jej drżały ze zmęczenia i zdenerwowania. Słowo „trącanie” chodziło jej po głowie, gdy przekręcała wieczko i ciągnęła za nie, jakby sam ten wyraz miał pomóc w otwieraniu flakonika. „W-trącać się. Wtrącać. Niech to szlag, otwieraj się!” Odczuła skurcze rąk, nowa fala łez zaczęła wzbierać w jej oczach, gdy wieczko w końcu się poddało.

Ustąpienie zakrętki wywołało w głowie Vivian skojarzenie; wpatrywała się w głąb buteleczki. „Trącać, wtrącać”. Wciąż trzymając butelkę w jednej ręce, a wieczko w drugiej, usiadła znów na zamkniętej klapie sedesu; czuła się tak, jakby warstwa czegoś mętnego została zdjęta z jej mózgu. Odpoczywała chwilę, po czym pociągnęła nosem. Z determinacją.

Vivian z powrotem wstała i podeszła do zlewu, odkładając wieczko butelki ze środkami nasennymi obok mydelniczki. Spojrzała na buteleczkę, wytrząsnęła z niej dwie tabletki i wrzuciła je sobie na tył języka. Odkręciła kurek z zimną wodą i nabrała jej z kranu do ust. Chciała szybko zasnąć, zanim Edward przyjdzie do łóżka.

Gdy tak leżała, otulona kołdrą, na boku na swojej połowie, z dala od połowy łóżka Edwarda, czekając, aż środki nasenne zaczną działać, kierowała palce u stóp to w górę, to w dół, jakby płynęła przez pościele, śpiewając w myślach. „Wtrącać...” (góra, dół) „...się” (góra, dół). „Wtrącać...” (góra, dół) „...się” (góra, dół). Już wystarczająco długo to odkładała. Skrzywiła się, zaciskając powieki na tyle mocno, żeby łzy nie zaczęły znów płynąć, a potem wypuściła z siebie długo przetrzymane powietrze, poddała się. Będzie musiała zobaczyć się z panem McAfee’em w tym tygodniu.

Rozdział 20

Pan Donald T. McAfee, prywatny detektyw, na prośbę Vivian usiłował grzebać w przeszłości Edwarda Daltona. Dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia umówiła się na spotkanie z panem McAfeem w dziale bibliografii literackiej Biblioteki Publicznej Hrabstwa Wayne. Gdzieś, gdzie Vivian nigdy wcześniej nie była i nie spodziewała się natknąć na kogoś znajomego. Rozmawiali dwadzieścia minut, potem Vivian zasugerowała specjalny szyfr, którego mieli użyć podczas następnej rozmowy przez telefon.

– Wie pan – powiedziała bibliotecznym szeptem – bo czasem operatorki centrali telefonicznej słuchają rozmów.

Don McAfee był tym samym prywatnym detektywem, którego wynajęła Kasa Oszczędnościowo-Pożyczkowa Wayne'a, by namierzył Gilberta Ogdena i Flory Parker po ich zbiegnięciu. Czy był to odpowiedni rzeczownik? „Zbiegli, zbiegnięcie?” Brzmiało dobrze, ale będzie musiała sprawdzić w słowniku Charlotte.

Z tego, co Vivian wiedziała, Don McAfee wciąż nie odnalazł Gilberta i Flory, ale pomyślała, że pewnie niegrzecznie byłoby go o to pytać. Choć sądziła, że – biorąc pod uwagę wszystkie artykuły prasowe o obrabowaniu Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej – miał dość poszlak, by odnaleźć tę parę.

Don McAfee i Vivian zgodzili się, że powinna poczekać ze sprawdzeniem stanu śledztwa w sprawie Edwarda do końca przerwy świątecznej. Kiedy zadzwoniła do niego trzeciego stycznia, zadała mu jedno pytanie:

– Czy mam przyjść do pana biura?

Gdyby Don McAfee odparł „Nie”, Vivian wiedziałaby, że plotka o jej mężu stanowiła stek paskudnych bzdur i musiała wyjaśnić nieporozumienia z rzeczoną Betty Miller. Ale gdy spytała pana McAfee'ego, czy musi zjawić się w jego biurze, on odparł: „Tak”.

Vivian podziękowała mu, odłożyła słuchawkę i wbiegła po schodach do sypialni, żeby pokrzyknąć w poduszkę. Poduszki w domu Daltonów musiały być czyszczone częściej w ciągu minionych tygodni, zwłaszcza gdy Vivian zawczasu nie starła szminki z ust. Krzyk w poduszkę stanowił jedyne w jej życiu ujście dla gniewu, którego poziom wzrósł dziesięciokrotnie od piętnastego grudnia. Nerwy miała napięte jak postronki i zszargane tak, jakby stary kabel w Bellu zużył się od zbyt częstego wkładania do wtyczek i niedbałej konserwacji.

Fakt, że śledztwo Donalda McAfee'ego zakończyło się sukcesem, oznaczał, iż małżeństwo Vivian i większość jej dorosłego życia były fikcją. Ta myśl nie opuszczała jej przez dwa tygodnie po tamtym telefonie. W pierwszym tygodniu Vivian starała się tylko zrozumieć, co powiedział jej pan McAfee, w drugim

walecznie próbowała wyrzucić tę myśl z głowy. Może gdyby darowała sobie spotkanie twarzą w twarz z McAfeem, na które obiecała się zjawić (by zobaczyć dowód i uiścić zapłatę), mogłaby udawać, że to nie była prawda.

Jej świat się zawalił i była pewna, że nie istnieje nic poza jej świeżutkim prywatnym piekielkiem. Zwyczajne zainteresowanie tym, co działo się poza ograniczoną orbitą domu przy ulicy South Walnut oraz ceglanych zabudowań Ohio Bell, nagle zniknęło, gdy dotarła do niej prawda o życiu, ostrzejsza od styczniowego zimnego powietrza panującego na zewnątrz. Nie obchodziło jej, że biblioteka właśnie otrzymała kolekcję historycznych dzienników jednego z ojców założycieli miasteczka, gwizdała na to, że planowano przeniesienie sklepu metalowego przecznicę dalej na północ, i nie dbała o to, że dwunastego stycznia w Wooster, w gabinecie lekarskim doktora Paula zamontowano pierwszy telefon z tarczą numerową. Postęp technologiczny w Wooster sprawi, że praca Vivian odejdzie do lamusa. Gdyby choć trochę ją to obchodziło, sprawdziłaby termin „do lamusa” w słowniku Charlotte.

Odcinek *Lucy* oraz załamanie nerwowe Vivian w łazience ostatecznie przelały czarę goryczy. Sierp księżycy prawie w nowiu świecił jasno na nocnym niebie, rozświetlając zwykle pograżoną w ciemnościach wiejską drogę, która prowadziła do fabryki czekolady Heidelberga, gdzie mieściło się biuro McAfee’ego. Nie zaświtało jej w głowie, żeby spytać, czemu biuro znajduje się w fabryce czekolady, ale gdyby zapytała, pan McAfee wyjaśniłby, że pewnego razu wykonał pewną robotę dla Gunthera Heidelberga, a ten zapłacił mu, oddając w użytkowanie gabinet na piętrze zakładu. Powiedziałaby jej także, że lubi pracować otoczony zapachem czekolady.

Vivian śpiewała głośno, wyrzucając z siebie nieskładne, urywane sylaby, gdy jechała buickiem przez zaśnieżoną drogę. Nie podśpiewywała radośnie, jak lubiła to robić w kościele, ten śpiew przypominał coś bardziej burzliwego i niepokojącego.

– „...krowa przeskoczyła księżyc...”

Jak to leciało? Czy to była kolejna rymowanka o farmie? Oczywiście, że krowa mieszkała na farmie.

– „...mały piesek się zaśmiał...”

Przekłęte psisko. Czy to w ogóle była piosenka?

– „I widelec uciekł z łyżką”.

„Znam się na ludziach” – pomyślała, śmiejąc się w duchu i wyobrażając sobie wszystkie rzeczy, jakie mogłaby zrobić inaczej, gdyby naprawdę знаła się na ludziach. Mogłaby wyjść za mąż za jednego z innych chłopców, którzy zabierali ją na przejażdżki samochodami albo na wozie z sianem po wsi lub na lody czy na oranżadę. Za kogoś, kto nie wystrychnąłby jej na dudka. Za Johna Reeda! Gdyby poślubiła Johna, obnosiłaby swoje szacowne cztery litery po pięknym domu z cegły w północnej części miasta, zamiast przemykać chyłkiem po Wooster z nisko spuszczoną głową w drodze z domu do biura prywatnego detektywa.

„Jezu Chryste wszechmogący, dlaczego, do diabła, musiało paść na Edwarda?”

Jeżeli nie zadał sobie trudu, by powiedzieć jej o drugiej przeklętej żonie, co jeszcze czyha za rogiem? Dzieci? Czy miał inną rodzinę, która mieszkała gdzie

indziej? Rodzinę, która nie męczyła go o obcięcie włosów w nosie i pozwoliła mu mieć tego cholernego psa? Vivian nigdy nie powiedziała mu o Piechurze. Miała siedem lat; Piechur liczył sobie nieco ponad rok, wciąż był szczeniakiem, gdy wyskoczył z ganku przy wejściu za wiewiórką, wybiegł na drogę, potem wpadł pod koła nadjeżdżającego nowego forda T, zwanego pieszczotliwie Blaszaną Elżunią, który należał do Oscara Buckleya, i jechał zbyt szybko jak na spokojną okolicę. Ból wywołany stratą był zbyt ostry i zbyt głęboki, żeby zdołała przejść drugi raz przez to samo. Nie chciała też, by Edward i Charlotte musieli przez to przechodzić. Wybuchała płaczem za każdym razem, gdy widziała pana Buckleya i ten zapuszczony samochód; skrzyżowała ręce na piersi i zakrzyknęła: „Ha!”, kiedy w końcu trafił na złomowisko. Potem przebywanie w pobliżu psów było za trudne; głaskanie ich czy trzymanie w ramionach, pieszczczenie miękkich uszu czy spoglądanie w słodkie pyszczki, więc musiała omijać je szerokim łukiem. „Jestem uczulona”.

Biuro Donalda McAfee’ego wyglądało kropka w kropkę tak, jak wyobrażała sobie miejsce pracy prywatnego detektywa, zwłaszcza nieposiadającego pani sprzątajacej. Prawie pozbawione mebli, ale za to pełne stosów papierów i teczek, które sprawiały, że pomieszczenie przypominało zatłoczony newsroom. Vivian usiadła na jedynym krześle naprzeciwko drewnianego biurka i oparła się o sterty dokumentów i książek, które natychmiast zsunęły się z boku i z przodu krzesła lawiną papierów.

– Och, litości! – Zerwała się na równe nogi, po czym rzuciła się na podłogę, żeby pozbierać luźne kartki. Jak temu człowiekowi udawało się cokolwiek znaleźć?

– Nic się nie stało – powiedział McAfee niskim głosem, niepasującym do aparycji. – Później posprzątam. – „Sprzątał”, czyli zgarniał wszystkie papiery i teczki do kupy, formując je niestarannie na kształt góry wypłowiałych liści. System się sprawdzał, detektyw wiedział, gdzie co się znajduje, mniej więcej. – Miętówkę?

Biuro okazało się mniejszym zaskoczeniem niż sam Don McAfee. Vivian spodziewała się Humpreya Bogarta czającego się między regałami biblioteki. Nie zdołała ukryć zdziwienia tym szczupłym, przedwcześnie osiwiłym, niemal delikatnym dżentelmenem, który wyciągnął ku niej miękką dłoń i pewnie, z przekonaniem uścisnął jej rękę. Uwierzcie na słowo, że przyjrzała się jego paznokciom, były obcięte równo z opuszkami, a nie obgryzione do żywego (jak w przypadku *Nervous Purvis*), odnotowała także fakt, że nie nosił okularów. Edward nosił okulary. Czemu nie pomyślała o tym wcześniej. Chytre, baczne oczka kryjące się za szklami. „KŁAMCA, KŁAMCA, KŁAMCA!”

Rozparła się na powrót na opróżnionym krześle, z nerwowym uśmiechem trzymając torebkę na kolanach.

– Nie, dziękuję – padła automatyczna odpowiedź na propozycję miętowego cukierka. Ale w ustach miała posmak kojarzący jej się z dnem kuchennego śmietnika, więc przebiegając językiem po podniebieniu, zmieniła zdanie. – Wie pan co? – odezwała się, zanim Don McAfee zdążył usiąść. – Poproszę jedną, dziękuję.

– Cóż, pani Dalton. – Pan McAfee podał jej owiniętą w celofan miętówkę ponad papierzyskami na biurku, po czym z powrotem zasiadł na swoim miejscu i położył

rękę na górze dokumentów leżących tuż przed sobą. – Cieszę się, że znalazła pani czas na spotkanie.

Vivian zacisnęła usta, zakrywając sztuczną szczękę, i zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy besztła ją, że tak długo zwlekała.

– Mówiąc naszym szyfrem przez telefon, zaiste znalazłem to, o co mnie pani prosiła.

Podniósł z wierzchu sterty coś, co wyglądało jak duży negatyw fotografii, i wręczył to jej. Vivian wpatrywała się w kserokopię duplikatu aktu małżeńskiego z 1923 roku. Piętnaście lat przed tym, jak wyszła za Edwarda. Rozgorączkowanym wzrokiem łowiła szczegóły, jej spojrzenie padło na nazwisko pana młodego: John Edward Dalton.

– Och, zaraz, proszę zerknąć – powiedziała prędko, upychając miętówkę w boku policzka. Wskazała na nazwisko małżonka, jednocześnie zdejmując nogę z nogi i pochylając się na krześle w podeksycytowaniu. – To ktoś inny. Nie Edward.

Na kilka sekund gula zaklinowana pośrodku jej klatki piersiowej poluzowała się; Vivian zdecydowanie wycelowała palec wskazujący w „Johna”. Mogłaby popłakać się z ulgi. To nie było imię jej męża. Ale pan McAfee rozsiadł się na krześle, układając pod brodą dłoń w piramidkę i powoli potrząsając głową.

Znów podniosła kartę do twarzy i przebiegła wskazującym palcem po innych szczegółach. Data urodzenia była taka sama jak Edwarda, miejsce urodzenia takie samo jak Edwarda. To nie mógł być zbieg okoliczności. Połknęła miętówkę.

– John Edward Dalton – odczytała na głos, a jej oddech był nieprzyjemną eksplozją mięty.

Edward na pierwsze miał Edward, na drugie George, po ojcu George’u. Nie było tam żadnego Johna. NIE MIAŁ NA IMIĘ JOHN! Edward GEORGE Dalton. „Jurek ogórek, nasturcje i bez, całował dziewczęta i doprowadzał do łez”. Vivian nie miała pojęcia, skąd wzięło się imię John, ale był to dla niej pewny znak, że mąż próbował coś przed nią ukryć, choć nie zadał sobie trudu, żeby zmienić informacje dotyczące narodzin. Lodowaty dreszcz przebiegł jej po skórze, wargi miała spieczone, lecz wciąż miętowe, gdy tymczasem przepatrywała resztę aktu. Panna młoda nazywała się Mildred Fischer.

– Mildred – powiedziała na głos i przybrała minę, jakby właśnie wypła szklanke syropu z wymiotnicy lekarskiej, a nie zjadła miętówkę. – Imię dla grubaski.

McAfee wyrzucił ręce w górę i unióś brwi, jakby chciał powiedzieć: „Może nią jest”. Vivian uśmiechnęła się do niego i spojrzała na ksero, przygryzając wargi, by się nie rozplakać.

Miała potrzebę poczuć, że ktoś stoi po jej stronie.

Edward był żonaty z Mildred, gdy zabrał Vivian na przejażdżkę fordem model A. Edward był żonaty z Mildred, gdy oświadczył się Vivian. Edward był żonaty z Mildred w dniu ich ślubu.

– Dowiedziałem się, gdzie aktualnie mieszka – powiedział McAfee łagodniejszym tonem, mówiąc powoli, jakby była płochliwym zajęciem.

– Co pan zrobił? – wydyszała Vivian, upuszczając kserokopię, torebkę

i rękawiczki na podłogę obok sterty teczek. Zastanawiała się, jakim cudem utrzymywał te wszystkie akta w porządku.

– Znalazłem Mildred – odparł po prostu barytonem, bujając się na krześle ze splecionymi za głowę dłońmi. – Gratis.

– O raju – powiedziała Vivian, okropnie ją mdliło i nie była taka pewna, czy chce wiedzieć, gdzie znajduje się Mildred. Próbowwała normalnie oddychać, gdy podniosła kserokopię z podłogi i położyła ją na rogu zabałaganionego biurka. Nie może zwymiotować w obecności pana McAfee’ego.

Mildred Fischer. Mildred Fischer Dalton Taggart, tak to było. Gruba Mildred, była pani Taggart i była pani Dalton, wciąż mieszkała w Syracuse w stanie Nowy Jork.

– Trzymaj się blisko miejsca zbrodni, jak to mówią – zażartował pan McAfee.

– Ech. – Vivian próbowała zdobyć się na grzecznościowy śmiech, pochylając się, żeby podnieść torebkę i rękawiczki. Nie chciała wyjść na nieuprzejmą.

Biuro wydawało się kurczyć i kurczyć, Don McAfee i jego pogrążone w nieładzie biurko zdawały się kołysać, kiedy Vivian wyjęła plik banknotów z torebki i wycelowała nimi w stronę blatu. Poślizgnęła się na stercie papierzyk po drodze do wyjścia, ale zdołała na czas złapać równowagę, wspierając się na złamanym wieszaku obok szafy z kartotekami.

– Pani Dalton, proszę dzwonić, gdyby czegoś pani potrzebowała – huknął baryton po tym, jak pospiesznie opuściła biuro, które zmniejszyło się za jej plecami do rozmiarów mysiej dziury. Trzymając się jedną ręką ściany, chwiejnym krokiem pokonała południowy kraniec fabryki i trafiła na parking, a aromat czekolady wypełniał jej nozdrza. Po dzisiejszym nigdy nie będzie taki sam, ten zapach. Czekolada. Już zawsze będzie jej się kojarzyć. Z osobistą porażką, która właśnie rujnowała jej życie.

Dotarła do buicka, otworzyła go i wsunęła się na lodowatą skórę przedniego fotela, po czym zatrzasnęła za sobą drzwi. Siedziała tam, wdychając i wydychając powietrze i wpatrując się prosto przed siebie ponad kierownicą. Obserwowała, jak jej oddech krystalizuje się w samochodzie, i wspominała, jak kiedyś siedziała w fordzie model A Edwarda, robiąc dokładnie to samo na ich pierwszej randce. Szyby buicka skuł mróz, kiedy była w biurze, i wiedziała, że będzie musiała wysiąść i zdrapać lód, jeśli chciała coś widzieć w drodze powrotnej do domu. Najpierw jednak zamierzała zobaczyć, jak to jest – prawie zamarznąć na śmierć. Samotnie.

Rozdział 21

Charlotte zaczekała, aż będzie sama w domu, po czym zakradła się do dziwnego gabinetu matki na poddaszu. Do tej pory jej ciekawość trzymał na wodzy strach przed tym, co może tam znaleźć. Niechętnie odwiedzała pomieszczenie, podobnie jak niechętnie dotknęła ręką wilgotnego, gnijącego polana leżącego na środku Bożonarodzeniowego Parku z Przeszkodami, ale wczoraj w nocy, długo po powrocie matki do domu, słyszała nieprzerwane stuk, tuk, tuk, stukanie maszyny do pisania, i głowiła się, co jest tak pilnego, że matka musiała pisać o trzeciej nad ranem.

Miękko przeszła przez chodnik biegnący po podłodze korytarza na piętrze i na paluszkach podeszła pod małą klatkę schodową o czterech schodkach, które prowadziły na poddasze, potem znów na palcach dotarła do maleńkiego przerażającego pokoiku na poddaszu. Drzwi otworzyły się z głośnym skrzypnięciem. Nie równało się to z gnijącym polanem, ale pomieszczenie było ciasne i zatęchłe, i z jakiegoś powodu pachniało dymem papierosowym. Charlotte szybko przeszła do biurka, pochyliła się nad maszyną do pisania i popchnęła okienne skrzydło. Powietrze, powoli wślizgujące się przez okno, było lodowate, ale czyste.

Przysiadła na solidnym drewnianym krześle i zaczerpnęła świeżego powietrza, opierając rękę na stercie kartek obok maszyny do pisania. Nie była pewna, czy już chce zerknąć na stosik, więc zamknęła powieki i przysłuchiwała się klekotaniu śmietnika wlezonego po uliczce przez sąsiada. „Po prostu to zrób, zerwij jak plaster” – powtarzała sobie, po czym spojrzała na górę papieru.

Szanowni Państwo,

czy mogliby państwo potwierdzić, proszę, że Edward Dalton był uczniem college’u w Wooster w latach...

Szanowni Państwo,

chciałabym się dowiedzieć, czy mogliby państwo mi powiedzieć, czy Edward Dalton zaciągnął się do wojska w...

Wszystkie były podobne. Strona po stronie, same poważne prośby o udzielenie informacji. List po liście wypisane na maszynie do różnych państwowych i rządowych instytucji, dociekające wszystkiego: od historii edukacji ojca przez służbę wojskową po przebieg kariery zawodowej. Listy wyglądały na pierwsze szkice, wiele słów przekreślono znakami „x”. Charlotte przeglądała korespondencję karta po karcie, w treści każdej widniały gdzieś imię i nazwisko ojca oraz imię i nazwisko matki w podpisie poniżej. Pokręciła głową, zastanawiając się, czy matka zwariowała.

Na oddzielnej, o wiele mniejszej kupce, za wysoką stertą, znalazła kilka stron poezji autorstwa matki. Były to proste wierszyki, o kwiatkach, motylkach i tak dalej. O tym Charlotte już wiedziała. Matka posłała je nawet do publikacji w dziale impresji dziennika „The Daily Record”. Niektóre przyjęto i wydrukowano. Jak ten z samej góry:

Smutny poniedziałek

*Szkoda, że nie znam się na wietrze
Wtedy mogłabym rozwiązać rosterkę
Będzie piękne słońce czy ulewny deszcz
I wiedziałabym, kiedy zrobić przepierkę!*

Charlotte ryknęła śmiechem, po czym upuściła wycinek z prasy i obiema dłońmi chłasnęła się w czoło. Potem przesunęła ręce w dół, po oczach i policzkach, naciągając skórę tak, że przybrała straszną minę, tak jak robiła, gdy chciała rozśmieszyć młodsze kuzynki. „O Boże. Jakie żenujące”. Ale Charlotte była też odrobinę dumna. „Matka pomyślała nawet o tym, żeby użyć zwrotu »zrobić przepierkę« zamiast »uprać«”. Uśmiechnęła się do siebie.

Podniosła znów wycinek, trzymając go obiema dłońmi przed twarzą, jednocześnie opierając się łokciami o stolik. Redaktorzy komisji działu impresji chyba nie pracowali po godzinach. „Rosterka” stała z błędem ortograficznym. Zastanawiała się, czy matka sprawdziła wyraz w jej słowniku. Matka nie powiedziała by: „rozterka”. Jak na kogoś, kto zarzekał się, że nienawidzi książek, matka poświęciła sporo czasu na coś, co niektórzy mogliby uznać za literaturę. Tego rodzaju to była rozterka.

Jeśli wysłała wiersz, a gazeta „The Daily Record” go opublikowała, matka dumnie obnosiła się z tym po domu, nucąc pod nosem i uśmiechając się na widok rzeczy, które zwykle nie wywoływałyby uśmiechu. Na przykład fotografii w sepii dziadziusia i babuni Kurtzów ustawionych przed płótnem gospodarstwa, czyli jeszcze posepniejszej wersji obrazu *American Gothic*.

Jeśli jednak matka przesyłała wiersz i go nie akceptowano, Charlotte zastawała ją przy kuchennym stole, gdzie siedziała i umieszczała bitą śmietanę w sprayu na razowych krakersach i zajadała się nimi. Istniało kilka dobrych wskazówek dla nieprzewidywalnych nastrojów matki. Jeśli była trochę zmartwiona, jadła razowe krakersy. Jeśli była bardzo zmartwiona, wskakiwała w fartuch i tłukła się po kuchni, coś piekąc. Ale istniał też trzeci poziom gniewu matki.

Tamtego wieczoru po kolacji Charlotte szła do łazienki, żeby umyć zęby, gdy usłyszała donośne grzmotnięcie z sypialni rodziców, potem przytłumiony skowyt. Zajrzała przez dziurkę od klucza, zupełnie wbrew zdrowemu rozsądkowi, i zobaczyła matkę z poduszką przyciśniętą do twarzy. Krzyczała w poduszkę. Charlotte powoli wycofała się rakiem spod drzwi i ruszyła dalej do łazienki. Nazajutrz wróciła ze szkoły i znalazła w domu blachę batoników siedmiowarstwowych, chłodzących się na blacie, oraz dwa puste opakowania po razowych krakersach w kuchennym śmietniku.

PRZEPIS NA PODWÓJNĄ PORCJĘ 7-WARSTWOWYCH BATONIKÓW

Przygotuj:

1 dużą paczkę pokruszonych herbatników razowych Nabisco

2 duże blachy do pieczenia (23 × 33 cm)

1 dużą paczkę kawałków czekolady

1 dużą paczkę kawałków toffi

Conajmniej 20 deka masła.

1 dużą paczkę wiórków kokosowych

3 puszki mleka skondensowanego Eagle Brand

Mniej więcej 2 szklanki posiekanych orzechów włoskich.

1. Bardzo powoli rozpuść masło i dodaj pokruszone herbatniki razowe, dokładnie mieszając.
2. Równo podziel pokruszone herbatniki na obie blachy.
3. Wyłóż je równomiernie na blachy.
4. Ostrożnie posyp kawałkami czekolady każdą blachę (jedna garść na raz).
5. Potem posyp całość kawałkami toffi.
6. Następnie nasyp wiórki kokosowe, lekko przykrywając wierzch.
7. To samo zrób z resztką kawałków czekolady i resztką kawałków toffi.
8. Potem dodaj resztę wiórków kokosowych.
9. Otwórz trzy puszki mleka skondensowanego Eagle Brand i polej wiórki kokosowe, ale uważaj, żeby nie rozlać za dużo wzdłuż krawędzi. (Po jednej puszcze na blachę, trzecią podziel równo pomiędzy porcje).
10. Później posyp obie blachy posiekanymi orzechami.
11. Rozgrzej piekarnik do 160 stopni i piecz obie blachy od 50 do 55 minut.
12. Kiedy wierzch ciasta przypiecze się na jasnobrązowo i zacznie się jakby pnieć, wyjmij obie blachy.
13. Lekko ostudź, potem ostrym nożem wykrój kawałki z masy. Pamiętaj, żeby oderwać całość od krawędzi blachy.
14. Zawień batoniki w folię spożywczą i włóż do lodówki albo zamrażarki.

Gdyby Charlotte miała pojęcie o podwieczorku pełnym plotek u pani Betty Miller i wiedziała, co się zbliża, sama mogłaby zacząć tłuc się po kuchni i pichcić własną partię batoników. A może nawet tort weselny byłby bardziej na miejscu.

Rozdział 22

Ach, żeby tak być pąsowiejącą panną młodą. Ślub stanowił jeden z najbardziej wyjątkowych dni w życiu dziewczyny, czyż nie? Jednak nikt nie mówił zbyt wiele o drugim ślubie, zwłaszcza jeśli trzeba było wyjść za mąż znów za tego samego mężczyznę, ponieważ za pierwszym zamachem był bigamistą. Rumieniec upokorzenia miał zupełnie inny odcień, taki, który według Vivian nie pasował do jej tonacji skóry.

Nie da się zamknąć puszkę Pandory, gdy raz została otwarta. Vivian musiała powiedzieć prawdę najpierw Charlotte, zanim wyśle szczegółową relację Harry'emu Sweeneyowi z „The Daily Record”. Nie chciała zaskakiwać córki bardziej, niż to konieczne.

Co prawda pora nie była najlepsza. Gdyby tylko miała cały dzień dla siebie, żeby się odprężyć i przygotować, byłoby lepiej. Ale jak to w życiu, musiała pracować w centrali telefonicznej i skończyła zbyt zmęczona, by ubrać to w lepsze słowa. „Jaki jest sens?” – pomyślała. „To tak, jakbym chciała założyć Edwardowi G. Robinsonowi blond perukę”.

– Twój ojciec i ja musimy się rozwieść i ponownie wziąć ślub, ponieważ miał żonę, o której zapomniał mi powiedzieć.

Czekała na reakcję Charlotte, przygotowując się na histerię i łzy, pewnie trochę oskarżeń, jako że wszystko, co złe, zdawało się winą Vivian. No a biedna Charlotte musiała być w szoku. Była blada jak kreda, a potem biel nabrała zielonkawego odcienia i Vivian pomogła jej dotrzeć do łazienki na piętrze. Matka posadziła córkę na zimnych płytkach na podłodze. Gładziła jej włosy, gdy ta wisiała nad toaletą, wymiotując lekko nadtrawionymi batonikami siedmiowarstwowymi. Cóż, sześciowarstwowymi, bo Vivian nie dodała kawałków czekolady.

– Mnie też, kochanie – czule szepnęła nad pochyloną głową Charlotte. – Mnie też.

Vivian chciała wysiąść z emocjonalnej kolejki górskiej. Dawno minęła stację Tego Już Za Wiele. Oprócz tego, że żyła zamieszanym z Edwardem w roli głównej, usłyszała od Pearl, że jedno z tych syjamskich bliźnięt, które rozdzielono w grudniu w Chicago, zmarło. Przeżyło tylko trzydzieści cztery dni po odłączeniu od drugiego. Załamała się i rozplakała w operatorni. Czoło złożyła na przedramieniu, wstrząsały nią szloch. Dorothy poklepała ją po ramieniu. Wszystko wskazywało na to, że świat był okrutnym miejscem.

Kronika Wooster

Sobota, 31 stycznia 1953 roku

Daltonowie znów stają na ślubnym kobiercu,

by węzeł małżeński połączył ich w pełni praw.

Harry Sweeney

Dziś Daltonowie z Wooster poszli do ołtarza po raz drugi. Chcieli dopilnować, żeby związek małżeński zawarty szesnaście lat temu był zgodny z prawem.

Dwadzieścia dziewięć lat temu Edward Dalton był siedemnastoletnim członkiem zgromadzenia Chrześcijańskiej Próby. Rzucono mu i innej członkini wyzwanie, by wzięli ślub. Kiedy para wróciła do rodzinnego miasta Syracuse w Nowym Jorku i oznajmiła to swoim rodzicom, zrobił się spory szum. Małżeństwo bezwzględnie anulowano, a przynajmniej wszyscy sądzili, że tak się stało.

Dalton wyjechał do Wooster i pobierał nauki w tamtejszym college'u. Następnie odbył służbę wojskową. W Wooster znalazł dom, ustatkował się i ożenił z miejscową dziewczyną. Wychowali wspólnie córkę, która obecnie uczy się do woosterskiego liceum.

Pierwsza pani Dalton również zostawiła za sobą przeżycie z czasów zgromadzenia Chrześcijańskiej Próby i wzięła drugi ślub. Urodziła im się pociecha. Wszystko byłoby dobrze, gdyby jej mąż nie zechciał się z nią rozwieść. Zaglądając do akt, odkrył – ku powszechnemu zdumieniu – że pierwsze małżeństwo nigdy nie zostało anulowane zgodnie z prawem.

To odkrycie, rzecz jasna, dotyczyło również państwa Daltonów z Wooster. Pan Dalton niezwłocznie podjął środki prawne, żeby uchylić pierwszy związek małżeński. Orzeczone to zgodnie z wyrokiem sędziego Dariusa Martina, który rozpoznał sprawę.

Sędzia Wolford Hartley poświadczył zniesienie trwającego pięć dni okresu wakatowania orzeczenia i dziś w przybytku Kościoła Metodystów państwa Daltonów na powrót połączył związek małżeński; pobłogosławił ich wielbny Arlen B. Alsop.

Na szczęście Eddie omówił całe zamieszanie z rodziną, więc poza żenującymi żarcikami nie uświadczono żadnej szkody.

Jak kaže tradycja, Daltonowie będą obchodzić jednak rocznicę pierwotnego ślubu, jak do tej pory, piątego czerwca 1937 roku, i prawdziwie ucieszy ich wiedza, że przyjaciele zrozumieją tę niefortunną sytuację.

Wieści były oficjalne i każdy mieszkaniec Wooster poznał niefortunne położenie Daltonów. Ten skandal trafił na sam szczyt listy dotychczasowych skandalicznych wydarzeń 1953 roku. Vivian znalazła zaledwie nikłe pocieszenie w fakcie, że historia nie wstrząsnęła miasteczkiem tak bardzo jak napad na bank w wykonaniu Gilberta Ogdena, a mieszkańcy nie przeżyli tego równie dotkliwie jak wtedy, gdy poszkodował ich rabunek.

Oficjalnie ludność Wooster dobitnie krytykowała i potępiała „tego przebiegłego” Gilberta Ogdena za to, co zrobił, ale znaleźli się tacy, którzy prywatnie zastanawiali się, czy coś podobnego im samym uszłoby na sucho.

Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Często zasysano powietrze przez zęby, przesadnie poruszano brwiami i komentowano: „Uuu łaa, przecież to góra pieniędzy!”. Fantazje poszczególnych mieszkańców nieco się między sobą różniły, ale większość wyobrażała sobie w kontekście takiej sumy spłatę długów, kłopoty

znikające w mgnieniu oka i polepszające się na każdym kroku życia. Nowe domy, nowe samochody, może nawet łódź, choć trzeba by ją przetransportować do Cleveland czy Sandusky, żeby mogła znaleźć się na wodzie. Do diabła, można by ufundować budowę nowiuńskiego jeziora w samym Wooster! Z takimi pieniędzmi cały świat leży u twoich stóp, a ty możesz sobie dla tych stóp kupić wszystkie buty z butiku Beulah Bechtel. Podstępny Gilbert Ogden chciał wręcz powalić świat do swoich nóg, dostrzegł sposobność i ją wykorzystał (do spółki z żoną Billa Parkera), pokazał wszystkim w Wooster, że może przebiegłość nie jest najgorszą cechą charakteru. Prawie każda z operatorek centrali telefonicznej Bella podsłuchiwała przynajmniej raz białolenie na temat „szczęścia” Gilberta Ogdena i wszystkie telefonistki przytakiwały w potajemnym porozumieniu.

Nikt z Wooster nie mówił o szczęściu Vivian Dalton. „Niefortunna sytuacja”, tak napisano w artykule. Było to niedopowiedzenie roku, Vivian upierała się, by pojawiło się na łamach „The Daily Record”. Najbardziej niefortunne pozostawało jednak to, że Eddie nie przedyskutował „całego nieporozumienia” z rodziną. Tak jest. Najbardziej niefortunne jest to, że Vivian dowiedziała się o wszystkim, podsłuchując rozmowę telefoniczną Betty Miller sprzed sześciu tygodni. Najbardziej niefortunne jest to, że ten kleszcz plotki najpierw wpił w Vivian odnóża, a potem zakopał głębiej główkę, gdy drapała, próbując się go pozbyć.

Wooster to było JEJ miasteczko i on upokorzył ją w JEJ miasteczku. Każdy – od rodziców Vivian oraz ciotek i wujków przez panią przedszkolankę, lekarkę, dentystę, kasjerów w sklepie spożywczym Buehlera, dziewczyny z college’u pracujące w butiku Beulah Bechtel po koleżanki z pracy w Bellu i wszystkich innych, z którymi kiedykolwiek nawiązała kontakt w mieście – już wiedział, że jej mąż był bigamistą, ich małżeństwo nie było prawowite, a ona była idiotką.

Właśnie to słowo świdrowało jej w głowie w dniu drugiego ślubu. „Idiotka”. Nie „panna młoda” ani „żona” jak w dniu pierwszych zaślubin. „Vivian Dalton, idiotka, miło poznać”. Drugi ślub Vivian wymagał więcej rzeczy do załatwienia niż pierwszy. Wiedziała, że poza (ponownym) wyjściem za mąż rano, musi później posprzątać i poprać rzeczy, jak to zwykle robiła w soboty. Była pewna, że świat w całych dziejach nie widział mniej romantycznego ślubu. Nie tylko nie przywdziała pięknej białej sukni z koronkowym welonem do ziemi; nawet nie postarała się o przypinany bukiet, tym razem pasujący do jej oczu. Ale można być pewnym, że włożyła najlepszą sukienkę, jaką miała, i zadbała o staranny makijaż, zanim wyszła za próg domu tamtego ranka.

Vivian nie chciała patrzeć na Edwarda podczas „ceremonii”, jeśli można to tak nazwać. Uprzejmie zwracała uwagę wyłącznie na wielebnego Alsopa, który wciąż rozluźniał koloratkę i nerwowo strzelał oczami to na Vivian, to na Edwarda, raz po raz odchrząkując. Charlotte, córka z nieprawego łoża, była nieobecna. Spytała, czy może zostać w domu, i Vivian, zanim wyszła, przytuliła mocno córkę, zaś Charlotte wcisnęła głowę pod matczyzny podbródek.

Gdy już rozwieziono poranne gazety z artykułem o państwie Daltonach, centrala telefoniczna w Bellu oszalała, pracownice nie miały więc ani chwili spokoju.

Operatorka przypominała pokaz fajerwerków z tymi wszystkimi lampkami, kablami i rękami sięgającymi na lewo i prawo, podczas gdy telefonistki wciskały i wyciągały wtyczki, przesuwając przełączniki to w górę, to w dół. Prawie nie starczało im czasu na podsłuchiwanie rozmów, ale gdy go znajdowały, słyszały tylko: „Dalton!”.

Dalton! Dalton! Vivian Dalton! Edward Dalton! Słyszałaś o Daltonach? Niektórzy mieszkańcy Wooster nigdy wcześniej nie słyszeli ani o Vivian, ani o Edwardzie Daltonach, do czasu artykułu na łamach „The Daily Record”, wówczas, tamtej niedzieli, na pewno już się dowiedzieli.

Starsza siostra Vivian McGinty, Vera, pewnego razu powiedziała, że coś „permanentnie łaknęło uwagi” i Vivian w końcu sprawdziła słowo „permanentnie”.

permanentny

niem., ang., fr. permanent, *książk.*, nieprzerwanie trwający, ciągnący się bez przerwy; ustawiczny, trwały, ciągły: Permanentne narzekanie. Permanentne opady.

Uważała, że permanentny jest horror tego przeklętego dnia. Nigdy się nie skończy. Telefon będzie wciąż i wciąż dzwonił, a ona będzie musiała się tłumaczyć i tłumaczyć. Vivian niechętnie przyznałaby, że cieszyła ją poświęcona uwaga, komplementy pod adresem kapelusza od Beulah Bechtel i tak dalej. Ale nie takie coś. Nie pragnęła czegoś takiego. Nie chciała ponownie wychodzić za mąż za człowieka, którego uważała za męża od prawie szesnastu lat. Nie chciała, by całe Wooster, jej rodzinna miejscowość, gdzie urodziła się i dorastała, dowiedziało się o haniebnym, żenującym rodzinnym brudach. I nie miała ochoty tamtego dnia wyjaśniać wszystkiego rodzinie przez telefon. Ale musiała kilka razy spróbować się połączyć, z tym że centrala telefoniczna była przeciążona.

– Przykro mi, Viv, możesz spróbować później? Przy okazji, jak się masz? Wszystko w porządku?

Brat i starsza siostra Vivian zdążyli już wyprowadzić się z Wooster do Fredericksburga i Akron, ale wkrótce wieści dotrą także do nich. Pamiętała, jak bardzo była podekscytowana, gdy miała wyjść za mąż (po raz pierwszy) i chciała wszystkim o tym powiedzieć. Vera twierdziła, że nikt nie będzie na tyle szalony, by się z nią ożenić. Pierścionek od Edwarda należał wcześniej do jego matki, która pechowo miała grube palce. Edward powiedział, że grube, Vivian stwierdziłaby, że tłuste. Subtelna platynowa obrączka z eleganckim ornamentem otaczającym półkaratowy diament ześlizgiwała się z serdecznego palca Vivian, więc dopóki jubiler Orelin M. White z zakładu u White’a przy ulicy East Liberty odpowiednio go nie dopasował, nosiła go, przewiązawszy pasmem sukna od spodu.

Przycisnęła kciukiem supeł z materiału, by pierścionek się nie kręcił, gdy machała ręką przed nosem Vera, wydając z siebie niezamierzony, piskliwy chichot. Słońce jasno świeciło przez okno nad zlew w kuchni McGintych, gdzie Vera nalewała wody do szklanki. Vera gwałtownie odwróciła głowę, po czym z irytacją odepchnęła dłoń Vivian, więc ta cofnęła się o krok, odchrząknęła i wyciągnęła lewą rękę nad prawe ramię siostry, stukając palcami. Vera odstawiła szklankę z wodą na blat, obróciła się, spojrzęła na drżącą dłoń, a Vivian dostrzegła u niej nachmurzoną minę, po czym Vera

z trudem zmusiła kąciki ust, by uniosły się w uśmiechu. Jednak uśmiech nie pojawił się w jej oczach. Vivian to zauważyła.

– Cóż – powiedziała Vera o wiele wyższym i cieńszym niż zwykle głosem. – Brawo. Gratulacje.

Żadna reakcja pozostałych członków rodziny McGintych nie przyniosła jej tyle satysfakcji, co ta Vera. Tatko piał: „Jedna z głowy, dwie zostały, co nie, Vero? Violet?”. Matka Vivian równie dobrze mogła wylać beczkę pomysł na jej głowę, gdy ta zaproponowała Verę na druhenę.

„Ogłoszenie” drugiego ślubu Vivian miało być inne, jej jedyną pociechą był fakt, że wszyscy i tak zapewne czytali już gazetę i nie będą tak wzdychać, kiedy oznajmi im wieść przez telefon.

Przywlokła ciężki aparat telefoniczny na kanapę, postawiła obok siebie i zatopiła się w poduszce noszącej po drugiej stronie ślad po szmince; będzie musiała później się tym zająć. Jęknęła i spojrzała na dłonie. Skóra zaczęła się marszczyć i Vivian namierzyła dwa przebarwienia, nazywała je piegami, ale lekarz powiedział, że były to plamy wątrobowe. Nie nanosiła się zbyt długo pierścionka zaręczynowego z diamentem. Przeszkadzał jej, gdy piekła. Trzymała go w bezpiecznym miejscu, w wyściełanej aksamitem srebrnej szkatułce na biżuterię na toaletce. Na palcach prawej dłoni nosiła tylko irlandzki pierścień Claddagh, a prostą obrączkę ślubną – na lewej.

Trzymała słuchawkę między barkiem a policzkiem, bawiąc się pierścionkiem Claddagh i czekając na połączenie z telefonistką.

– Numer, proszę – w słuchawce rozległ się nosowy głos Pearl Fry.

Vivian pomyślała, że nosowy ton sprawiał wrażenie, jakby Pearl cały czas narzekała, i że nie doprowadzałyby do tego, gdyby siedziała prosto na krześle, ale teraz nie była pora, żeby się tym martwić. Zapominając o chaosie w operatorni, Vivian poprosiła Pearl o odrobinę prywatności po połączeniu rozmowy. Co prawda i tak nie wiedziałyby, czy Pearl się nie przysłuchuje. Podśluchiwała, garbiła się i lamentowała przez nos. Niektórzy ludzie nie mieli ani krzty szacunku dla rodzinnych spraw. Vivian odczuła ogromną ochotę na papierosa.

– Halo, mama? – spytała Vivian, gdy matka odebrała telefon.

– Vera?

– Nie, mamu, tu Vivian. – Przewróciła oczami. Jak matka wciąż mogła je mylić?

– Oj, oj – wydukała. – Vivy.

Vivian nie miała szans, by cokolwiek dodać, bo słuchawkę już przekazano ojcu.

– Cześć, Vivy – powiedział radośnie jak zwykle.

– Cześć, tatku. – Vivian zrobiła głęboki wdech.

– Oj, no już, Vivy, kochanie, nie musisz robić wielkiego halo. Czytaliśmy gazetę.

– Ja... – głos uwiązał Vivian w gardle, przygryzła wargę. Nagle poczuła się mała.

Mała i przytłoczona.

– Posłuchaj, nie mamy nic przeciwko, zapewniam cię! Ślub, a my nie musimy za niego płacić!

– Och, tatku. – Śmiech Vivian przebił się przez jej szloch. Troszkę opluła

słuchawkę i chwyciła rąbek fartucha, by ją wytrzeć.

– Zawsze mogło być gorzej.

– Aha.

– Zabrałaś się dziś za pieczenie.

– Tak jest.

– Zuch dziewczyna. Cokolwiek upieczesz, przynieś nam trochę dziś lub jutro, dobrze?

I potem, jak to miał w zwyczaju, odłożył słuchawkę. Patrick McGinty nie miał potrzeby trwonić czasu ani słów przez telefon, rodzina nauczyła się nie brać tego, że się rozłącza, do siebie. Ot tak, pierwsza rozmowa telefoniczna była za nią i Vivian czuła, że popłacze się z ulgi. Po części chciała wpaść do domu rodziców i zwinąć się w kłębek obok taty na kanapie, jak robiła w dzieciństwie. Ostatnio często się tak czuła.

Myrtle McGinty ciągle narzekała, że dzieci wcale jej nie odwiedzają, zwłaszcza Vivian, choć mieszkała tylko kilka przecznic dalej. Vivian skrzywiła się, gdy o tym pomyślała. Zgorzkniałość i ponura postawa matki były zaraźliwe. Gdy spędziło się z nią za dużo czasu, wkrótce też wypełniały cię troska, obawa i ogólne przeświadczenie, że wszystko jest bez sensu, po czym wpadało się w takie samo przygnębienie co ona. Nie do końca tego Vivian potrzebowała w tym momencie. Cieszyła się, że matka przekazała słuchawkę komu innemu.

Po rozmowie z tatkiem trochę się rozpogodziła, więc najpierw dała sobie pięć minut, żeby pooddychać i zebrać się na odwagę, po czym zatelefonowała do Violet. I to będzie koniec na dziś. Wystarczy. Tym razem z centrali odezwała się Laura Eagan i Vivian poprosiła ją o chwilę prywatności, tak samo jak zrobiła z Pearl, a Laura prędko wyśmiała ten pomysł, rzucając słodkim dzieciennym głosem:

– Och, Vivian, ja nigdy nie słucham rozmów innych ludzi. Nie powinniśmy tego robić, sama wiesz.

„Och, na litość boską”. Vivian przewróciła oczami tak, jakby chciała zajrzeć sobie do wnętrza czaszki. Potrafiła doskonale wyobrazić sobie siedzącą w pracy Laurę z szeroko otwartymi jak u Betty Boop oczami i plecami napiętymi jak struna. Laura siedziała trochę zbyt prosto, jeśli spytać Vivian o zdanie. Przecież po operatorni nie kręciło się zbyt wielu mężczyzn. Laura kłamała o niepodśluchiwanie, ale jednocześnie miała rację. Nie powinny tego robić, sami wiecie. Co by było, gdyby Vivian wcale nie podsłuchiwała rozmowy telefonicznej Betty Miller? Czy i tak wylądowałiby tu, w tym bałaganie? Czy byłaby nieświadoma i z grubsza szczęśliwa?

nieświadomy

książk.

a) nieuświadomiony sobie czegoś, niezający sobie z czegoś sprawy: Była nieświadoma tego, co ją czeka. Ktoś nieświadomy a. nieświadom niebezpieczeństwa.

b) powstały bez udziału świadomości, bezwiedny, mimowolny, podświadomy: Nieświadome ruchy, gesty.

Mogła pozostać nieświadoma tego faktu, ale nie byłaby wtedy zgodnie z prawem zamężna.

– Halo, Vi?

– Tak, czeeeść, co słyhać? – Violet brzmiała niepewnie; była ostrożna, jakby bała się, że jej słowa to prawdziwe ciosy.

– Słyszałaś? – spytała Vivian, pragnąc dowiedzieć się, ile musi wyjaśniać.

– Tak, Vivy, to straszne, tak mi przykro.

– Cóż, muszę się z tym pogodzić. Jesteśmy znów małżeństwem.

Upłynęło kilka sekund ciszy.

– Jesteś pewna? – w końcu powoli spytała Violet. – Chcesz z nim zostać, po tym wszystkim?

Violet znalazła sobie dobrego człowieka i brakowało jej cierpliwości do tych, którym się nie poszczęściło.

– Wiesz, Vivy – ciągnęła – lubiłam Edwarda. Lubiłam go aż do tej pory. Ale teraz będzie się musiał mocno postarać, żeby z powrotem wkupić się w moje łaski.

Vivian prawie uśmiechnęła się na te słowa. Violet wyobrażała sobie, że jest zwierzęciem pokroju lwa, podczas gdy Charlotte nazywała ją Ciocią Kicią.

– Jesteś pewna, że chcesz z nim zostać? – Violet powtórzyła pytanie.

Vivian głęboko zaczerpnęła powietrza i wypuszczała je z siebie raz po raz tak, że prawie zaczęła pogwizdywać. Powstrzymywała łzy.

– Myślałam o tym... – Kolejny głęboki oddech. – ...ale Charlotte chodzi jeszcze do szkoły, poza tym mieszkamy w tym domu tak długo. I jesteśmy razem tak długo. Nie wiem, po prostu pomyślałam, że tak będzie łatwiej.

Ale potem zamyśliła się nad słowem „łatwiej”.

Co było łatwiejsze? Przerazała ją myśl o samotności. „Ten ser nie zostanie sam w kole, Edwardie! Ten ser weźmie kotka! Albo kotek weźmie żonę!” Myśli kłębiły się jej w głowie i nic nie miało sensu. „Ser, kotek, łatwiej, łatwiej, aaaaaa”.

– Czy on tam jest, w domu, teraz?

– Nie. Kazałam mu iść z Charlotte kupić jej oksfordki i zabrać ją na shake’a.

Czuła się okropnie z tym, jak przekazała to córce. Zalała ją tą wieścią niczym indyka tłustym sosem pieczeniowym. I to tuż po tym, jak Charlotte najadła się batoników siedmio(sześć)warstwowych, biedactwo. Wyszło paskudnie. Gdyby była dobrą matką, przygotowałyby dla niej prezent czy coś. Jaki prezent daje się dziecku, gdy oznajmia się mu, że wszystko, co wiedziało o swojej rodzinie, było kłamstwem? Bez względu na to, jaki byłby to podarek, tylko przypominałby Charlotte o okazji, z jakiej go dostała. Cała sprawa przyprawiała Vivian o ból głowy.

– Znajdzie sposób, by zajrzeć też do sklepu metalowego, jestem tego pewna.

Vivian napełniało goryczą to, jak Edward spokojnie podchodził do tematu. Podczas gdy ona była strzępkiem nerwów, on zajmował się codziennymi sprawami, pracą, sprawunkami, chodził na spotkania wolnomularzy, tak jakby to była błahostka, jak gdyby zapomniał wynieść śmieci. „Mildred Fischer była śmieciem – pomyślała Vivian – i dziś rano śmieci zostały wyniesione”. Przed uroczystością zaślubin Edward podpisał dokument potwierdzający rozwód z Mildred, więc już po ptakach.

„Ups, zapomniałem, że miałem inną żonę”. Tak brzmiała jego wersja.

– Chcesz, żebym wpadła? – spytała Violet.

– Nie, dzięki, kochana. Jestem trochę zmęczona. Chyba się położę – powiedziała, wstając z kanapy, gdzie siedziała od piętnastu minut. – Czy mogłabyś wyświadczyć mi przysługę i zadzwonić do Henry’ego i Willa, i powiedzieć im o tym? Pamiętaj, przekaż im, że się cieszę, dobrze?

– Vivy, czy to nie przypomina ci o tatku?

Vivian nie odpowiedziała od razu, ale zwiesiła ramiona.

– To znaczy, chodzi mi o listy.

– Wiem, o co ci chodzi. – Vivian westchnęła chyba po raz setny tego dnia i zerknęła znów na kanapę, gdzie na opuszczonym przez nią miejscu znajdował się odcisk w jej kształcie. Podeszła do ściany, ciężko się o nią oparła plecami i powoli ześlizgnęła, a gdy już usiadła na podłodze, przyciągnęła do siebie nogi.

Vivian nie wiedziała, czy jej ojciec napisał wszystkie trzy listy jednocześnie, ale musiał je wysłać w tym samym czasie. Owe trzy listy miłosne „nikczemnie czarujący irlandzki łobuziak” Patrick McGinty napisał do trzech różnych kobiet wówczas, gdy był mężem jej matki. Przynajmniej jeden z tych listów był do matki. Ale to nikłe pocieszenie.

Vivian domyśliła się, że napisał listy miłosne w tym samym czasie, ale musiał się zagapić i przypadkowo włożył wiadomości do niewłaściwych kopert. Zamieszanie byłoby jeszcze gorsze, gdyby Laurel i Hardy byli wówczas listonoszami. Każda z trzech kobiet otrzymała list przeznaczony do jednej z pozostałych. „Kochana Myrtie” trafił do Adelii Harvey, „Droga Adelio” do Grace Candy, co oznaczało, że „Słodka Grace” trafiło do rąk żony Paddy’ego, pani Myrtle McGinty, i jakkolwiek by nie odczytywać listu, nie było mowy, by przeznaczono go dla niej. Nie miała na imię Grace. I kiedy Myrtle McGinty przeczytała cały list i zobaczyła podpis Paddy’ego na dole, zrobiło się naprawdę paskudnie.

„Nie daj się przyłapać” – polecił Vivian w sprawie podsłuchiwania. „Zachowaj tajemnice dla siebie”. Och, tatku. Zdradę wzięła do siebie, jakby zdradził całą rodzinę, nie tylko żonę.

„Tylko nie daj się złapać”.

Kim były pozostałe kobiety? Najwyraźniej zdaniem tatki stanowiły część wielkiej wolności, nad którą pracował na kolei. Były tym, „co ten wspaniały kraj miał do zaoferowania”, jakby to ubrał w słowa.

Vivian wraz z braćmi i siostrami zawsze zakładali, że tatko przestał pracować na kolei, ponieważ nie miał wystarczającej wysługi lat, by utrzymać pracę, tak powiedzieli im rodzice. Po kompromitacji z listami Vivian podejrzewała, że to matka zażądała, by porzucił posadę i znalazł sobie inne zajęcie. Coś, dzięki czemu znajdzie się bliżej domu, gdzie będzie mogła mieć go na oku.

Mieć go na oku. Jakby był dzieckiem trzymającym rękę za blisko gorącego pieca. Dłaczego trzeba pilnować mężczyzn, by zachowywali się tak, jak powinni się zachowywać? Dorosłych mężczyzn, na litość boską. Lepiej by sobie z tym poradziła, gdyby to był stary, dobry romans, taki jak ten z firmy księgowej – Farleya Deana z rozwiązałą blond sekretarką. Vivian nie ucieszyłaby się z tego, ale przynajmniej brzmiałoby to jakby znajomo.

Jakim cudem powinna „mieć na oku” Edwarda, zanim jeszcze go poznała? Nie było to pytanie, które przyszło jej do głowy podczas zalotów. Lubisz jazz? Potrafisz pędzić dobry bimber? Jesteś już żonaty?

– To nie... – próbowała sklecić zdanie, by odpowiedzieć na pytanie Violet o tatka i mamę, ale zaczęła gubić wątek. – To nie to samo.

Tatko, kolej, Edward i Mildred; „to było rolnik bierze »żonę«, nie »kotka«...”.

– Nie, nie! – wyrwało się Violet, a słowa wylądowały niczym kamienie wrzucone we wzburzoną toń myśli Vivian. – Nie, zupełnie nie. Zastanawiałam się tylko, czy, no wiesz, nie poczułaś się tak jak wtedy.

– Tak.

– Bardzo mi przykro.

– To boli.

– Tak bardzo mi przykro, Vivy.

– Nic mi nie będzie.

– Jesteś pewna?

– Jestem pewna. Dziękuję, Vi.

– W takim razie dobrze, odpocznij. Ale zadzwoń później, gdybyś miała ochotę.

– Mmm hmm.

Vivian z jękiem podniosła się z podłogi i sięgnęła do stolika, żeby odłożyć słuchawkę na widełki. Naliczyła dziewięć schodków na górę, kiedy zadzwonił telefon. Violet i jej cholerne współczucie oraz zwracanie uwagi na szczegóły. Zawsze lubiła sprawdzać wszystko dwa razy.

Vivian pozwoliłaby telefonowi nadal dzwonić, ale hałas działał jej na nerwy. Po szóstym dzwonku zeszła po schodach.

– Vi, naprawdę nic mi nie jest.

– Vivian? – po drugiej stronie słuchawki rozległ się głos jej siostry Very.

„Szlag by to wszystko”.

Ale powinna się tego spodziewać. Vera nie przepuściłaby takiej szansy.

– Cześć, Vero.

Vera nie powiedziała nic więcej w tym momencie i Vivian zastanawiała się, czy jedna z jej przyjaciółek z Bella rozłączyła rozmowę z uwagi na nią. Byłoby miło z ich strony. Litościwie.

– Miałam zamiar zadzwonić. – Na linii znów zagościł głos Very.

Vivian ponownie czuła złość na telefonistki z Bella.

– Naprawdę? – Vivian próbowała zabrzmieć lodowato, ale kosztowało ją to mnóstwo wysiłku.

– Posłuchaj, Viv, chciałam ci tylko powiedzieć, że naprawdę mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło. – Mówiła obojętnym tonem, w uszach Vivian wcale nie zabrzmiał na pełen współczucia.

Verze nigdy nie było naprawdę przykro z powodu tego, co działo się w życiu jej siostry. Vivian nie przypominała sobie, by kiedykolwiek słyszała, że jej siostra przeprosza, ale bardzo dobrze pamiętała sporo „A nie mówiłam?”.

– Cóż, nie musi ci być przykro. To było tylko zwykłe nieporozumienie. – Vivian

szeroko otwierała oczy, próbując zachować radość i pogodę ducha. Gdyby miała pod ręką pomadkę w kolorze „Ognia i lodu”, pospiesznie musnęłaby nią wargi. – To znaczy, Edward powiedział mi o tym. Wszystko znalazło się w artykule w „The Daily Record”. Prześlę ci kopię.

– Vivian. – Vera, która nie dała się zwieść fałszywemu tonowi, brzmiała z powrotem jak zwyczajna szorstka ona. – Próbuję być miła.

– Ha! – szczerknęła Vivian do słuchawki, cholernie dobrze wiedząc, że Vera powróciła do swojego tonu irytacji i już nie próbuje być miła. – Cóż, w takim razie powinnam ci podziękować, czyż nie? Wiem, jak trudno jest ci być miłą.

– Cofam to – wypluła z siebie Vera, a jej głos z rozdrażnionego stał się wrzaskliwy. – Wszystko zawsze idzie po twojej myśli, ale tym razem się nie udało, więc: „Och, biedna Vivian, biedna, biedna Vivian”. Wciąż zachowujesz się jak rozpieszczony bachor!

Vivian poczuła zmęczenie. To nie był jej dzień. „Dzień ślubu!” Próbowała wpaść na dobrą ripostę, ale nim jej się to udało, Vera uderzyła ponownie.

– Należy ci się, ty niewdzięczna suko!

I po tym Vivian usłyszała ostry trzask rozłączający rozmowę.

Stała tak, oniemiała. Słowo „suka” dzwoniło jej w uszach, gdy trzymała telefon w powietrzu, wpatrując się w niego. Potem, reagując z opóźnionym refleksem, trzasnęła słuchawką i wrzasnęła w pustym pokoju:

– TO TY JESTEŚ SUKĄ!

W domu nie było nikogo poza nią, więc Vivian nie zadawała sobie trudu z poduszką, ale krzyczała w głos, wbiegając z tupotem po schodach. Poszła prosto do skrytki w szafie w sypialni i wyłowiła papierosy. Zabrała paczkę do pokoiku na strychu, gdzie otworzyła na oścież skrzydło okienne i przesunęła stół z maszyną do pisania na bok, żeby zrobić więcej miejsca na krzesło przy oknie. Palenie naprawdę było paskudnym nałogiem i nie chciała zasmrodzić pomieszczenia.

Zaciągając się i raz po raz wypuszczając dym na zewnątrz, odtwarzała w myślach to, co zapamiętała z rozmowy. „Suka”. „Wszystko idzie po twojej myśli”. Nic nie szło po jej myśli. **WSZYSTKO NIE SZŁO PO JEJ MYŚLI!** Przy trzecim papierosie gniew nieco wykypiał. Wzięła pod uwagę fakt, że choć mądralińska Vera nie powiedziała nic miłego, nie padło też: „A nie mówiłam?”. „Przeklęta Vera” – pomyślała. „Ależ z niej męczydupa”.

Co Vivian mogłaby powiedzieć o siostrze Verze? Co ktokolwiek mówił o Verze? Miała silną osobowość, to po pierwsze. I pewność siebie pokazaną jak jej tyłek, to po drugie. Była najstarszą, najzuchwalszą i najbardziej apodyktyczną z sióstr McGintych. Mądrała pierwszej wody, nie ważyła się z nią o cokolwiek spierać. Według Very jej opinia była obowiązującym prawem. Kiedy były małe i maszerowały po podwórku na tyłach, to zwykle Vera nosiła narzutę z poszewki na poduszkę i wymachiwała kijem w górę i w dół, prowadząc pochód. Nikogo nie oszczędzała, gdy miewała te swoje humorki. „Henry będzie musiał zapłacić dziewczynie, żeby za niego wyszła. Vivian mogłaby się przebrać za lampion z dyni na Halloween z tymi jej zębami. Dziewczyna mogłaby spuścić lanie Willowi. I Violet”. Cóż, Vera wcale nie czepiała się Violet.

Miała dwanaście lat, gdy Violet się urodziła, i Vera zwykle traktowała ją jak laleczkę.

Vivian zapamiętała, jak matka ciągle powtarzała, że nigdy nie musiała się martwić o Verę. Poza tym jednym razem, kiedy zadawała się z tamtym lokatorem, któremu Brinkerhoffowie wynajmowali pokój we własnym domu po krachu na giełdzie. Vivian słyszała, jak matka życzyła sobie lepszego kawalera dla Very. „Ale ona ma po mnie tęgą sylwetkę i opadające ramiona, no i z tą swoją przemądrzałą buzią będzie musiała zadowolić się tym, kto zadowoli się nią”. Vivian uśmiechnęła się wówczas z wyższością i po cichu zgodziła.

Rozdział 23

Betty Miller usadowiła się w pierwszej ławie kościoła metodystów i pocierała o siebie odziane w rękawiczki dłonie, czekając na przybycie Daltonów. Spodobałoby się jej, gdyby mogła wspomnieć o skandalu w rodzinie Daltonów na stosownym spotkaniu towarzyskim, podczas którego zdołałaby przewyższyć zebranych strojem, klasą i w ogóle przewyższyć Vivian o głowę we wszelkich możliwych kategoriach, ale nie obracały się w tych samych kręgach, więc musiało to być w kościele. Zamierzała uczynić z Vivian wspaniałego wyrzutka społecznego, ponieważ jej zasłużoną karę zbyt długo odraczano.

Kiedy wielebny Alsop odczytał fragment Listu św. Jakuba, rozdział piąty, wersety dziewiętnasty i dwudziesty, Betty głośno pomrukiwała z aprobatą i spojrzała ostentacyjnie w stronę Daltonów.

Bracia moi, jeśliby ktokolwiek z was zszedł z drogi prawdy, a drugi go nawrócił, niech wie, że kto nawrócił grzesznika z jego błędnej drogi, wybawi duszę jego od śmierci i zakryje liczne grzechy.

– „Zszedł z drogi prawdy” – powtórzyła Betty cicho, ale nie na tyle cicho, by nie usłyszała jej większość ludzi wokół.

Kiedy wielebny Alsop odczytał ustęp z Listu do Efezjan, rozdział piąty, wersety od piętnastego do dwudziestego, Betty potakiwała i ostentacyjnie patrzyła w kierunku ławki Daltonów.

– „Baczenie więc pilnie, jak postępujecie”.

– Amen – powiedziała Betty ze wzrokiem wciąż utkwionym w Daltonach.

Jeśli Vivian zauważyła stanowczo niechrześcijańskie zachowanie Betty, nie zdradziła się. Spłynęło to po niej jak kazanie wielebnego Alsopa. Coś we wnętrzu Vivian uległo zmianie. Niemal z dnia na dzień. Czy chodziło o wczorajszy ślub? Rozmowę z Verą? Nie potrafiła powiedzieć. Wiedziała tylko, że dzisiaj czuje się inaczej, i nie zauważała tego, na co zwykle zwracała uwagę. Na przykład Betty Miller.

Betty Miller tak bardzo się kręciła na swoim miejscu w pierwszym rzędzie i mamrotała pod nosem, że kilku zgromadzonych wiernych zachodziło w głowę, czy coś jej nie opętało. Szeptala i powtarzała: „amen” oraz szukała Vivian wściekłym wzrokiem, posyłając w jej stronę wyobrażone sztylety.

Ale Vivian nie zwracała uwagi na Betty, podszeptywania, „amen” powtarzane jak w refrenie, a nawet kazanie – nagle o wiele bardziej ciekawiły ją niuanse, którymi nigdy wcześniej nie zaprzętała sobie głowy.

fr. nuance, książk., drobna, subtelna różnica, ledwie dostrzegalna zmiana: Niuanse barw, dźwięków. Spór dotyczący tylko niuansów. Opowieść pełna niuansów. Zrozumieć wszelkie nuanse tekstu.

Przykładowo tablica pamiątkowa na zewnątrz kościoła z datą wybudowania świątyni (1887 rok) albo śpiewnik kościelny, z którego korzystała podczas nabożeństw – przewróciła stronę okładki, żeby zobaczyć złotą pieczęć informującą, gdzie wydano książkę (Plattsburgh w stanie Nowy Jork). Nazwiska, daty, miejsca.

– Nie znam jeszcze żadnych dokładnych dat – mówiła Betty Miller z ambony.

Do Vivian ledwo dotarło, że nabożeństwo dobiegło końca i teraz to Betty trąkocze coś do wiernych.

– Pragnę zapewnić, że MÓJ ojciec, WASZ burmistrz, ciężko pracuje, chcąc dopilnować, aby dobrzy ludzie, którym skradziono pieniądze, otrzymali rekompensatę. Ale, proszę, pamiętajcie, że dopiero co obchodziliśmy Gwiazdkę, i jak wszyscy wiecie, tuż po świętach trzeba trochę zaciskać pasa.

Prawie tak samo mocno jak Betty Miller zaciskała wargi w uśmiechu.

Vivian widziała wyłącznie sztuczny uśmiech. Nadmiernie akcentowane słowa były dla niej tylko szumem w tle. Dla niektórych członków zgromadzenia, tych, którzy w życiu nie mogli sobie pozwolić na zajęcie miejsc w pierwszych pięciu rzędach, wymawiane z przesadnym naciskiem wyrazy zgrzytały bardziej niż zazwyczaj. Gdyby J. Ellis Reed naprawdę był takim filantropem o wielkim sercu, jakim próbuje odmalować go jego córka, zdążyłby już wypłacić odszkodowanie wszystkim klientom Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne'a, nie tylko tym zamożniejszym czy tym, którzy skarżyli się na tyle głośno, by ich usłyszano. Roy Patterson wciąż spłacał dom odziedziczony po ojcu piętnaście lat temu, Daisy Stucker wykopali z farmy Stuckerów, a Jacob Starlin, zwolniony z przedsiębiorstwa wyrobów gumowych kilka lat temu, obawiał się, że nigdy nie będzie posiadał swojej nieruchomości w pełni na własność. Ledwie mógł trzymać własną taczkę na podwórku za domem.

Wooster wraz ze wszystkimi sprawami, kiedyś strasznie ważnymi dla Vivian, teraz straciło lśniący czar. Niespodziewanie pochłonęło ją palące pragnienie uzyskania informacji bezpośrednio dotyczących tylko niej.

Każda rozmowa telefoniczna, którą Vivian łączyła w Bellu, teraz była wysłuchiwana z jeszcze większą uwagą i wytrwałym wpatrywaniem się w konsolę w nadziei, że znów usłyszy nieznanego głos w słuchawce i rozszyfruje, kto zatelefonował do Betty Miller z tamtą historią. I każda chwila zostanie przeznaczona na planowanie i knucie oraz ślęczenie nad korespondencją – wysłaną i odebraną – na temat Edwarda i jego przeszłości. Nawet gdy tamtego dnia siedzieli ramię w ramię w kościele, Vivian miała jedynie mglistą świadomość, że obok ma męża z krwi i kości. Fakty i historia jego życia krążyły po jej głowie na tyle, że wymawiała bezgłośnie słowa, ale nie tej pieśni, którą śpiewała cała reszta. Ona przygotowywała plan.

Rozdział 24

Betty Miller nie planowała zwracać się dziś do wiernych, ale słyszała kilka sarkastycznych pomruków pod swoim adresem i była pewna, że wiązało się to z bankiem jej ojca oraz opieszałością w wypłacie odszkodowań. Zauważyła, że Vivian Dalton jak gdyby w ogóle nie zwracała na nią uwagi, ale Daltonowie już zdążyli odzyskać pieniądze, czyż nie?

Wczoraj Betty była zaskoczona i – ośmieliłaby się powiedzieć – pod wrażeniem, kiedy opublikowano artykuł w „The Daily Record” opowiadający reszcie Wooster o skandalu w rodzinie Daltonów. Pogratulowała sobie, że pobiła gazetę na głowę. Przynajmniej w przypadku ludzi, którzy się liczyli. Poczula wielki przypływ euforii, gdy ogłosiła nowinę na podwieczorku, kiedy wszystkie upudrowane i muśnięte różem twarze pań obróciły się ku niej w skwapliwym oczekiwaniu.

Vivian nie miała wycucia czasu i umieściła opowieść w dzienniku „Record” o dwa tygodnie za późno, a Betty niechętnie doceniła jej trzeźwość umysłu pozwalającą zatamować krwotok plotek poprzez kontrolowanie przepływu informacji. Cóż, brawa dla niej. Kontrola nad opowieścią stanowiła dziewięćdziesiąt procent bitewnej aktywności, jednak – na nieszczęście dla Vivian – bitwa dobiegła końca. Została na pobojowisku.

Betty bacznie obserwowała własnego męża po tym, jak dowiedziała się o tajemnej pierwszej żonie Edwarda Daltona. Ależ to była osobliwa historia, i że też wydarzyła się w stosunkowo normalnej rodzinie, w samym Wooster. Po owym proszonym podwieczorku pozostałe kobiety także przyglądały się mężom z tą samą drobną dozą podejrzliwości. Jak dobrze w ogóle znają swoich małżonków?

Weźmy męża Clary Weacer, Davida, który wysiadywał do późna „w biurze”, a przecież nie mógł zajmować się wyłącznie pracą, ponieważ nie był wziętym agentem ubezpieczeniowym. Potrzebny był określony rys osobowości, żeby namówić ludzi do kupna ubezpieczenia, którego nigdy nie będą potrzebowali, i z tym David miał problem. Albo na ten przykład mąż Miriam Thompson, Rex – on nie miał problemów z osobowością jak David, ale cechował się innymi mankamentami. Zasiadał w stanowej Izbie Reprezentantów z pierwszego dystryktu w Ohio. Posada nie wymagała podróży do Columbus, jak mniemała Betty, i pokonanie drogi samochodem zabierało tylko półtorej godziny, więc Betty naprawdę nie sądziła, by musiał utrzymywać tam mieszkanie. I na koniec był też mąż Marilyn Dean, Farley, który, jak już wiemy, przyznał sekretarce wygórowaną premię świąteczną w tym roku i nie miało to nic wspólnego z jej talentem do prowadzenia rachunkowości. Gdyby spytać Betty, zachowanie ich wszystkich zaczęło wyglądać niezwykle podejrzanie.

W podświetlanym, oprawionym w złoto lustrze toaletki Betty obserwowała

odbicie Charlesa, który rozbierał się do spania. Włożył nowe spodnie od piżamy w czerwono-zielone prążki, które Mikołaj przyniósł mu na Gwiazdkę, a zawiązanie ściągacza zajęło mu zbyt dużo czasu. Następnie wsunął niegdyś umięśnione ramiona, jedno za drugim, do koszuli piżamowej i zaczął zapinać guziki, nie mając świadomości, że Betty na niego patrzy. Pomiął pierwszy, więc kiedy dotarł do ostatniej dziurki, zabrakło mu już guzików do zapinania. Dźgnął palcem przez samotną dziurkę i pomachał nim, po czym wzruszył ramionami, zsuł skórzane kapcie z nóg i wdrapał się na swoją część łóżka.

Betty manifestacyjnie nabrała powietrza przez rozszerzone nozdrza, przewróciła oczami i ostrożnie wypuściła strumień oddechu przez usta, rozluźniając wargi na tyle, by nie gwizdała jak imbryk. Następnie spojrzała na własne odbicie w lustrze, odkręciła wieko słoiczka i zanurzyła palce w kremie nawilżającym, po czym ostrożnie wmasowała go w twarz kolistymi ruchami. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by Charles kiedykolwiek zrobił coś naprawdę skandalicznego. Czyste lenistwo zademonstrowane przy okazji zapinania guzików można było odnieść także do innych sfer życia.

Zakładała, że Charles zawsze taki był, ale dziewczyna nie patrzy trzeźwo, gdy jest świeżo zakochana, prawda? Nie powiedziałyby, że żałuje zamążpójścia za Charlesa; w końcu wywodził się z jednej z najznamienitszych rodzin w Wooster. Vivian Dalton oczywiście nie wzięła pod uwagę pochodzenia, gdy dokonywała wyboru. Gdyby miała choć krztynę rozumu, wybrałaby brata Betty, Johna, chociaż Betty przyrzekła sobie, że nie będzie już nigdy więcej o tym rozmyślać, ponieważ psychoanalityk odradzał jej myślenie o czymkolwiek, co przyprawia ją o pulsowanie w skroniach, a teraz jej skronie znów pulsowały, ponieważ „jak śmiała, ta pospolita zdzira, odrzucić Johnstona Reeda!?”.

„Życzliwe myśli” – upomniała samą siebie, szczypiąc skórę tuż nad nadgarstkiem. Była to fraza, którą podsunął jej doktor Charlton. „Życzliwe myśli i uszczypnij się tuż nad zawieszka z aniołkiem przy pasku zegarka”. Betty mocno zacisnęła powieki i zmusiła się, by znów zaczerpnąć powietrza przez nos, potem kolejny raz i jeszcze jeden, aż ciśnienie wróciło jej do normalnego poziomu, a w żyłach przestało dudnić.

Przypomniała sobie, że wraz z Charlesem mieli czworo pięknych dzieci. (Nie żeby córka Daltonów, Charlotte, nie była uroczą dziewczyną, została naprawdę dobrze wychowana, jeśli Betty miała być całkowicie szczerą, choć zdarzało jej się garbić – ale: życzliwe myśli!).

Betty często myślała, że być może spisze swoje wspomnienia, gdy osiągnie stosowny wiek. Miała sporo rad w zanadru dla wszystkich dziewcząt i młodych kobiet. Przemyślenia o sylwetce, wychowaniu, manierach, a także historia jej życia. Chociaż, gdyby miała spisać pamiętniki, nie była pewna, czy zachowałaby całkowitą szczerą we wszystkich kwestiach, chyba że dojrzałe lata okażą się złotymi latami i zdoła dokończyć ostatni rozdział na łożu śmierci.

Jeśli sprawy potoczyłyby się inaczej w młodości, mogłaby poślubić kogoś zupełnie innego. Ale wyszła za Charlesa. Bóg tak chciał! Być może, gdyby nie wpakowała się w tarapaty, mogłaby – MOGŁABY – wybrać kogo innego, by spędzić z nim życie.

I tak od czasu do czasu błądziła myślami do zmyślonego, nienapisanego rozdziału z jeszcze nie powstałych pamiętników. Rozdziału, w którym obnaży duszę i przyzna na wymaginowanej stronie, że lata temu rodzinne pieniądze Charlesa oraz status społeczny miały pierwszeństwo przed jej silniejszymi i głębszymi pragnieniami.

Nie myślała o nim od lat (kolejne kłamstwo). Nie mogła się nawet zdobyć na to, by choćby pomyśleć jego imię, potrafiła tylko nazywać go w myślach tamtą żądzą z powodu tego, jakie uczucia zostały wywołane wspomnieniami (to była prawda). Poza kontrolą. Czowała się nieswojo z mimowolną reakcją ciała, kiedy wyobrażała sobie jego twarz zbliżającą się do jej twarzy, silne ramiona, którymi ją przyszpilał, gdy się śmiali, i niemalże mogła poczuć jego zapach, taki, jakim go zapamiętała. Mieszankę czegoś przyjemnego z czymś męskim oraz cierpkim.

Przymknęła oczy, rozdział pisał się dalej sam w jej myślach, gdy znów przez nos zaczerpnęła powietrza głęboko do płuc, poniekąd spodziewając się, że poczuje tamten zapach. Tamten zapach stanowił prawdziwy powód, dla którego musiała prosić Dolly, by tankowała samochód na stacji benzynowej. Ponieważ nie mogła przebywać w pobliżu tamtego zapachu. Jednak gdy oddychała, siedząc przed toaletką w sypialni dzielonej z dobrze wychowanym, chrapiącym mężem, czuła tylko woń kremu nawilżającego.

„Ten głupi, ordynarnie podpity Święty Mikołaj, zagrażający niewinności cudownej diatwy Wooster i kalający kwintesencję idei i ducha świąt Bożego Narodzenia. Jezus Chrystus nie przyszedł na świat w żłobie w pełnej słomy stajence Betlejem, żeby jakiś brudny, pijany włóczęga mógł siać zamęt w dziale z zabawkami u Freedlandera i bezcześcić świętość wyjątkowego dnia naszego Pana i Zbawiciela”.

To opowiedziała wszystkim przyjaciółkom. I to sprawiło, że wyleciał z pracy. Wooster było JEJ miasteczkiem, a on miał prawdziwy tupet, żeby pokazywać się i przynosić ze sobą tamten zapach. By jej dokuczyć, by ją dręczyć, by jej przypomnieć.

Lecz wszystko to rozegrało się w bardzo, bardzo odległej przeszłości, teraz była panią Millerową i miała solidne oparcie w najznamienitszych kręgach Wooster w stanie Ohio. Gdyby Charles kiedykolwiek zapomniał o tym, gdyby kiedykolwiek zwątpił w ich branie za pewnik małżeństwo, ich dzieci, ich idealne wspólne życie... Gdyby choć raz w życiu postanowił pójść na zwiady, sprawdzić wody w którymś basenie, jak Farley Dean czy któryś z pozostałych... Jeszcze raz spojrzała na już pogrążony we śnie pagórek i była prawie stuprocentowo pewna, że nie zrobiłby tego.

Ale gdyby zrobił... Zmrużyła oczy na widok własnego odbicia w lustrze, i wpatrując się w siebie jak złowieszka japońska gejsza w jednym z tych strasznych filmów, które zwykli pokazywać w, och, jak się nazywało tamto kino? Nieważne. Gdyby Charles Miller kiedykolwiek okrył rodzinę wstydem, jej ojciec zająłby się tym szybciej, niż człowiek zdoła wypowiedzieć „córeczka tatusia”.

Nie przyszło Betty do głowy, by zastanawiać się nad odpowiedzią na pytanie: „Jak dobrze w ogóle znała własnego ojca?”.

Rozdział 25

Charlotte Dalton dowiedziała się o swoim ojcu ciut więcej, niż pragnęła, i w poniedziałek po wydrukowaniu artykułu w gazecie nie chciała wstać z łóżka. I kto by ją za to winił? Vivian otworzyła drzwi do pokoju córki i zobaczyła kształt ze ściśle naciągniętą na jego głowę kwiecistą narzutą.

– Charlotte? – Vivian rozejrzała się po pokoju pogrążonym w bałaganie. Ubrania leżały rozrzucone na podłodze, wisiały na krześle, z rękawów wystawały płyty gramofonowe, wszędzie walały się książki.

– Ummm.

– Nie idziesz dziś do szkoły? Jest Dzień Świstaka. – Tu zdobyła się na niezbyt przekonującą próbę wydania z siebie piskliwych odgłosów, które, jak sądziła, mogły brzmieć jak świstak, ale ze strony tobołka nie padła żadna odpowiedź.

– Charlotte! – zawołała śpiewnie Vivian. – Jeśli nie wstaniesz, czeka cię jeszcze półtora miesiąca zimy.

Żadnej reakcji.

– W takim razie dobrze. – Vivian spuściła z tonu i wróciła do normalnego, ponieważ to nie była jej wina, że cała rodzina znajdowała się w rozsypce, i nie miała czasu, żeby stawać na rzęsach i bawić Charlotte. – Zadzwońię do nauczycieli i powiem im, że jesteś chora.

Spod narzuty dobyło się kolejne burknięcie.

– A skoro zostajesz w domu, to masz posprzątać swój pokój.

Gniew Vivian miał osobisty i intymny charakter, ale teraz, kiedy historia wyszła na jaw, stopniał i lekko się schłodził do stwardniałej skorupy wstydu i upokorzenia. Nie mogła pozwolić, by całe Wooster widziało w niej wściekłą żonę (i to świeżo poślubioną!), ponieważ oznaczałoby to, że wcale nie dowiedziała się o pierwszym małżeństwie Edwarda przed wszystkimi. Dopilnowała, by Harry Sweeney wyraził się cholernie jasno w artykule, że o wszystkim wiedziała. „Znam się na ludziach”.

Vivian, choć bardzo tego pragnęła, nie mogła zwinąć się w kłębek pod kołdrą i nie wychodzić z łóżka jak Charlotte. Nie była już dzieckiem. Nagotowała płatków owsianych, postawiła jedną miskę przed Edwardem, drugą przed sobą. Zjedli owsiankę w milczeniu, para nowożeńców: Edward z nosem w gazecie, Vivian wciąż kręcąca nosem z rozdrażnieniem.

Gdy stała na podłodze łazienki wyłożonej płytkami, trzymając sztuczną szczękę w dłoni i myjąc ją szczoteczką do zębów, zafundowała sobie krótką mowę motywacyjną. „Damy sobie radę, wszystko będzie dobrze”. Po włożeniu protezy i osuszeniu warg ręcznikiem do rąk musnęła usta szminką w barwie „Ognia i lodu” i posłała wymuszonego całusa odbiciu w lustrze. Następnie zeszła po trzynastu

schodach do przedpokoju i podeszła do szafy, którą Edward zostawił otwartą w pośpiechu, by wyjść z domu przed Vivian, i zdjęła wełniany płaszcz z wieszaka. Zapięła guziki przed wyjściem, przekrzywiła rondo kapelusza od Beulah Bechtel w paryskim błękitcie i trzymała głowę wysoko, kiedy szła do pracy. Niech Bóg ma w swojej opiece pierwszą dziwkę, która pośle jej po drodze litościwe spojrzenie, ponieważ Vivian Dalton nie była dziś w nastroju.

Charlotte nie zwracała uwagi na burczenie w brzuchu, aż dwukrotnie usłyszała zamykanie drzwi. Pierwszy był ojciec, który wychodził do pracy, druga matka. Ojciec zdążył już wyjść z domu, drugie zamknięcie drzwi było ledwie delikatnym przymknięciem. Przez drugą połowę grudnia i cały styczeń, jeśli matka wychodziła do pracy pierwsza, trzaskała drzwiami tak gwałtownie, że huk niósł się po domu, farba odchodziła od framugi, szyby w oknach drżały i klekotały w skrzydłach okiennych, i Charlotte w końcu wiedziała dlaczego.

Dwa posmarowane masłem tosty i duża szklanka soku pomarańczowego uspokoiły burczący brzuch i dodały jej trochę energii do stawienia czoła światu. Zerknęła na słoik wypełniony po brzegi ciasteczkami wedle receptury Nestlé z kawałkami czekolady Tollhouse, które wczoraj upiekła matka. „Pieczenie mnie uspokaja!” Z jakiegoś powodu zrobiła je z kawałkami toffi, nie czekolady, co skłoniło Charlotte do namysłu, czy rząd niespodziewanie zaczął reglamentować czekoladę. Nie widziała jej ani nie czuła jej zapachu w domu od długich tygodni.

Charlotte ważyła w myślach ilość przysmaków, które powstały w małej kuchni Daltonów przez minione półtora miesiąca. Matka wykorzystała każdy przepis z arsenału przynajmniej dwukrotnie. Ciasteczka Nestlé, ciasteczka z kwaśną śmietaną, siedmiowarstwowe batoniki, ciastka z masłem orzechowym w kratkę zaznaczoną widelcem oraz bożonarodzeniowe keksy. Zrobiła też boskie krówki, ale przed Gwiazdką i Charlotte na próżno zachodziła w głowę, czy to też się liczyło.

Podsumowując, w kuchni odchodziło sporo „uspokajania”, które – jak orzekłaby Charlotte – było bardziej smaczne niż skuteczne. Matce daleko było do osiągnięcia spokoju ducha.

Lewą ręką przesuwając po poręczy, a prawą otrzepując z ust okruchy ciasteczek, Charlotte poczłapała z powrotem do łazienki na piętrze. Jej odbicie w lustrze tępo się w nią wgapiało, gdy prowadziła szczoteczkę po zębach starannymi łukami. „Tak właśnie wygląda łajdak. Łaaaaajdaaaak, łaaaaajdaaaak”. Gmerała włosiem szczoteczki pomiędzy zębami, próbując wydłubać kawałki orzechów włoskich. „To nim naprawdę jesteś, ale powinienes przestać się nad sobą użalać, łajdaku”. W kółko powtarzała wyraz „łajdak” w myślach, gdy przepłukiwała wodą usta po myciu zębów, a im więcej o tym myślała, tym bardziej znaczenie słów się rozmywało.

Zawędrowała do pokoju rodziców i wpatrywała się w łóżko, w białą narzutę z szenili, idealnie naciągniętą na pościel, tak samo jak ściągnięte były wargi jej matki w uśmiechu, który pokazywała wszystkim od grudnia. W tym przerażającym, wąskim, wściekłym uśmiechu marki Revlon w odcieniu „Ognia i lodu”.

Charlotte podniosła sztyft szminki z toaletki i powiodła nim po ustach. Był to

jasny róż, matka już go nie używała. „Szampański róż”, głosiła wyblakła etykieta. Otworzyła szafę i delikatnie przebiegła palcami po sukienkach i koszulach na wieszakach, wyzwalając tym samym zapach perfum matki, który krył się pomiędzy rzeczami. Konwalia. Uklękła i wyciągnęła pudła z trzech par starannie ułożonych w rzędek butów. Pudełka pełne były rodzinnych fotografii. Charlotte na podwórku, ubrana w falbaniastą sukienkę, z wielkanocnym kapeluszem na głowie i uśmiechem na ustach. Charlotte i matka obok wysokich słoneczników w ogrodzie. Mama i tata na nabrzeżu zatoki Little Sodus w kostiumach kąpielowych, z uśmiechami na ustach. Mama i tata stoją obok jego starego forda model A, z uśmiechami na ustach. Uśmiech, uśmiech, uśmiech. Pozory zawsze były dla Vivian Dalton najważniejsze. Charlotte zdziwiła się, że matka pozwoliła jej dziś zostać w domu. Zgadzała się tylko wtedy, gdy Charlotte rzeczywiście chorowała. Nie chciała, by ludzie zastanawiali się, co jest nie tak z córką, gdyby zbyt często opuszczała szkołę albo nieobecność przedłużała się do kilku dni z rzędu. Pozory były dla niej wszystkim. To, jak ludzie postrzegają jej rodzinę. JEJ rodzinę.

Charlotte zerwała wieczko pudła z kapeluszem, które leżało na dnie szafy, i w środku zamiast nakrycia głowy znalazła do połowy wypaloną paczkę lucky strike'ów i brązowy notesik. Usiadła po turecku, wysunęła papierosa z paczki i włożyła go do ust. Nie smakował dobrze, ale podobało jej się, jak się z nim czuła. Drugiego papierosa wetknęła sobie za ucho i otworzyła notes na pierwszej stronie. Pusto. Przerzuciła drugą kartkę, też pustą. Tak samo jak kolejna strona i następna. Pochyliła się i wertowała szybciej, aż natrafiła na zaznaczoną kartę. Pierwsze pięćdziesiąt kartek notesiku pozostawało pustymi, a potem, gdy matka zaczęła pisać na pięćdziesiątej pierwszej stronie, wyglądało to na zapiski z historii rodzinnej. Konkrety. Daty urodzin, ślubu i zgonu rodziców, dziadków, ciotek i wujków. O niektórych osobach Charlotte nigdy nie słyszała. Przebiegła wzrokiem po zebranych informacjach i przewracała kolejne kartki, aż znalazła to:

29 zapytań

Kościół

Syracuse

Zjednoczony Kościół Metodystyczny

Ulica Jamesa 3027, Syracuse, Nowy Jork

**Kościół Kongregacyjny Plymouth*

Ulica 232 East Onondaga, Syracuse

Księgi z 14 września 1922 roku wykazują wiernych: George'a i Letty Daltonów zamieszkałych przy ulicy West Yates 224, Syracuse.

George i Letty Daltonowie. Dziadkowie Charlotte, których matka nienawidziła.

Brak jakiegokolwiek wzmianki o kościelnej przynależności Edwarda G. Daltona (a także Johna Edwarda)

Brakuje też pani Mildred Fischer Dalton!

Matka napisała dwadzieścia dziewięć listów do kościołów w okolicy Syracuse. Papieros wypadł Charlotte z ust, zagwizdała cicho i schowała nogi pod siebie,

pochylając się na kolanach do przodu i czołem muskając kołnierzyki koszul taty. Zaczynały ją od tego żmudnego rozczytywania notesu boleć oczy, ale nie mogła przestać.

Notatki nie dotyczyły tylko przeprowadzanego śledztwa oraz rodzinnej historii, choć znalazł się w nich dział zatytułowany „Geneologia”, który – jak zauważyła Charlotte – zawierał literówkę. Poniżej danych demograficznych rodziny, pod adresami kościołów oraz przepisаныmi prawnymi zawiadomieniami i szczegółami dotyczącymi ubezpieczenia na życie, znajdowała się garść cytatów takich jak:

*Miłość jest symbolem wieczności;
zacierą ona wszelkie pojęcie czasu;
wygasa wspomnienie początku
i tłumi lęk przed końcem.
Madame de Staël*

Potem następowały długie strony, na których matka zapisywała tytuły znanych piosenek z dawnych czasów.

1924
„Yes Sir, That’s My Baby”
„It’s Three O’Clock in the Morning”
„No One but You”
„Margie”

Było ich więcej. Znalazła się też strona za 1925 rok, jedna za 1926 i tak aż do 1934 roku (choć w tym roku zanotowano tylko jedną piosenkę: *Stars Fell on Alabama*). W rogach niektórych kartek nasmarowano dziwaczne przypadkowe fakty.

Slang: „Twój stary”, Wynalezienie przenośnego radia, a także ogrzewania samochodowego!

Charlotte wyrwała się salwa śmiechu, gdy przeczytała o „ogrzewaniu samochodowym!”, ponieważ brzmiało to tak absurdalnie. I po co ten znak wykrzyknienia? Skoro już mowa o znakach, to czego znakiem było to wszystko? Czy matka przeżywała młodość na nowo? Stare, dobre czasy, zanim poznała tatę? Czy ubolewała nad stratą miłości łączącej ją z tatą? Czy próbowała odtworzyć przebieg związku miłosego między nim a jego pierwszą żoną? Jeśli taka osoba w ogóle istniała?

Charlotte poczuła, jak zalewa ją fala mdłości, tak jakby właśnie zjadła całą blachę ciasteczek Nestlé z kawałkami czekolady Tollhouse za jednym posiedzeniem. Lekko zebrało ją na wymioty na wspomnienie siedmiowarstwowych batoników w muszli toalety po tym, jak matka przekazała jej wieści. Odłożyła notes na dywanik na dnie szafy. Było jej niedobrze. Martwiła się, że matka jest chora. Cały czas wyglądała na zmęczoną, jakby nie spała od roku, a teraz paliła i pisała w sekretnym szalonym brązowym notesiku.

„Czemu moja rodzina nie może być normalna? Jak w *Przygodach Ozziego i Harriet?* Albo *Mojej małej Margie?*”

Brązowy notesik był jak okno na myśli matki, a im głębiej Charlotte się wczytywała, tym bardziej chciała owo okno szczelnie zasłonić. Zaciągnąć mocno zasłony i wszyć zamek błyskawiczny, który mogłaby zapiąć. Ze strony na stronę obserwowała zmianę zachowania matki. Charakter pisma zdradzał stan umysłu. Kiedy mama pisała kursywą, jej pismo było doprawdy śliczne. Miała piękny, płynny styl pisania, nawet jeśli nie wszystko zapisywała poprawnie. Ale córka widziała w zmianie z kursywy na drukowane litery złość wyczerniającą ze stronic zapisków. Kipiące zapalczywością akapity okraszono agresywnymi znakami interpunkcyjnymi zapisanymi piórem w sposób prawie przedzierający kartkę. Wykrzykniki i podkreślone wyrazy wypełniały wersy tuż przed jej oczami, gdy wczytywała się w szczegóły tego, co z początku nie wyglądało na nic specjalnego, ale najwyraźniej nie było „niczym” w oczach matki.

List datowany na 27 stycznia 1953 roku od kancelarii Leahy, Mills, Vickery i Ahern potwierdza, że sporządzający (w tej roli występuje podpisany tu pan Ahern) nie dysponuje żadnym dowodem ani wiedzą o jakimkolwiek wniosku o wszczęcie postępowania unieważniającego małżeństwo ani postępowania rozwodowego, które rzekomo rozważał Edward George Dalton lub John Edward Dalton. Sporządzający nie posiada też żadnego dowodu ani wiedzy, jakoby podobny wniosek złożyli Mildred Rose Fischer Dalton czy też ojciec pana młodego, pan George W. Dalton. Sporządzający dodał, że obsługiwał prawnie obu mężczyzn, od 1922 roku poczynając.

Matka niedawno pożyczyła słownik. Może szukała definicji „rozważać”. Charlotte przez ostatnich kilka dni często oddawała się rozważaniom. Rozważała rodzinny skandal, rozważała, jak by tu nigdy nie wracać do liceum, rozważała szanse na ukończenie szkoły, gdyby nigdy już do niej nie wróciła. Gdzie ma się udać ten, kto chce uciec przed czujnym okiem kontroli społecznej i pogardy miasteczka? Zastanawiała się, gdzie zniknęli Gilbert Ogden i Flora Parker, czy nadal trudnili się rabowaniem banków i czy nie potrzebowali młodej, pracowitej współpracownicy. Charlotte zachodziła w głowę, co mogło skłonić człowieka do napaści na bank, gdy odkładała paczkę lucky strike’ów i brązowy notesik do pudła po kapeluszu, i zauważyła kopertę z pieniędzmi przyklejoną pod spodem pokrywki.

Rozdział 26

Dolary amerykańskie na dolary kanadyjskie. Gilbert Ogden pilnie śledził wahania kursu wymiany walut i tak zarządzał wycieczkami do banku, żeby zmaksymalizować zyski. Nigdy nie bywał dwa razy w tej samej placówce. Priorytetem jego i Flory – rabusiów bankowych, którzy wzięli nogi za pas – było unikanie podejrzeń. Zarówno wmieszanie się w sąsiedztwo w Toronto, jak i trzymanie się od niego na dystans stanowiły kolejne punkty na liście spraw nadrzędnych.

Sporo czasu przesiadywali w oknie na parterze, tuż za ciężką szkarłatną zasłoną z adamaszku, obserwując przechadzających się w tę i z powrotem sąsiadów, notując ich zwyczaje, a potem decydowali się na wyjście z domu o najspokojniejszej porze.

– Czy ktoś mieszka w tym dużym domu? – Mógłby spytać gość odwiedzający sąsiadów.

– Cóż – odparliby sąsiedzi – jeszcze nikogo nie widzieliśmy, ale zwykle z komina dobywa się dym.

Flora kupiła kilka francuskojęzycznych książek z księgarni oddalonej o kilka budynków od trzeciego banku, który Gilbert odwiedził w celu wymiany pieniędzy. Lubiła związać się w kłębek na wyściełanym fotelu przy kominku i czytać.

– Tak jak mieli w zwyczaju Bonnie i Clyde – mawiała do Gilberta, czemu towarzyszyło najpierw szybkie skiniecie głową, a potem śmiech.

Flora Parker i Gilbert Ogden musieli być najnudniejszymi wyjętymi spod prawa w historii. Grali w scrabble i szachy, czytali Czechowa i Austen oraz ćwiczyli wymowę *bonjour* i *au revoir*, na wszelki wypadek.

Flora czytała dobre opinie o Quebecu. Gdyby zrobiło się dla nich zbyt niebezpiecznie w Toronto, gdyby pojawiły się podejrzania co do miłych, cichych i, zdawałoby się, niewidzialnych ludzi, którzy wprowadzili się do sąsiedztwa kilka miesięcy temu, mogliby przenieść się bardziej na północ, „Ale nie do Montrealu” – pomyślała Flora. „Za duży”. Kierunek północny byłby zapewne ich jedyną szansą. Teraz nie mogli już zawrócić. Flora obwieściła szach-mat po dwóch godzinach intensywnej rozgrywki, Gilbert westchnął i rozparł się na krześle, przecierając szkła okularów chusteczką i kręcąc przecząco głową.

– To jasne, że oszukujesz – powiedział. – Tylko jeszcze cię nie przejrzałem.

Jak dotąd jej nie pokonał.

– Cała ja – przyznała Flora. – Wielka oszustka. Próbuję cię tylko wyćwiczyć w sztuce przegrywania. Jesteś taki dziecinny, kiedy przegrywasz.

Gilbert wetknął znów chustkę do kieszonki na piersi i przez chwilę rozmyślał, po czym posłał jej zagadkowe spojrzenie.

– Czemu nie mieliście z Billem dzieci?

Wyraz twarzy Flory zmienił się, przepadł impertynencki uśmiech od ucha do ucha przynależny zwyciężczyni gry w szachy, prawdopodobnie oszukującej. Wszystkie mięśnie, dotychczas podtrzymujące uśmiezek, zwiotczały, dołeczki zupełnie zniknęły. Chwyciła królową i przewróciła pionek, po czym patrzyła, jak kula się w tę i we w tę po wypolerowanej powierzchni szachownicy. Minęła cała minuta, zanim się odezwała.

– Staraliśmy się.

Gilbert nic nie powiedział, ale prędko dźwignął się z fotela i podszedł do niej. Stał za nią i delikatnie ją objął, pochylając czoło tak, że dotknął nim czubka jej głowy.

– Tak mi przykro – szepnął.

Flora pozwoliła, by kilka łez popłynęło jej po policzkach, po czym otarła je wierzchem dłoni. Nigdy się nie rozklejała. Wszystko w końcu się ułożyło, a ona nie zgadzała się, by przeszłość to zrujnowała. Wspólnie dokonali niemożliwego i zdołali zniknąć z Wooster bez śladu. Gilbert i Flora byli teraz niezależni, zabezpieczeni finansowo i wdzięczni, że żadne z nich nie musiało martwić się o pieniądze ani na nie harować, ani też cierpieć drobnych upokorzeń ze strony nieokrzesanych, niegodnych głupców.

Osiągnęli przecież jeszcze wspanialszy cel przez potajemne, starannie przeprowadzone wyłudzenie z Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne’a. Gazety nigdy się nie domyśliły, w jaki sposób, i prawdopodobnie nigdy na to nie wpadną. Było to coś, co od zawsze tkwiło Gilbertowi i Florze z tyłu głowy, skrawek prawdy pogrążony w ciszy i spokoju, tak jak oni w czułych chwilach, jakie dzielili przy szachownicy. Dokładnie w tym momencie mąż Flory, Bill Parker, ten gniewny Bill Parker od dubeltówki i śladów opon wypalonych na asfalcie, stanął w drzwiach.

Rozdział 27

Bill Parker poznał Florę Jacobs w Nowym Jorku wkrótce po wielkiej depresji, w usłanej trocinami salce w podziemiu, za kulisami, gdzie madame Ososki prowadziła zajęcia teatralne w poniedziałkowe i środowe poranki. Bill zakochał się we Florze od pierwszego wejrzenia, tak samo miał z wieloma innymi kobietami. Ale powtarzał sobie, że tym razem jest inaczej. Wmawiał to sobie za każdym razem. Flora z gładką cerą, nienachalną elegancją i wyrazistymi dołeczkami w policzkach, które pojawiały się wraz z uśmiechem oraz gdy przybierała „pełną dezaprobaty minę”, jak mówił Bill. Chociaż akurat tę zachowywała głównie na czas gry aktorskiej. Przynajmniej on był przekonany, że ten wyraz twarzy zarezerwowany jest dla aktorstwa. Tak, Flora była inna. Flora była stworzona dla Billa. Tym razem miał pewność prawie na osiemdziesiąt procent. W każdym razie co najmniej siedemdziesiąt pięć procent. Trudno go winić. Przecież z aktorkami nigdy nic nie wiadomo.

Flora wcale nie zwracała uwagi na Billa Parkera, chyba że mieli odgrywać wspólne sceny, wówczas posyłała mu uprzejme uśmiechy, po czym zatapiała się w wykreowaną postać. Na zajęcia przychodziło około trzydziestu osób i choć było może dwoje innych dziewcząt, za którymi Bill mógłby szaleć, jak sądził (a może trzy, dobrze, może trzy, choć Rita nie zawsze przychodziła), to zawsze się wrywał do odgrywania sceny z Florą.

W latach następujących po kryzysie wielu aktorów z branży teatralnej wyruszyło na zachód, szukając szczęścia i szmału w Hollywood, jednak niektórzy pełni dobrej myśli zapaleńcy wciąż udawali się do Nowego Jorku, żeby zaistnieć na deskach scenicznych. Niektóre teatry na Broadwayu obniżyły ceny biletów aż o trzy czwarte, pragnąc dalej przyciągać tłumy, a stały repertuar odgrywano po całym Theater District, by aktorzy i reżyserzy mieli zajęcie. Bill i Flora stawali twarzą w twarz albo przynajmniej patrzyli na siebie nawzajem przez dwa poranki w tygodniu podczas zajęć i z czasem (po dwudziestu czterech spotkaniach, ściśle rzecz ujmując, jak wyliczył Bill) się zaprzyjaźnili.

Flora, tak jak on, była z małej miejsciny i przyjechała do miasta mniej więcej w tym samym czasie. „Też jesteś z Nebraski?” – spytał ją Bill. „Nebraska” – to było miejsce, skąd pochodzili wszyscy małomiasteczkowi studenci, jak upierała się madame Ososki. Jej pierwszy małomiasteczkowy uczeń przyjechał z Nebraski, może z Broken Bow albo Wahoo czy Ogallali, ale madame Ososki była stanowczo zbyt zajęta i zbyt kreatywna, by zaprzętać sobie głowę pomniejszymi szczegółami, więc nieborak po prostu był „z Nebraski”. W ten sam sposób adeptci z Los Angeles czy San Francisco byli po prostu „z Kalifornii”. Ale Nebraska zajmowała specjalne miejsce w sercu madame Ososki z uwagi na tamtego studenta, poza tym rozkoszowała się

wymową słowa „Nebraska!” z romantycznym, dźwięcznym „r” oraz ciętym jak brzytwa „ska!”. Zatem trupa teatralna madame Ososki niezmiennie składała się ze studentów z Nowego Jorku, Chicago, Kalifornii lub Nebraski, i nikt nie śmiał się o to z nią kłócić.

Zarówno Bill, jak i Flora mieli lepsze i gorsze chwile, szukając sukcesu na scenie przez półtora roku, które spędzili w mieście. Bill poszedł zobaczyć Florę, kiedy grała Kota z Cheshire w niszowym spektaklu *Alicji z Krainy Czarów*, a ona znalazła się wśród publiczności oglądającej Billa w kilku tracących na popularności wodewilowych produkcjach, na które się załapał. Urodził się do tej roli ze swoją słabą, tyczkowatą posturą i plastyczną twarzą, i zebrał od niektórych pochwały za występy w slapstickowych komediach. Ale nie od madame Ososki. Ona pogardzała wodewilami.

– Słowa, panie Parker! – wrzeszczała, podnosząc rękę w powietrze. – To słowa tworzą przedstawienie!

Bill nie zgadzał się z nią, ale nie zrezygnował z zajęć, bo przychodziła na nie Flora.

Dawała mu się zapraszać na posiłki w klubie aktora, ponieważ były za darmo. Restauracja oferowała darmowe jedzenie tym, których nie było na nie stać, a Billa przeważnie nie było stać. Nie chadzał tam wielki świat, ale dania były gorące i jako że nic nie kosztowały, Flora nie czuła się zobowiązana. Poza tym łączyły ich wspólne lunchy i spacerunki po Central Parku i Bill w końcu przyznał się Florze, że nie był pewien, czy dobrze zrobił, przeprowadzając się do Nowego Jorku.

– Czuję się o wiele bardziej sobą w mniejszym mieście – powiedział.

– Ja też – odparła Flora i wtedy właśnie wiedział, że to na pewno ona jest tą jedyną i z miejsca zapomniał o tamtych trzech czy czterech innych dziewczynach. I tak nie brał ich na poważnie. Nigdy nie zabrał ich do klubu aktora. A kiedy Flora opowiedziała mu historie z dzieciństwa na prowincji i wyznała, że ona także czasami zastanawia się, czy nie popełniła błędu, sprowadzając się do dużego miasta, on poczuł coś prawdziwego. Jakby smukłe palce delikatnie zacisnęły się na bijącym sercu.

Flora w końcu dała sobie przyzwolenie, by cieszyć się uwagą poświęcaną jej przez Billa, po czterech miesiącach oczywistych pochlebstw i dopiero po tym, jak przestał schlebiać pozostałym pięciu dziewczętom z zajęć aktorskich. Nie uszło to uwadze Flory, która chmurzyła się tak, aż dołeczki wciskały się w jej policzki, kiedy puszczał oczko lub poruszał brwiami w górę i w dół do dziewczyn w pomieszczeniu. Brak zaufania do mężczyzn, zwłaszcza do białych mężczyzn, zaszczepiła w niej od najmłodszych lat matka. Wyniosła naukę, którą wszystkie czarnoskóre dziewczynki wnoszą od matek, lecz jej wygląd gwarantował, że nikt nie odkryje o niej prawdy, o ile sama nie zapragnie jej wyjawić.

– Twoje oczy i włosy – mawiała matka, kręcąc głową z niedowierzaniem za każdym razem, gdy chwyciła piękne, proste pasma, ledwie poddające się kręceniu. – Oszczędzą cię.

Fakt, że Florę „oszczędzono”, wywoływał u niej kłopotliwą mieszaninę ulgi i poczucia winy, które piętrzyły się naprzemiennie niczym góra naleśników, gdy

obserwowała sposób, w jaki świat ją traktował, kontrastujący ze sposobem, w jaki obchodził się z kimś pokroju Lily Carter, przyjaciółki ze szkoły podstawowej, albo Ernestine Brown, sprzątaczką zmywającą mopem podłogi na korytarzach nowojorskiego bloku, gdzie Flora mieszkała. Flora dawała upust emocjonalnemu mętlikowi podczas ćwiczeń aktorskich i gry na scenie.

Podłe słowa wrednego białego sklepikarza, rzucone pod adresem czarnego mężczyzny błagającego o pracę, dotknęły ją bardziej, niż mogłaby każda inna taka przykra sytuacja. Gdy Flora usłyszała wiadomość, pobiegła do zaułka, zwymiotowała za śmietnik i runęła niczym sfrustrowana, szlochająca kłoda. Świat był okrutny. Nazajutrz rano oczy madame Ososki lśniły od łez, wstrzymała oddech i zaplotła ręce pod brodą, gdy oglądała występ Flory.

– Oj! Kak krasiwo!

Chociaż klasa nie rozumiała słów, wszyscy mieli świadomość, że w ustach madame była to największa pochwała, i chociaż Flora nie patrzyła wprost na Billa Parkera, wiedziała, że z podziwu opadła mu szczeka. Sekretna tożsamość Flory, tak czasem nazywała to w myślach, wykształciła w niej przenikliwą świadomość tego, co dzieje się wokół niej.

Flora zwracała uwagę na wszystko i wszystkich, i na tym tle wyróżniała się jedna myśl – że Bill Parker był cierpliwy, otwarty i szczerzy od całej reszty, jaką poznała w Nowym Jorku.

To ona zasugerowała przeprowadzkę. To ona powiedziała:

– Czy nie możemy być razem i spełniać się aktorsko na scenie mniejszego miasteczka? Mniej przytłaczającego, mniej onieśmielającego? Gdzieś, gdzie jest swobodnie i przyjaźnie?

– Na przykład w Nebrasce?

Zaśmiała się, po czym powiedziała:

– A co powiesz na Wooster w Ohio?

Rozdział 28

Nowe wyściełane futerkiem botki Vivian chrzęściły na szaroburym zmrożonym śniegu, gdy szła do pracy. Ruch pieszych, spaliny samochodów i sadza sprawiły, że każdy cal tego, co niegdyś było pięknym, świeżym śniegiem, pokrył się brudem. Charlotte miała bez wątpienia świetny pomysł, żeby zostać dziś chora w domu. Jeśli istnieje coś bardziej ponurego od Wooster w lutym, Vivian chciała wiedzieć, co to takiego. Och, chwilunia. Istniało coś w bardziej przygnębiającego. Jej małżeństwo. Gdyby знаła znaczenie słowa „metafora”, mogłaby porównać woosterski krajobraz pod koniec zimy do własnego małżeństwa. Niegdyś romantyczny, uroczy i roziskrzony związek zestalał i zmienił się w coś posępnego, zwietrzałego i brudnego.

metafora

gr. metaphorá, przeniesienie *lit. jęz.*, figura stylistyczna występująca zwykle w poezji, oparta na skojarzeniu dwóch zjawisk, dostrzeżeniu ich podobieństwa lub innych cech wspólnych i przeniesieniu nazwy jednego zjawiska na drugie: Lodowate spojrzanie. Włos anielski. Powódź kwiatów.; przenośnia.

Nowe buty były realizacją metafory autorstwa Edwarda. Liczył, że będą mogli zacząć od początku po odnowieniu przysięgi małżeńskiej, i wychodził z siebie, by udowodnić Vivian, że jest dla niego ważna i że cała „reszta” to przeszłość. Ta para butów była najdroższa ze wszystkich znajdujących się u Amstera i trafiła do wyprzedazy, jako że sezon zimowy miał się ku końcowi. Edward kupił je Vivian w sobotę. Po południu w dniu ich zaślubin. Drugich. Żałowała tylko, że nie musiał zapłacić ceny przed obniżką.

Vivian trzymała się blisko chodnika i szła wzdłuż budynku, żeby wyminąć Clyde’a Walsha spacerującego ramię w ramię z Ginny Frazier, która musiała w końcu przyjąć od niego zaproszenie do lokalu A&W, a teraz wybrali się na poranną przechadzkę. Cóż, ależ z nich papużki nierozłączki. Vivian oczywiście miała nadzieję, że Clyde nie był skrycie żonaty. Nie zdarzało się to codziennie, ale ona pierwsza by wam powiedziała, że jednak się zdarzało.

Jeśli nauczyła się czegoś po tym, jak skandal zaczął wychodzić na jaw, to tego, jak szybko karcące oko osądu może skupić się na tobie. Cieszyłaby się podziwem i szacunkiem dziewcząt z Bella, jeśli odkryłyby, jaka dobra była w czytaniu ludzi. Jak dobrze ich znała. Ale teraz?

Plotka zaczęła sączyć się po kablach telefonicznych Bella przez dwa tygodnie po podwieczorku u Betty Miller. Nikt nie okazywał okrucieństwa ani otwartej wzdargy, ale chłodna zasłona powściągliwości spowiła centralę. Uśmiechy zostały zastąpione frasobliwymi grymasami i niezręcznym pokaszliwaniem, a teraz, gdy artykuł prasowy

wszystko potwierdził, Vivian miała pewność, że praca stanie się jeszcze bardziej uciążliwa. Zastanawiała się, czy pozostałe dziewczęta sądziły, że jej sytuacja jest zaraźliwa; że jeśli za bardzo się do niej zbliżą, nieszczęście przytrafi się także im. „Nie podchodź za blisko, ona ma bigamię!”

Rozważała także, jak długo to potrwa. Dorothy, Ruth, Laura, Pearl i inne bez wyjątku zachowywały się, jakby Vivian złapała chorobę weneryczną, na litość boską. „Na przykład syfilis”. Telefonistki z Bella uwielbiały soczyste skandale, tylko nie chciały, by rozgrywały się zbyt blisko nich. Vivian myślała, że skoro można było wynaleźć lekarstwo na syfilis, to jakiś mądry naukowiec powinien popracować nad szczepionką na bigamię.

– Cóż, czy nie byłby to niezły ambaras? – Vivian wchodząc do pomieszczenia, usłyszała, jak Ruth Craven wypowiada te słowa do Dorothy.

– Nie wiem, czemu z nim została. – Podśluchała później, jak Dorothy szepcze do Rose Troyer, jednej z nowych pracownic. Dorothy na pewno mówiła o niej.

– I biedna córka! – Doszło do uszu Vivian, jak Laura gruchała do Ruth tym swoim kłiwym, dziecinnym głosem, gdy wracały z przerwy na papierosa.

Wiecie, kto nie zachowywał się tak, jakby Vivian zaraz miała wytrzeć o skórę koleżanek swoje słuchawki i mikrofon wraz z pełnoobjawową małżeńską zarazą? Maria Tomasetti. I co wy na to?

– Vivian, jak się miewasz? – spytała Maria podczas zastoju w pewne późne popołudnie w centrali telefonicznej.

– Och, świetnie, dzięki. – Vivian nie traciła żwawego tonu i zdobyła się na wymuszony uśmiech w kolorze „Ognia i lodu”.

– Naprawdę? Bo jeśli potrzebujesz o czymś porozmawiać, to jestem.

Vivian nie odrywała wzroku od pulpitu, trzymając kciuki, by lampka zaczęła migać.

– Cóż, dziękuję.

– Mężczyźni są głupi, Vivian.

Vivian poczuła drobny skurcz w klatce piersiowej – przynoszący ulgę, wymuszony uśmiech rozluźnił się i zamienił w szczery. Lekko westchnęła, po czym zaświeciła się przed nią lampka. Z wdzięcznością skinęła Marii głową i odnotowała w duchu, że angielski Marii naprawdę ulegał poprawie. Vivian wcisnęła koniec wtyczki w konsolę.

– Numer, poproszę.

W drodze z pracy do domu Vivian rozmyślała o rozmowach telefonicznych, których wysłuchiwała. Jedynymi rozmówcami, jakich rozpoznała, był burmistrz dzwoniący do Dona McAfee’ego, prywatnego detektywa Vivian. Tak o nim teraz myślała, był to jej prywatny detektyw. Musiała ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć: „Witam!” podczas rozmowy, której nie powinna słuchać. Telefon nie był strasznie ciekawy, burmistrz jedynie kazał Donowi „dalej pracować nad przedsięwzięciem”, tak jak do tej pory. Vivian domyśliła się, że „przedsięwzięcie” oznaczało poszukiwanie Gilberta Ogdena i Flory Parker. Zastanawiała się, czy w ogóle jeszcze żyją, a jeśli tak, to czym

się zajmowali, odkąd zbiegli, oraz ile pieniędzy im zostało. Potem myślami prędko przeskoczyła do pudła na kapelusz w szafie.

Minęła sklep u Freedlandera, jak zawsze to robiła, i zajrzała przez okno do działu zabawkowego, jak czasem się jej zdarzało. Zmienili wystawę, na miejsce miniaturowej kuchni z piekarnikiem, lodówką i lalką odzianą w bawełniany fartuszek w kratkę i z tacą plastikowych ciasteczek w rękach pojawił się realistyczny model pociągu z imponującą czarną lokomotywą parową, przedziałami pasażerskimi, wagonami z ładunkiem i brankardem z maleńkim odlewem maszynisty dzierżącego czapkę w paski. Przystanęła i wpatrywała się w kolejkę oraz tyciego maszynistę przez szkło, aż poczuła ostre, bolesne ukłucie w żołądku. Pociągi zawsze przywodziły jej na myśl tatkę.

Czy to, co wyrządził ojciec jej matce, było gorsze? Tamte listy do innych kobiet? Czy było gorsze od tego, co zrobił jej Edward? Ponieważ niepoinformowanie Vivian o pierwszej żonie było równoznaczne z okłamywaniem jej w tym temacie. TAK, TAK BYŁO!

Upokorzenie zaczynała odczuwać jako spadek po matce, jak słabe zęby albo opadające barki. Pierwszą wadę można było z łatwością naprawić, drugą zatuszować wszywanymi w ubranie poduszkami. Jaki był środek zaradczy na upokorzenie? Już rozumiała, dlaczego matka została z tatkiem. Zabawne, z jaką łatwością Vivian wtedy mówiła: „Cóż, ja na pewno odeszłabym od każdego mężczyzny, który zrobiłby mi coś takiego”. Czas potrafi zweryfikować odpowiedzi, prawda? Myśl o zerwaniu więzi rodzinnych była zbyt brutalna. No, a to obrazek dla ciebie. Zrywanie więzi.

Jej brat Will raz pozbawił jedną ze szmacianych lalek Violet ramienia i widać było wypełnienie w środku oraz strzępy materiału sterczące wokół brakującej ręki. Może tak należało teraz spojrzeć na Edwarda. Jak na rękę lalki. Lalka bez niej nie wyglądała dobrze. Może Vivian zdołałaby umieścić stare ramię lalki w małym prowizorycznym temblaku, aż kończyła wyzdrowieje.

Gdy odwróciła się od witryny sklepowej, żeby pójść do domu, znów przysła jej do głowy rozmowa telefoniczna Betty Miller. Do kogo zatelefonowała Betty tamtego wieczoru z informacją o Edwardzie? Kto był wówczas po drugiej stronie słuchawki? Kto odpowiadał za wrzucenie gigantycznego wytrychu w kręcące się biegi życia Vivian?

Nie poznała tamtego głosu, ale wiedziałyby, czyj jest, gdyby usłyszała go ponownie. Szczerze mówiąc, głos nie przywodził na myśl kogoś, kto utrzymywałby przyjacielskie stosunki z Betty i jej kręgiem towarzyskim. Sposób mówienia tamtej kobiety nie był pretensjonalny ani snobistyczny jak u Betty i pozostałych pazerek. Głos pasował bardziej do Ruth Craven, ona odebrała jeszcze marniejsze wykształcenie od Vivian i mówiła jak jedna z dziewczyn gangstera Jimmy'ego Cagneya. Rozmyślanie o nieznanym głosie przysłoniło kolejną warstwę zachmurzeń myśli Vivian, które zaczęły jej ciążyć jak wielka kadź grochówki. Pochmurna zupa grochowa w jej głowie i skręcający, ściskający ból w żołądku. Supeł skrętu i ucisku wraz z tą refleksją zacisnął się ciut mocniej. „Kto wykonał ten przeklęty telefon?”

Rozdział 29

– On zadzwonił do niej czy ona zadzwoniła do niego? – Jeannie Thorson pytała Margie Miller kilka metrów przed Charlotte wracającą ze szkoły do domu.

Pierwszy dzień po powrocie Charlotte do liceum po upokarzającym artykule w prasie był dość zwykły poza kilkoma uniesionymi brwiami, pospieszonymi szeptami i współczującymi potaknięciami głową, które musiała znosić, jednocześnie martwiąc się, co matka zamierza zrobić z tajemną kopertą pełną pieniędzy.

Jeannie Thorson i Margie Miller były uczennicami pierwszej klasy i pazerkami. Charlotte tak naprawdę nie wiedziała lepiej od rodziców, co oznaczał termin „pazerzy”, zdawała sobie jednak sprawę, że mieli na kontach kupę kasy, którą mogli trwonić. Charlotte domyślała się, że dziewczyny najpierw pójdą na shaki do Rexalla. Jako że Charlotte mieszkała na południe od centrum, często szła za nimi, czasami udawała, że też wybiera się na shake’a.

Głosy Jeannie i Margie niosły się na wietrze z południa i choć nie miała zamiaru słuchać, Charlotte słyszała rozmowę tak wyraźnie, jakby tam była. Gadały o Nedzie Bussie i Patty McGrath, Jeannie chciała wiedzieć, kto pierwszy zadzwonił, ale Margie ucięła wątek wzruszeniem ramion i pytaniem: „A kogo to obchodzi?”, po czym zmieniła temat i powiedziała o nowej płycie Eddiego Fishera, jaką miała w planach kupić.

Chociaż ten jeden raz – Charlotte już zdążyła posłuchać najnowszej płyty Eddiego Fishera. W sobotnie popołudnie (w dniu ślubu rodziców) tata zabrał ją do sklepu muzycznego tuż po wizycie u Amstera, gdzie kupił jej nowe oksfordki oraz nowe zimowe botki dla mamy.

– Co powiesz na te? – Chwycił pierwszą parę, którą zobaczył na wystawie, wyglądał tak niezręcznie i nie na miejscu w dziale obuwia damskiego, jak słoń w składzie porcelany.

Charlotte zmarszczyła nos i pokręciła głową na widok tych, a także następnych butów, ale trzecia para była bardzo ładna i wyściełana futerkiem, więc pokazała mu kciuki w górę z drugiego końca sklepu.

Stała obok niego przy kasie, trzymając karton z oksfordkami, gdy wyjmował banknoty z podniszczonego portfela i podawał je ekspedientce.

– Przykro mi, że tak to wszystko wyszło, kochanie – powiedział cicho, kładąc jej rękę na ramieniu. – Naprawdę nawaliłem.

Charlotte przeniosła ciężar ciała z lewej nogi na prawą. Czuła się nieswojo z nietypowym dla taty zmieszaniem i była świadoma spojrzeń z ukosa, które rzucała im ekspedientka, jednocześnie wbijając kod na kasę.

– W porządku, tato – wymamrotała Charlotte, nie chcąc rozmawiać o tym na

środku sklepu obuwniczego przed upudrowaną i ufryzowaną sprzedawczynią. Może tak naprawdę wcale nie miała ochoty o tym rozmawiać.

Charlotte wróciła myślami do teraźniejszości, tymczasem Howie Becker z rykiem przejechał obok hot rodem, trąbiąc głośno albo na Margie i Jeannie, albo tylko dlatego, że Howie lubił trąbić. Z powodu hałasu nie usłyszała, co Margie powiedziała wtedy do Jeannie.

– Czerwieniłabym się jak ruska flaga – usłyszała, jak Jeannie odpowiada, gdy ryk silnika zanikł w oddali. – Już sama plotka była paskudna, a potem jeszcze artykuł w gazecie, uch. Umarłabym ze wstydu.

Charlotte zwolniła kroku, nagle żałując, że została w szkole, by napisać pracę z historii w bibliotece. Wiedziała, że nie rozmawiały już o Nedzie ani Patty, i rumieniec zakradł jej się na policzki.

– Wiem – zgodziła się Margie. – Gdyby coś takiego przytrafiło się mojej rodzinie, posrałabym się w gacie.

Charlotte westchnęła, gdy niewidoczne „posrane gacie” zawisły w powietrzu nad głowami Jeannie i Margie. Zerknęła na tył pięknego, obszytego futrem płaszcza Margie, poniekąd oczekując, że zobaczy klocek spadający na ziemię. Westchnięcie zaalarmowało dziewczyny, że ktoś za nimi jest, a Charlotte chcąc ukryć fakt, że podsłuchiwała, prędko wypuściła z rąk niesioną stertę książek na zbity śnieg.

– O mój Boże, to ona? – usłyszała pytanie Jeannie, słowa były stłumione przez rękawiczkę.

– Cii – Margie syknęła na Jeannie. – Pospiesz się, chodźmy stąd.

Charlotte wstała i otrzepała okładki i rogi książek ze śniegu. Zakłopotanie wywołane tym, że była przedmiotem plotki, prędko zastąpił szok. „Margie!” Charlotte wprost nie mogła uwierzyć, że coś takiego padło z ust Margie. „Posrać się w gacie!” Rety! Charlotte zastanawiała się, czy matka Margie wie, jak jej córka się wysławia. Poszłaby o zakład, że Betty Miller sama mogłaby posrać się w gacie, gdyby to usłyszała. Charlotte próbowała wyobrazić sobie, jak Margie opowiada matce, że „posrałaby się w gacie” z jakiegoś powodu. Ale przecież wszyscy wiedzieli, że rzeczy, które mówi się przyjaciołom, różnią się od rzeczy, które mówi się rodzinie.

Rozdział 30

Vivian powiedziała Edwardowi, że musi wybrać się do Akron, by pobyć z siostrą Verą, która jest chora.

– Z Verą? – Edward spojrzał na Vivian, jakby właśnie oświadczyła, że zamierza spędzić weekend w piekle z szatanem.

– Tak – odparła prosto Vivian. – Z Verą.

Vivian wiedziała, że Edward nie zadzwoni do domu Very, by to sprawdzić, ponieważ nie znosił jej jeszcze bardziej niż Vivian.

– Hmm, co jej jest? – dopytywał.

Vivian nie odpowiedziała, tylko rzuciła mu piorunujące spojrzenie. Widziała dość filmów z Bette Davis, by wiedzieć, że czasem wystarczy samo piorunujące spojrzenie; sprawdzało się w filmach, zwłaszcza gdy Gary Merrill zniknął i robił coś bardzo nie tak. I wiedziała, że jedyny powód, dla którego te spojrzenia działały również u niej, był taki, że Edward musiał czuć się choć trochę winny. Ale winny nie znaczy głupi, i teraz Edward chciał wiedzieć, co dolegało Verze. Vivian przez cały czas planowała podróż w szczegółach, ale zapomniała wymyślić wiarygodną chorobę dla Very; coś, co mogła złapać zwykle silna jak koń pociągowy siostra. „Syfilis”, pomyślała Vivian, po czym stłumiła parsknięcie.

– Cóż, chyba mogę urwać się trochę wcześniej z pracy w czwartek – powiedział Edward.

– Nie ma potrzeby. – Ton Vivian był śmiały. – Jadę sama.

– Co? – Edward w końcu odłożył gazetę i skupił na niej całą uwagę.

– Jadę sama – powtórzyła z dykcją niemal jak u Betty Miller.

Vivian nie czekała na kolejne pytania Edwarda, a wiedziała, że padną. Nigdy nie wyjeżdżała sama autem za miasto. Zaczęła jeździć rodzinnym samochodem bez pytania, kiedy pojechała spotkać się z Donaldem McAfee’em w fabryce czekolady, i Edward ją o to nie wypytywał. Potem powtórzyła rzecz kilka razy. Było to prawie jak wyzwanie. „Rzucam ci wyzwanie, żebyś spytał mnie o zabieranie samochodu, ty skurwysynu. Tylko spróbuj”. Ale z jakiegoś powodu pozwolił jej jeździć ich wozem.

Poszła prosto do swojego pokoju i zaczęła się pakować, zanim straciła nad sobą panowanie. Odkleiła kopertę z pieniędzmi spod wieczka pudełka na kapelusz, gdzie już dawno nie znajdował się kapelusz. Czarne słomiane nakrycie głowy trafiło dziesięć lat temu do Charlotte na przebieranki, a pudło stało się skrytką na różności, wszystko, co chciała ukryć przed Edwardem. Papierosy, brązowy notesik, pieniądze, które zaoszczędziła na wykonanie planu.

Zakładała, że będzie potrzebować może siedemdziesięciu pięciu dolarów na benzynę, jedzenie i przynajmniej dwa noclegi w hotelu. Zaczęła odkładać część

zarobków z Bella do koperty przed świętami Bożego Narodzenia, nie wiedząc, co będzie z nią ani z Charlotte, jeśli pogłoski okażą się prawdziwe. Cóż, pogłoski były prawdą. Edward przyznał się i przeprosił. Nie miał pojęcia – jak twierdził – że małżeństwo w ogóle zawarto zgodnie z prawem.

– Byliśmy młodzi i się zgrywaliśmy – powiedział. Vivian zachodziła w głowę, czy tylko ona ma kiepskie poczucie humoru. W każdym razie Edward w końcu był w pojednawczym nastroju, co Vivian zamierzała w pełni wykorzystać.

pojednać

książk. doprowadzić poróżnionych do zgody; pogodzić: Próbowała pojednać go z matką.

Pojednać zwaśnionych.

fraz. podn. pojednać kogoś z Bogiem: wypowiadać kogoś, zwłaszcza w obliczu śmierci.

Buick wjechał na stację Sunoco powolnym tempem i Vivian mocno wcisnęła czubek nowego wyściełanego futerkiem botka w pedał hamulca, by zatrzymać się za bładoniebieskim lincolnem continental. Sądziła, że o tej godzinie w czwartkowy poranek jej samochód będzie jedynym na stacji benzynowej. W soboty na Sunoco zwykle panował ruch. Kiedy lincoln odjechał, Vivian wrzuciła buicka na luz, podjechała do dystrybutora paliwowego i opuściła szybę w oknie.

– Nalej, proszę, Albercie.

– Jasna sprawa, pani Dalton.

Vivian poniosła szybę w oknie i potarła o siebie dłonie w rękawiczkach, drżąc bardziej z przejęcia i nerwów niż faktycznego chłodu. Robiła to setki razy, tankowała samochód, ale dziś było inaczej. Zawinęła kilka kanapek z pastą szynkową w papier śniadaniowy i zabrała termos z kawą; czuła, że powinna pojechać prosto do celu bez przystanku, zanim będzie miała okazję zmienić zdanie. Podskoczyła na stukanie czyichś knykci w okno po jej stronie. To był tylko Albert. Spuściła znów szybę.

– Wybiera się pani w jakieś wyjątkowe miejsce? – spytał, a ona wyjęła pięć dolarów z portfela.

– Do Akron – skłamała Vivian, znów, z uśmiechem.

– Cóż, proszę jechać ostrożnie! Dużo śniegu zalega tam na drogach!

Dwa tygodnie wcześniej po północnym Ohio szalała potężna śnieżycą, a temperatura wciąż nie przekraczała zera, więc nic się nie roztopiło.

– Dziękuję, Albercie. Miłego dnia.

Albert Hixson był gówniarzem, który próbował zgrywać dobrego chłopaka. Znała ten typ. Rozpływał się w grzecznych uśmiechach i podlizywał dorosłym, a kiedy nikt nie widział, podwędzał paczkę papierosów, pokazywał ci środkowy palec za twoimi plecami i biegł ze swoją przemądrzałą buzią do przyjaciół. Vivian ani trochę nie zdziwiłoby, gdyby koniec końców Albert ożenił się z dwiema czy nawet trzema różnymi kobietami jednocześnie.

Wyprostowała środkowe palce, pozostałymi trzymając kierownicę. Nikogo nie było w pobliżu, ale poczuła się dobrze. Odważnie. Walecznie. Gdy wyjechała z Wooster, rozciągała się przed nią ulica East Bowman, wkrótce skręciła w drogę do Akron. Zawsze prowadził Edward, kiedy wybierali się do Akron, albo latem, kiedy

jechali do Fair Haven, więc Vivian wcisnęła mapy Ohio i Nowego Jorku pod fotel kierowcy przed opuszczeniem garażu.

Droga wyglądała inaczej z perspektywy fotela kierowcy. „Więcej władzy”. Podczas wspólnych wycieczek samochodowych była dobrą nawigatorką, sprawdzała drogę na mapie i obwieszczała zjazdy dużo wcześniej, niż trzeba było. Za to Edward był okropnym pilotem.

Raz i tylko ten jeden raz chciała poprowadzić kawałek w drodze powrotnej z Fair Haven. I dwa razy Edward powiedział: „Zjedź tutaj” po tym, jak minęli zjazd. Za drugim razem zatrzymała się w zwirowanej zatoczce i energicznie przerzuciła bieg do pozycji postojowej. Wysiadła z auta, trzasnęła drzwiami i szarpnęła drzwi Edwarda, otwierając je na oścież tak szybko, że wypadł wprost na żwir.

Vivian prawie wyrównała rachunki, nawet nie próbowała ukrywać uśmiechu, puszczając oczko do Charlotte, zresztą oczy i usta córki na tle tylnej szyby tworzyły trójkąt szoku, którego trzy wierzchołki utworzyły szeroko otwarte oczy i buzia przypominające kształtem litery „O”. Jednak Edward otrzepał się z kurzu, poprawił okulary na nosie i przemaszerował na miejsce kierowcy bez słowa. Później doszła do wniosku, że Edward mógł planować to od początku, za późno poinformować ją o zjeździe i tym samym znów znaleźć się za kółkiem. Ale nieważne.

Ona dobrze nawigowała i była pewna, że świetnie poradzi sobie podczas siedmiogodzinnej podróży w pojedynkę. Drobne obawy o to, jak da sobie radę z ludźmi na drodze bez wsparcia męża, były właśnie takie. Drobne. Przecież znała się na ludziach. Mogłaby się założyć, że Albert Hixson przywłaszczył sobie pieniądze, które przed chwilą dała mu na Sunoco, zamiast odłożyć je do kasy. Znała się na ludziach, to pewne.

„Więc jakim cudem nie poznała się na ludziach (na człowieku) we własnym życiu?” – zastanawiała się, podczas gdy jasnoszare zimowe niebo przenikało się z nieskończonymi, przepastnymi polami zasypanymi śniegiem wzdłuż drogi do Akron. Kobieta, która szczyciła się przenikliwością w poznawaniu się na ludziach i ich charakterach. Ha. A to ci dopiero, prawda? Zastanawiała się, czy byłaby mądrzejsza, gdyby miała okazję skończyć szkołę. Zawsze jej to ciążyło, edukacja, której nie odebrała.

Siedem godzin się dłużyło, a że w aucie nie było do kogo buzi otworzyć, Vivian majstrowała przy radiu, aż szum ustał i rozległa się piosenka; w długich przerwach pomiędzy odbiorem fal radiowych mówiła do siebie, komentując to, co mijała po drodze: samochody, wiejskie domy, przyrodę. Wyglądało na to, że jedynymi przejawami natury o tej porze roku były kruki, które krakały i wzlatywały z trzepotaniem skrzydeł na ogołoczone drzewa okalające zaśnieżoną autostradę.

„Dwadzieścia cztery skrzydlate kosy zapieczone w cieście” – pomyślała Vivian.

O, czegoś takiego jeszcze nie próbowała upiec. Ciasto z kosami. Jadąc kilka mil, rozmyślała o pieczeniu, potem zaczęła cicho podśpiewywać. Kiedy doszło do niej, że w aucie nie ma nikogo, kto kazałby jej się uciszyć, zaśpiewała głośno i donośnie, śmiejąc się z siebie, gdy fałszowała w wyższej tonacji, „moje ramiona mocno biorą cię w objęcia”, i piszczala, a już zdecydowanie trafiała w złe nuty. Jeśli jakiś

samochód mijął jej buicka drugim pasem, pospiesznie zamykała usta i próbowała śpiewać, nie poruszając wargami, jak Edgar Bergen z Charliem McCarthym, ale potem, gdy tylko wóz znalazł się przed nią, wyśpiewała na całe gardło melodię do końca, aż dzwoniło jej w uszach. „I gwiaaaazdy spadły na Alabamę wczooooorajszej noooocy”.

„Nocą i dniiiiieem jesteś jedyna...”

„Dam sobie radę, o ile mam cię przy boku”.

Śpiewała wiele piosenek. Całe mnóstwo piosenek. Kiedy wyczerpał ją śpiew lub gdy słowa zbyt przypominały jej o domu, płakała. Opłakiwała małżeństwo, które sądziła, że miała, i życie, które nie tak się ułożyło.

„Nie mogę ci nic dać, ale kocham cię, kochanie...”

Musiała zatrzymać się tylko raz, kiedy rozszlochała się tak mocno, że leciało jej z nosa i nie mogła dosięgnąć do torebki, która ześlizgnęła się z przedniego fotela pasażera, i wyciągnąć chusteczki. Przystanęła, lecz nie zgasiła silnika. Temperatura na zewnątrz była poniżej zera i Vivian potrzebowała włączonego ogrzewania, poza tym nie chciała ryzykować, że nie uda jej się odpalić samochodu, jeśli silnik zbyt szybko i za bardzo się wychłodzi. Skończyła wydmuchiwać nos, po czym odkręciła termos i wypila kilka solidnych łyków kawy, a następnie odpakowała kanapkę z pastą szynkową.

Lunch przywrócił jej trochę energii. Wyjęła paczkę cukierków Sen-Sen z torebki, otworzyła ją i wysypała garść maleńkich kawałków lukrecji. Gdy żuła, lukrecjowy aromat zakradł się do nozdrzy i kłuł w oczy. Czy to nie zabawne, jak zapach potrafi zmienić nastrój o sto osiemdziesiąt stopni? Zamknęła paczkę, żeby reszta cukierków nie wypadła, i wrzuciła ją z powrotem do torebki, którą odłożyła na fotel pasażerski, po czym ruszyła znów w drogę.

Minęły całe dwie godziny, zanim dopadł ją kolejny napad użalania się nad sobą. Gdy łyzy zaczęły płynąć, sięgnęła do lusterka wstecznego, żeby zobaczyć, czy wygląda naprawdę źle, kiedy płacze. Pewnie mogłaby nad tym popracować – by wyglądać atrakcyjnie podczas płaczu. Musiałaby poćwiczyć. Potem szamotała się prawą dłonią z kłamrą torebki, szukając po omacku sen-senów, jednocześnie lewą ręką manewrując białą kierownicą buicka.

Vivian nigdy nie meldowała się w hotelu na własną rękę. Wraz z Edwardem zatrzymali się w hotelowym pokoju tylko kilka razy przez wszystkie lata małżeństwa (ha!). Edward zawsze zajmował się formalnościami, meldował ich i regulował rachunek, podczas gdy ona stała przy walizkach i sprawdzała makijaż w kompaktowym lusterku. W tamtej chwili czuła na sobie wzrok wszystkich w lobby i nerwowo postawiła kołnierz płaszcz. Przez dociekliwe spojrzenie recepcjonisty pożałowała, że nie ma tu Edwarda.

– Potrzebny mi pokój, proszę pana – powiedziała, próbując nie dopuścić, by głos jej zadrzał.

– Na ile dni?

– Och, ach, dwa, proszę.

– Tylko pani? – spytał recepcjonista dwuznacznym tonem.

To było tak, jakby ten mały dupek Albert Hixson miał dziesięć lat więcej i pracował w recepcji tego przekłętego hotelu. Vivian pragnęła wymyślić ciętą ripostę. Pan przemądrzały musiał poznać swe miejsce w szeregu, lecz zdołała tylko przytaknąć i uniknąć kontaktu wzrokowego. Przesuwając klucz po blacie w jej stronę, pochylił się.

– Cóż, jestem tu, gdyby czegokolwiek pani potrzebowała.

– Niczego od pana nie potrzebuję. – Tym razem jej się udało, zgarnęła klucz, obróciła się na pięcie i ruszyła ku schodom z niewielką walizką w ręce. Gdy dostała się do pokoju, rzuciła walizkę na podłogę, zamknęła za sobą drzwi i przekręciła zamek, po czym rozejrzała się po meblach, żeby wybrać taki, którym będzie mogła zastawić drzwi, a dzięki temu zdoła zasnąć.

Ale to nie koniec. Spała obok Edwarda przez prawie szesnaście lat i wielkie łóżko pod jego nieobecność budziło w niej niepokój. Pościel drapała. Materac się zapadał. Każdy hałas ją zrywał. Mężczyzna z pokoju obok nie przestawał kaszleć od półtorej godziny.

Gdy przeleżała trzy godziny w ciemności, nie zmrúżywszy oka, straciła cierpliwość i ze złością kopnęła w kołdrę. Usiadła i naprężyła się jak struna na łóżku, chwyciła za gruzłowatą poduszkę, wcisnęła w nią twarz i wrzasnęła: „NIECH CIĘ SZLAG, EDWARDZIE!”, a każde stłumione słowo rezonowało przez materiał i wypełnienie kilka sekund. Siła, z jaką krzyczała, usztywniła jej wszystkie mięśnie od pasa w górę, i kiedy w końcu pozwoliła poduszce opaść na podolek, czuła się dość zmęczona. Odłożyła poduchę z powrotem obok głowy, opadła na plecy i od razu zasnęła. Sen był niespokojny. Śniło jej się, że raz jeszcze wyrrywają jej zęby, a ona próbuje je zebrać i wcisnąć sobie z powrotem w dziąsła.

Nazajutrz rano Vivian stanęła na werandzie drewnianego bliźniaka z wykuszami i wyjęła lucky strike'a z paczki. Rzuciła, gdy tylko dowiedziała się, że jest w ciąży i nosi w brzuchu Charlotte, i nie zamierzała znów zaczynać, ale wszystko się zmieniło. Edward nie znosił, gdy paliła. Ale kim on teraz jest, by jego zdanie się liczyło? Kim w ogóle był? Kim był człowiek, za którego wyszła, ten, co ożenił się wcześniej z kimś innym i utrzymywał to w tajemnicy przez szesnaście lat?

„Tylko się zgrywaliśmy. To nie było na poważnie”. Tak brzmiały słowa Edwarda na temat pierwszego małżeństwa, które dzwoniły jej w uszach, gdy stała na werandzie przy ulicy South Salina w East Syracuse w przenikliwie zimny poranek, niestabilnie przytrzymując podkładkę do pisania lewym przedramieniem. Wciąż trzymała papierosa pomiędzy palcami wskazującym a środkowym prawej dłoni, kciukiem naciskając dzwonek do drzwi.

Rozdział 31

Mildred Fischer Dalton Taggart trochę zajęło otwarcie drzwi, gdzieś nieopodal ujadał piesek. „Oczywiście, że jest i pies”. Vivian czuła, że serce lekko jej podskakuje do gardła i zauważyła za prześwitującą firanką w niewielkim oknie na wysokości wzroku niską postać idącą chwiejnym krokiem po korytarzu. Zdążyła wypalić lucky strike’a do samego filtra, zanim postać dokołysała się do wejścia. Prędko zgasiła niedopałek o spód podkładki, wyrzuciła go na górę śniegu, której nie uprzątnięto z werandy, i przykleiła do twarzy triumfalny i oficjalny – przynajmniej taką miała nadzieję – uśmiech, kiedy drzwi się otwały.

– Witam – zaczęła swoim najpogodniejszym tonem.

– Czego chce?

Pierwsza żona Edwarda nie była gruba, jak przewidywała Vivian, ale niska i zwalista w tej kwiecistej podomce, nieporadnie przepasanej w wydętym pasie. Włosy miała pofarbowane na nieprzyjemny czekoladowy kolor, co dodawało jej lat. Vivian już czuła się lepiej, więc nieco bardziej wyprostowała się w obszytym futrem płaszczu i nowych wyściełanych futerkami botkach.

– Nazywam się Shirley Smith, jestem z Urzędu Statystycznego Stanów Zjednoczonych – powiedziała tak, jak ćwiczyła to w kółko dziś rano przed lustrem hotelowej łazienki. Nigdy w życiu nie zrobiła nic podobnego i denerwowała się bardziej, niż gdyby miała wystąpić na scenie Broadwayu i zaśpiewać *Oklahomę!*.

– Urząd Statystyczny – powtórzyła Mildred, patrząc to prosto w oczy Vivian, to na podkładkę. – Już byli.

– Tak – potwierdziła Vivian. – Litości, ależ z nas utrapienie! Jednak mieliśmy mały pożar, który zniszczył akta z lat pięćdziesiątych z tej okolicy. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Musimy odnowić dokumentację. Mam tylko kilka pytań, jeśli to pani nie przeszkadza. Może pani zapali?

– Byle szybko. – Mildred zamaszystym ruchem otworzyła na oścież drzwi z moskitierą, żeby mogła wyjść na werandę, a piesek zdołał wybiec.

Mildred wyciągnęła rękę po papierosa, gdy Vivian sapnęła i zakręciła się wokół własnej osi, by sprawdzić, gdzie pobiegł pies. „Na ulicę”, pisnął głos paranoi w jej głowie. Kiedy się odkręciła, odczytała z wyrazu twarzy Mildred, że zdecydowanie nie dostanie zaproszenia do domu, wywiad odbędzie się tu, na werandzie, w zimnie, tak szybko i w tak wrogiej atmosferze, jak tylko się da. Vivian była rozdarta, po trochu przyprawiało ją o zawrót głowy, że Mildred kupiła jej historyjkę, a trochę bała się cholernego pupilka, który, w przeciwieństwie do biednego Piechura, bezpiecznie został na werandzie i aktualnie kopał w stertach brudnego śniegu. Zauważyła, że głos Mildred różnił się od tego, który usłyszała tamtego wieczoru w rozmowie

telefonicznej Betty Miller. Przynajmniej na to jedno pytanie uzyskała odpowiedź.

Lustrowała cerę Mildred, jednocześnie odpalając jej papierosa zapalniczką, choć ręka odrobinę jej drżała. „Ziemista i nierówna” – pomyślała. Nie mogła też uwierzyć, że jakakolwiek gospodyni mogła otworzyć drzwi bez szminki na ustach. Mildred zaciągnęła się, po czym odchyliła od zapalniczki, zmrużyła oczy, badawczo przyglądając się Vivian. Potem obserwację przeprowadził pies. Okrążał ją niczym mały kudłaty werandowy wilk, obwąchując wilgotnym nosem i ocierając się o jej kostki. „NIE!” – wrzasnęła Vivian w duchu, na wypadek gdyby pies potrafił czytać w myślach. Nie potrafił. Brudnymi łapami naskoczył na jej spódnicę i nie przerwał obwąchiwania. Gdyby się nie znała, mogłaby przysiąc, że pies się uśmiechał. Prawie odwzajemniła uśmiech. „Była i Mildred, co psa miała, Bingo na imię mu dała”.

– Cóż, dziękuję, że poświęca mi pani czas – powiedziała Vivian, szamocząc się z włożeniem zapalniczki z powrotem do kieszeni i próbując znaleźć cholerny ołówek, którym miała zapisywać odpowiedzi, jednocześnie delikatnie odpychając psa od nogi. B-I-N-G-O. – Spójrzmy tylko.

– Brucie! Przestań się wygłupiać. Poszedł do domu! – warknęła Mildred, przytrzymując otwarte drzwi z moskitierą dla Bruciego.

Vivian głęboko zaczerpnęła powietrza przez nos i pomyślała, że piesek zasługuje na lepsze imię. Brucie? Co to za głupie imię dla psiaka? B-R-U-C-I-E. Nie pasowało do melodii. Nieważne, czy posiadał głupie imię, czy też nie, Brucie posłuchał Mildred i stanął na cztery łapy, a potem puk, puk, puk, wystukał swoją drogę powrotną do domu na brudnych łapiskach, które najpewniej zostawią ślady na jej najlepszej spódnicy. Vivian chwyciła ołówek i wyszarpnęła go z samego środka bałaganu w torebce, po czym na tył podkładki do pisania przewróciła pierwszą stronę notesu, którą celowo zostawiła pustą.

– Mieszkała pani w tym domu w 1950 roku?

– Taa.

– Dobrze, dobrze. Pani imię i nazwisko?

– Mildred Rose Fischer.

Vivian bazgrała ołówkiem, czekając, aż Mildred wypowie jedno lub dwa nazwiska po mężu, ale tego nie zrobiła.

– Mmm hmm, mogłaby pani przeliterować „Fischer”?

– F-I-S-C-H-E-R.

– Dziękuję. Pani czy panna? Jest pani aktualnie mężatką?

– Nie.

– Czy wcześniej była pani w związku małżeńskim?

– Tak.

– Mmm hmm. – Vivian nie sądziła, by mogło jej ująć na sucho pytanie „z kim?” albo o jakiegokolwiek inne szczegóły dotyczące byłych małżeństw Mildred, więc stara, dobra Shirley Smith będzie musiała na tym poprzestać.

– Kto prócz pani mieszka pod tym adresem?

– Tylko ja.

Vivian zapisywała stronę, pochylając głowę. W artykule w „The Daily Record”

wspomniano, że Mildred i jej drugiemu mężowi „urodziła się pociecha”, ponieważ taką informację Edward przekazał Vivian. Zastanawiała się, gdzie teraz była. Chłopiec lub dziewczynka. Dziecko byłoby młodsze od Charlotte. Zamknięty w domu Brucie zaczął znów czekać, zapewne z salonu, Vivian pomyślała, że gdyby Mildred była przyjazną osobką, to wówczas Vivian mogłaby zażartować, że przecież Brucie tu z nią mieszka. Mildred nie była taka, więc Vivian powstrzymała się od żartu.

– A w 1950 roku? Czy ktoś jeszcze był tu wtedy zameldowany?

– Nie. – Mildred zaciągnęła się papierosem, po czym wydmuchała dym ponad głową Vivian. – Mój syn był tu kilka razy, ale właściciel o wszystkim wiedział.

– Ach. – Vivian stężała na wiadomość o synu. – Wszystko w porządku. Nie udostępniamy wyników ankiety właścicielom. Nie na tym polega nasza praca. A więc dzieci. Ile ma pani dzieci?

– Tylko syna. WY SKURWYSYNY! – Mildred przestała zwracać uwagę na Vivian i jej podkładkę do pisania, zajęła się czymś, co działo się po lewej stronie werandy, przebrnęła przez spiętrzony śnieg i wychyliła się przez poręcz. – SPADAJCIE STAĆ!

Vivian podążyła za krzykiem Mildred i zobaczyła domek dla ptaków z karmnikiem umiejscowiony z boku podwórka. Para wiewiórek uciniała sobie małe gadu-gadu i podkradała ptactwu jedzenie, ale rozpierzchła się po wrzaskach Mildred.

– Cholerne szkodniki – bąknęła Mildred, ciężko stąpając, by z powrotem stanąć przed drzwiami z moskitierą; po drodze tupała i otrzepywała śnieg z kostek. Vivian wciąż skupiała się na karmniku.

Znajdował się na szczycie drewnianego słupka, był w kształcie małego domku. Boleśnie ścisnęło ją serce, gdy rozpoznała ręczną robotę Edwarda. Widziała dość przedmiotów powstałych na jego stole warsztatowym, by wiedzieć, że to on wykonał ten domek dla ptaków. Małe zaokrąglone okapy daszku. Forma. Dodał nawet komin, uwielbiał to robić. Domek dla lalek, który zrobił dla Charlotte, miał prawdziwy komin. Tak samo jak ich karmnik na tyłach. „Wygląda jak prawdziwy dom. Ptaki go pokochają!”. „Och, niech cię szlag, Edwardzie”.

– Skończyłyśmy? – Mildred dopaliła papierosa i zaczęła rozgrzewać ramiona dłońmi.

Vivian obejrzała się za siebie, potem znów popatrzyła na podkładkę.

– Ile ma lat?

– Kto ile ma lat?

– Mówiła pani, że ma syna?

– Taa. Nie mieszka ze mną. Co to za różnica, ile ma lat? – Mildred skrzyżowała ręce na piersi i wysunęła brodę, mrużąc jednocześnie oczy.

Vivian pamiętała, że miała być Shirley z Urzędu Statystycznego, i zmusiła się, by nie wychodzić z roli, musiała być ostrożna i zbyt nie ryzykować.

– Tak, ma pani rację. To ważne tylko wtedy, gdy dziecko mieszka w domu. Pytanie weszło mi w krew, przepraszam. Ile pani ma lat?

– Czterdzieści dziewięć.

Cóż, to wyjaśniałoby jej aparycję. Była trzy lata starsza od Edwarda. To dopiero

niespodzianka.

– Cóż, pani Ta... – Vivian powstrzymała się, gdy zdała sobie sprawę, że chciała zwrócić się do Mildred jej nazwiskiem po mężu, po czym na pokaz sprawdziła coś na kartce. – Przepraszam, pani Fischer. Dziękuję, pani Fischer, za pani czas. Urząd Statystyczny zdaje sobie sprawę, że z pewnością sprawia kłopot.

Odwróciła kartkę zapisaną stroną w dół i otworzyła torebkę, by włożyć do niej ołówki. W środku panował taki bałagan, że kiedy Vivian podniosła klapę, kilka rzeczy wypadło i wylądowało wprost u ich stóp.

– O raju! – wykrzyknęła Vivian, sięgając po zapalniczkę i paczkę sen-senów. W tym samym czasie Mildred Fischer Dalton Taggart pochyliła się i podniosła prawo jazdy Vivian.

Vivian nie lubiła przyznawać się do swoich słabszych stron. Wolą, żeby inni po prostu ich nie zauważali. Przykładowo nie mogła się pochwalić świetnym refleksem. Nie była niezdarą, ale zapewne nie złapałaby przedmiotu rzuconego w jej stronę.

– Och, dziękuję! – krzyknęła, gdy obie podniosły się i Vivian próbowała wyrwać prawo jazdy z rąk Mildred. Ale ta mocno trzymała dokument przebarwionymi od palenia palcami, zbliżyła go do twarzy i wpatrywała się w niego, mrużąc oczy.

– Shirley? Mówiła pani, że tak ma na imię? – ton Mildred zmienił się z ogólnie nieprzyjaznego w jawnie złośliwy, gdy zerknęła to na prawo jazdy, to na twarz Vivian i z powrotem.

Serce waliło Vivian jak młot, kiedy wrzuciła zapalniczkę i sen-seny do torebki.

– To... – Pozwoliła, by słowo zawisło w powietrzu, a kiedy spojrzenia jej i Mildred się spotkały, szaleńczo chwyciła dokument, wykręcając i drapiąc dłoń Mildred paznokciami w kolorze „Ognia i lodu”. Jednak Mildred, choć ociągała się z otwarciem drzwi, posiadała dobry refleks, jakiego Vivian brakowało, i wyrwała podrapaną rękę, wciąż trzymającą prawo jazdy, i przycisnęła je do piersi. Vivian wpatrywała się w te wściekłe czekoladowe oczy – które jednak do czegoś pasowały, do jej farbowanych włosów – jeszcze przez ułamek sekundy, po czym obróciła się na pięcie i zeszła po stopniach werandy, przyciskając do siebie podkładkę i torebkę.

– DALTON?! – wrzasnęła Mildred z progu. – POWIEDZ EDDIEMU, ŻE JEGO SYN CHCE SIĘ Z NIM ZOBACZYĆ!

Vivian usłyszała to, ale człapała już po ulicy, jej nylony ocierały się o siebie pod ograniczającym ruchy pasem i spódnicą. Czmychnęła za róg, gdzie zaparkowała samochód, i zniknęła z zasięgu wzroku Mildred. Wypuściła z rąk wszystko, co kurczowo trzymała, wprost na zaśnieżoną ulicę, później podniosła torebkę i próbowała wyłowić z niej kluczyki do samochodu; krew cały czas tętniła jej w uszach. Mocno ścisnęła kluczyk w dłoni i usiłowała wsunąć go do zamka, aż w końcu trafił w dziurkę. Zamek puścił, ona otwarła drzwi na oścież, zgarnęła podkładkę do pisania z ziemi i wrzuciła torebkę na przedni fotel, po czym wgramoliła się do auta.

Samochód odjechał z parkingu z piskiem opon. Vivian skłonna była się założyć, że gdyby nie zalegał śnieg, zostawiłaby ślady po oponach jak przecinający ulicę Bill Parker. Na widok biało-czarnego wozu policyjnego, który jechał w jej stronę, zdjęła

nogę z gazu i pozwoliła buickowi przejechać z rozpędu obok policji. „Ostrożnie!” Prawie słyszała w myślach głos Edwarda tamtego popołudnia, dawno temu, kiedy uczył ją jeździć.

– Och, zamknij się, Edwardzie – parsknęła na głos w aucie.

„Męczydupa z niego, nawet gdy go tu nie ma”.

Minęła jeszcze cztery znaki stopu, zanim poczuła, że może normalnie oddychać. Kiedy zauważyła sklep rolniczy, zatrzymała samochód na wolnym miejscu parkingowym, wyłączyła silnik i siedziała tak, podczas gdy jej klatka piersiowa prędko wznosiła się i opadała. Lusterko wsteczne pokazywało wyraźnie, jak bardzo rozgorączkowała się przez ostatnie pięć minut, westchnęła więc tylko na widok szalonych włosów sterczących jej w każdym kierunku spod kapelusza.

„Jego syn chce się z nim zobaczyć”.

Edward powiedział, że Mildred miała pociechę z drugim mężem. Czy było to kolejne kłamstwo? Coś tylko dla gazet? Żona, syn i może jeszcze cholerny pies. Brucie. Tak w ogóle, to ile żyją psy, jeśli nie wbiegną za wiewiórką na ulicę i nie zostaną potrącone przez auto? Vivian zamknęła powieki i sfrustrowana głośno oddychała przez nos. W myślach widziała tylko Mildred stojącą w progu domu, krzyczącą. Krzyczącą i dzierzącą prawo jazdy Vivian w dłoni. „Och, Jezu Chryste”.

Był piątek. Nie miała czasu na zamartwianie się prawem jazdy. Nie miała też czasu do stracenia, nie mogła usiąść w restauracji z kubkiem dobrej gorącej kawy, spróbować zebrać myśli i przetrwać to, co właśnie zobaczyła i usłyszała. Tralala, sialala, zanuciła, próbując ukoić nerwy dziecięcą rymowanką, która wpadła jej do głowy, gdy uciekała z domu Mildred... „Wielkanocny koszyczek... Nie mogę uwierzyć, że wypadł mi z rąk, wypadł z rąk, wypadł z rąk”. Odjechała z parkingu sklepu rolniczego i ruszyła do gmachu sądu hrabstwa.

„Syn chce się z nim zobaczyć”, słowa te wirowały jej w głowie wraz z obrazem prawa jazdy. „Jezu Chryste wszechmogący”. Ręce jej się trzęsły, kiedy zajmowała miejsce parkingowe przed budynkiem z szarych cegieł. To musiało być dzisiaj. Urząd stoi zamknięty przez sobotę i niedzielę, a ona nie miała dość pieniędzy, żeby przedłużyć pobyt w hotelu. Nigdy dość czasu, nigdy dość pieniędzy. To, czego Vivian miała dość, to pytań. Teraz jeszcze bardziej, niż kiedy wyruszyła z hotelu dziś rano. Wyjęła brązowy notesik z torebki wciąż drżącymi dłońmi, przewertowała strony, aż znalazła to, czego szukała:

*Urząd Miasta, Sąd Rejonowy, Syracuse, Nowy Jork – Ada M. Carr, wyd.
Statystyki Demograficznej*

Ada M. Carr. Strażniczka informacji w Urzędzie Miasta Syracuse.

Rozdział 32

Ada M. Carr brzmiała jak poukładana kobieta. Jak osoba bystra i skuteczna. Zapewne upinała włosy w ciasny kok i rzucała terminami takimi jak „udostępnienie informacji” oraz „postępowanie”. Vivian pokonała drogę od samochodu do drzwi wejściowych gmachu, ostrożnie stąpając po schodach wąskiego, skutego lodem pasażu, i zastanawiała się, czy nie powinna najpierw zapalić papierosa.

„Przestań tracić czas”.

Przekroczyła próg lekko ogrzewanego wejścia i musiała przejść jeszcze kawałek po rozbrzmiewającym echem korytarzu, po czym doszła do wewnętrznych drzwi z napisem „Urząd Miasta”. Znów dopadły ją nerwy, tak samo jak wtedy, gdy wchodziła po stopniach werandy Mildred z dobrze przećwiczoną historyjką o urzędzie statystycznym. Na tę okazję nie przygotowała historyjki. Zaczerpnęła głęboko oddechu, otworzyła drzwi i weszła do biura. Gabinet wyglądał na opustoszały, dopóki nie spojrzała przez okienko i nie dostrzegła młodego mężczyzny siedzącego za biurkiem na tyłach pomieszczenia. Nie podniósł wzroku. Odchrząknęła i oparła się o ladę, żeby utrzymać równowagę, gdy przenosiła ciężar ciała z lewej nogi na prawą.

– Minutkę! – zawołał mężczyzna, nie podnosząc głowy.

Minuta minęła. Potem następna. Vivian zdjęła rękawiczki i stuknęła paznokciami w odcieniu „Ognia i lodu” w wypolerowane drewno.

– Przyszłam zobaczyć się z panią Adą Carr – oznajmiła donośnie.

– Jest pani umówiona?

Shirley Smith z Urzędu Statystycznego Stanów Zjednoczonych zapewne miałyby umówioną wizytę. Vivian zastanawiała się, czy odprawia ją z kwitkiem, skoro nie była umówiona. Nie pomyślała o tym. Oczywiście, że Ada M. Carr była zajęta kobietą i musiała rozpisać spotkanie w kalendarzu. Kobieta, która upinała włosy w ciasny, schludny kok, miała pewnie ciasny, schludny grafik, czyż nie? Vivian zastanawiała się, czy powinna skłamać. Czy istniał rejestr spotkań, gdzie mógłby zajrzeć i sprawdzić, że kłamała? Była zmęczona wszystkimi wcześniejszymi kłamstwami z dzisiaj i zaryzykowała.

– Nie, nie jestem.

Młody mężczyzna ciężko westchnął, po czym dźwignął się z biurka, podszedł niespiesznie do okienka, wciąż w koszuli, marynarka nadal wisiała na oparciu fotela.

– Pani Carr jest na zwolnieniu chorobowym – powiedział obcesowo, za nic nie przepraszając.

„Cóż, prawdopodobnie rozchorowała się z tego całego stresu, trzymania się grafiku i tak dalej” – myślała sobie Vivian, kiedy drzwi za nią otworzyły się i do środka wszedł rosły mężczyzna. Obróciła się i zobaczyła, że trzyma kapelusz w dłoni

i chyba mu się spieszyło.

– Proszę... – Vivian przepuściła go, by załatwić sprawę przed nią, podczas gdy ona zastanawiała się, co robić.

Młody urzędnik w okienku uniósł brwi na Vivian i wzruszył ramionami, po czym zajął się roslým petentem z kapeluszem w dłoni.

– W czym mogę panu pomóc?

Rosły mężczyzna skinął Vivian głową, podszedł do okienka i położył kapelusz na ladzie.

– Muszę zarejestrować akt własności mojej nieruchomości – powiedział jegomość, wyjmując zmiętą kopertę z kieszeni płaszcza.

– Dobrze, proszę pana – odparł służbista z okienka. – Umówił się pan na spotkanie?

– Hmm... – mężczyzna odchrząknął. – Nie.

Młodszy z nich znów westchnął, a na usta Vivian zakradł się uśmiezek.

– Cóż, ma pan dokument tożsamości?

Rosły mężczyzna zaczął szperać w wewnętrznych kieszeniach płaszcza i w końcu wyjął czarny skórzany portfel.

Dokument tożsamości. Uśmiezek Vivian zamienił się w grymas, a jej wzrok wbił w podłogę. Następnie bardzo powoli obróciła się na pięcie i wyszła z biura z rękawiczkami w dłoni, potem wzdłuż korytarza udała się na chłodne światło dnia. Świeże powietrze pomoże jej myśleć, a papierosa powinna była zapalić jeszcze przed wejściem. Ręce jej drżały, gdy przystawiała zapalniczkę do papierosa, kołysząc nim w kąciku ust i przeklinając pod nosem. „Niech to szlag”.

Szukała wzrokiem miejsca, gdzie mogłaby usiąść. Czemu nie było głupiej ławki w tym głupim miejscu? Rozejrzała się po głupim budynku publicznym, który powinien być dla głupich mieszkańców tej głupiej okolicy, tak czy nie? Oparła się o szare cegły i próbowała rozwikłać mętlik, jaki miała w głowie. Mildred. Syn. Prawo jazdy. Jezu Chryste wszechmogący. Brucie. Czarno-biały wóz policyjny przetoczył się obok budynku i tętno jej podskoczyło, gdy odprowadzała pojazd wzrokiem. Potrzebowała siedmiu minut, żeby spalić lucky strike’a, oraz siedmiu minut, by wymyślić, jak obejść problem z dokumentem tożsamości.

Przygasiła papierosa czubkiem nowych porządnych botków, aż się uśmiechnęła, gdy na nie spojrzała, po czym wróciła do samochodu, otworzyła zamek w drzwiach i usiadła za kierownicą. Vivian rozmyślała o młodym mężczyźnie w okienku i jej własnej pracy w Bellu. Przypomniła sobie początki w centrali telefonicznej, kiedy łączyła lub rozłączała rozmówców w zależności od nastroju albo widzimisię, i ten dzień, kiedy wstała i ukróciła tuzin rozmów jednym ruchem ręki.

Przekrzywiła lusterko wsteczne tak, żeby zobaczyć swoją twarz, po czym starannie pomalowała usta szminką. Najpierw ściągnęła wargi, po czym odbiła je na chusteczce, chwyciła podkładkę do pisania i przerzuciła pierwszą pustą stronę, potem drugą, gdzie zapisała odpowiedzi fałszywego wywiadu statystycznego. Na trzeciej kartce znajdował się list, który otrzymała z urzędu miasta. Stwierdzał, co następuje:

Posiadamy brytyjskie zapisy w księgach od 1873 roku do dzisiaj. Jednakże

dokumenty te muszą znajdować się w rejestrach przez siedemdziesiąt pięć (75) lat i nie zostaną wydane, jeśli nie jest pani osobą spokrewnioną.

Akty małżeńskie znajdują się w księgach prowadzonych od 1907 roku do czasów obecnych. Aby odzyskać akt małżeński, zarówno mąż, jak i żona muszą już nie żyć i razem z wnioskiem należy dostarczyć akt zgonu.

Nie minęło siedemdziesiąt pięć lat od narodzin syna Mildred Fischer Dalton Taggart, a Vivian nie mogła już wylegitymować się prawem jazdy, ale istnieją przecież wyjątki od każdej reguły. Vivian musiała wrócić do biura i sprawdzić, jak wyjątkowy powinien być ten wyjątek.

Domyślała się, że skrajnie pospolity miernota w koszuli bez marynarki z okienka dobiegał trzydziestki. Najwyraźniej matka nie wychowała go porządnie albo ten, kto przyuczał go do pracy w urzędzie miasta, zrobił to na odwal, jak powiedziałyby Edward, i nie nauczył młodego, jak traktować ludzi. Sądziła, że nie powinna zbyt wiele oczekiwać od lokalnych władz, które nie postarały się nawet o wystawienie ławki przed budynkiem. (Gdyby dopiero co nie spaliła papierosa, mogłaby powiedzieć: „cholernej ławki przed cholernym budynkiem”. Dzięki Bogu czuła się odrobinę bardziej wyluzowana). Nawet burmistrz Reed dopilnował, by postawiono dodatkowe ławki wokół Placu Wooster, żeby ludzie mieli gdzie usiąść, na litość boską.

Ponownie podeszła do okienka. Rosły mężczyzna z kapeluszem (który nie miał umówionego spotkania) zniknął, i w gabinecie nie zobaczyła nikogo innego.

– To znów pani? – spytał znużonym głosem człowiek zza biurka.

– Tak. – Vivian uśmiechnęła się i w myślach podkręciła urok osobisty z jeden do dziesięciu. Rzęsy trzepotały, palec kreślił nieśmiało kółeczka na blacie lady, potem Vivian kichnęła i jeden z klipsów zsunął się jej z płatka ucha i z brzękiem odbił od blatu na podłogę. Celowała w gładki i filuterny gest, niczym u Rity Hayworth w *Damie z Szanghaju*, ale zagrywka zapewne wyglądała w najlepszym razie jak rodem z przygód Lucy i Ethel.

– Och, nie, Luuuuucy – przebaknęła do siebie głosem Ricky’ego Ricarda i jęknęła, pochylając się po kolczyk.

Archiwum było ogromne, zostało rozświetlone okropnymi świetlówkami rzucającymi oślepiającą białozielonkawą poświatę. Prawie rozległo się echo, gdy Vivian podążyła za młodym człowiekiem, który – jak już wiedziała – miał na imię Nicholas i poprowadził ją przez wejście i do środka pomieszczenia, gdzie wskazał, które szafy zawierały jakie akta.

– Nie będę pani przeszkadzał – zaszczębiotał z uśmiechem od ucha do ucha i puszczone oczkiem.

Nicholas, jak się okazało, był prawdziwie oddanym fanem *Kocham Lucy*.

Lucy w odpowiedzi też puściła mu oczko i zaczęła, aż zamknie za sobą drzwi, po czym położyła torebkę na długim stole jak najdalej od wejścia.

Dokumenty demograficzne pogrupowano w szafkach według dat, a następnie w kolejności alfabetycznej po nazwiskach. Vivian wyjmowała jeden plik, po czym przesiadywała piętnaście do dwudziestu minut przy stole, wertując akta. Niektóre

rejstry zapisano na kartkach w formacie A4, inne na połowie A4, a jeszcze inne umieszczono na fiszkach. To była sterta informacji w nieładzie.

W większości przypadków katalogi znajdowały się w alfabetycznym porządku, tak jak pewnie wymagała tego pani Ada Carr. Jednak Vivian siedząc przy długim stole i wertując teczkę za teczką, podejrzewała, że pani Carr mogła chorować dłuższą chwilę, i w tym czasie ów niefrasobliwy Nicholas uporządkował dokumenty na własną rękę. (Prawdę mówiąc, przed tym, jak zaprowadził ją do archiwum na zapleczu, obserwowała, jak naprędce upychał akt własności człowieka z kapeluszem w rękach do drewnianego podajnika podpisanego „Wnioski o zaświadczenie o braku okoliczności wyłączających zawarcie małżeństwa”). Vivian sądziła, że przeszukuje katalogi E–F, ale trafiając na Ingrahama, Jeffersona, Jamesa, Ikehorna, zdała sobie sprawę, że akta zostały pomieszane. Dlatego też przeglądała inne rejestry, na wypadek gdyby pojawiły się tam te z przedziału E–F, ale wówczas dostrzegła, że jedną z pomieszanych teczek podpisano nazwiskiem, które rozpoznała, i nie chodziło o Mildred Fischer.

– Jezu Chryste – szepnęła Vivian, ale dość głośno.

Trzymała palec wskazujący na kartce pod nazwiskami w dokumencie i pomyślała, że gdyby był to magazyn filmowy, napisano by: „pokątna sprawa” i „skandaliczna rzecz!”. Przez pięć minut nie mogła oderwać oczu od aktu znajdującego się nie na swoim miejscu.

– Jak ci idzie, Luuucy? – Nicholas zajrzał przez uchylone drzwi, wrywając ją ze zdumienia.

– Och! – Zaskoczona Vivian podskoczyła na krześle.

– Zrobić ci kserokopię?

– Kserokopię?

– Dokumentu, którego szukałaś.

Nicholas podszedł do stołu i wyjął akt z jej rąk, które zamarły w miejscu jak dłonie manekina na rękawiczki u Freedlandera.

Gdy zawrócił do drzwi, przypomniała sobie.

– Szukam jeszcze jednej rzeczy. Czy I–J mogły trafić tu przez pomyłkę?

Nicholas uniósł brwi i podszedł znów do miejsca, gdzie siedziała. Wskazała nazwiska, a potem etykietę na teczce. Nicholas podrapał się po głowie. „Hmm, co ty nie powiesz”. Po czym chwycił folder I–J i otworzył na nazwisku Eberhardt. „No cóż, proszę! Od E do F”. Podał jej teczkę, nie przejmując się zamieszaniem.

– Wróć za chwilę.

Po chwili Nicholas rzeczywiście wrócił i do tego czasu Vivian zdążyła znaleźć to, po co przysłała.

– Nicholasie, gdybyś mógł mi skopiować te dwa dokumenty, byłoby wspaniale. Dasz radę?

– Och, Luuucy. – Nicholas pogroził jej palcem i znów puścił do niej oczko.

To było takie proste. Vivian dostała dokładnie to, czego szukała, albo i więcej. Biedna pani Ada M. Carr będzie miała ręce pełne roboty, kiedy wróci do pracy. Kto wie, jakie inne pomyłki popełnił i jakiego bałaganu Nicholas narobił?

Vivian siedziała w pokoju hotelowym w fotelu obok okna, zajadając włoskie ravioli na wynos widelcem, który musiała pożyczyć z kuchni hotelu. Chyba w restauracji założono, że zabiera posiłek do domu, żeby zjeść we własnej kuchni, ponieważ w pakunku umieszczono tylko jedzenie i papierową serwetę, no bo jaka szanująca się dama przebywałaby sama w hotelu? Zachodziła w głowę, czy restauracyjni kucharze naprawdę są Włochami, a jeśli tak, to czy stosują dobry przepis na sos.

Odłożyła ravioli wraz z widelcem na stół i wstała, by otworzyć okno, jednocześnie strzepując okruszki pieczywa czosnkowego ze spódnicy, na której wciąż widniały lekkie ślady łap, wielkie dzięki, Brucie. Miała też oczko w pończochach. Zaczepiły się o krawędź drzwi buicka, gdy Vivian czmychała od Mildred.

Vivian rozsiała się znów na fotelu, przewracając oczami, ciężko wzdychając i paląc papierosa w otwartym oknie, w tym czasie wanna napełniała się wodą. Był to taki dzień, który wymagał papierosa, odprężającej, niespiesznej kąpieli w wannie na lwich łapach, gdzie spróbuje nie myśleć o karmniku dla ptaków ani prawie jazdy, tylko skupi się na gorącej wodzie kojącej mięśnie. „Edwardzie – westchnęła do siebie – ależ z ciebie męczydupa”.

Sztuczna szczęka moczyła się w szklance obok zlewu, a Vivian nałożyła mnóstwo kremu na twarz i wdychała znajomy zapach, który sprawił, że poczuła się prawie jak w domu, ale wówczas usłyszała kroki na korytarzu za drzwiami. Spięła się, a na dodatek zaraz dobiegł ją okrzyk: „Pranie!”, adresowany do jednego z mieszkańców pozostałych pokoi. „Och, zamknij się”. Vivian potuptała do drzwi, wyskakując po drodze z dołu piżamy, i pogroziła pięścią głosowi na korytarzu. Nie mogła nacieszyć się więcej niż kilkanaście minutami spokoju w tym miejscu. Na korytarzu śmiały się jakieś pary albo mężczyzna w pokoju obok kaszlał całą noc. Kto spędza tu więcej niż parę dni i musi oddawać rzeczy do prania? Przestępcy. Gangsterzy. Mężowie wyrzuceni z domów za okłamywanie żon.

Vivian przewracała oczami, aż jej wzrok padł na podnózek u fotela, w którym jadła ravioli i wypaliła lucky strike’a. Kiedy wróciła do pokoju, rzuciła torebkę i podkładkę na podłogę. Fotokopia drugiego aktu urodzenia, którą w urzędzie odbił dla niej Nicholas, wystawała z podkładki. Był to dokument, którego szukała, i tak naprawdę nie powinien jej dziwić.

Rok urodzenia: 1922. Chłopiec, 2,9 kilograma. Matka: Mildred Fischer. Ojciec: Edward Dalton. Vivian dodała dwa do dwóch, siedząc przy długim stole w pustym archiwum. Kiedy pociecha została poczęta, Edward miał piętnaście lat.

Rozdział 33

Vivian miała do rozważenia niejedną sprawę, gdy wyjechała buickiem na ulicę State w Syracuse i ruszyła ku autostradzie, która miała zaprowadzić ją z powrotem do Wooster. Czuła wściekłość. Nie zdecydowała, czy gniew na Edwarda mającego syna był silniejszy niż złość, którą czuła do Edwarda, bo przed nią miał żonę. Prawdopodobnie nie był. Gdy już kobieta dowiadywała się, że mąż ją okłamał w jednej ważnej sprawie, nie dziwiła się tak bardzo, że skłamał w innej. Choć oczywiście nie poprawiało to sytuacji.

Była też w szoku – wywołanym drugim zagubionym dokumentem, który Vivian odnalazła nie w tych aktach, co trzeba, a który mógł sprawić, że spadłaby z tego niewygodnego fotela. „Jezuuuuu Chryyysteeeee!” Nie mogła w to uwierzyć. Szczęka opadła jej prawie do samej podłogi. Gdy już ją zebrała, po tym, jak Nicholas jej przerwał, czuła się podobnie jak wtedy, gdy dostała irlandzki pierścień Claddagh. Vivian czuła satysfakcję. Nie, była zadowolona z siebie. Zadowolenie z siebie było lepsze. Vera, która zawsze się z niej śmiała, ciągle wytykała jej błędy i pilnowała, by każdy wiedział, że dosypała soli zamiast cukru do lukrowanego ciasta. „Jest irlandzkim łobuziakiem, głuptasko, żadnym buziakiem”. I ta gadanina o podsłuchiowaniu siostry. Vivian, tak samo jak jej markotna, zręczliwa matka, pamiętała tylko to, co złe, więc tak, kiedy otrzymała pierścionek ciotki Catharine, czuła się zadowolona z siebie. I teraz też czuła się z siebie zadowolona.

Vivian ściągnęła wargi w wąskim uśmiešku zakrywającym idealną sztuczną szczękę, jednocześnie wciskała gaz, żeby włączyć się do ruchu na autostradzie. Jeju, jeju, jakich to rzeczy człowiek mógł się dowiedzieć w Urzędzie Miasta Syracuse. A nawet nie skończyła liceum! Zastanawiała się, czy nie powinna wywiesić własnego szyldu: „Vivian Dalton, prywatny detektyw, miło mi poznać”. Było mnóstwo osób, a pośród nich sporo ważnych, które zapłaciłyby dużo pieniędzy za informacje, które upchnęła na dnie walizki. Gdy było się ważniakiem, zwłaszcza kimś pokroju burmistrza Wooster, wszystkich interesowało to, co się robiło i jak się to robiło, to pewne.

Vivian nie tylko nie mogła uwierzyć w swoje odkrycie, nie potrafiła też dać wiary w to, że tylko ona o nim wiedziała. Stara dobra Vivian Dalton. Znów zyskała poczucie kontroli. Prawie wynagrodziło jej to zyskaną pewność, że Edward obrócił jej życie w pasztet.

Vivian czegoś brakowało przez minionych kilka miesięcy, ale nie wiedziała czego. Przypominało niewidzialny włoszek przyklejony do powierzchni oka, którego nie mogła złapać i wyciągnąć. Był tam; czuła go. To coś partaczyło jej życie, jak te przeklęte włoski partoliły tusz do rżęs, gdy próbowała je wyjąć.

Cóż, poznała pierwszą panią Dalton i teraz owo coś miało twarz. Twarz pozbawioną makijażu, gdy jej właścicielka otwierała drzwi, ale jednak twarz. No i domek dla ptaków! Karmnik był kolejnym ostrym dźgnięciem w bok Vivian, pozostawiło ból gdzieś między żebrami a sercem, gdy spoglądała przez przednią szybę na pustą, zaśnieżoną autostradę. „Może zrobił go na ich piątą rocznicę ślubu” – pomyślała. „Drewniana”.

Radio samochodowe zaczęło szumieć dobrą chwilę temu, gdy oddaliła się od Erie w Pensylwanii, gdzie zatrzymała się na kawę i wizytę w czystej toalecie. Vivian była tak zaprzątnięta własnymi myślami, że nie zauważyła świszczenia z głośników aż do chwili, gdy przekroczyła granicę stanu Ohio. Właśnie sięgała do gałki, żeby wyłączyć radioodbiornik, kiedy usłyszała ciche jęczenie, jak gdyby jakimś cudem letni komar został uwięziony w buicku. Jęk przybierał na sile.

liiiiiiiiiiii.

Zerknęła w lusterko wsteczne i zobaczyła migające światła na dachu zbliżającego się radiowozu. Cholera. Och, niech mnie kule biją! Czy jechała za szybko? Zdekoncentrowała się na drodze po tyłu godzinach jazdy, mogła trochę za mocno wciskać pedał gazu i teraz za to zapłaci. O rany, ależ za to zapłaci. Mandaty za przekroczenie prędkości sięgały trzydziestu dolarów, a Vivian zdążyła wydać prawie wszystkie pieniądze.

Płynnie zahamowała i zjechała w zaśnieżoną zatoczkę, po czym zupełnie się zatrzymała. Gdy przesunęła bieg do pozycji postojowej, przypomniała sobie o prawie jazdy.

– O, cholera, cholera!

Widziała mnóstwo pościgów policyjnych w filmach. Oderwała wzrok od biegów, spojrzała na drogę rozciągającą się przed nią, potem zerknęła we wsteczne lusterko, w którym policjant zamknął drzwi wozu i siedł, chrzęszcząc po śniegu, w stronę jej buicka. Targały nią nerwy i dłoń z wahaniem unosiła się nad dźwignią zmiany biegów. Znów popatrzyła w lusterko wsteczne. „Nie rób tego”. Postać w policyjnym mundurze była imponująca, czarne buty, czapka z daszkiem i ciemne okulary przeciwsłoneczne. „Nie”. Nie zawsze słuchała tego odruchowego głosu w głowie; tego, który odzywał się w pierwszej kolejności, gdy szukała odpowiedzi. Ale tym razem głos był natarczywy. Logika (oraz niedawne wydarzenia) podpowiedziała jej, że nie została stworzona do nagłej ucieczki. Podejrzewała, że buick też nie. Może nawet potrzebowałby pchnięcia, by wydostać się ze śniegu, w który wjechała. Wypuściła powietrze z ust z poczuciem porażki i pomyślała, że mogłaby tu i teraz wybuchnąć płaczem. Odczekała, aż funkcjonariusz zastuka w okno, po czym opuściła szybę.

– Proszę, proszę, patrzcie no tu! – zawołał funkcjonariusz, a jego oddech zbijał się na zimnym powietrzu w obłoczki.

Vivian zmrużyła oczy, do których zaczęły napływać łzy, i dostrzegła znajomą twarz pasującą do znajomego głosu.

– Wujek Hugh! – wykrzyknęła z radością, choć łzy zamazywały jej pole widzenia.

– U licha, co robisz aż tutaj? – spytał. – Płaczesz?

Zaśmiała się przez łzy, nie dowierzając w łut szczęścia. Najwyższy czas, by spotkało ją coś dobrego!

– Vivy – zaczął wuj Hugh poważniejszym tonem – co ty tutaj wyrabiasz?

Ulga wywołana niewiarygodnym uśmiechem losu wraz z tym pytaniem przeszła w napięcie. Wiedziała, gdzie byli. Uśmiech odrobinę jej przygasł, gdy osuszyła łzy opuszkami palców odzianymi w rękawiczki. Miała być w Akron z wizytą u chorej siostry. Nie przypuszczała, że będzie musiała wymyślić wymówkę inną od tej, jaką przygotowała dla Edwarda i Charlotte. Co mogła powiedzieć wujowi Hugh? „Biedna Vera ma syfilis”. Nawet gdyby zdołała powiedzieć coś takiego o siostrze, była o wiele dalej na północ niż Akron, nie wspominając o tym, że jechała w złym kierunku.

– Ochhh... – Grała na zwłokę. – Edward... – „myśl, głuptasko, myśl” – ... a matka. Matka Edwarda. Poprosiła mnie, żebym przyjechała do Fair Haven. Zająć się jednym z ich domów.

To było dobre. Edward rzeczywiście miał matkę, a ona naprawdę miała kilka domów.

Vivian wiedziała, że rodzina McGintych była odrobinę przewrażliwiona na punkcie mienia. Jej krewni musieli ciężko pracować na to, co mieli, i uważali Edwarda za nieco rozpuszczonego jedynaka, którego rodzice posiadali więcej domów, niż potrzebowali. Miała nadzieję, że wuj Hugh nie będzie chciał zagłębiać się w szczegóły.

– Ach, no tak – powiedział. – Ty i Edward zamierzacie przeprowadzić się do...

– Wujowi Hugh. – Zęby Vivian zaczęły szczekać, gdy zimowe powietrze wleciało do samochodu przez otwarte okno, a wraz z nim chłód, który najwidoczniej zmusił jej mózg do pracy. – Zgubiłam prawo jazdy w Fair Haven i trochę się martwię, że znów zostanę zatrzymana. Mógłby wuj odeskortować mnie do Wooster?

Gdyby znów ją zatrzymano, byłby problem. Miała tylko jednego wujka w drogówce Ohio.

– Jasne, że mogę, kochanie. Niech no tylko przekręcę do dyspozytorni. I zdejmij nogę z gazu!

Powoli ruszył z powrotem do radiowozu, a Vivian zamknęła okno, lekko pisnąwszy. „Dopisało ci szczęście, szczęście w nieszczęściu, Vivian”.

Zaczekała, aż wuj Hugh pomachał jej przez okno, po czym delikatnie wcisnęła pedał gazu. Pomalowane po boku na biało opony najpierw trochę zabuksowały, po czym odzyskały przyczepność, podczas gdy samochód podskakiwał na wybojach z zatoczki na autostradę.

Kiedy wujek eskortował ją wozem policyjnym przez całą pozostałą drogę do Wooster, Vivian w końcu się odprężyła i w myślach zaczęła ćwiczyć historyjkę, którą wciśnie Edwardowi, gdy wróci do domu. Potem rozmyślała nad tym, co zrobi z informacją o J. Ellisie Reedzie. Następnie przyszło jej do głowy, że będzie musiała wyrobić nowe prawo jazdy. „Och, na litość boską”. Wyobrażała sobie małą białą kartę z napisem „prawo jazdy” pogrubionymi wielkimi literami na dole oraz jej nazwiskiem i adresem zamieszkania na górze. Dokument podawał adres. Teraz знаła go też Mildred.

Rozdział 34

– Tatku, masz adres cioci Very? Powinniśmy wysłać jej kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia? – spytała Charlotte. Ojciec powiedział nie, powinni poczekać, jakie wieści z odwiedzin przywiezie matka.

Po trzech dniach spędzonych w Akron z ciotką Verą, z którą Vivian rzadko rozmawiała i za którą zdawała się nie przepadać, matka Charlotte wróciła jeszcze bardziej rozeźlona niż wtedy, gdy dowiedziała się o pierwszym małżeństwie taty. Ciocia Vera musiała zrobić coś, co jeszcze bardziej ją rozeźliło.

– Jak się czuje ciocia Vera, mammo?

– Niedobrze, Charlotte! – krzyknęła matka, to otwierając, to trzaskając drzwiczkami kuchennej szafki. – Niedobrze!

Charlotte była bardzo ciekawa, co też dolega cioci Verze. Czy choroba była nieuleczalna? Czy była zaraźliwa? Czy było to polio, tak jak przed kilku laty u kuzyna Jamesa? Wydawało jej się, że dorośli nie zapadają już na polio, chyba była to tylko dziecięca przypadłość. Ale jaka choroba mogła być tak poważna, że matka musiała pojechać do Akron na pełne trzy dni? Czy na ten cel przeznaczone były pieniądze z koperty? Ale zważając na zgryźliwy ton matki oraz znęcanie się nad kuchennymi szafkami, nie sądziła, by teraz nastała odpowiednia pora na pytania.

Poszła na górę do swojego pokoju i spojrzała na kalendarz ścienny Coca-Coli wiszący nad biurkiem. Walentynki były w sobotę. Charlotte zakreśliła palcem serce wokół okienka z czternastym dniem miesiąca. Zastanawiała się, jak w tym roku będzie wyglądał dzień świętego Walentego. Trzymała kciuki, by wyglądał jak Max Zimmerman, ale może jeszcze na to za wcześnie. To była świeża sprawa, to wyraźne zainteresowanie Maksa, i nie wiedziała, czy naprawdę ją lubił, czy tylko współczuł jej z powodu „niefortunnej sytuacji” rodzinnej. Większość koleżanek z klasy – Sue, Barb i pozostałe z TGD – naprawdę wspierała ją po skandalu, mając świadomość, że oberwała rykoszetem. Charlotte nie lubiła robić z siebie ofiary, wiedziała tylko, że nie jest wrogo nastawiona do ludzi, więc nie zachęcała kogokolwiek, by wypowiedział słowo „bękart” na głos. Myślała, że gdyby to przydarzyło się Sue, mogłoby krążyć więcej powtarzanych szeptem plotek i pewnie trochę niemiłych komentarzy. Ludzie, zdaje się, lubili, gdy Sue przytrafiały się złe rzeczy.

Niektóre dzieciaki, jak Margie Miller i jej przyjaciółki, plotkowały o bigamicznej historii, ale nie celowały złośliwością w samą Charlotte. Nie żeby Charlotte zbyt się tym przejmowała. Margie chodziła dopiero do pierwszej klasy. A po komentarzu o „posrani się w gacie”, który Charlotte podsłuchiwała, domyśliła się, że Margie zapewne robiła i mówiła wiele tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę. „Ponieważ znam się na ludziach” – pomyślała Charlotte, naśladowując matkę. Powiedziałyby, że jej

matka „znała” ludzi może w sześćdziesięciu przypadkach na sto. Może sześćdziesięciu pięciu. Sporo jej umykało.

Charlotte z pewnością nie spodziewała się po rodzicach przejawów romantyzmu w walentynki, chociaż jej tata stawał na rzesach, usiłując udobruchać matkę. Kiedy matka zjawiła się w drzwiach z walizką, tata Charlotte podniósł wzrok znad gazety i głosem, który rzadko u niego słyszała, powiedział: „Kociaku, kociaku, gdzie ty był?”. Charlotte pomyślała, „Odwiedzić królową w Londynie żem był”, ponieważ tak szedł ten wierszyk, lecz jej matka warknęła: „W Akron, Edwardzie, przecież wiesz, że byłam w Akron!”.

W domu Daltonów walentynki oznaczały ciasteczka z kwaśną śmietaną. Ten sam przepis służył matce do wypieku bożonarodzeniowych ciasteczek, tyle że inaczej je wycinała. Teraz były w kształcie serca z gęstym kremem i pojedynczym cynamonowym cukierkiem Red Hot umieszczonym pośrodku. Kiedy Charlotte chodziła do szkoły podstawowej, matka przygotowywała ogromną porcję tychże łakoci, potem wyściełała pudło na sukienkę od Beulah Bechtel papierem śniadaniowym i układała ciasteczka starannie w rzędkie, oddzielając je kolejnymi warstwami papieru śniadaniowego, by córka mogła zabrać je do szkoły. Gdy Charlotte podrosła, przestała przynosić ciastka ku wielkiemu rozczarowaniu koleżanek i kolegów z klasy.

W tym roku Charlotte nie była pewna, czego się spodziewać. Wszystko wokół wydawało się pod wysokim napięciem.

W uszach jeszcze dzwoniły jej wrzaski matki oraz rozbijanie się z trzaskiem po kuchni, kiedy Charlotte poszła do łazienki. Gdy z niej wyszła, zobaczyła, że drzwi do sypialni rodziców były uchylone, i zdołała dostrzec torebkę matki leżącą otwartą na łóżku. Charlotte zerknęła, czy schody są puste, po czym przeszła na paluszkach do pokoju, a kiedy podeszła bliżej do łóżka, zobaczyła wystający brązowy notesik. Czy matka umieściła jakieś nowe wpisy? Czy opisała nowe odkrycia? Charlotte prędko przewertowała strony, pomijając te, które już widziała, aż natrafiła na nowy fragment.

Czułam, że ufałam Chrystusowi, tylko Chrystusowi, że mnie zbawi; i otrzymałam zapewnienie, że zabrał moje grzechy, nawet te moje, i uratował mnie od prawa grzechu i śmierci.

Nagryzmołono to rozgorączkowaną ręką. Nie tego Charlotte się spodziewała, oderwała wzrok od kartki i spojrzała na drzwi sypialni. Słyszała, jak matka wciąż tłucze się po kuchni na dole. Co spowodowało taką reakcję? Choroba cioci Very? Czy coś, co matka usłyszała w kościele? Charlotte zwykle wsłuchiwała się w nabożeństwa, ale notka zdawała się odrobinę zbyt gwałtowna jak na to, co mogłyby głosić łagodne słowa modlitwy wielebnego Alsopa. Czy matka dopuszcza się grzesznych czynów, od których potrzebuje wybawienia? Charlotte skrzywiła się na tę myśl. Kiedy rozmyślała o grzeszeniu, do głowy przychodził jej Max Zimmerman, nie matka. Stwierdziła, że rodzice zgrzeszyli tylko raz, żeby doprowadzić do jej poczęcia. Dzięki Bogu. Oraz fuj.

Następne półtorej godziny przeleżała na plecach na podłodze w łazience, słuchając

Eddiego Fishera i przeprowadzając wyimaginowane rozmowy oraz konstruując wyobrażone scenariusze na okazję walentynkowego tańca z Maksymem Zimmermanem.

Kiedy zeszła na dół na obiad, zauważyła, że ciasteczka z kwaśną śmietaną stygną na kuchennym blacie. Charlotte zastanawiała się, czy tym razem „uspokajacz” zadziałał.

CIASTKA Z KWAŚNĄ ŚMIETANĄ

- 1 szklanka tłuszczu do pieczenia (ja dodaję trochę masła)
- 2 szklanki białego cukru
- 2 jajka, duże (albo więcej)
- 5 szklanek mąki
- ½ łyżeczki soli
- 2 łyżeczki proszku do pieczenia
- 1 szklanka kwaśnej śmietany ze sklepu
- 1 łyżeczka wanilii

Ubij tłuszcz do pieczenia, cukier i jajka na gładką masę. Zmieszaj Przesiej mąkę, sól i proszek do pieczenia i dodawaj do kremowej masy na przemian z kwaśną śmietaną, dorzuć wanilię. Jeśli wymieszasz składniki rękami, uzyskasz staranniejszy efekt, następnie wydziel jedną porcję i rozwałkuj ją do grubości jednej trzeciej centymetra. Wytnij ciastka i piecz w temperaturze 180 stopni przez minutę. Zawsze robię podwójną porcję, z czego wychodzi strasznie dużo ciasteczek. Ale biorę i zamrażam część ciasta, żeby później móc upiec ciastka.

Rozdział 35

Uspokajające metody doktora Charltona działały tylko wtedy, gdy Betty pamiętała, by je stosować. A niby jak miała to zrobić, kiedy czekało ją tyle spotkań do zorganizowania? Poczciwi mieszkańcy Wooster nie do końca pojęli swoją rolę w skandalu i ponownie Betty Miller musiała zakasać rękawy i sama wziąć się do roboty. Obchody walentynek stanowiły drugie wydarzenie, które musiała zaaranżować po to, by pokazać Vivian Dalton, gdzie jej miejsce. Jak wszystko, co robiła, i to Betty uważała to za nieodzowne. Oczywiście Vivian nie będzie mogła przyjść, ponieważ rzecz miała odbyć się w country clubie. Był to tylko *quasi*-miłosny przypis na marginesie (ponieważ, rzecz jasna, usłyszy o spotkaniu w country clubie, świętujących parach i miłosnych uczuciach), że jej małżeństwo to fikcja. Betty zawsze musiała dać z siebie więcej, niż w celu upilnowania obowiązującego porządku zwykły robić liderki socjety, ale właśnie to czyniło ją Betty Miller.

Przykładowo zeszłej wiosny musiała zrobić sobie kilka tygodni wolnego mimo skrajnie napiętego grafiku, by nauczyć Dolly prowadzić forda coupe, żeby to Dolly mogła pojechać autem na stację benzynową, gdy trzeba było zatankować. I gdyby się nad tym zastanowić, wyświadczyła Dolly wielką przysługę, że nauczyła ją jeździć. Niektórzy ludzie mogli nie pochwalać, że Murzynom w ogóle pozwalano siadać za kółkiem, ale Betty uważała takie komentarze za niedorzeczne. Służenie oznaczało zdolność załatwienia szerokiego wachlarza sprawunków i od czasu do czasu wymagało kierowania samochodem.

Nie wiedziała, co by poczęła bez kochanej Dolly. Sprzątała dom, cerowała ubrania, przygotowywała posiłki. Raz na jakiś czas Dolly podsuwała nawet pomocne sugestie na spotkania organizowane przez Betty. Co przypominało jej, że musi przypomnieć Dolly, aby odebrała kwiaty na walentynkową galę.

– Betty, wydajesz się zatroskana tą sprawą – ośmieliła się zauważyć zażenowana Clara Weaver. Ona również plotkowała o zdumiewającej bigamii Edwarda Daltona nie mniej niż inne kobiety, ale osobisty atak, który Betty miała zamiar przypuścić na Vivian, był przesadą. Vivian nawet nie należała do ich kręgu towarzyskiego, a Betty tyle czasu głądziła o tym, jak bardzo Vivian była „pospolita i niskiego pochodzenia”. Były to uwagi ciut hipokrytyczne z ust kogoś, kto sam posiadał więcej niż kilku dość podejrzanych kuzynów. Clara trwała bez ruchu, ale w środku kręciła przecząco głową. Nigdy nie było wiadomo, kto następny znajdzie się na celowniku Betty.

Clarze wydawało się, że widziała lekki cień przebiegający przez oblicze Betty. Niezwykły przebłysk wątpliwości na twarzy zawsze przekonanej o swej racji i pewnej siebie Betty Miller. Być może zdała sobie sprawę, że posuwała się NAPRAWDĘ za daleko, i tylko potrzebowała przyjaciółki, która pomogłaby jej wyrwać się

z dziwnego mściwego transu. Ku zaskoczeniu Clary Betty zdawała się przyjmować jej pomocną dłoń, gdy nagle przed sklepem ryknął klakson samochodowy, napędzając stracha obu kobietom. Betty spojrzała wilkiem w kierunku źródła hałasu, po czym odwróciła się do Clary ze wznowioną irytacją.

– Nie widziałas jej w kościele w wigil-ię, chociaż już zdążył-am opow-iedzieć ci o jej za-chowaniu – sprzeciwiała się Betty. – I rozmawiałam z Davidem na poczcie. Wspom-niał, że wpadł na nią podczas dni otwar-tych w szkole średniej i że była dla niego ok-ropnie miła. – Betty oczywiście uniosła znacząco brwi na słowo „okropnie”. – Nie rozumiesz, do czego zdolna jest w-zgardzona kobieta?

Clara nie знаła się na wzgardzonych kobietach, ale wiedziała, do czego zdolna była Betty. Domyślała się, do czego dążyła Betty, choć kompletnie źle się do tego zabierała. Nie tylko Clara wątpiła, by jej mąż, David, znalazł się na poczcie razem z Betty (to do obowiązków Clary należało wysyłanie listów i kupowanie znaczków), miała też wątpliwości, czy Betty w ogóle zauważyłaby go podczas dni otwartych, biorąc pod uwagę te całe wylewne przywitania na pokaz z nauczycielami i dyrektorem Scottem, których Betty – wedle wiedzy Clary – nie przepuściła.

„Betty musi popracować nad technikami manipulacyjnymi” – pomyślała wyniośle Clara. Gdyby ojciec przyjaciółki nie był burmistrzem Wooster, nie uszłoby jej takie zachowanie.

Po rozejściu się wieści o Edwardzie Daltonie podejrzliwość względem mężów mieszkających w Wooster pozostawała wśród bywalczyń country klubu na wysokim poziomie. Ziarno zostało zasiane w umysłach żon, tak samo jak każdej wiosny obsiewano ziemię klubu ogrodniczego „Grabie i taczka”. Niektóre kobiety były pewne, że wołałyby nie wiedzieć, ale inne nie mogły się powstrzymać i miotając się pomiędzy obawą przed niewiernymi mężami a strachem przed publicznym upokorzeniem w żalonym skandalu, lądującym na pierwszej stronie „The Daily Record”, skradały się po kątach i nasłuchiwały zza zamkniętych drzwi. Ta nowa fala małżeńskiej paranoi w ekskluzywnym wydaniu oznaczała bezsenne noce dla żon, dramatyczny wzrost „sprawdzania” rozmów telefonicznych dla mężów oraz więcej pracy nad najmniej lubianymi zadaniami dla najlepszego prywatnego detektywa w Wooster.

Rozdział 36

Gdyby miał być przyborem kuchennym, byłby nożem do mięsa. Gdyby był narzędziem ręcznym, zostałyby dłutem. A może prostą brzytwą, za którą Elmer chwycił przy najschludniejszym, najdokładniejszym goleniu w salonie golibrody przy ulicy Bowman. Bez względu na to, jaki przedmiot wybrało się do porównania, Don był jednym z najprzenikliwszych prywatnych detektywów w Ohio, jeśli nie w całych Stanach Środkowoatlantyckich Ameryki Północnej.

Niektórzy z hrabstwa Wayne mogliby w to wątpić – skoro Don McAfee był takim świetnym prywatnym detektywem, dlaczego nie potrafił namierzyć Gilberta Ogdena i Flory Parker? Para dobrze wychowanych pracowników banku, a on nie umiał ich odnaleźć? Don nasłuchiwał się o tym, co ludzie uważają za jego wielką porażkę detektywistyczną. „Nigdy nie znalazłeś tych wyłudzaczy, co nie, Don?”

Don łatwo radził sobie ze sporadycznymi zniewagami na temat zawodowych „porażek”, pozdrawiając uchyleniem kapelusza tych nielicznych, którzy ośmielili się stanąć z nim twarzą w twarz; zwykle byli to ci wciąż bolejący, że ich pieniądze skradziono z Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne’a. Ci sami ludzie zastanawiali się, dlaczego przedsiębiorstwo oszczędnościowo-pożyczkowe nie było ubezpieczone, ale biorąc pod uwagę to, co Don McAfee wiedział o towarzystwie ubezpieczeniowym Davida Weavera, wcale tak bardzo się nie dziwił.

Wszyscy, którzy zatrudnili Dona, wiedzieli, jak dobrym był detektywem. Uważali sprawę Ogdena i Parker za jedną z największych tajemnic nie do rozwiązania. Jak zamordowanie Amelii Earhart czy Czarnej Dalii. I jeśli Don McAfee nie odszukał Gilberta i Flory, najpewniej byli nie do odnalezienia. Don namierzał byłych oszustów, zbiegów; demaskował romansujących mężów i żony; zlokalizował nawet prawowitego dziedzica fortuny potentata kolei po tym, jak przetrząsnął akta adopcyjne w Cleveland. Odkrycia niemal wynagradzały mu trud, dlatego proponował zmienny cennik honorarium w zależności od klienta. Vivian Dalton miała ciężką sprawę i ta dziś szczególnie okupowała jego myśli. Zawsze rozmyślał o wszystkich klientach zestresowanych sprawami małżeńskimi, kiedy zbliżały się walentynki.

Pamiętał wyraz twarzy Vivian, gdy pokazał jej akt ślubu z 1923 roku i wytłumaczył się, że nie zdołał znaleźć żadnego dowodu na to, że małżeństwo Edwarda z Mildred zostało unieważnione, nie było też materiału dowodowego świadczącego o rozwodzie. Powiedział jej także, że Mildred wciąż żyje. To było sporo informacji do przyswojenia jak na jeden raz.

Sprawy małżeńskie stanowiły lwią część jego obowiązków, a były przy tym najtrudniejsze. To sprawy kryminalne powodowały, że przebierał nogami, łaknąc sprawiedliwości. Tak dla waszej wiadomości, mógłby odnaleźć Gilberta Ogdena

i Flore Parker, gdyby naprawdę chciał. Prawdę mówiąc, gdy biznes się nie kręcił, detektyw węszył, tylko by zaspokoić własną ciekawość i sprawdzić, czy instynkt go nie mylił. I nie mylił. Dajcie starymu Donowi kilka dni, najwyżej tydzień, a zdoła ściągnąć ich z powrotem do Wooster, w kajdankach, by stanęli przed sądem w urzędzie miasta. Lecz Don pozostawał niezmiernie lojalny w stosunku do klientów i robił dokładnie to, o co go prosili. Chodziło o to, że zapłacono mu, by ich nie namierzał.

Don ssał w zamyśleniu miętówkę, zerknął na datę w kalendarzu stojącym na zagraconym biurku. Był piątek trzynastego, dzień przed walentynkami. Pokręcił głową.

Rozdział 37

W dzień przed walentynkami Gilbert postanowił wyjechać, nie był to więc dla Flory Parker ani trochę romantyczny dzień. Raczej rozpaczliwy. Popędziła do walizki, zaczęła chwytać złożone koszule i spodnie i rzucać je na łóżko.

– Nie możesz tego zrobić! – błagała.

Gilbert wyszedł z łazienki, trzymając w ręku przybory do golenia, i stanął w drzwiach. Pokręcił głową na widok rozgrywającej się sceny.

– Floro, proszę, przestań.

Ale ona odwróciła walizkę do góry dnem i wyrzuciła resztę zawartości na stertę ubrań, po czym plasnęła obiema dłońmi w twarde obicie.

– Nie możesz tego zrobić – powtórzyła, tym razem cienkim głosikiem, który groził, że Flora się załamie.

Gilbert przeszedł przez pokój do łóżka i stanął obok Flory, poprawiając walizkę i pakując przybory do golenia na dno. Potarł czoło.

– Muszę jechać. Ona jest chora. Nie ma nikogo innego.

Flora obróciła się i zsunęła, aż tyłkiem uderzyła o podłogę, i oparła się o łóżko, zakrywając twarz rękoma.

– Jeśli cię złapią, dostaniesz bilet na krzesło elektryczne.

– Nie dam się złapać. Mówiłem ci, będę uważał.

– Gil, ukradliśmy mnóstwo kasy. Ludzie nie zapomną o takiej sumie pieniędzy.

Kroki odbiły się echem na schodach.

– Billu. – Flora odsunęła ręce, pokazując zalaną łzami twarz. – Powiedz mu, żeby nie jechał.

Bill nie znośił oglądać żony w takim stanie. Zrozpaczonej i roztrzęsionej. Takie zachowanie zupełnie do niej nie pasowało, ale zawsze taka była, gdy chodziło o jej brata.

Odkąd matka zaczęła tracić kontakt z rzeczywistością i atakować Florę za to, że wyszła za męża za białego, Gilbert wziął na siebie kontakt z nią. Gilbert był jedynym prawdziwym członkiem rodziny, który został zarówno Florze, jak i matce.

– Kochanie, gdyby chodziło o moją matkę – powiedział Bill, głaszcząc ją po głowie – zrobiłbym to samo. Nie mogę go powstrzymać.

„Cóż, powinna się zastanowić, kogo prosiła o wsparcie” – pomyślała Flora, czując mieszaninę rozgoryczenia i tkliwości. Bill Parker zawsze był syneczkiem mamusi. Nie była to najgorsza wada męża, że darzył matkę uznaniem, ale nie była to jej ulubiona jego cecha. Miał za to inne zalety.

Bill przerósł ją talentem scenicznym. Gdyby madame Ososki mogła ich zobaczyć, byłaby zaskoczona, że dwoje naiwnych prostaczków „z Nebraski” czegoś się od niej

nauczyło. Uważali na zajęciach i ciężko pracowali, by zakorzenić jej nauki w najgłębszej głębi własnych jestestw. Wówczas byłaby dumna, choć upierałaby się, by Bill „mówił własnymi słowami!”, chcąc wyrazić gniew. Myliłaby się. Pięknie radził sobie bez słów.

Czy znaleźliby dla siebie poligon lepszy od nowojorskiego teatru? Chociaż przeprowadzili się do Wooster częściowo przekonani, że już nigdy nie zagrają, miasteczko ostatecznie stało się sceną, na której mieli okazję zaprezentować występ swojego życia. Flora w roli dobrze wychowanej, dwulicowej sekretarki z banku. Bill jako wzgardzony i wściekły zdradzony mąż.

Flora nie zgodziłaby się ze zdaniem Vivian Dalton, że w tej niewielkiej mieścinie wszyscy wszystko o wszystkich wiedzieli. Ona i Bill trzymali się na uboczu, przeważnie, i nikt nie miał pojęcia, czym się zajmowali. Jasne, sąsiedzi potrafili wściubić nos w ich sprawy – gdzie bywali albo co porabiali podczas wakacji – czasem też Flora przyłapywała ciekawskie gospodynie na lustrowaniu zawartości jej koszyka u Buehlera i wydawaniu osądu o jej zakupach spożywczych, jednak w sumie Parkerowie mogli prowadzić w Wooster w Ohio miłe, ciche, dyskretne życie.

Tak jak w Nowym Jorku, tak samo tutaj robili próby wieczorami po powrocie z pracy do domu. Bill miał obsesję na punkcie swojej gry aktorskiej, długie godziny upłynęły mu na pytaniu siebie: „Co mną kieruje?”, i na próbach obmyślenia idealnych rekwizytów gwarantujących wiarygodność. Czy powinien wziąć ze sobą kapelusz? Czy byłoby to zbyt dziwne, gdyby w gniewie i zazdrości pamiętał o nakryciu głowy? To samo z płaszczem, chociaż był czerwiec. Może powinien założyć płaszcz, żeby udowodnić, jak doszczętnie postradał zmysły. Zimowy płaszcz w czerwcu? Proszę, proszę, ten Bill Parker musiał naprawdę zwariować, zresztą kto by go winił? Żona obrabowała bank i przepadła z innym mężczyzną.

Długo się zastanawiał, kiedy nastanie idealna pora, żeby zagrać dramatyczne opuszczenie przytulnego domku. Nie chciał robić tego w środku nocy, kiedy nie miałyby publiczności; podobnie nie widział mu się środek dnia, gdy sąsiedzi byliby w pracy lub załatwiali własne sprawy. Poza tym Flora przypomniała mu, że razem z Gilbertem wyjadą w piątek, i jeśli wszystko pójdzie gładko, nikt się nie zorientuje, co zrobili, aż do przyszłego poniedziałku. Musieli sklecić historyjkę, czemu Flora nie przyszła do pracy w ów piątek. Bill musiał rozpowiedzieć sąsiadom, że Flora dała mu znać, iż wyjeżdża z miasta w odwiedziny do matki.

– Cieszę się, że zostają, jeśli wiesz, o co mi chodzi – chichocząc, oznajmił Samowi Goossonowi z sąsiedztwa. Sam roześmiał się donośnie i poklepał Billa po plecach.

– Wiem, o co chodzi! Teściowe i tak dalej.

Bill postanowił rozpocząć przedstawienie mniej więcej wtedy, gdy Sam Goosson wrócił tamtego poniedziałku z pracy. Czymś, co działało na ich korzyść, i na co wraz z Florą liczyli, było to, że Boyd Hunsicker zadzwonił z banku na telefon domowy państwa Parkerów w ów poniedziałek, by spytać, gdzie, do cholery, podziewa się Flora, a także zadać Billowi pytanie, co wiedział o napadzie, ale ten cały dzień był w pracy.

– Przykro mi, panie Hunsicker, ale nikt nie odbiera – powiedziała Vivian Dalton do słuchawki w centrali telefonicznej. – Zechce pan spróbować później?

Telefon u Parkerów dzwonił, kiedy wrócili do domu, Bill obserwował ulicę przed domem, szukając wzrokiem samochodu Sama, i dopiero potem podniósł słuchawkę. Był czerwiec, gorący, więc pootwierano okna. Bill upewnił się, że Sam słyszy dzwoniący telefon, po czym podniosły się kurtyny i rozpoczął spektakl.

Dubeltówka była przebłyskiem geniuszu. W tym momencie Bill przypomniał sobie gwałtowny wybuch wściekłości Jacoba Starlina, kiedy pożyczył jego taczkę z podwórka na tyłach, nie pytając o zdanie. To był złom, tamta taczka. Przeżarta rdzą, z dziurą w samym rogu. Bill czuł się tak źle z wściekłością Jacoba, że zamiast oddać mu zardzewiałą, zdezelowaną taczkę, kupił mu nową w sklepie rolniczym u Olivera. Jednak nigdy nie zapomniał zaciętrzewionej twarzy Jacoba oraz jego nabrzmiałych żył na szyi, kiedy wydzierał się wniebogłosy na podwórku naprzeciwko domu Parkerów. Jacob wybiegł na ulicę Wooster, wrzeszcząc do każdego, kto mógł go usłyszeć, o „złodziejskich, kradziejskich delikwentach, co nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko kraść własność prywatną”. Bill skanalizował ten gniew w swoje przedstawienie.

Jacob mieszkał za domem Billa Parkera, nie widział więc jego dramatycznego wyjścia, gdy już rozeszły się wieści o napadzie na bank, ale usłyszał o tym później. Jak powiedzieli sąsiedzi mieszkający po prawej i lewej stronie Parkerów, był to cud, że Bill nie wyjechał studebakerem wprost przez tył garażu, bo gotował się ze wściekłości, kiedy wszedł do samochodu.

– W jednej ręce trzymał kapelusz, w drugiej dubeltówkę – powtarzali wszyscy.

Zastanawiali się nad tym wszystkim później, kiedy Bill nie wrócił po, jak się zdawało, okropnie długim czasie z wyprawy w poszukiwaniu zdradliwej żony. Ślady po spalonej gumie opon były trwałą pamiątką po obłądnym epizodzie, ale Bill Parker nigdy nie wrócił do domu. Niektórzy podejrzewali, że tak bardzo szalał z wściekłości, że musiał zjechać z klifu wprost na spotkanie ze śmiercią. Inni sądzili, że pewnie nic mu nie było, ale cholernie się wstydził i dlatego nie wrócił do miasteczka.

– Może znalazł sobie inną dziewczynę – powiedział Roy Patterson. – Taką, która nie zrobi mu przekrętu i nie pryśnie z miasta ze sprytnym chudzielcem okularnikiem oraz drobną sumką dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Jednak nikomu z Wooster nie przyszło do głowy, że Bill brał udział w rabunku i narobił sporego zamieszania wyłącznie na pokaz, po czym pojechał prosto do Kanady, żeby dołączyć do żony, jej brata współnika oraz wszystkich pieniędzy. Nie zaświtało to nawet Vivian Dalton. Vivian przede wszystkim nie sądziła, by Flora Parker kiedykolwiek odeszła od męża, więc miała rację przynajmniej w połowie.

A po wyprawie do Syracuse Vivian poznała całą historię.

Rozdział 38

Vivian miała pełny ogląd sprawy, ale za to nie miała prawa jazdy. Wiedza, kto je posiadał, sprawiała, że w żołądku Vivian otwierała się otchłań ciężącego jej strachu. Rozpościerała się tuż obok sterty zapiekłego gniewu noszącej imię Edwarda. Jeśli uda jej się przebrnąć przez lato bez pękniętego wrzodu, to będzie cud.

Gdyby dentysta nie wyrwał jej zawczasu wszystkich zębów, i to wyłącznie ze względów kosmetycznych, była pewna, że zdążyłyby jej same wypaść. Takie Vivian miała rozwiązanie wszelkich problemów: gdy coś ją trapiło, pozbywała się tego. Zębów, macicy, siwych włosów na głowie, włosków na podbródku, a ostatnio kabli w centrali Bella za każdym razem, gdy Betty Miller próbowała wykonać telefon. Jednak Vivian nie mogła tak po prostu wyrzucić Edwarda ze swojego życia.

Myśl o zostawieniu go. Hola, hola, litości, to była grubsza sprawa. Od czego miałyby zacząć? Od wynajęcia pokoju nad pralnią i prostytuowania się jak Daisy Stucker, której mąż Joe zmarł w okropnym wypadku na farmie, pozostawiając ją z długiem sięgającym tysięcy dolarów, o którym nie wiedziała? Vivian w życiu by się do tego nie posunęła, zresztą miała posadę w Bellu. Lecz gdyby wyrzuciła Edwarda z domu, zostałaby sama. Czy chciała, żeby całe miasteczko współczuło jej, że musi mieszkać w pojedynkę? Ponieważ tak właśnie kończyła kobieta, kiedy w domu brakowało mężczyzny. Nawet jeśli miała sześcioro dzieci skłonnych się nią zaopiekować. Żyła samotnie. Nie mogła się zdecydować, co byłoby gorsze: gdyby ludzie o niej gadali, ponieważ była sama, czy gdyby obmawiali ją, ponieważ zaczęła zajmować się nierządem, by mieć co do gęby włożyć.

Skoro już o tym mowa, to Vivian nie sądziła, by udało jej się przeżyć wyłącznie za własną pensję. Pieniądze z Bella zapewniały Daltonom na tyle wysoki dodatek, by móc kupić nowe ubrania, gdy stare się znosiły, i by pozwolili sobie na porządniejszy kawałek mięsa u rzeźnika w sobotę. Ale nie wystarczyłyby na życie dla jednej osoby. Dlatego właśnie w Bellu zatrudniano kobiety. Ich praca była tania. Gdyby myślała o tym za długo, niepotrzebnie wściekałaby się na niesprawiedliwość i na to, że kobiety tkwią uwięzione w pułapce małżeństwa, mając gęby do wykarmienia, i na to, jak nie miały szansy, by kiedykolwiek wydostać się z takiej sytuacji, a za chwilę wymachiwałyby transparentem na proteście albo nosiła spodnie. Nie rozmyślała więc o tym zbyt długo. Mimo wszystko na tyle długo, by wiedzieć, że odejście od Edwarda nie było dla niej opcją na tym etapie życia. Ser zostaje w kole. Świetnie się składa dla sera, ale w jej przypadku to się nie sprawdzi.

Trzeba mu przyznać, Edward dwoił się i troił, żeby ją udobruchać. Nawet zaszalał z okazji walentynek. Zafundował sobie wizytę w salonie golibrody przy ulicy Bowman i polecił Elmerowi zgolić trochę z wierzchu, sporo po bokach i z tyłu, a gdy

już to zrobiono, chciał przyciąć także włoski w nosie i uszach. (Vivian nie znosiła, o czym Edward wiedział, gdy z lenistwa się zapuszczał). Poza tym w ów piątek tuzin czerwonych róż z kwiaciarni Barretta czekał w kryształowym wazonie z (pierwszego) ślubu Daltonów na stole na środku jadalni. Skąd w ogóle wytrzasnął to szkło? Vivian nie widziała go ani nie myślała o nim od lat. Musiał zejść do piwnicy i przetrząsnąć pudła, odwijając zawinięte w gazetę bibeloty, żeby znaleźć ów prezent.

Zaszedł nawet do butiku Beulah Bechtel i kupił jej nową sukienkę, która była najważniejszym elementem prezentu i spoczywała w pudełku na stole w jadalni obok róż. Edward pewnego razu powiedział żonie, że jej połowa szafy wydawała mu się jak z innej planety, i bał się czegokolwiek dotykać, bo może przejdzie go zapach konwalii czy czegoś. Czyż koledzy z łoży wolnomularskiej nie byłiby tym zachwyceni? Ale musiał przejrzeć jej część szafy i zerknąć na metki tych sukienek, których nie uszyła własnoręcznie, żeby poznać rozmiar. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak wyglądała, błakając się po Beulah Bechtel, otoczony przez kapelusze, futra i suknie. Gdyby nie była tak bardzo rozwścieczona istnieniem sekretne go syna, mogłaby docenić trud, jaki sobie zadał.

Pewne rzeczy robiło się dla ludzi z miłości, inne z poczucia winy. Za wszystkimi działaniami Edwarda stały wyrzuty sumienia. Gdy próbował ją zdobyć, przez kilka pierwszych lat małżeństwa zjawiał się w drzwiach z pękami lilii albo bukietami kwiatów polnych, które sam uzbierał na poboczu, ponieważ akurat o niej myślał. Róże były „kwiatami na przeprosiny”, takie wiązanki kupował jej zawsze, gdy nawalił w późniejszym okresie pożycia małżeńskiego. Sądził, że skoro były drogie, spodobają się jej i wszystko zostanie mu wybaczone. Lecz za każdym razem, gdy na nie spoglądała, przypominały jej się wszystkie głupie wyczyny, którymi ją wkurzył.

Gdyby była w choć odrobinę romantycznym nastroju, mogłaby wybrać się do sklepu Buehlera przed pracą, żeby kupić składniki na specjalną kolację w sobotę. Może kotlety schabowe, takie jak lubił. Z sosem miętowym. Chyba że mięta była do jagnięciny? Lub mogłaby poprosić Dorothy o przepis na mus czekoladowy, który wzięła z wyszukanej francuskiej książki kucharskiej; brat kupił ją jej w prezencie, gdy stacjonował za oceanem.

Ale Vivian nie potrafiła wykrzesać z siebie ani krzty romantyzmu i Edward powinien uważać się za szczęściarza, że dostanie na kolację z okazji walentynek klopsy z fasolą limeńską podane w znów bardzo gęstej atmosferze, podczas gdy Vivian będzie rozważała, czy spytać go, czy też nie, o karmnik u Mildred i przekłętogo syna.

Rozdział 39

Próbując przestać zwracać uwagę na rodziców i uciec przed napięciem wypełniającym dom Daltonów, Charlotte zamykała drzwi do swojej sypialni. W pokoju źródłem stresu były wyłącznie zadania domowe i to, co na siebie włożyć. Charlotte zamierzała włożyć dziś czerwony rozpinany sweter, aby uczcić walentynki. Tyle że dzień świętego Walentego wypadł jutro, dziś był piątek trzynastego.

Charlotte nie była przesadna, chyba że czarny kot przebiegł jej drogę albo przypadkiem przeszła pod drabiną, dlatego też nie mogła sobie przypomnieć, co powinna zrobić, żeby przepędzić złe duchy piątku trzynastego. Coś było dziś nie tak. Czowała to.

– A niech to! – Tupnęła bosą stopą o chodnik, rwąc sobie włosy z głowy ze złości na pot, który zaczął gromadzić się pod pachami, tworząc wilgotne plamy na sukience; ledwo co zapięła guziki.

Wydychane przez nią powietrze zetknęło się z tym głupim ciepłem panującym w sypialni, wyposażonej w najsprawniejszy kaloryfer w całym domu. Zwykle musiała otworzyć okno, żeby zasnąć, co doprowadzało ojca do szewskiej pasji.

– Nie płacę za grzanie w sąsiedztwie – mamrotał, rzucając wiązanek przekleństw, gdy przechodził przez jej pokój i akurat zauważył, że okno było otwarte. Ciepło nie pomagało też, gdy próbowała się nie zgrzać podczas ubierania.

Podeszła do okna i pchnęła jego skrzydło, odpryski farby spadły na chodnik. Krzaki oddzielające dom Daltonów od domu Giffordów zaszeleściły, zrzucając warstwę suchego śniegu na stronę Daltonów. W spóźnionej reakcji Charlotte zmrużyła oczy, spoglądając na zarośla. Czy coś tam było? Poczwała ciarki i odsunęła się od okna, pot stygł na jej skórze. Potrząsnęła głową, próbując pozbyć się osobliwego dreszczyku. Prawdopodobnie był to tylko kot Giffordów (który nie był czarny).

Charlotte próbowała skupić się na ubieraniu, nie na dziwnym poczuciu, że ktoś ją obserwuje. Gdyby zaciągnęła roletę, w pokoju zrobiłoby się za ciemno. Przecież na zewnątrz i tak nikogo nie było. Znów przecząco pokręciła głową i sięgnęła do szafy po starą, nudną czarną spódnicę ołówkową. Pamiętała, jak Max Zimmerman mówił, że podobają mu się dziewczyny, które wyglądają zwyczajnie. „Jakby wcale się nie przejmowały”.

„Cóż – pomyślała – żaden mój ciuch nie mówi wyraźniej »Wcale się nie przejmuję« od tej spódnicy”. Przywarła do ściany najdalej od okna, żeby włożyć spódnicę, potem pochwyciła czerwony sweter z oparcia krzesła. Na chwilę powróciła jej paranoja, gdy zapinając guziki, wyobraziła sobie, jak Sue skomentuje sweter. „Fuj, czerwony na walentynki, Char?” albo „Och, Charlotte, czerwien? Serio?”. Ta myśl na

tyle ją zezłościła, że porzuciła rozmyślania o szeleszczących krzewach. Nie obchodziło ją, co Sue miała do powiedzenia na tę okoliczność, ponieważ Max Zimmerman nie włoży nic do szafki Sue. Nie żeby miał coś włożyć do szafki Charlotte; musiała się zmytygować, by nie robić sobie zbyt wielkich nadziei.

Charlotte stawiała bokiem, to prawym, to lewym, przeglądając się w lustrze, wypięła klatkę piersiową, zastanawiając się, czy może nie powinna odrobinę wypchać stanika. Matka nie chciała kupić jej szpiczastego biustonosza, więc córka robiła, co mogła, aby zwrócić uwagę na swój biust. Znów stanęła przodem do lustra, po czym obróciła się na nowo bokiem, wygładzając sweter na brzuchu. Ponownie poczuła, jak ciarki podejrzliwości przebiegają jej po głowie, i wyjrzała przez okno, zastanawiając się, ile wnętrza jej pokoju widział ktoś stojący na dole na świeżym powietrzu.

– CHARLOTTE! – Na schodach rozległ się krzyk.

– Idę! – wrzasnęła w odpowiedzi, szybko zakładając białe skarpetki i oksfordki, po czym podeszła do okna, by zamknąć je tak, jak było.

Charlotte musiała czerwony sweter na czas drogi do szkoły zakryć zimowym płaszczem. Na zewnątrz wciąż było mroźno. Dzisiaj miała zbyt dużo do dźwigania, więc zabrała torbę na książki, przez którą zawsze czuła się jak podrostek. Czapka zepsułaby jej fryzurę, rzecz jasna, ale ona, Sue i Barb zawsze zostawiały sobie kilka minut zapasu przed tym, jak rozlegnie się dzwonek, żeby mogły pójść do łazienki na parterze obok gabinetu dyrektora i poprawić włosy. Charlotte przyniosła lakier do włosów Spray Net, Sue wzięła grzebień i szczotkę, a Barb zabrała ze sobą wsuwki i wstążki. Zanim zasiadły w ławce na pierwszą lekcję, włosy miały idealnie uczesane, utrwalone i upięte, jakby wyszły prosto z salonu piękności Durstine.

Pierwsze lekcje się dłużyły i Charlotte trudno było skupić się na nauce. Nie mogła pozbyć się przeczucia, że ktoś śledził ją w drodze do szkoły. Nikogo nie widziała, choć kilka razy przystanęła i się odwróciła. Ale przeczucie pozostało. Kazało jej iść szybciej niż zwykle, a w nudnej, czarnej spódnicy ołówkowej nie było to wcale łatwe. Gdy tylko pospiesznie przekroczyła próg szkoły, przeszła na bok i wyjrzała przez okno na ulicę, ale nie dostrzegła nic nadzwyczajnego. Tylko innych uczniów i kilka przejeżdżających obok samochodów.

Cały dzień wydawał się na odwyrtkę. „Przeklęty piątek trzynastego!” Sue nie skomentowała czerwonego swetra, Barb zapomniała wsuwek, więc wszystkie musiały użyć jeszcze więcej lakieru do włosów, zaś Charlotte wcale nie widziała Maksa Zimmermana. Zastanawiała się, czy w ogóle przyszedł dziś do szkoły. Po lunchu podeszła do szafki, a kiedy ją otworzyła, znalazła różową kopertę, którą ktoś wsunął przez szparę.

Naciągnęła czapkę na uszy, żeby osłonić się przed wiatrem. Temperatura wzrosła do prawie dwóch stopni w ciągu dnia, ale wietrzysko wciąż zawzięcie wiało. Została pół godziny dłużej po lekcjach, żeby poszukać w bibliotece materiałów do pracy domowej z historii, a także by nie musieć wracać do domu za pazerami, którzy wciąż mogliby plotkować o nieszczęsnym położeniu rodziny Daltonów.

Sama jak palec w to późne zimne popołudnie ruszyła żwawym tempem,

zamierzając jak najszybciej dotrzeć do domu, by móc pójść do swojego pokoju i jeszcze raz przeczytać walentynkę od Maksa. Napisał, że ma nadzieję spotkać ją na tańcach. Choć kartka była prosta i niezobowiązująca, wciąż chciała jeszcze raz ją przeczytać. Czuła do kogoś miętę – to odrobinę ogłupiało. Wiedziała o tym.

Charlotte szła na walentynkową potańcówkę wraz z grupką przyjaciółek. Nie był to bal zeszłorocznych absolwentów ani bal na zakończenie szkoły, gdzie trzeba było zostać zaproszonym. Nie potrzebowała zaproszenia, ponieważ wiedziała, że Max tam będzie i „ma nadzieję”, że ją tam spotka. Oksfordki chlupotały po mokrym chodniku, gdy próbowała skupić myśli na walentynkach, ale – tak samo jak o poranku – miała niejasne przeczucie, że ktoś ją obserwuje. Gdyby jej włosy nie gniotły się pod wełnianą czapką, stanęłyby dęba. Mniej więcej co przecnicę przystawała i obracała głowę, nasłuchując. Mogła dosłyszeć jedynie świst wiatru. Kiedy ulice Wooster pustoszały, były naprawdę puste, poza tym dzień się kończył i zapadała ciemność.

Skreśliła w alejkę pomiędzy ulicami Mulberry a Ohio; był to skrót, ale gdy tylko weszła na wyludnioną arterię, zdała sobie sprawę, że zniknęła z pola widzenia sąsiadów i kierowców, i każdego, kto mógłby pospieszyć jej z pomocą, gdyby tego potrzebowała. Szła równym tempem i próbowała kontrolować oddech, założyła też torbę na książkę na piersi niczym tarczę.

Oksfordki wciąż chlupotały o chodnik, jednak teraz słyszała za sobą kroki. Jak daleko ten ktoś był, tego nie potrafiła stwierdzić, i za bardzo się bała, by się odwrócić. Dreszcz przebiegł jej po karku, regularny oddech z przerażenia skrócił się do raptownego łapania powietrza. Kroki za nią przyspieszyły, wiedziała, że się zbliżają. Wciąż parla przed siebie, ale wsunęła rękę do torby na książki i wcisnęła palec w szczelinę pomiędzy puszką lakieru do włosów a zakrętką, naciskając, aż wieczko odskoczyło. Następnie zacisnęła palce na sprayu, podczas gdy kroki już dobiegały tuż z za jej pleców. „Nie czekaj, nie czekaj, tylko to zrób. Zrób to teraz!”

Charlotte w serii nerwowych, gwałtownych ruchów zdołała wyjąć rękę z torby i raptownie się obrócić.

– Spadaaaaaaaj! – krzyknęła, jednocześnie mocno naciskając atomizer lakieru do włosów Spray Net.

Spray z pełną parą wyrzucił zawartość wprost na twarz osoby za nią, a Charlotte usłyszała wrzask pełen cierpienia i głośne: „Kurwa!”, po czym wypuściła pojemnik z rąk i z trudem czmychnęła alejką i za róg, poruszając się tak szybko, jak pozwalała jej na to czarna ołówkowa spódnica. Nie ustawała w biegu, aż dotarła do schodów na ganek, weszła po nich, szurając, po czym mocowała się z okrągłą klamką, ale w końcu udało jej się szarpnięciem otworzyć drzwi i zatrzasać je za sobą.

Serce biło jej tak mocno, jakby chciało wyrwać się z klatki piersiowej. Wzrokiem namierzyła telefon stojący na stoliku obok kanapy. Czy jej manewr był zbyt impulsywny? Histeryczny? Czy powinna zadzwonić po pomoc? Ścisłe rzecz biorąc, nie została napadnięta, prawda? Charlotte zakradła się do kuchni i zerknęła przez okno na podwórko, zaplotła ramiona na klatce piersiowej i strzelała oczami to na żywopłoty, to na szopę na tyłach oraz dalej, na podwórka sąsiadów. Wróciła do salonu, serce wciąż waliło jej jak młot, i wyjrzała przez okno na frontie. Nie

wiedziała, co ma dalej robić, ale naglące parcie na pęcherz kazało jej skierować kroki do łazienki.

Posłała jeszcze jedno spojrzenie na drzwi wejściowe, potem na telefon. Czy powinna do kogoś zadzwonić? Na policję? Do matki? Wyobraziła sobie, o co ją spytają. „Jak on wyglądał? Czy możesz nam powiedzieć, co miał na sobie?” Nie miała zielonego pojęcia. Ale to był „on”. Tego jednego była pewna. Poszła do łazienki na korytarzu i zamknęła się w środku, znajdując pewne pocieszenie w wąskiej, zamkniętej przestrzeni. „Czy to mógł być Max Zimmerman? Czy właśnie potraktowała lakierem do włosów Maksa Zimmermana?”

Siedziała na ubikacji i zamartwiała się na tyle długo, że deska klozetowa odcisnęła czerwony okrąg na tyle jej ud, i pozostałaby w tej pozycji dłużej, gdyby nie zaczęły drętwieć jej nogi. Wycierała ręce w różowy haftowany ręcznik, kiedy usłyszała pukanie do drzwi wejściowych. Zamarła i spojrzała na zasuwkę w drzwiach łazienki. Znowu było słycać stukanie. Charlotte otworzyła zasuwkę i uchyliła drzwi na zaledwie kilka centymetrów.

– Vivian? – Przez boczne okna w drzwiach wejściowych przedostał się stłumiony głos. – Jest tam ktoś?

To była pani Gifford, sąsiadka. Charlotte odetchnęła, opuściła tymczasowe schronienie w łazience i potykając się, weszła z powrotem do salonu, spiesząc do wejścia, bo rozpaczliwie pragnęła zobaczyć znajomą twarz.

– Dzień dobry! – Z rozmachem otworzyła drzwi.

– Och, Charlotte – powiedziała pani Gifford. – Cześć, kochana. Mama jest w domu?

– Nie w tej chwili – odparła Charlotte, już nie brakowało jej tchu, ale wciąż mówiła szybciej niż zazwyczaj. – Kończy pracę dopiero o jedenastej wieczorem.

– Dobrze, mogłabyś jej to przekazać? Znalazłam w alejce za garażem Messnerów, kiedy wracałam do domu. – Podała Charlotte lakier do włosów Spray Net, który upuściła, i małą białą karteczkę. – Musiało jej wypaść z torebki. Pewnie strasznie się spieszyła, skoro nie usłyszała, jak spada na ziemię!

Charlotte spojrzała na karteczkę, którą wręczyła jej pani Gifford, i zobaczyła, że było to prawo jazdy matki.

– Dzięki – powiedziała, wciąż wpatrując się ze zdziwieniem w dokument.

– Powiedz mamie, żeby do mnie zadzwoniła.

– Przekażę.

Charlotte zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku, podczas gdy pani Gifford schodziła po stopniach ganku. Prawo jazdy matki. Czy mogło wypaść jej z torby na książki, gdy chwyciła za lakier? Co prawo jazdy matki robiło w jej torbie? Poszła do kuchni i odłożyła dokument do pustego słoika na ciasteczka.

Charlotte nie mogła się skupić na odrabianiu zadania domowego ani nawet na *Mojej kuzynce Racheli*. Czytała w kółko to samo zdanie, przynajmniej z dziesięć razy, w końcu poddała się i postanowiła wcześniej położyć się spać. Razem z tatą zjedli w milczeniu kolację składającą się z resztek makaronowej zapiekanki z szynką, potem

chwilę pograli w warcaby. Nie wiedziała, czy powinna opowiedzieć mu o tym, co zaszło. Im więcej o tym myślała, tym mocniejsze miała przekonanie, że sama do końca nie wie, co się wydarzyło.

Gdy zakładała na siebie piżamę, nerwowo zerknęła na okno. Zasunęła roletę, gdy tylko weszła do pokoju. O tej porze nie było jeszcze ciemno, ale nie zamierzała ryzykować. Teraz w pomieszczeniu zrobiło się za ciepło. Zwykle podniosłaby zasłonę do połowy i uchyliła okno, tylko na kilka centymetrów, by wpuścić do środka zimne powietrze. Ale nie dziś w nocy. Ktoś wciąż tam był i nie był to Max Zimmerman.

Rozdział 40

Vivian przekroczyła próg pogrążonego w mroku domu. Zgasiła światła na ganku i ściągnęła botki, które nie były już nowiuśkie jak ze sklepu i stanowiły kolejne przypomnienie o kłamstwach Edwarda. Jakby w ogóle tego potrzebowała. Odwiesiła płaszcz do szafy w przedpokoju, po czym skierowała kroki do kuchni, zapalając światła w drodze do kuchennego blatu. Umierała z głodu. Pracowała dziś za Marię Tomasetti, ponieważ Maria zastąpiła ją w czwartek i piątek, kiedy Vivian „wyjechała do Akron”.

Pusty słoik na ciasteczka stał na blacie, na dnie tkwiły jasne okruszki i drobinki białego lukru. Och, na litość boską. Upiekła te cholerne ciastka w sobotę wieczorem, a już zniknęły, choć nie było jeszcze walentynek. Spojrzała na zegar nad lodówką. Dwadzieścia po jedenastej. Westchnęła ciężko, po czym dostrzegła na ladzie coś, czego wcześniej tam nie było. Pochyliła się bardziej i zobaczyła, że to jej stare prawo jazdy.

Vivian gwałtownie zaczerpnęła powietrza do płuc, gdy podnosiła dokument, serce zaczęło jej walić i poczuła, że ściska ją w żołądku, a potem wywracają się wnętrzności. Mildred Fischer. Och, Jezu Chryste, Mildred Fischer była w Wooster. Czy była w tym domu? Jak trafiło tu prawo jazdy? Kątem oka pochwyciła swoje odbicie w okiennej szybie nad kuchennym zlewem. Wciąż miała zamiar powiesić zasłony w oknach. Nie widziała nic poza czernią nocy i nagle dotarło do niej, że każdy, kto stał na zewnątrz, mógłby ją zobaczyć, gdyby tylko tu spojrzął. Prędko podeszła znów do przełącznika światła i zgasiła je, pogrążając kuchnię w ciemności. Zaczekała, aż wzrok się przyzwyczai, potem zerknęła na okno. Cienie kładące się wzdłuż granicy podwórka wyglądały jak przyczajeni ludzie. Vivian chciała krzyknąć, ale w domu było cicho i nie chciała przerywać ciszy.

Prędko weszła po schodach i spojrzała na drzwi do pokoju Charlotte. Światło wciąż paliło się w środku – między drzwiami a chodnikiem na korytarzu był wąski prześwit.

– Charlotte? – szepnęła przez szczelinę w drzwiach.

Córka pisnęła.

Vivian pchnięciem otworzyła drzwi na oścież i zobaczyła Charlotte w łóżku, z kódrą naciągniętą pod brodę, córka wyglądała, jakby właśnie zobaczyła ducha. Albo nietoperza. Swego czasu gościli rodzinę nietoperzy na strychu i Edward musiał gonić za jej członkami z miotłą.

– Kochanie, co się dzieje?

– Och, mamó. – Charlotte odetchnęła.

– Co? Co się stało? Dlaczego moje prawo jazdy leży na blacie? – Zmartwiła ją

przestraszona reakcja Charlotte, oczywiście, lecz nie tak bardzo, jak martwiła ją Mildred Fischer.

– Twoje prawo jazdy? – spytała zmieszana Charlotte.

Musiała już chyba spać.

– Moje prawko; leży na kuchennym blacie.

– Och. Pani Gifford je dziś przyniosła. Chyba wyleciało mi z torby na książki.

– Pani Gifford – powtórzyła Vivian obojętnym tonem. – Erma Gifford? Z twojej torby na książki? Czemu miałyby...

– Mamo, ktoś mnie śledził po drodze ze szkoły do domu. Boję się, że on wciąż tam jest.

– Ktoś cię śledził? – Vivian położyła dłoń na czole Charlotte, jak robiła zawsze, gdy coś było z córką nie tak. – Powiedziałaś: „on”? Ale jaki on?

Charlotte podniosła się, ukojona obecnością matki, która siadła na łóżku obok niej, jak zwykła to robić, gdy Charlotte była mała. Jednak wciąż nie wypuszczała kołdry z zaciśniętych pięści.

– Nie wiem. Wiem tylko tyle, że to był facet. Popsikałam go lakierem do włosów, po czym wyrzuciłam spray i uciekłam.

– Charlotte!

Charlotte się wzdrygnęła.

– Kiedy wpadła pani Gifford, przyniosła prawo jazdy i lakier. Musiałam to upuścić w alejce za garażem Messnerów.

– Och, wielkie nieba, kochanie. – Vivian zmarszczyła brwi tak, że się połączyły, i ucisnęła skronie kciukiem i palcem wskazującym, jakby czuła ból. To wszystko jej wina. Przypadkowe zgubienie prawa jazdy wywołało zamieszanie w jej domu i rodzinnym kręgu. „Ale upuściłam je, upuściłam je, upuściłam je... Podniósł je chłopaczek i schował do kieszeni”. Zrobiła głęboki wdech.

– Cóż, może to był ktoś, kto znalazł moje prawo jazdy i chciał je tylko oddać.

Zdanie zostało wypowiedziane za jednym spokojnym, łagodnym, płynnym zamachem i Vivian miała nadzieję, że dzięki niemu Charlotte poczuje się ciut lepiej. Sama prawie uwierzyła w to, co mówi.

Charlotte zmarszczyła czoło, jakby wcześniej o tym nie pomyślała.

– Nie włożyłaś mi go do torby?

Vivian puściła to mimo uszu. Czemu prawo jazdy miałyby być w torbie na książki Charlotte?

– Pewnie wystraszyłaś biedaka, może nawet trafił do szpitala po spotkaniu z lakierem do włosów.

– Cóż – zaczęła Charlotte. – Może. To by miało ręce i nogi, prawda? Jeśli prawko po prostu gdzieś ci wypadło. – Puściła do tej pory kurczowo trzymaną kołdrę.

Vivian pogładziła Charlotte po rozluźnionych dłoniach.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy, kochanie. Wyśpij się.

Charlotte osunęła się z powrotem na poduszkę, gdy poczuła ulgę. Opadły jej powieki, czuła, że zapada z wyczerpania w głęboki sen.

Vivian wstała z łóżka, pochyliła się nad córką i pocałowała ją w czoło, tak jak

robiła to, gdy Charlotte była mała.

– Dobranoc – szepnęła.

Gdy zamknęła za sobą drzwi do pokoju Charlotte, wydawało jej się, że usłyszała huk z zewnątrz. Zakradła się wzdłuż ściany do okna na końcu korytarza, tego wychodzącego na dom Giffordów. Gdy jej wzrok powędrował w dół, zauważyła postać w krzakach przy domu.

„Wiem tylko tyle, że to był facet”.

To nie był zbieg okoliczności. Nie ma mowy, żeby prawo jazdy mogło samo pokonać całą drogę z Syracuse. To sprawka kogoś, kto był w domu Mildred Fischer.

Trzymała kciuki, by Charlotte zdążyła już zasnąć, ale nie miała czasu się tym przejmować. Energicznie otworzyła drzwi do sypialni, podeszła do śpiącej sylwetki Edwarda i potrząsnęła nią. Mocno.

– Wstawaj! – syknęła. – Wstawaj, wstawaj, wstawaj! Ktoś próbuje włamać się do domu!

I choć spał jak dziecko, jego reakcja i wybudzenie były prawie natychmiastowe. Może zostało mu tak po kilku latach przepracowanych w więzieniu. Vivian nie wiedziała. Edward wystrzelił z łóżka jak z procy, chwycił szlafrok i zaczął schodzić po stopniach, a Vivian kroczyła tuż za mężem. Zanim dotarła do ostatniego schodka na dole, rozległ się straszny łoskot tłuczenia szkła. Poleciała za róg i zobaczyła cegłę leżącą na korytarzu wśród kawałków rozbitego okna.

Czterema susami pokonała odległość dzielącą ją od telefonu w salonie, podczas gdy Edward poszedł po kij bejsbolowy z szafy w przedpokoju.

– Dorothy! – wrzasnęła do słuchawki. – Dorothy, połącz mnie z policją!

Rozdział 41

Wooster nie przestawało rozprawiać o historii z gazet. Tylko o tym mogło rozmawiać prawie całe Ohio, nie wspominając o sąsiednich stanach. Najpierw wieści opublikowano w Buffalo w stanie Nowy Jork, potem temat podchwyciła prasa w Pensylwanii i Ohio i wydrukowała go we własnych wersjach.

Gilbert J. Ogden został śmiertelnie postrzelony, gdy próbował przekroczyć granicę stanu Nowy Jork w okolicy Ontario w Kanadzie. W tej historii z pierwszych stron gazet najpierw odświeżono ze szczegółami czerwcową defraudację oraz obrabowanie Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne'a w Wooster, Ohio, po czym dodano szczegóły zaczerpnięte z „Buffalo Courier Express”, aby opisać niedawne zajście na granicy. Jeden z policjantów biorących udział w akcji zgodził się porozmawiać z Harrym Sweeneyem z „The Daily Record” i opowiedział historię o policjantach oraz funkcjonariuszach FBI czatujących na zbiega. Dostali cynk z centrali telefonicznej w Buffalo od obywatelki Hazel Horschatz, że Gilbert wybiera się do Nowego Jorku. Hazel skontaktowała się z lokalnym posterunkiem policji po tym, jak połączyła i „przypadkowo usłyszała” rozmowę pomiędzy mężczyzną z Toronto a kobietą z Lackawanny, „małej dziury nieco na południe od Buffalo”.

– Kobieta brzmiała na staruszkę – stwierdziła Hazel. – I powiedziała: „Gilbercie!”, na co rozmówca, Gilbert, kazał jej być „Ciii”, cicho, i dodał, och, co on też dodał?, brzmiał jak facet z *Podwójnego ubezpieczenia*. Coś w stylu: „dyskrecja to najwyższy priorytet”. Wyglądało na to, że staruszka nie nadążała, jeśli wiecie, o co mi chodzi – dorzuciła Hazel. – Dzwoniący mężczyzna, Gilbert, musiał się powtarzać i brzmiał na zdenerwowanego. Zdenerwowanego i jakby winnego.

Hazel Horschatz, „pisze się H-O-R-S-C-H-A-T-Z, jeśli chcecie to zamieścić w gazecie”, zabawiła się w amatorską detektywkę. Podśluchiwała rozmowy innych ludzi, odkąd zaczęła pracę w przedsiębiorstwie telefonicznym trzy lata temu. Trzy lata to był długi okres na jednym stanowisku, sami wiecie. Czytała kryminały, tyle że nie do samego końca, i oglądała filmy „noar”, przeważnie do końca, i chwaliła się koleżankom z pracy, że ma talent do „rozgryzania spraw”. Pewnie, czasem się myliła, jak wtedy, kiedy Annie Fuller zadzwoniła do mamy, by opowiedzieć jej o gościu, z którym się spotykała, i Hazel powiedziała, że mama Annie położy temu kres, „zważcie na moje słowa”, ale skończyło się tak, że Annie wyszła za mąż za tego faceta, i to z matczynym błogosławieństwem.

Nie chodziło tylko o kryminalne powieści czy filmy, czytała także gazety i śledziła artykuły o zbrodniach i przestępstwach, póki nie były to nudy na pudy. Wtedy, w czerwcu, rzuciła się na relację o Kasie Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne'a aż w Ohio, ponieważ fascynowały ją nazwiska bohaterów; tak określała

ludzi zamieszanych w doniesienia prasowe – byli to „bohaterowie”. W każdym razie sądziła, że „Gilbert Ogden” było prawdopodobnie jednym z najlepszych zestawień imienia i nazwiska, które do tej pory widziała. Wyobrażała sobie, że jest wysokim, grubym facetem z szalonymi czerwonymi włosami oraz równie rumianą od picia strumieni gorzalki twarzą.

– Zapewne zszedł na drogę przestępstwa, przemycając alkohol – powiedziała do dziewczyn z operatorni, znacząco mrugając lewym okiem (nie potrafiła mrugać prawym) oraz stukając palcem wskazującym o skroń.

Hazel nie zadała sobie trudu, by przeczytać cały artykuł, w którym zawarto opisy „bohaterów” oraz ostrzeżenie, aby zachować czujność i wypatrywać osób pasujących do rysopisu. Gdyby przeczytała cały tekst, zdałaby sobie sprawę, jak bardzo błędziła, kreśląc szkice w wyobraźni.

Opowiedziała wielu dziewczynom z pracy o swoich teoriach dotyczących Gilberta Ogdena i Flory Parker, więc kiedy Gilbert dostał kulkę i umarł, nazajutrz koleżanki zebrały się, żeby zobaczyć, co piszą o tym gazety. Kilka z nich przeczytało artykuł od deski do deski i miało poczucie, że powinny pokazać Hazel, jak bardzo się myliła w profilowaniu kryminalnym. Nie przepadała za wytykaniem jej błędów, więc prychnęła i przypomniała wszystkim, że gdyby nie ona, to tego bumelanta w ogóle by nie schwytano. Hazel pozostawała pod wystarczającym urokiem imienia Gilbert oraz faktu, że wziął nogi za pas. To utknęło jej w głowie. Kiedy zaczął gubić się podczas rozmowy telefonicznej z tamtą starszą panią, wiedziała, że to on. Po prostu wiedziała!

Flory Parker jeszcze nie schwytano, ale Hazel była pewna, że łatwo będzie ją namierzyć, skoro ma włosy w platynowym blondzie zaczesane do góry i tapetę na twarzy. Znów koleżanki z pracy podkreśliły, że rysopis Flory Parker podany w artykule prasowym nie zgadzał się z przewidywaniami Hazel. Ta zerknęła na stronicę tekstu, wzruszyła ramionami i cmoknęła. Jej zdaniem każda o imieniu i nazwisku „Flora Parker” powinna mieć fryzurę w platynowym blondzie. Cóż, po co miałyby się tym przejmować? Richie oświadczy się jej lada dzień, a gdy już wyjdzie za mąż, będzie mogła uwolnić się od tej parszywej roboty i tych parszywych damulek, które sądziły, że na wszystkim się znają. Jeśli rzeczywiście były takie obeznane, to czemu nie one dały cynk gliwarzom? Hę? Powiedzcie sami. Horschatz, H-O-R... Och, nieważne. Richie wkrótce się jej oświadczy – i wtedy i tak zmieni nazwisko na Rindfleisch. Napiszcie Hazel Rindfleisch. Pisze się R-I-N-D-F...

Gazety krążące z rąk do rąk po Wooster były wymięte i zniszczone, to składane, to rozkładane, sfatygowane od uderzania, pogniecione od potrząsania, czytane i czytane, i czytane ponownie z powodu historii Gilberta Ogdena. Mieszkańcy miasteczka reagowali w przeróżny sposób. Alma Kellerman o niebieskawych od płukanki włosach, która mieszkała obok Gilberta Ogdena, gdy ten przebywał w Wooster, cieszyła się, że miała go za sąsiada, i ze zdumienia nie mogła złapać tchu, gdy dowiedziała się, że obrabował bank.

– Och, ten miły młody człowiek!

Potem, kiedy przeczytała, że go zastrzelono, było jej bardzo przykro.

– Och, ten miły młody człowiek!

Naprawdę był przemiły, pomagał jej podlewać hortensje i pilnował, by roznosiciel zostawiał mleko dla niej tuż pod drzwiami, zamiast stawiać je na samym dole schodów na werandę, wtedy musiałyby schodzić po nie, kuśtykając.

– Och, ten miły młody człowiek!

Zmartwiła się jeszcze bardziej, gdy przeczytała o tym, że matka Gilberta zmarła na zawał serca po tym, jak dotarły do niej wieści, że jej syna zastrzelono.

– Rany julek. Biedna kobieta.

Żona Geralda Houdera opowiedziała mu historię z gazety, ale jej nie słuchał, więc musiał zaczekać, aż małżonka skończy lekturę, żeby samemu się przekonać. Ścisnął fajkę w zębach i kiwał głową na boki, po czym wrzasnął: „TO NIE POPŁACA, TO OKRADANIE UCZCIWYCH LUDZI, TAK JAK ON TO ZROBIŁ, BEZ WĄTPIENIA! ALE SZKODA JEGO MATKI!”.

Kiedy już Betty Miller otrząsnęła się z początkowego oburzenia, że informacja o imprezie walentynkowej w country clubie została przesunięta na czwartą stronę gazety, zareagowała na artykuł z pierwszej strony o Gilbercie Ogdenie następująco: stąpała dumnie po okolicy, prawie warcząc w mściwej ucieście i piejąc: „A nie mówiłam!” oraz „Ma to, na co sobie zasłużył!”. Nie okazała ani odrobiny współczucia, nawet dla matki Gilberta Ogdena. „Matka pewnie była taką samą bandytką co on!” Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Każdy to wiedział.

Wzięła to do siebie, gdy przestępcy okradli bank tatusia i zawstydzili go przed całym miasteczkiem oraz pracownikami kasy, mimo że był dla nich wspaniałomyślnym pracodawcą. Jacy niewdzięczni potrafili być ludzie. Jaką czelność i tupet trzeba było mieć. Nigdy tego nie pojmie, przenigdy.

Przeczytała relację, pijąc kawę do śniadania przy stoliku, gdy już wysłała Charlesa do pracy. Z gazetą wciąż w dłoni triumfalnie pomaszzerowała do telefonu i obdzwoiła wszystkich znajomych, by upewnić się, że każdy zapoznał się z artykułem. Nie wystarczyły jej wiedza, że sprawiedliwości stało się zadość, i fakt, że historia trafiła na pierwszą stronę „The Daily Record”, nie wspominając o kilku innych gazetach wydawanych w okolicy. Potrzebowała, by wszyscy się dowiedzieli, i nie mogła po prostu liczyć, że sami przeczytają o tym w prasie.

„Przestępstwo po prostu nie popłaca!” i „Szujom nigdy nie uchodzi na sucho, prędzej czy później!”. Jej głos sięgnął piskliwych rejestrów, których przyjaciółki jeszcze u niej nie słyszały, dlatego zastanawiały się, czy była pijana tak wcześnie rano. Marilyn Dean nawet rozważała, czy nie zadzwonić do doktora Charltona i nie poprosić o receptę na dexamył. Nie miałyby nic przeciwko, żeby podjechać do apteki Rexall dla koleżanki, naprawdę. Żaden kłopot.

Był to pierwszy artykuł o Gilbercie J. Ogdenie na tytułowych stronach gazet, ale nie ostatni. Podano szczegóły jego śmierci wraz z miejscem, datą i porą dnia oraz przyczyną zgonu, czyli raną postrzałową. Akt zgonu Gilberta Ogdena, który widzieli tylko lekarz prowadzący, sędzia śledczy oraz urzędnik miejski wypełniający dokument, nie zostanie opublikowany w prasie ani podany do publicznej wiadomości.

Karta zgonu zawierała więcej informacji, niż znalazło się w artykule prasowym, i wywołałaby spore zamieszanie, gdyby ją ujawniono. Co prawda tak się nie stało. Ale zamieszanie i tak wybuchło.

Pierwszy artykuł o Gilbercie Ogdenie wywołał falę telefonów do redakcji „The Daily Record” i spowodował, że pełne szoku szemranie – niczym zmarszczki rozchodzące się po tafli wody – wzburzyło Wooster. Jednak dopiero drugi tekst wzmógł poruszenie i przeobraził drobne pływy w sztorm, który zupełnie wywrócił miasteczko do góry nogami. Koperta zaadresowana do Harry’ego Sweeneya, wysłana anonimowo bez adresu zwrotnego, stanowiła obciążający dowód, jeśli można tak powiedzieć. Nie był to akt zgonu Gilberta J. Ogdena, lecz ksero jego aktu urodzenia z oficjalną pieczętką miasta Syracuse. Widnieli na nim: bliźnięta dwujajowe, Gilbert Ogden Jacobs i Flora Isabelle Jacobs, a także matka, Isabelle Jacobs (Mulatka), i ojciec, Johnston Ellis Reed (biały).

Harry Sweeney przed publikacją spotkał się w sprawie artykułu z Lesterem Kaplanem, redaktorem naczelnym. Wiadomość z ostatniej chwili okazała się gorsząca, ponieważ J. Ellis Reed był burmistrzem Wooster. I gdyby redaktor naczelny był tym samym człowiekiem, który opublikował wszystkie entuzjastyczne bajki o hojności J. Ellisa Reeda po skandalu w Kasie Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne’a w czerwcu, nie byłoby żadnego problemu. Materiał wcale nie przerodziłby się w tekst. Akt urodzenia w tajemny sposób gdzieś by się zawieruszył, całą rzecz zamieciono by pod dywan. Wooster to było miasteczko, gdzie lokalne władze oraz przedsiębiorcy załatwiali interesy zgodnie z zasadą „ręka rękę myje”. Jednak Lester Kaplan był nowym redaktorem naczelnym „The Daily Record” i nie mył nikomu rąk.

Gdyby Lester Kaplan był jednym z zagorzałych popleczników burmistrza Reeda albo choćby przyjaznym znajomym, historia mogłaby zostać zduszona w zarodku jak to zwykle bywało. Gdyby wniosek Lestera Kaplana o przystąpienie do woosterskiego country klubu nie został tak bezpardonowo odrzucony przez J. Ellisa Reeda, Kaplan mógłby inaczej pokierować narracją. Ale zamiast czapkować Kaplanowi, Reed brutalnie, agresywnie Kaplana tą czapką zdzielił. Kaplan postanowił wydrukować w gazecie drugi artykuł o Gilbercie Ogdenie tak, jak uważał za stosowne.

Reakcja Betty Miller na drugą publikację prasową o Gilbercie Ogdenie była tylko ciut inna niż za pierwszym razem. Dobrze, że siedziała, gdy oddała się lekturze, ponieważ kiedy dotarła do miejsca, gdzie zamieszczono fotokopię aktu urodzenia, zemdląca.

Rozdział 42

J. Ellis Reed lubił piastować godność burmistrza. Posada go urzędowała. Urodził się, by być ważnym, ludność Wooster potrafiła to dostrzec. Z początku przestrzegał wszelkich zasad i wszyscy byli zadowoleni. Potem przyszło mu do głowy, że mógłby uszczknąć nieco z miejskiej kasy. Jego prywatny majątek znacznie ucierpiał w wyniku defraudacji i uzupełnić zasoby nie było tak łatwo, jak sądził. Obiecał sobie, że będzie sięgał do funduszy jedynie od czasu do czasu i odprowadzał tylko pomniejsze sumki. Zadowolona społeczność nie kwestionowała lokalnych władz. Zwłaszcza po tym, gdy postawił ławki przed budynkami użyteczności publicznej, żeby ludzie mieli na czym usiąść.

Zatem pora nie mogła być mniej korzystna na dwa niepożądane, szokujące wydarzenia, jakie rozpoczęły i zakończyły jego tydzień. Pierwszym szokiem (poniedziałek) było to, że Gilbert Ogden, malwersant bankowy, nie tylko został namierzony, choć J. Ellis płacił prywatnemu detektywowi, by ów się nie odnalazł, ale jeszcze potraktowano go „kulą ołowianej sprawiedliwości” i „zastrzelono na ulicy jak psa”. Relacja w prasie była nadmiernie dramatyczna i przyprowadziła J. Ellisa o mdłości.

Drugi szok (piątek) prawie zagroził śmiercią samemu J. Ellisowi, siedzącemu na lśniącym skórzanym fotelu za biurkiem w ratuszu. Zszokował go widok własnego nazwiska obok Gilberta Ogdena na pierwszej stronie „The Daily Record”, co nie tylko wiązało go z przestępcą, ale też ujawniało od dawna podtrzymywane kłamstwo. Pierworodny syn. Syn, którego porzucił, ponieważ potomek nie pasował do scenariusza życia, jaki J. Ellis dla siebie ułożył.

Gilbert Ogden tak naprawdę nazywał się Jacobs. Pierwsze prawo jazdy stan Nowy Jork wydał mu w Syracuse, tak samo drugie. Za drugim razem dokument został przepisany na maszynie przez roztargnionego urzędnika z wydziału ewidencji pojazdów i kierowców, który zapisał go jako „Gilberta Ogdena”, mylnie biorąc drugie imię Gilberta za nazwisko. Gilbert, zwykle obsesyjnie drobiazgowy i precyzyjny, stukał obcasem buta i obgryzał paznokcie, niecierpliwie czekając, aż roztrzepany urzędnik pospieszy się i wyda mu prawo jazdy, żeby zdążył dolecieć do łązienki, zanim nastąpi katastrofa. Pomrukujące jelita Gilberta (niepokój oraz niedogotowany kurczak) zmusiły go do porwania prawa jazdy (bez sprawdzenia poprawności danych), wciśnięcia go do kieszeni i pospieszenia do najbliższej toalety. Później, gdy marszczył brwi na widok dokumentu, nierad na perspektywę powrotu do biura wydziału pojazdów w celu skorygowania błędu, przyszła mu do głowy osobliwa myśl. Może pomyłka zadziała na jego korzyść. Utoruje mu drogę do czegoś innego. Zapewni anonimowe wejście do świata J. Ellisa Reeda w Wooster, Ohio.

J. Ellis Reed nie rozpoznał nazwiska Ogden. Nie poznał też Gilberta. Dorosły

mężczyzna w okularach, którego nigdy wcześniej nie spotkał, wydawał się nadzwyczaj błyskotliwy i miał smykałkę do rachunków. Idealny nabytek dla Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne'a. Dopiero po rabunku burmistrz zaczął łączyć fakty.

J. Ellis wpatrywał się w pierwszą stronę „The Daily Record”. Nie będzie mógł odgrywać roli wielkodusznego, godnego zaufania burmistrza po tej przekłętej historii. Jupiterzy niespodziewanie się zapaliły, oślepiając go. Utkwił wzrok w nagłówku, słowa rozmywały się, dopadły go też coraz silniejsze zawroty głowy i czuł, jak palące wnętrzości podchodziły mu do gardła. „BURMISTRZ REED, OJCIEC MALWERSANTÓW Z KASY OSZCZĘDNOŚCIOWO-POŻYCZKOWEJ WAYNE'A”. Wszystko w nim zaczęło wrzeć, więc kurczowo chwycił podłokietniki skórzanego fotela obrotowego. Telefon na biurku zaczął dzwonić, tak samo jak ten na zewnątrz gabinetu.

– Proszę pana? – Darla Adams, oddana sekretarka, zajrzała do gabinetu.

– Nie teraz! – wrzasnął, zamasyście uderzając dłonią w skórzaną suszkę.

Drzwi prędko się zamknęły.

Don McAfee potwierdził, że Isabelle nigdy nie wyszła za mąż i nadal nosiła nazwisko Jacobs, chociaż przeprowadziła się z Syracuse do Lackawanny, tuż pod Buffalo. Pracowała tam w bibliotece publicznej. Od zawsze uwielbiała czytać.

J. Ellis po części był szczerze dumny z Gilberta i Flory. Mądrzy, poważani i bez wątpienia o głębiej zakorzenionej etyce pracy niż jego kierownicy najwyższego szczebla. I zdumiała go niezwykła zmyślność, z jaką przeprowadzono defraudację. Nie mógł uwierzyć, że dokonali czegoś takiego. W tym stanie otępienia przypisywał sobie nawet zasługi za to, że wyrosli na ludzi, tak jakby przyłożył rękę do ich wychowania.

Betty i Johnston mieli fundusze powiernicze. Koniec końców J. Ellis uważał pieniądze ukradzione przez Gilberta i Florę za środki należące do nich legalnie w kontekście wszystkich tych pieniędzy, których im zabrakło, a które powinien przesyłać ich matce jako alimenty, ale tego nie robił. Strach przed zostawieniem śladu na papierze prowadzącym do niego i jego zamożnej, szacownej rodziny był zbyt silny. Pozwolenie, by im się upiekło, wprawiło J. Ellisa Reeda w poczucie, że spłacił dług i w końcu postąpił słusznie. Było mu prawie przykro, że nie mógł nikomu powiedzieć o swym prawdziwym, potajemnym dobrodziejstwie, choćby tylko po to, aby Betty znów rozważyła pomysł budowy pomnika J. Ellisa Reeda lub by przynajmniej wnuki zrobiły mu żalobną szarfę.

Sfrustrowany stękał i warczał nad gazetą, walił pięściami w suszkę do atramentu i ocierał twarz z potu, bolejąc nad swoim nieuchronnym końcem albo śmiercią Gilberta, albo obiema sprawami naraz.

Rozdział 43

W życiu każdego nadchodzi chwila, sposobność odkupienia win, szansa na prawdziwy osobisty rozwój i stanie się lepszym człowiekiem. Czasami tę chwilę poprzedza przebłysk, mgnienie pełnej jasności umysłu, lub jakieś zaskakujące zdarzenie albo katastrofa; często prowokuje ona bezwzględne, twarde spojrzenie na siebie i własne czyny, zachłyśnięcie się dumą, prawdopodobnie bolesne, oraz herkulesowy trud przy przeprosinach.

Byłoby miło, gdyby Betty Miller rozpoznała tę chwilę, gdyby miała w sobie dość charakteru, by przeprosić Vivian Dalton. Celowo ujawniła niezwykle osobistą, głęboko upokarzającą informację, a potem usiłowała publicznie wprawić Vivian w zakłopotanie i zawstydzić z tego tytułu przy każdej nadarzającej się okazji. Ale żeby przeprosić, Betty musiałaby uznać – nie wspominając o tym, że musiałaby uwierzyć – iż zrobiła coś nie tak; coś, co błagało o wybaczenie. To, co uczyniła, nie było li tylko lekcją, która musiała zostać odrobiona, ani rachunkiem, jaki należało wyrównać. Jednak Betty Miller pozostawała niemal beztrzesko niepomna na własne zachowanie. Jakim cudem miała znaleźć winę w sobie, podczas gdy tak bardzo zajmowało ją odnajdowanie winy w każdej innej osobie? Było to czasochłonne zajęcie, sami rozumiecie. Każdy musiał za coś odpokutować. Każdy poza nią i jej ojcem.

Pomimo że kilka tak zwanych przyjaciółek porównywało te sytuacje, ona nie widziała żadnych podobieństw między skandalem ze skrywanym pierwszym małżeństwem Edwarda a skandalem dotyczącym jej własnego ojca w związku z rzekomymi nieślubnymi dziećmi. Nabrała stanowczości w udowadnianiu, że fotokopia aktu urodzenia została w jakiś sposób sfalszowana. Niemożliwe i niepojęte, by ojciec, JEJ ojciec, zrobił coś tak haniebnego.

Gdy do mieszkańców Wooster dotarł fakt, że Gilbert i Flora byli rasy mieszanej, wówczas zaczęły się pogłoski, że Gilbert i Flora rzeczywiście trochę przypominali wyglądem J. Ellisa Reeda. Mieli jakiś taki kształt czoła, może też zarys szczęki.

„Non-sens!” oraz „Nied-orz-ecz-ność!” – wykrzykiwała Betty.

Świadczenie powiedzieliby, że piszczała, ale Betty Miller nie piszczała, mówiła bardzo wyraźnie. Mężczyzna, który zapłodnił Murzynkę (Betty nie czyniła rozróżnienia między Mulatką a Murzynką) i potem porzucił ją, wychowującą dwoje dzieci w pojedynkę (wstyd, doprawdy), z pewnością musiał być kimś innym. Nie chciała w to wierzyć, nawet wtedy, gdy ojciec przyznał się do złych uczynków.

Oświadczył to bardzo prostymi słowy w sobotnie popołudnie (gdy wszyscy bez wyjątku przeczytali oba artykuły na temat Gilberta Ogdena w „The Daily Record”) w salonie domu Reedów. Betty była tam w eleganckiej nowej garsonce, którą kupiła

u Beulah Bechtel, ponieważ potrzebowała poprawić sobie humor. Ani spódnicy, ani żakietowi – pomimo ceny – nie udało się tego dokonać, więc po zakupach próbowała, raz po raz i bez powodzenia, dodzwonić się do doktora Charltona do domu, aby zażądać recepty na dexamyl. Na liniach telefonicznych w Bellu znać było drugie ucho, co dowodziło, że to dość powszechny problem.

Młodszy brat Betty, Johnston, był w domu (i w potrzebie prędkiej wizyty u fryzjera), tak samo jak matka. Siedziała, blada i milcząca, lecz piękna jak zawsze, w sukience w błękitie pruskim na tle koralowego adamaszku fotela uszaka. Ojciec nie nawiązywał kontaktu wzrokowego z żadnym członkiem rodziny, ale mówił wyraźnie. Przyznał się do wszystkiego: od romansu z Isabelle Jacobs przez nieplanowaną ciążę po ucieczkę z miasta. Nawet trochę płakał, lecz mocno zacisnął powieki, żeby powstrzymać łzy. Mimo to Betty nie wierzyła. Jej twarz przemieniła się w uśmiechniętą od ucha do ucha maskę, przypominającą jedną ze znanych z programów „Howdy Doody” postaci z tyłu opakowania płatków śniadaniowych Kellog’s ze spiżarni. Ciało miała napięte jak struna, dopadały ją skurcze mięśni szyi i pleców, a jej dłonie wyglądały tak, jakby zaciskała je w pięści przez całe dni. Mała zawieszka aniołka życzliwych myśli dyndała bezsilna i zapomniana u bransoletki zegarka. Betty zebrała siły przed rodzinnym spotkaniem i prawda, którą jej ojciec usiłował zakomunikować, odbiła się od jej niewidzialnej tarczy.

Betty nie próbowała zrozumieć, dlaczego ojciec miałby wdawać się w romans z Murzynką, ponieważ jej zdaniem to po prostu się nie wydarzyło. Mogła starać się pocieszyć matkę, tak jak robił to John, ale przecież nie było powodu, by spieszyć z pocieszeniem. Wszystko było w porządku. Matkę pewnie zmogło zmęczenie. Betty potrafiła mocno uściskać ojca, bo był wspaniałym człowiekiem, paskudnie potraktowanym przez prasę. Miejcie się na baczności, „The Daily Record” jeszcze dostanie od niej burę. Mogła na niezliczone sposoby sprawić, że gazeta ucierpi. Znała dziesiątki sekretów i skandali mieszkańców Wooster i wykorzysta tę przewagę na swoją korzyść. Być może zacznie wydawać własną gazetę. Tytuł dostarczający stosowne treści, korzystne dla ludności Wooster.

Gdy ucałowała matkę w błądy policzek i uściskała brata na do widzenia, już zaczęła planować uroczysty obiad. Zawiesiła torebkę na nadgarstku i włożyła krótkie beżowe skórzane rękawiczki. To będzie większe wyzwanie – bojkotowanie gazety o największym nakładzie w miasteczku – ale nie martwiła się. Co najlepiej zaserwować na obiad? Spyta Dolly.

Jednak gdy Betty wyszła z domu i ruszyła w stronę zaparkowanego cadillaca, musiała się skupić, by równo oddychać i trzymać prosto sylwetkę. Coupe to był najnowszy model, modniejszy niż ten Marilyn Dean, ale czy teraz miało to jakiegokolwiek znaczenie? Czy kiedykolwiek miało? Coraz wolniej stawiała kroki na podjeździe, myślami wracając do sylwestra, kiedy pławiła się w ciepłym, mętym blasku trzeciego kieliszka szampana, a czwórka dzieci grała w chińczyka pod lampkami na choince dziadków. Zapamiętała uczucie szczęścia. Była szczęśliwa i myślała, że w życiu liczą się tylko Bóg, miłość i rodzina. Rodzina.

Wsunęła się na obite siedzenie coupe i zatrzasnęła za sobą ciężkie drzwi.

Kurczowo chwytając za kierownicę odzianymi w rękawiczki dłońmi, Betty pozwoliła sobie zwiesić ramiona i zaczęła się trząść, gdy szloch wyrwał jej się z gardła.

Rozdział 44

„Gilbert Ogden!”, „Ogden!”, „Wielkie nieba, co za wieści o Gilbertcie Ogdenie!”, „Czytałaś o Gilbertcie Ogdenie?!” – takie wrzaski można było usłyszeć w słuchawkach każdej telefonistki w tamtym tygodniu. Historia Eddiego Fischera została przyćmiona przez informacje na temat Gilberta Ogdena. Każdego innego dnia fakt, że ktoś zaatakował miłą Charlotte Dalton (biedna dziewczyna!), a potem próbował włamać się do domu Daltonów, wrzucając cegłę przez okno, stałby się rewelacją, trafiłby nawet na pierwsze strony gazet. Ale skoro zastrzelony Gilbert Ogden trafił na pierwszą stronę, Eddie Fischer spadł na drugą.

Policja zatrzymała podejrzanego tamtej nocy nie tak daleko od domostwa Daltonów. Vivian udała się na posterunek policji wraz z Edwardem, ciesząc się, że Erma Gifford mogła zostać na miejscu z Charlotte. To było takie smutne. Ten mężczyzna – bo nie był już dzieckiem – dobiegał trzydziestki, i okazał się wściekły, zagubiony, sfrustrowany. Vivian знаła to uczucie i wiedziała dokładnie, czego mu brakowało. Więzi z ojcem. Vivian widziała to w jego oczach. W oczach, które wyglądały tak samo jak Edwarda, tyle że były odrobinę bardziej zaczerwienione i nabiegłe krwią od lakieru do włosów Spray Net.

Niewiele im powiedział, podobnie jak policji. Poprosił o rozmowę na osobności z Edwardem. Policjanci odmówili, ale usadowili ich we dwóch, przy czym do pomieszczenia wysłali też funkcjonariusza, zapewniając im odrobinę, choć nie pełnię prywatności. Vivian śledziła zegar ścienny na posterunku i wykręcała w rękach chusteczkę do nosa, zatapiając się w rozmyślaniach nad tym, jak wszystkie sprawy związane z wielkim kłamstwem Edwarda tylko się pogarszały. „Wesołych cholernych walentynek”.

Vivian miała nadzieję, że Eddie Fischer nie wspomni Edwardowi ani słowem o jej prawie jazdy. Straciłaby przewagę, gdyby Edward dowiedział się, że pojechała do Syracuse; nie mogła na to pozwolić. Aktualnie trzymała się tylko tej przewagi. Trzymała się jej skrajnie śliskimi palcami.

Słyszała, jak Eddie zeznał policjantom, że nie zamierzał zrobić Charlotte krzywdy, chciał z nią tylko porozmawiać. „To moja siostra, prawda?”. Nie miał jednak wytłumaczenia, dlaczego wycelował cegłówką w okno. Vivian widziała cegłę i widziała gniew. Wiedziała, jak to wyglądało. Miał wrócić do Syracuse, może trafi do więzienia. Vivian nie była pewna, czy złamał prawo, przyjeżdżając do Ohio, ale cieszyła się, kiedy zniknął i powrócił do swojego życia w Nowym Jorku. „Widziałeś już ojca, poprzestańmy na tym”. Vivian poczuła ucisk w żołądku, gdy pewna myśl zakradła jej się do głowy. „A co, jeśli to wcale nie koniec? Jeżeli ten człowiek od teraz będzie stanowił część naszego życia?”

Edward i Vivian opuścili posterunek policji w milczeniu i tak też dojechali do domu. Weszli do środka, milcząc, i Vivian pomogła Edwardowi zakleić gazetą zbitą szybę w oknie w milczeniu. Zwróciłyby uwagę na ciszę, gdyby jej umysł bez przerwy nie trajkotał. „Czy syn powiedział mu, że byłam w Syracuse? Czy mąż jest na mnie zły? Czy złości się na syna? Kto mu dał prawo, żeby się gniewał? To ja powinnam się wściekać!”

Charlotte odpuściła walentynkowe tańce i zamknęła się w swoim pokoju, cierpiąc na poważną dolegliwość chwilowej agorafobii. Puszczając płytę Eddiego Fishera przez cały wieczór, potem całą niedzielę, i słuchałaby jej przez cały przyszły tydzień, ale z pomniejszego reportażu na drugiej stronie „The Daily Record”, zamieszczonego tuż po artykule o Gilbertcie Ogdenie, dowiedziała się, że mężczyzna, którego aresztowano za zniszczenie mienia na posiadłości Daltonów oraz napaść na Charlotte Dalton, nazywał się Edward „Eddie” Fischer. Charlotte wiedziała, że już zawsze słysząc imię i nazwisko Eddiego Fishera (nieważne, jakiej pisowni), skojarzy je z napadem.

Cała szkoła huczała o tym przez następny tydzień. Eddie Fischer napadł na Charlotte i rzucił cegłą przez okno do domu Daltonów. Co bardziej naiwni uczniowie wierzyli, że był to piosenkarz śpiewający ballady, i zastanawiali się, jakim cudem Charlotte go znała. Ależ musiała być z niej dziewczucha, by Eddie na tyle stracił głowę, że cisnął cegłówką w szybę. Zwłaszcza Sue uważała, że to bezgranicznie zabawne. Nie bardziej niż mit o Syfilisie, ale zajmowało to solidne drugie miejsce na podium. Dwoiła się i troiła, rozsiewając plotki.

– Char – powiedziała znad suszonej wołowiny w plasterkach w stołówce – gdyby to Eddie Fisher rzucił cegłówką w twoje okno, zaprosiłabyś go do środka, co nie?

Charlotte zdobyła się na słaby uśmiech, żałując, że Sue musi obracać wszystko w żart. Sue nie miała pojęcia, jakie to było przerażające, i minie dobra chwila, zanim Charlotte dostrzeże element humorystyczny w pogłoskach o Eddie Fisherze. Barb okazała większe współczucie.

– Musiałś tak bardzo się bać!

Charlotte naprawdę bardzo się bała, tak bardzo, że strach zagarnął dla siebie resztę weekendu. Strach powstrzymał ją przed pójściem na walentynkową potańcówkę i Charlotte winiła ten sam strach za to, że posłał Maksa Zimmermana prosto w ramiona Peggy Cline, która tego wieczoru ani trochę nie znała strachu. W szkole Max nie potrafił spojrzeć Charlotte w oczy, ale Sue знаła rozwiązanie problemu: „Może pożreć garść trujących na śmierć tabletek, jeśli o mnie chodzi”, co wydało się Charlotte całkiem niezłym pomysłem.

Gdy Charlotte zapoznała się ze szczegółami policyjnego raportu, złamała singiel Eddiego Fishera, podobnie jak pozostałe jego płyty, i wyrzuciła je wszystkie do kosza na śmieci pod biurkiem w pokoju.

Zamiast tego ciszę w sypialni wypełniła piosenka *Saturday Night Fish Fry* Louisa Jordana. Wesoła i pełna werwy, to była właśnie tego rodzaju szokująca „murzyńska muzyka”, na którą narzekała pani Barnes, kiedy jej syn Raymond przyprowadził tamto łatwe dziewczę z Nowego Jorku do domu. Charlotte wiedziała, że matka ma podobne zaściankowe myślenie i zapewne klęła pod sufit, gdy słyhać było nad

kuchnią dudniące dźwięki.

Charlotte zdziwiłaby się, gdyby zobaczyła, że matka chwyciła płytę i przeczytała tytuł z lekką zadumą, wchodząc do pokoju Charlotte, by pozbierać rozrzucone ciuchy do cotygodniowego prania. Fish Fry. Smażona ryba. Stara dobra smażona ryba u McGintych. Oddałaby prawie wszystko, żeby móc powrócić do tamtych dni, kiedy jej życie w Wooster było o wiele prostsze.

Życie w Wooster stało się dla całej rodziny Daltonów skomplikowane i dlatego Charlotte nie mogła się doczekać, kiedy w końcu będzie mogła stąd wyjechać. Gdy wiosną dostała się do drużyny cheerleaderek w woosterskim liceum, w nowiuśkich oksfordkach, które kupił dla niej tata, czuła, że mogłaby jeszcze chwilę z tym poczekać. Dodałaby cheerleading do wydłużającej się listy osiągnięć (udzielała się, jak się patrzy) i zignorowałaby każdego, kto powiedziałby, że to nie ma znaczenia. Nowa dziewczyna Maksa Zimmermana, Peggy Cline, też próbowała. Bez sukcesu.

Jeszcze jedna rzecz lekko poprawiała Charlotte humor w woosterskim życiu codziennym, mianowicie zdemaskowanie burmistrza Reeda. Czytała relację, aż oczy prawie wyszły jej z orbit, i dokończyła artykuł ze szczęką opadniętą z wrażenia. Założyłaby się, że wnuczka burmistrza Reeda, Margie Miller, zapewne w tej samej chwili posrała się w gacie.

Rozdział 45

Vivian nie wiedziała, kto wysłał odbitkę aktu urodzenia Gilberta i Flory do redakcji „The Daily Record”. Jej kserokopia wciąż leżało bezpiecznie wciśnięte na samo dno pudełka po kapeluszu. Prawie zemdląła, gdy tamtego dnia zobaczyła stronę tytułową gazety. Pospieszenie pokonała schody wiodące na górę, dopadła do szafy w sypialni i zerwała wieko pudła. Jednak kserokopia wciąż tam była. Wciąż znajdowała się obok papierosów, które od czasu do czasu popalała, zresztą nie ma o czym mówić.

Rozważała taki ruch podczas długiej jazdy powrotnej z Syracuse. Cóż, nie tylko rozważała, ale coś więcej. Wyobraziła sobie, że będzie tak jak wtedy, gdy stanęła w centrali telefonicznej i wsunęła rękę pod wszystkie podłączone kable i jednym ruchem wyrwała je z wtyczek. Użyła posiadanej władzy, by zakłócić życie w Wooster, i z początku jej się spodobało. Artykuł o J. Ellisie Reedzie na pewno wzburzył Wooster, rozmyślała, jadąc bezkresnym pasem autostrady w surowym otoczeniu pomiędzy Nowym Jorkiem a Ohio, pozwalając myślom błądzić we wszystkie strony. Wyobrażona przez Vivian wersja paraliżu miasta zakładała dramatyczną scenę, w której Betty Miller zostanie zmuszona do odczytania na głos szczegółowych danych z aktu urodzenia w telewizji w przerwie reklamowej podczas *Kocham Lucy*.

Demaskacja J. Ellisa Reeda zaboląaby tę wstrętą Betty Miller tak samo, jak rozgłaszanie plotek przez Betty zaboląo Vivian. I mogłaby to zrobić, kiedyś, gdyby ktoś inny jej nie ubiegł. Ale... równie dobrze mogłaby zachować tajemnicę. Sytuacja była zbyt zagmatwana, by mieć pewność, co z tego wyjdzie, jednak Vivian postanowiła pogratulować sobie, że oparła się pokusie i trzymała dokument ukryty w pudle po kapeluszu. Postanowiła potraktować to jako duchowy impuls, popychający ją do Boga. Każdemu przydawała się odrobina zachęty od czasu do czasu.

Duchowe wzmocnienie dawało Vivian prawie taką samą satysfakcję jak zabezpieczenie w postaci aktu urodzenia. Od początku miała przecucie, że Gilbert i Flora to niedobrana para. „Znam się na ludziach, do chol...” – zatrzymała się w pół myśli, nagle zdając sobie sprawę, że „cholera” nie do końca pomoże duchowemu impulsowi zaistnieć. Jeśli planowała dalej kroczyć drogą ku Bogu, lepiej niech uważa na swoje myśli. W każdym razie podstępny Gilbert Ogden został zastrzelony, ale nie było ani słowa o Florze Parker. Vivian wcale by nie zdziwiło, gdyby Flora przysła gdzieś z mężem Billem, z uciechą wydając resztę pieniędzy zrabowanych z Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne’a. Ponieważ tych dwoje wyglądało Vivian na papużki nierozłączki, a Vivian znała się na ludziach.

Maszyna do pisania w pokoiku na poddaszu domu Daltonów widziała bardzo wiele wierszy i nie aż tak wiele rozpaczliwych listów do urzędników, napisanych w wyniku duchowego impulsu oraz obrania drogi ku Bogu. Vivian odkryła, że poezja przynosiła ukojenie jej żołądkowi, ale supły z wnętrzości nie rozwiązywały się zupełnie. To było tak, jakby po namoczeniu w płynie były ciut ciaśniejsze i odrobinę trudniejsze do rozwiązania.

Skórzane czółenka Vivian kłapały po wilgotnym chodniku, kiedy mijała sklep u Freedlandera po drodze do pracy. W zeszłym tygodniu śnieg stopniał i wychodziło na to, że świstak mógł się pomylić. „Miejmy nadzieję” – pomyślała. „Mam dość zimy. Jestem gotowa na wiosnę”. Zanuciła *Płyń, płyń, łódką swą*, podczas gdy strużka śniegu z roztopów utworzyła rzeczkę płynącą wzdłuż krawężnika obok.

Vivian nie miała nowego wiosennego kapelusza, lecz posiadała nową, niewidzialną, nadaną przez samą siebie aureolę. Ale zostawiła ją u siebie, odwiesiła za to beżowy płaszcz z gabardyny bawełnianej na wieszak, na już wiszącej tam torebce, po czym weszła do operatorni i złożyła deklarację pozostałym telefonistkom.

– Nie będę już podsłuchiwać rozmów telefonicznych.

Poczyniła to oświadczenie szeptem, z dala od zasięgu słuchu zwierzchniczki, Leony, ponieważ telefonistki z Bella nie powinny przysłuchiwać się rozmowom. Na pewno zapisano to tam, gdzieś, w regulaminie. I nagle Vivian zgodziła się z zasadą.

Obwieszczenie spotkało się wśród operatorok z Bella ze zmarszczonymi w powątpiewaniu brwiami, podkreślonymi zarówno czarnym, jak i brązowym ołówkiem; postanowiły dać Vivian trochę czasu, minuty, godziny i dni, po tej dziwacznej zapowiedzi. Jedna sprawa to postanowić, że sama nie będzie podsłuchiwać (Maria Tomasetti tylko pokręciła przecząco głową i roześmiała się), zupełnie inna osądzać innych. Jednak wszystkie przeczytały w gazecie o tajemnicy Edwarda – o niebezpiecznym przestępcy, synu Edwarda, który zaatakował biedną Charlotte. Vivian zasługiwała na współczucie i trochę przestrzeni, by mogła odetchnąć, więc po prostu nie zwróciły na nią uwagi, kiedy wydała na nie wyrok; gdy ściągała wargi w ciup i kręciła głową, zauważywszy, że Dorothy, Ruth, Pearl albo Laura wyciszają mikrofon i zabierają się do podsłuchiwania.

Reszta Wooster także łapała oddech, bo histeria z końca lutego stopniowo opadała. Marzec zaprowadził przynajmniej jedną znaczącą zmianę. J. Ellis Reed ustąpił ze stanowiska burmistrza zażenowany skandalem i przeszedł na wcześniejszą emeryturę, aby spędzać więcej czasu z żoną, która stała w obliczu całej afery u jego boku, błada, opanowana, z wymuszonym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Harold Richardson, przewodniczący rady miejskiej, musiał zostać zaprzysiężony na tymczasowego burmistrza, lecz kiedy kadencja dobiegnie końca, odbędą się kolejne wybory. Poczta pantoflowa już huczała od wiadomości, że pewna kobieta – KOBIEITA – rozważała dołączenie do wyścigu o fotel burmistrza. Dorothy Hoffman podsłuchiwała rozmowę o tym w centrali.

– Słyszałaś, jak się nazywa?

Vivian zmarszczyła czoło w przyganie dla plotkarskiego pytania zadanego przez

Pearl, potem nasrożyła się, gdy lampka przed nią się zaświeciła, a ona musiała odebrać telefon, zamiast usłyszeć nazwisko kobiety startującej w wyborach na burmistrza. „Burmistrzynie?”

Vivian prędko połączyła rozmowę, po czym wyciszyła mikrofon.

– Kiedy jej dzieci chodziły do liceum, uczyła się razem z nimi... – dodała Ruth w oparciu o to, co słyszała.

– Skończyła szkołę... – zadźwięczał dziecinny głosik Laury. – A potem poszła do Cornella! Toż to Liga Bluszczowa!

Cornell to była poważna uczelnia. Poważniejsza nawet od woosterskiego college’u. Vivian zaczęła się zastanawiać, czy mogłaby zagłosować na kobietę burmistrza, skoro kobieta ta uczyła się w Cornellu.

– A teraz, proszę, proszę – zachwycała się Pearl. – Myśli o zostaniu burmistrzynie Wooster.

Próżne przekonanie Vivian o własnej wyższości moralnej w związku z tym, że skończyła z podsłuchiwaniami, trwało cały tydzień. Potem doszła do wniosku, że zdoła okazać większe współczucie mieszkańcom Wooster, jeśli będzie wiedziała, co dzieje się u nich w życiu.

Rozdział 46

Edward Dalton nigdy nie był zbyt gadatliwy, ale nieoczekiwana wizyta syna w walentynkowy weekend skłoniła go do długiego, pełnego niepokoju milczenia. Minęły cztery tygodnie od „prawie napaści” na Charlotte oraz usiłowania włamania, a Edward spędzał każdą wolną chwilę w szopie na tyłach, w piwnicy, w pracy lub w łoży wolnomularskiej. Vivian zachodziła w głowę, czy rozmawiał z kimś spoza domowników, czy jego struny głosowe już zupełnie zaschły z braku używania. Kiedy Charlotte zadawała mu pytania, odpowiadał ruchem głowy albo kładł dłoń na jej ramieniu, lub składał pocałunek na czubku jej głowy.

Vivian radowało, że przez krótką chwilę miała przewagę w zaistniałej sytuacji: Edward był kłamliwym bigamistą, ona niczego niepodjęwającą żoną (kochanką!). Jednak spontaniczne odwiedziny Eddiego Juniora wszystko zepsuły. Vivian nie miała już pewności, w którą stronę kierować swój długo utrzymujący się gniew, który jednak stracił sporo pary wraz z niespodziewanym milczeniem Edwarda.

Vivian spytała Edwarda, czy chce iść na przyjęcie z okazji dziewięćdziesiątych urodzin babci Kurtz, on nie odpowiedział. Wciąż do niego mówiła pomimo jego milczenia, ponieważ wiedziała, że cisza musi zostać kiedyś przerwana, w końcu się odezwie. Czyż nie? Oczywiście, że tak. A może nie? Nie wiedziała. Zaświtało jej w głowie, że nie znała Edwarda tak dobrze, jak sądziła. Czuła się, jakby oberwała rykoszetem od życia, i tak jak bohater kreskówek ze *Zwariowanych melodii* po uderzeniu zamierała w miejscu, zgnieciona, rozchwiana. Vivian miała poczucie, jakby utykała, wyprowadzona z równowagi, i może trochę za bardzo zbaczała z drogi ku Bogu.

Dom babci Kurtz pękał w szwach od krewnych – od zrzędlivej dziewięćdziesięcioletniej matrony we własnej osobie aż po najmłodszego, sprawiającego największe kłopoty prawnuka, jednego z potomków kuzyna George’a. Vivian zabrała z sobą Charlotte, która chciała zobaczyć się z prababcią i spędzić trochę czasu z kuzynami. Vivian, prawdę mówiąc, nie chciała z nikim spędzać czasu po tym, jak znalazła się upokorzona w centrum uwagi całej rodziny w zeszłym miesiącu. Ale nie pozwoliła, by jej zranione ego powstrzymało ją przed przybyciem. „Dziękuję, dobrze!” W końcu okazja była doniosła. Dziewięćdziesiąt lat, mój Boże. Poza tym nigdy nie wiadomo, może stara torba ma pieniądze, które zapisze im w testamencie. To babcia McGinty była jej ulubioną babcią. Babcia Kurtz stanowiła wyłącznie utrapienie. Ale wszystkiego najlepszego, staruszko!

W dużym pokoju i sąsiednim saloniku tłoczyli się Kurtzowie i ci, którzy się w nich wżenili; podczas gdy wuj David przemawiał, Vivian jakimś cudem wylądowała obok Very. Nie rozmawiała z nią od czasu, gdy ta nazwała ją

rozpieszczonym bachorem i niewdzięczną suką; Vivian nie spodziewała się przeprosin. Nie, zamiast tego, gdy wuj David opowiadał o długim, niesamowitym życiu babci Kurtz (Vivian chciałaby wiedzieć, co takiego „niesamowitego” było w mieszkaniu na farmie i posiadaniu zbyt wielu dzieci), Vera miała czelność chwycić prawą dłoń Vivian. Vivian poczuła, jak palce Very nerwowo szukają pierścienia Claddagh, po czym kurczowo za niego chwytają i ściągają go; siostra niezręcznie próbowała udawać, że żartuje, ale na poważnie próbowała zerwać pierścionek z palca Vivian.

– Daj spokój, Vivy – powiedziała cicho. – Tak naprawdę wcale nie wyszłaś za mąż pierwsza, czyż nie?

Kilkoro krewnych stojących nieopodal zbiorowo wstrzymało oddech. To był cios poniżej pasa, nawet jak na Verę.

– Vero! – syknęła na nią kuzynka Ruby, a wuj David, który słyszał tylko własny głos, nie przerywał sobie. Vivian schowała się za Ruby, z dala od Very, i poczerwieniała na twarzy, osiągając kolor gotowanych buraczków.

Gdy wuj David skończył przemowę, zaintonował gromko *Naszą przyjaciółką jest*, a kiedy wszyscy oklaskiwali jubilatkę, usłyszał: „Dziękuję, kochany” z pomarszczonych, uśmiechniętych ust babci Kurtz. „Musiała złagodnieć na stare lata” – pomyślała Vivian, gdy odwróciła się i ruszyła ku schodom.

Do diabła, co Vera sobie wyobrażała? „Nazywać mnie suką, kiedy przechodzę najgorszy okres w życiu?” Vivian minęła piętro, tupiąc donośnie, i dalej pięła się po stopniach. Swędziała ją skóra, poczuła też ukłucie zwiastujące nadchodzące łyzy. Jej samoocena wisiała na... pierścionku i serdecznym palcu. Nie mogła uwierzyć w to, co siostra właśnie zrobiła.

Gdy przyjaciele i członkowie rodziny tłoczyli się na parterze, paplając i zajadając się tortem, Vivian była sama i tłumiała łyzy w oczekiwaniu, aż zwolni się specjalna łazienka, którą babcia Kurtz urządziła na drugim piętrze domu.

– Bo kiedy urządzam sobie wspominki z moją księgą zdjęć... – Księgą zdjęć babcia Kurtz nazywała albumy fotograficzne podarowane jej przez dzieci i wnuków. – ...kiedy urządzam wspominki z moją księgą zdjęć, nie mam ochoty złązić na sam dół po schodach, jak poczuje, że mnie natura wzywa.

Prawie nikt nie kłopotał się wyprawą do toalety na trzecim piętrze, ponieważ nikogo nie interesowała księga zdjęć babci Kurtz oraz nikt nie miał ochoty pokonywać tych wszystkich schodów, ale Vivian zadała sobie ten trud, aby uciec od towarzystwa na przyjęciu i móc pobyć chwilę w samotności. Jednak jak na złość ktoś był w specjalnej łazience i musiała zaczekać.

W końcu drzwi do łazienki otworzyły się i powitał ją mąż Very, Wally, oraz świeży psik leśnej wody kolońskiej. Vivian zmusiła się do uśmiechu („Dziękuję, dobrze!”). Nigdy nie zapomniała o dobrym wychowaniu na przyjęciach i spotkaniach bez względu na to, kto był zaproszony. Wally stał w drzwiach z wystającym brzuchem, plamami potu pod pachami i szeroko otwartymi oczami, zdziwiony, że widzi kogoś na drugim piętrze. Po czym chlasnął się dłonią w policzek i przekrzywił głowę.

– No, no, czy to nie druga żonka Edwarda Daltona?!

Tylko tego brakowało.

Utorowała sobie drogę obok Wally’ego do łazienki, zatrzasnęła drzwi, zamknęła je na klucz, po czym sięgnęła po złożony beżowy ręcznik, który zwisał z drążka. Nie czekała nawet, aż Wally zacznie schodzić, ale natychmiast przycisnęła złożony ręcznik do twarzy i wypuściła z siebie stłumiony krzyk. Później opadła ciężko na drewnianą deskę sedesową (którą musiała opuścić, rzecz jasna, ponieważ Wally był typowym zwierzęciem zostawiającym podniesioną deskę) i znów krzyknęła w ręcznik.

Kiedy otworzyła oczy, pole widzenia rozmyło się, a ona chwyciła deskę, by utrzymać równowagę. Małe pomieszczenie wyglądało tak, jakby przechylało się z jednej strony na drugą. Znów mocno zacisnęła powieki i próbowała uspokoić oddech. Dzwoniło jej w uszach jak przed omdleniem i dobiegały ją też odległe głosy przyjęcia na parterze. Gdy otworzyła oczy po raz drugi, zaczęła widzieć wyraźnie. Zerknęła na ręcznik i uśmiechnęła się na widok odcisku szminki, z powodu którego babcia Kurtz będzie krzyczeć, gdy wszyscy goście już się rozejdą. Poczuła, że zaraz parsknie tłamszonym w gardle nerwowym śmiechem. Nagle Charlotte zawołała ją z klatki schodowej, więc Vivian prędko wstała, wygładziła sukienkę oraz zmierzwione kosmyki wokół twarzy. Patrząc w lustro, starła pomadkę w kolorze „Ognia i lodu” ze sztucznej szczęki oraz z kącików ust.

Kiedy ponownie zagościła na dole i stanęła w saloniku obok Charlotte, Ruby podeszła do niej z małym kawałkiem ciasta na talerzyku i widelczykiem.

– Vivy, słyszałaś o kobiecie, która być może wystartuje w wyborach na burmistrza Wooster? Dobrze się czujesz? Zbladłaś. Charlotte, kochanie, ciasto jest w kuchni.

W ten sposób Ruby chciała ją pocieszyć i Vivian doceniła gest. Przyjęła ciasto z widelczykiem i prędko omiotła pokoje wzrokiem. Zobaczyła matkę nieopodal kuchni i ojca obok okna widokowego, gdzie rozmawiał z Henrym i jego okropną żoną Normą. Okropną w tym sensie, że była taka idealna, taka urocza i wymuskana, i miała tyle szczęścia, że udało jej się upolować Henry’ego na męża.

– Vivy?

– Hmm? – Spojrzała na Ruby. – Czy kobieta kandyduje na burmistrza Wooster?

– Tak! – Ruby klasnęła w dłoń. – Uczyła się w liceum w Apple Creek, więc pewnie jej nie znasz. Musiała wylecieć ze szkoły, ale, mój Boże, wróciła, jak tylko jej dzieciaki zaczęły się tam uczyć.

Vivian delikatnie dziobała widelczykiem w ciasto i odkroiła kawałek z rogu.

– Wyobrażasz to sobie? Burmistrzynie Sylvia!

– Sylvia? – powtórzyła Vivian, pozwalając, by język zdołał odpowiednio oddać to imię i nazwisko. – Sylvia EMERICH?

– Och, tak! – Ruby przejęła się, że Vivian wiedziała, o kim mowa. – Choć dziś już nie nazywa się Emerich, ale Yoder. Wiesz, wyszła za mąż za uroczego rolnika. – Zniżyła głos do szeptu. – To on, uch, wpędził ją w tarapaty, no wiesz. Dlatego musiała zniknąć ze szkoły.

„Rolnik bierze żonę. Rolnik bierze żonę. Iiiiiiiii!”

Kiedy Vivian wróciła po przyjęciu do domu, zdjęła czólenka przy drzwiach wejściowych, odwiesiła płaszcz i kapelusz do szafy i tupiąc, poszła prosto do pokoiku na poddaszu, zostawiając Charlotte wniesienie talerza z górą chleba bananowego, który dostały, oraz zamknięcie auta i garażu. Vivian zamknęła za sobą drzwi do pokoju, usiadła i wypłakiwała oczy nad maszyną do pisania przez pół godziny, po czym w końcu otarła łzy i zaczęła walić w klawisze.

ZA MOIM OKNEM

*Wiosna przyjdzie w mgnieniu oka
Bo Boże Narodzenie już za nami
W prostej podzięce modlimy się do Boga
By nasza praca obrodziła pożytkami.*

*Daj siłę, byśmy kopali ziemię
Siali ziarno z wielką troską
Poprzez trud i znój zdobyli szczęście
Prowadzeni zawsze wolą boską.*

*Chwila spokoju, gdy inna roku pora
Jest jak dłoń na mym ramieniu
Dodaje sił, by zacząć od zera
I stawić czoła wiosennemu sianiu.*

W poniedziałek z samego rana Vivian osobiście podrzuciła kopertę z wierszem *Za moim oknem* do siedziby komisji konkursowej tuż przy krajowej czwórce, rzut kamieniem od fabryki czekolady, gdzie biuro miał Don McAfee. Komisja nie wysłała jej listownej odpowiedzi, ale zatelefonowała w środę, by potwierdzić przyjęcie utworu, a jako że wiosenny temat był na czasie, chcieli wydrukować go w przyszłą sobotę w dziale impresji.

Vivian przez cały czwartek i cały piątek uśmiechała się i dumnie kroczyła wszędzie tam, dokąd akurat się udawała. Do pracy, do Buehlera, do szopy, by powiedzieć mężowi niemowle, że obiad stygnie. Nie potrafiła zetrzeć uśmiešku z twarzy. Nie było to zwykłe zadowolenie z faktu, że poezja jej autorstwa trafi na łamy „The Daily Record”. Przyjęcie wiersza do prasy odczytała jako znak.

Wolność, którą czuła, i nowo zdobyta wiedza, że Sylvia Emerich z Apple Creek wyrzuciła swoje życie do góry nogami, dały jej łut nadziei, że nie utknęła z własnym życiem tak bardzo, jak sądziła.

Rozdział 47

– Co, do licha, mam z tym zrobić?! – wykrzyknęła Vivian, trzymając w rękach (później będzie w stanie podać pełną nazwę) podarunek z okazji Dnia Matki.

Charlotte sprawiła matce nowy egzemplarz *Słownika Webstera*.

– Och, matko. – Charlotte przewróciła oczami, lekko się uśmiechając, po czym poszła na górę do swojego pokoju i zostawiła rodziców, którzy siedzieli obok siebie na kanapie w salonie.

Vivian odłożyła słownik na stolik i z powrotem przesunęła się w stronę pozbawionych śladów szminki poduszek.

– Edwardzie – odezwała się. – Wiem, że nie chcesz o tym rozmawiać.

Zmarszczył czoło i spojrzał na paznokcie u dłoni, wciąż poplamione i poobijane po tym, jak zrobił dla niej donice okienne.

– Ale powiesz mi jedno?

Kiedy nie wstał z kanapy, kontynuowała.

– Czy wzięłeś tamtą pracę strażnika, żebyś mógł mieć go na oku?

Edward zacisnął wargi i wbił wzrok w podłogę.

Vivian obserwowała, jak mąż wpatruje się w dywan przez jakąś minutę, po czym powoli przytakuje.

– Pamiętasz... – zaczął, a Vivian siedziała nieruchomo jak skała, żeby nie zamilkł. Najwyższa pora, by coś powiedział. – Pamiętasz, jak dawniej opowiadałaś o dziewczętach, które wpakowały się w tarapaty, zanim wyszły za mąż? – Przesunął dłonią po czole, kilka razy, to w górę, do w dół, po czym potarł szorstką, zahartowaną skórę na policzkach i brodzie. Vivian siedziała i czekała. – Wciąż pamiętam jedną z nich, Sylvie Emerich. Buzia ci się nie zamykała na jej temat.

Sylvia Emerich. Vivian skinęła głową i zastanawiała się, czemu nagle wszyscy bez końca rozwodzą się o Sylvii Emerich. Jednak wiedziała, co miał na myśli. Pamiętała. Utyskiwała nad losem Sylvii w pierwszych kilku latach małżeństwa. „Tamtą pułapka”, „zrujnowała sobie życie”, oraz „tylko idiotka mogłaby postąpić tak nieodpowiedzialnie” i tak dalej, i tak dalej. Była lekko zaskoczona, że Edward jej słuchał. Zrządzenie wywołane było głównie tym, że Vivian utknęła, pozbawiona towarzystwa, w lichym domku, sama jak palec, znudzona i naburmuszona.

Wpatrywała się w „W” na okładce słownika Webstera przez parę minut, podczas gdy Edward tylko siedział obok niej z łokciami wspartymi na kolanach, skrywając czoło w dłoniach. Nie padło już żadne słowo, nie licząc paplaniny w myślach Vivian. W końcu gadka zaczęła nabierać kształtów. Czyż nie był to chichot losu? Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że własny mąż sam mógł postąpić „tak nieodpowiedzialnie”.

Vivian pomyślała o tym dopiero teraz, ale gdyby Edward został z Mildred, a nie

zostawił jej i nie przyjechał do Wooster, obchodziliby w tym roku trzydziestą rocznicę. „Och, biedna Mildred” – pomyślała Vivian, nadal ze wzrokiem utkwionym w okładce słownika. „Trzydziesta jest perłowa”. Vivian powoli kiwała głową na boki. „O jejku. Jaka szkoda”.

W końcu wyciągnęła wymanikiowaną dłoń w stronę poplamionej farbą ręki Edwarda. Nigdy nie był gadułą, ale to, co właśnie powiedział, wystarczyło aż nadto. Znała go na tyle, by to wiedzieć. Edward zaplótł palce wokół jej palców i tak siedzieli, w milczeniu, obok siebie, na kanapie w salonie.

- Eddie złamał zwolnienie warunkowe, gdy opuścił Syracuse i przyjechał tutaj.
- Mmm hmm – mruknęła Vivian.
- Wsadzili go z powrotem do więzienia.
- Mm hmm.
- Chciałbym odwiedzić go tam latem.

Vivian nic nie odpowiedziała, ale przytaknęła i uścisnęła jego dłoń. Potem siedzieli tak w salonie, patrząc przed siebie, przez okno widokowe, zdawało się, długie godziny.

– Słyszałeś? – Vivian w końcu złamała milczenie i spojrzała na męża. – Że Sylvia Emerich być może wystartuje w wyborach na burmistrza Wooster w przyszłym roku?

Rozdział 48

Charlotte mogłaby powiedzieć, że przeżyła dość szokujących wieści i niespodzianek, wystarczy jej do końca roku, wielkie dzięki. Jednak pewnego niedzielnego popołudnia, kilka tygodni po Dniu Matki, wróciła do domu od Barb i zastała matkę wciśniętą w róg kanapy z nowym słownikiem, który leżał otwarty na stoliku, i z nosem zakopanym w podreperowanym egzemplarzu *Mitu o Syzyfie* należącym do Charlotte. Syzyf, grecki bóg, który skradł sekrety bogów i odebrał za to karę: został skazany na wtaczanie ogromnego głazu na szczyt wzgórza przez całą wieczność.

W tej chwili Charlotte wybrałaby wtaczanie głazu zamiast niemożliwego zadania polegającego na próbie zrozumienia własnej rodziny. Matka, która zwykle odziana w fartuch trzaskałaby szafkami w kuchni (czego nie robiła od miesięcy), siedziała w podomce i znoszonych skarpetach Charlotte, zwinięta w kłębek w odległym kącie kanapy, czytając. Książkę.

– Syzyf był bohaterem nedorzecznej sytuacji – powiedział pan Grandy, stojąc przy tablicy na lekcji angielskiego w szkole Charlotte.

Nedorzeczna była matka Charlotte, Vivian „nie ufam ludziom, którzy czytają książki” Dalton, siedząca w salonie rodziny Daltonów zaczytana w klasycie literatury, a nie magazynie filmowym leżącym na widoku. Charlotte stała i rozdziawiała buzię jak ryba za szkłem akwarium; szczęka to jej opadała, to się zamykała.

– Podjęłam decyzję – oświadczyła matka wieczorem przy kolacji – że chcę zdobyć świadectwo ukończenia liceum.

Słowo „świadectwo” zawisło w powietrzu nad zapiekanką z przypalonego kurczaka i sera niczym ozdobny, niewidzialny, łopoczący na wietrze transparent, którego treść nagle wydała się Charlotte bardzo obca. „Czy ona powiedziała »świadectwo«?” Charlotte gapiła się, jej ojciec się gapił, a matka chwyciła za widelec i kuląła groszek po talerzu.

– Co? – spytał ojciec.

– Powiedziałam... – Znów podjęła temat matka, naprawdę wczuwając się w wyraz „powiedziałam”, przeciągając go na kilka sylab. Pooo-wieeee-dziaaa-łaaam.

– Nie idziesz jutro do szkoły, prawda? – chlapięła Charlotte, przerywając matce. Wyobraziła sobie początek trzeciej klasy i panią Kelvin, która mówi: „O proszę, Vivian Dalton, sama uszyłaś sobie tę sukienkę? I wprost uwielbiam tę kogucią broszkę! Siadaj tutaj, obok Charlotte”.

– Nie, Charlotte – nonszalancko odpowiedziała matka. – Rozmawiałam

z dyrektorem Scottem, poprosi nauczycieli, żeby uzgodnili dla mnie program nauki w domu.

„Uzgodnić. Program”. Charlotte wbiła szeroko otwarte oczy w matkę. Następnie poczuła, jak odrażająca, lepka zasłona przerażenia spada na nią wraz ze świadomością, że matka spotkała się z dyrektorem. Zmarszczyła brwi na ten niedorzeczny fakt. „Niedorzeczność”.

– Czemu chcesz to zrobić? – spytał tata Charlotte.

– Właśnie – wtrąciła Charlotte, mając nadzieję, że już nieco miłszym tonem. – Czemu?

– Bo chcę. I tyle.

Tata wzruszył ramionami i wrócił do jedzenia porcji serowego kurczaka z lekkim uśmiezkiem błąkającym się w kącikach ust. Charlotte znów zmarszczyła brwi i patrzyła, jak matka zgarnia groszek na widelec i podnosi go do ust.

Pragnienie Charlotte, by wyjechać z Wooster, powróciło z siłą późnowiosennego tornada. Jednak zanim stąd pryśnie, może nie będzie tak źle. Słownik z okazji Dnia Matki był swego rodzaju żartem, ale czy to było takie złe, że matka chciała się uczyć? Przy odrobinie szczęścia wykorzysta słownik do poszerzenia słownictwa i horyzontów myślowych, więc być może przestanie rzucać rasistowskimi epitetami, których właściwie nie rozumie, i może w końcu nauczy się, co tak naprawdę znaczą „pazerzy”.

Rozdział 49

Czerwiec zaskoczył Vivian, pojawiając się niemal bez ostrzeżenia. Ni z tego, ni z owego przyszła pora, by przerzucić kartkę w kalendarzu ściennym w kuchni. Edward zamontował moskitiery we wszystkich oknach; te były teraz otwarte, tuż ponad świeżo zasadzonymi pelargoniami w nowych donicach Vivian, aby przelotny ciepły wietrzyk krążył po całym domu.

Wiosna przyszła do Ohio w tym roku późno, lecz w końcu przywołała taką pogodę, że Vivian miała ochotę otworzyć wszystkie okna i drzwi i wachać kwiaty, czuć powiew ciepłego powietrza i wieczorami słuchać cykających świerszczy. Uroczą woń unosiła się znad krzaku suchodrzewu rosnącego tuż za kuchennym oknem i Vivian ociągała się ze zmywaniem naczyń, by się nią nacieszyć.

– Myślisz, że jej choroba w lutym miała z tym coś wspólnego? – spytał Edward zza stołu.

– Mmm. – Vivian wzruszyła ramionami, nie odrywając wzroku od ogródka za domem.

Vera tak naprawdę wcale nie była chora w lutym, przynajmniej z tego, co Vivian wiedziała, ale jeśli dla Edwarda miało to większy sens, że zapadła na jakąś chorobę, a Vivian była dobrą siostrą i pojechała odwiedzić ją w Akron, tym lepiej.

– Wyglądała na chorą na urodzinach?

– Nie. – Vivian powstrzymała grymas na wspomnienie przyjęcia urodzinowego babci Kurtz oraz niegrzecznego i wstrętnego zachowania Very. – Była zdrowa jak ryba.

Vivian stanęła jak wryta i straciła mowę, gdy jej siostra Violet zadzwoniła i poinformowała ją o wylewie Very.

– Jest teraz w szpitalu, ale powinni wypisać ją do domu razem z Wallym za kilka dni – powiedziała Violet do słuchawki, przed tym jak zaciągnęła się papierosem.

Violet musiała rzucić palenie, gdy miała urodzić Jamesa i Emily, tak samo jak Vivian w przypadku Charlotte, ale znów zaczęła palić, gdy James zapadł na polio. Dziś był już zdrow, ale Violet jeszcze nie całkiem doszła do siebie. Popalała od czasu do czasu, gdy wszystko szło dobrze. Gdy dowiedziała się, że najstarsza siostra miała udar, wróciła do paczki dziennie.

– Uch – tylko tyle wydobyło się z ust Vivian.

– Lekarz twierdzi, że co prawda nie może mówić, ale wszystko rozumie. Nie potrafi też poruszać lewą stroną ciała. Wally zatrudnił pielęgniarkę do pomocy na czas, kiedy on jest w pracy.

Vivian naciągnęła kabel telefoniczny do granic możliwości i stała prawie na szczycie schodów. Chciała położyć się na łóżku, zamiast tego gwałtownie klapnęła na

dziesiątym stopniu.

– Viv? Słyszałaś mnie? Jesteś tam?

Zajechała buickiem na krawężnik przed domem Violet i zatrąbiła. Violet wciąż nie potrafiła prowadzić auta i oświadczyła, że nie ma zamiaru się uczyć. Po co miałyby to robić? Robert wszędzie ją woził. Vivian przewróciła oczami. To było tak, jakby Violet od czasu do czasu lubiła być bezradna. Fakt ten nie złościłby Vivian tak bardzo, gdyby bezradności towarzyszyła punktualność. Violet zawsze się spóźniała.

Vivian ustawiła lusterko wsteczne w swoją stronę i przyklepała skórę pod oczami. Makijaż nie do końca maskował cienie, dowód bezsennych nocy, których doświadczała od czasu usłyszenia wieści o wylewie siostry. Vera miała tylko czterdzieści cztery lata. A Vivian szamotała się z przemykającą jej przez głowę myślą: „Dobrze jej tak!”, która tłumiła wyrozumiałość i współczucie, jakie winna czuć przez cały czas. Trzymała się tego gniewu na Verę tak samo jak myśli, że gdy Vera przeżyła udar, dostała to, na co zasłużyła, bo była taką okropną siostrą przez te wszystkie lata.

Minęło pięć minut, zanim Violet wyszła z domu, przez otwarte okna buicka Vivian słyszała, jak siostra woła do Roberta, że wróci na czas i zdąży ugotować obiad. Usiadła na fotelu z przodu i siostry McGinty ruszyły w podróż do Akron.

– Vivy, rany, ale jesteś chuda! – wykrzyknęła Violet. Nie widziała Vivian od czasu przyjęcia urodzinowego babci Kurtz. – Wyglądasz jak Katharine Hepburn.

Vivian skrzywiła się. Katharine Hepburn była jedną z tych kobiet, które nosiły spodnie.

– Ostatnio rzadko piękną. Ale to przygotowałam.

Poklepała puszkę ciastek z masłem orzechowym z odciśniętym wzorem w kratkę. Vera zawsze przepadała za ciasteczkami z masłem orzechowym.

Vivian może i zrzuciła kilka kilogramów, ale to było nic w porównaniu z Verą. Raptownie nabrała tchu, gdy przekroczyły próg sypialni Very. Nigdy nie widziała starszej siostry takiej słabej, tak zmarniałej. Skóra zakrywała jej kości jak pergamin naciągnięty na kanciastą drabinę. Prawdę mówiąc, wyglądała jak wychudzona własna matka. Violet chwyciła Vivian za rękę i przyciągnęła ją w stronę łóżka, na którym Vera leżała podparta na poduszce obrębionej koronką, a narzuta jej matki w szalone wzory opatulą jej tułów. Dwa krzesła z prostym oparciem ustawiono przy oknie, po lewej od łóżka Very.

Spojrzenie Very ożywiło się, gdy siostry się zbliżyły. Oczy miała wilgotne, ale czujne, była w nich świetlistość, której Vivian nigdy wcześniej w nich nie widziała. To przeraziło ją bardziej od chorobliwej aparycji siostry. Nie pamiętała, by choć raz w życiu była taka chwila, że starsza siostra ucieszyła się na jej widok. Vivian była porządnie wytrącona z równowagi i musiała podeprzeć się ręką o krzesło, by się nie przewrócić.

– Cześć! – Violet powitała Verę radosnym, ale łagodnym tonem, jakby zbyt głośne mówienie mogło przyprowadzić Verę o kolejny wylew.

Prawy kącik ust Very upiornie się unosił. Na stoliku obok łóżka znajdowała się szklanka z wodą, notes i ołówek. Udar uniemożliwił jej mowę i sparaliżował lewą połowę ciała, więc nie mogła mówić. Ale dawała radę zapisywać to, co chciała powiedzieć, na kartce z notesu.

– Ona się uśmiecha, Viv – powiedziała Violet, tłumacząc krzywy wyraz twarzy, który zapewni Vivian koszmary.

Vivian stała obok krzesła, wciąż podpierając się jedną ręką, a drugą trzymając torebkę. Pielęgniarka zaniósła puszkę ciasteczek do kuchni, kiedy przyjechały.

Widok Very w obecnym stanie sprawił, że emocje Vivian trafiły do burzliwej balii bezładu. Vera podniosła prawą rękę z łóżka i pokazała, żeby usiadły na krzesłach.

– Chodź, Vivy – zachęcała Violet, poklepując siedzisko krzesła, jakby mówiła do swojego kota.

Vera przesunęła dłoń i odłożyła ją na notesie, po czym postukała środkowym palcem w okładkę.

– Chcesz coś napisać? – spytała Violet, podnosząc się z miejsca i sięgając po notes.

Otworzyła go i wręczyła Verze ołówek. Vera niezręcznymi ruchami wodziła ołówkiem po kartce. Mięśnie po prawej stronie, choć odzyskiwały sprawność, wciąż nie działały tak jak przed wylewem. Gdy znów odłożyła ołówek na stolik, Violet zwróciła notes ku sobie i przeczytała, co napisała Vera.

– Och, tutaj z tyłu? – zapytała, przewracając kartki w notesie, pominęła puste, aż dotarła prawie do ostatniej. Wyciągnęła otwarty notes ku Vivian, która skrzyżowała nogi w kostkach i umieściła torebkę na podolku.

– Hmm? – spytała Vivian, ale wzięła notes i odłożyła go na wierzch torebki.

Podniosła wzrok na Violet.

– Chce, żebyś to przeczytała – wyjaśniła Violet ze wzruszeniem ramion, po czym spytała Verę: – Jesteś głodna? Przynieść ci coś do jedzenia?

Vera znów odpowiedziała groteskowym półuśmiechem, jej spojrzenie powędrowało ku notesowi.

– Ach, tak. – Vivian wręczyła notes z powrotem Violet, która otworzyła go ponownie na przedzie, gdzie mieściło się puste miejsce do pisania.

– Tosty – odczytała Violet po tym, jak Vera chwyciła za ołówek i z mozołem wypisała na stronie kolejne słowa. – W porządku, zaczekaj tu chwilę, zaraz wracam. – Oddała notes Vivian, która znów przewertowała kartki i zlokalizowała wiadomość z tyłu.

Podczas gdy czólenka wychodzącej z pokoju Violet stukały po podłodze, Vivian zaczęła czytać. W trakcie lektury zrozumiała, że siostra napisała przeprosiny. Przeprosiny za to, że wyjawiała sekret o pierwszej żonie Edwarda.

Rozdział 50

To było tuż po Halloween, Vera McGinty-Irwin siedziała na ganku przed domem Zelli Johnson w promieniach późnopołudniowego słońca w Akron. Zella chodziła z Forestem Sadlerem, koleżką Wally'ego do szklanki i karcianki. Tym, którego wylano z domu towarowego Freedlandera za bycie pijanym Świętym Mikołajem. Vera i Zella nabijały się z Wooster.

– Ludzie rodem z country klubu, te wszystkie woosterskie układziki, wiesz, jak to jest.

– Wiem, wiem – potwierdziła Vera, przypominając sobie, jak półtora roku temu opiekowała się dziećmi Deanów i Thompsonów. Było to apogeum wielkiego kryzysu, ale Edith Dean i Beverly Thompson wróciły z zakupów, przechwalając się, jak to na wyprzedaży u Beulah Bechtel sprzedawano wszystkie sukienki po zaledwie czternaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów. Kupiły po dwie na głowę! Vera musiałaby pracować czterdzieści godzin, by zarobić na jedną taką sukienkę.

– Nie jesteśmy kuzynkami, z którymi Reedowie i Millerowie lubiliby się prowadzać, jeśli wiesz, o co mi chodzi. – Zella powiedziała „my”, jakby mówiła o większej liczbie osób, ale równie dobrze mogła mieć na myśli tylko siebie. – Napijesz się?

– Jasne – odparła Vera.

Trzasnęły drzwi z moskitierą i Zella zniknęła w domu. Było za ciepło jak na listopad; Vera zdjęła rozpinany sweter, który miała na sobie, i słońce późnego popołudnia grzało ją w gołe ramiona. Cały dzień był leniwy i Vera nie zamierzała psuć go sobie praniem czy sprzątaniami domu. Wyciągnęła przed siebie nogi na schodkach i podparła się z tyłu rękoma. Pozostały po Halloween lampion z wydrążonej dyni leżał zaledwie kilka centymetrów od jej palców, uśmiechając się do ulicy. Wyglądał trochę jak Vivy, zanim sprawiła sobie śliczną nową sztuczną szczękę. Vera z wyższością uśmiechnęła się do siebie, lecz uśmiešek prędko spelzł jej z twarzy. Zaczerpnęła głębokiego oddechu, po czym wypuściła powietrze, nadymając policzki. Nie do końca wiedziała, jakie uczucia żywić do Vivian, do jej męża, do ich małżeństwa; co myśleć o tej nowo dodanej do beczki miodu łyżce dziegciu. Dziegciu, o którym Vivy w ogóle nie miała pojęcia. Vera wodziła palcem w tę i z powrotem po główce gwoździa sterczącego z deski na ganku. Jak dręcząca myśl o młodszej siostrze.

Vivy zawsze dostawała to, czego chciała, i zawsze dostawała to pierwsza. Vera była najstarsza, ale to Vivian jako pierwsza załatwiła sobie stosowną pierwszą pracę, w pierwszej kolejności wyszła za mąż i najwcześniej miała dziecko. Vera mogła mylnie brać dumę Vivian z tego wszystkiego za samozadowolenie, ale ciężko było

stwierdzić. „Cienka granica” – jak lubił mawiać ich tatko. Vera pragnęła dzieci, ale nie przydarzyły się jej i Wally’emu. Zadowolili się innym życiem. Takim, przed którym ostrzegła ją matka, kiedy dawno temu narzekała na „element przestępczy napływający do Wooster”. To było wtedy, gdy Brinkerhoffowie z sąsiedztwa zaczęli podnajmować pokoje kilku przegrany mężczyznom bez grosza przy duszy podczas wielkiej depresji. Cóż, matka miała rację. Wally Irwin posiadał, jak ujmowała to Vera, „kolorową” przeszłość, oraz kolorowych przyjaciół w pakiecie.

Wally był jedynym człowiekiem, który potrafił jej się postawić, i to jej się podobało. Albo może podobało jej się to do czasu, aż chciała postawić na swoim, i wtedy sprawy wymknęły się spod kontroli. Było kilka śliw pod oczami – jej i jego, ponieważ Vera odpłacała pięknym za nadobne. Miała złamane żebro lub nawet kilka, ale te zrastały się, jeśli uważała, jak śpi, i pilnowała, by nie nosić kosza z praniem po tej stronie. Nie zdarzało się to, gdy przyjaciele Wally’ego byli w pobliżu, więc Vera nauczyła się lubić atmosferę rodem z kasyna lub akademika w domu w Akron, ponieważ oznaczało to jako taki spokój ogniska domowego oraz nieposiniaczone knykcie zarówno męża, jak i żony. Vera grała z nimi w pokera, piła z nimi i karmiła ich. No i wysłuchiwała wszystkich opowieści.

Drzwi obite moskitierą znów skrzypnęły i zjawiła się Zella z dwiema wysokimi szklankami z płynem, który wyglądał jak mrożona herbata. Vera wzięła jedną ze szklanek.

– To lemoniada z whiskey – wyjaśniła Zella. – Ale przyrządzam ją tak, że wygląda na mrożoną herbatę, żeby sąsiedzi się nie wtrącali.

Vera wyciągnęła szklankę przed siebie i stuknęła się z Zellą.

– Wypijmy za to.

Piły „mrożoną herbatę”, a Zella opowiedziała jej wszystko o swoim kuzynostwie, Betty i Johnie, oraz o tym, jak ich matka była siostrą jej matki, ale rodzeństwo już ze sobą nie rozmawiało, no bo wiesz, jakie potrafią być siostry. Vera rzuciła okiem na dyniowy lampion. Kiedy Zella przestała już obśmiewać cały woosterski country club, zadzierając nosa, przybierając nadęty ton i narzekając na to, jak inaczej zachowywali się teraz jej kuzynka i kuzyn, Vera w owej pretensji usłyszała tęsknotę.

– Wiesz – zaryzykowała Vera – moja siostra chodziła z Johnem, dawno, dawno temu.

– Z Johnem Reedem? Moim kuzynem Johnem? Serio?

Vera przytaknęła.

– Zanim wyszła za męża.

– Jak twoja siostra się nazywa?

– Vivian. Wtedy Vivian McGinty.

– Ha. – Zella powoli zaciągnęła się świeżo zapalonym papierosem. – Ładna?

„Vera to nasz uparciuch, Vivy ślicznotka, a Violet najmłodsza”. Przez całe życie. I z czasem wcale nie było łatwiej znieść tych słów.

– Chyba. – Zdołała burknąć jedno słowo w odpowiedzi.

Nie chciała przyznać tego nawet przed samą sobą, ale może ten jeden raz Vera chciałaby usłyszeć, że to ona jest ładna.

– Ciekawe, czy to za nią tak szalał. Była jedna dziewczyna, dla której stracił głowę, zakochał się po uszy, a kiedy go rzuciła, mocno to przeżył. – Zella zerknęła na wiewiórkę przebiegającą w podskokach przez ulicę. – Tak, cierpiał, ale Betty przeżyła to jeszcze mocniej. Wściekła się nie na żarty.

Vera nie zwróciła większej uwagi na kawalera Vivian, jednak Johna Reeda zapamiętała, ponieważ był północniakiem. Pazerem. Pewnego razu Vera próbowała wytłumaczyć Wally’emu, że pazer to bogacz, podczas gdy on twierdził, że muszą mieć coś wspólnego z pokerem, ale nie był w nastroju na sprzeczki ani Vera nie miała ochoty na kolejnego siniaka na ramieniu.

Ludzie zawsze powtarzali, że Vivian była śliczniutka, ale w opinii Very Vivian była raczej głupiutka, że nie wyszła za męża za Johna Reeda. Mogłaby mieć tyle sukienek od Beulah Bechtel, ile dusza zapagnie; ubrania tak cholernie się dla niej liczyły.

Vera czuła, że Vivian znów zaczyna ją denerwować, przekłeta królowa balu. Wszystko szło po jej myśli, choć nawet tego nie zauważała. Ciągłe użalała się nad sobą. Może nadszedł w końcu czas, żeby ktoś dał jej powód do prawdziwego zmartwienia.

Vera usłyszała to od Marvinna Taggarta, koleżki Wally’ego ze starych czasów. Stare czasy, tuż po tym, jak wszawy Wally opuścił pensjonat u Brinkerhoffów, porzucając zadurzoną Verę na lodzie, a ona utknęła w staropanieństwie na kolejnych osiem lat. Wziął innego lokatora Brinkerhoffów ze sobą, Ralpa Eberly’ego, Vera wrzeszczała za nimi, że ma nadzieję, iż Ralph ogrzeje go w nocy.

Mężczyźni pojechali koleją na gapę przez Galion, potem nowojorski pociąg zabrał ich do Cleveland, następnie do Syracuse, później do Albany i z powrotem do Wooster. Choć większość osób udawała się po wielkim kryzysie na zachód, Wally i Ralph sądzili, że wpadli na sprytny pomysł, i ruszyli w przeciwnym kierunku, mając się przeróżnych zajęć, gdzie tylko się dało.

Podłapali pracę między innymi na budowie w Syracuse w stanie Nowy Jork w 1933 roku. Jakaś gruba ryba przenosząca franczyzę baseballową do Syracuse musiała wykończyć stadion w trzy miesiące. Krótki termin wykonania oznaczał, że płaca była solidna; Wally uwielbiał opowiadać Verze o tym, że „płaca była solidna”. „Ponieważ kiedyś to były czasy” – powtarzał. Marvin poszedł własną drogą wiodącą prosto za kratki więzienia w Auburn, gdy przyłapano go na kradzieży samochodu nieopodal Syracuse.

– Z Betty jest teraz ważna pannica – powiedziała Zella, raz po raz mieszając kostkami lodu w szklance. – Wiesz, lala, że mucha nie siada. Choć w dzieciństwie, jasna sprawa, dobrze się bawiłyśmy. Betty bawiła się aż za dobrze, no wiesz. – Zella jednocześnie trzymając papierosa w dłoni, wycelowała palcem wskazującym w Verę. Przymknęła powieki do połowy i wychyliła drinka tak, że zostało go mniej niż połowa.

– Tiaa. Betty za bardzo się zabawiła, zaciążyła i musiała błyskawicznie wyjść za Charliego Millera. Kiepsko się złożyło dla Foresta.

– Foresta? – spytała Vera. – Twojego Foresta? – Forest Sadler śmiał się

najbardziej, kiedy Marvin Taggart powiedział wszystkim, że musiał rozwieść się ze swoją żoną Mildred, ponieważ okazało się, że ona już była mężatką.

– Taa. – Zella zaczęła delikatnie kołysać się w przód i w tył, siedząc na najwyższym stopniu ganku. Wpatrywała się w dal i zaczął plątać jej się język.

– Betty przed Charliem chodziła s Foressem. Ale Foress powinien wiezieć, że nis tego nie wyjzie, znając Betty i jej rodziców, i nie kiedy Foress robił na stacji Sohio i sawsze cuchnął benzyną. Zabawne, wziął tę pracę, bo Sohio leżało na północy, chział zobaczyć, ile zianych niuń uda mu się poznać. Chyba się nie spoziewał, że się sakocha na serio. Była między nimi chemia, nie ma so.

Verze została ponad połowa drinka, zamieszała nim w szklance. Potrząsnęła głową i próbowała nadażyć za chaotyczną paplaniną Zelli. Może gdyby piła trochę szybciej.

– Mogę byś jego nagrodą pocieszenia. Te same geny, inny chów, wiesz?

– Ahaaa – zgodziła się Vera, choć rozmyślała nad tym, jak prawie się przewróciła, gdy usłyszała, że Mildred, żona Marvina Taggarta, zdążyła wyjść za mąż.

Zella rozsmakowała się w alkoholu i lemoniadzie.

– Och, wiem, że s Foressa zis już żaden przystojniaczek. No i sa dużo pije. Ale przyssał się do butelczyny dopiero po tym, jak Betty i Charlie się hajtnęli.

– Mocno to przeżył, prawda?

– I to jak. A teraz posłuchaj, Vero – powiedziała Zella, zwracając kiwającą głowę ku Verze i palcami stukając ją w przedramię. – Nie rossiewałabym tej plotki, ale nigdy nie byłam pewna, czy Margie jest córką Charliego, wiesz? Może ojcem jes Foresst. – Sycząc pod koniec, zaczęła się śmiać.

Vera śmiała się razem z nią, ale myślami odpłynęła do Marvina Taggarta siedzącego przy stole u niej w jadalni, z oczami wychodzącymi z orbit, kiedy krzyczał, że „Mildred to zdraдлиwa, zepsuta kobita”. Twarz Marvina przybrała buraczkowy kolor, dłonie miał zaciśnięte w pięści, demonstrował wszystkim, jak bardzo rozwścieczył go fakt, że jego była żona wyszła już wcześniej za mąż „za jakiegoś Edwarda Daltona”.

Śmiech Zelli słabł wraz z wypijanym drinkiem, a kiedy w końcu ustał, znów wzięło ją na filozofowanie.

– Taa, mieli wtedy to „coś”. Betty uwielbiała chozić na stację Sohio, żeby sobaszyć go w uniformie z czapką na głowie. Mówiła, że kocha zapach benzyny. – Zella zaczęła. – Mówiła, że to było „zexy”. – Przewróciła oczami i palcem zakręciła młynek nad uchem. – Teraz jest całkiem inna. Ale wciąż od czasu do czasu gadamy przez telefon. Jak mam dla niej dobrą ploteszkę czy soś. – Znów przewróciła oczami i westchnęła.

Ostatnie zdanie Zelli dzwoniło Verze w uszach na długo po tym, jak się pożegnała, wręczyła gospodyni pustą szklankę i wróciła do siebie. Fraza dzwoniła jej w uszach i zadomowiła się w głowie na długie tygodnie po tamtej rozmowie. „Wciąż od czasu do czasu gadamy przez telefon”. Kiedy nadeszła zmiana pogody i zaczął padać śnieg, Vera zatelefonowała do Vivian z pytaniem, co Charlotte chciałaby dostać na święta, a Vivian była w jednym z tych swoich humorów. Wspomniała, że

„przyłączy się całe liceum Charlotte”, Vera pomyślała, że byłaby dumna.

– Cóż, brawo dla dziewczyny!

Jednak to tylko jeszcze bardziej rozwścieczyło Vivian.

– Nie wiesz, o czym mówisz. Nie masz dzieci.

Vivian równie dobrze mogła po prostu uderzyć Verę w twarz.

Zatem piętnastego grudnia Zella Johnson niemal się ślinała, gdy poprosiła operatorkę telefoniczną w Wooster o połączenie z kuzynką, Betty Miller. Właśnie usłyszała niezwykle soczysty kąsek, plotkę prosto od sąsiadki z Akron.

Rozdział 51

Vera nie napisała w notesie tego wszystkiego, rzecz jasna. Nie zdołałaby, nawet gdyby chciała, ale nie chciała. Biorąc pod uwagę częściowy paraliż i ogólne osłabienie, pół dnia i całą energię zabrało jej to, by zapisać choćby najważniejsze punkty na obu marginesach strony.

Vivy,

nie wiem, czy kiedykolwiek bym to przyznała, gdyby nie ten przekłęty wylew. Zabawne, co zrobił z moją głową. Wciąż tu jestem i chociaż połowa mnie śpi, czuję, jakby ktoś wziął mój mózg i nim potrząsnął. Oddzielił rzeczy, które zrobiłam dobrze, od tych, które dobre nie były. To, co wyrzuciłam tobie, nie było w porządku. Wtedy nie wiedziałam, jak bardzo cię to zrani, jak spartoli ci życie.

Powiedziałam komuś, co wiedziałam o Eddiem i jego pierwszej żonie. Powiedziałam to komuś, kto – jak wiedziałam – nie zatrzyma tego dla siebie, poza tym wiedziałam, komu to przekaże. Zawczasu wyobrażałam sobie chyba, że dostaniesz za swoje. Że utrze ci to nosa. Sądziłam, że zawsze wszystko szło po twojej myśli. To była zazdrość. Prawdziwa małostkowość i zazdrość. Ty byłaś tą ładną, oczkiem w głowie tatki, ciągle dostawałaś to, czego chciałaś. Wyznam ci teraz, że bardzo mi z tego powodu wstyd!

Można by pomyśleć, że dziś, przykuta do łóżka, będę jeszcze bardziej rozżalona. Och, biedna ja! To dziwne, ale wcale tak nie jest. Chciałabym móc poczuć lewą stronę ciała i umieć wstać z łóżka bez pomocy, ale sądzę, że tak właśnie Bóg chciał mi pokazać, jak dobrze wcześniej miałam. I może to zepsułam, bo nie doceniałam tego, jak było, wiesz? A może udar zepsuł mi mózg bardziej, niż jestem w stanie to pojąć. Jednak z pewnością zepsułam stosunki z tobą i musisz mi uwierzyć, jak bardzo mi przykro. Naprawdę i szczerze przepraszam. Nigdy nie przypuszczałam, że sprawa skończy się tak źle. Wiem, że zawsze dzieliły nas niesnaski, ciebie i mnie, ale kocham cię, Vivy. I jeśli mój stan się pogorszy, chciałabym, żebyś to wiedziała. Gdybym mogła cofnąć czas i swoje uczynki, na pewno bym to zrobiła.

Vera

Vera spoglądała wilgotnymi oczami na Vivian odczytującą kartkę z notesu, łyzy zbierały się i zaczęły płynąć po policzkach. Wysiłkiem było podniesienie prawej dłoni, by je otrzeć. Nie czuła tego, ale łyzy płynęły też po lewej stronie jej twarzy.

Violet weszła do pokoju, niosąc tacę z tostami i ciasteczkami z masłem orzechowym. Gdy zobaczyła oblicze Very, pospiesznie odłożyła tacę obok niej na łóżku i chwyciła serwetkę, żeby otrzeć jej łzy.

– Och, nie, co się stało?

Vera wiedziała, że gdyby pielęgniarka, którą Wally zatrudnił, się nie sprawdziła, młodsza siostrzyczka z radością by ją zastąpiła. Zawsze taka była.

Vera nie odrywała wzroku od Vivian, która wyglądała, jakby była w lekkim szoku, za co Vera ani trochę jej nie winiła. Vivian, by wytłumaczyć sytuację najmłodszej siostrze, a może by sama ją lepiej zrozumieć, otworzyła usta i zaczęła odczytywać na głos słowa z notesu, które właśnie sama przeczytała. Wraz z lekturą Violet podniosła dłoń do ust, drugą ręką obejmując się w pasie. Stała tak plecami do Very leżącej w łóżku, potrząsając głową w osłupieniu. Vera także Violet za to nie winiła.

Vivian dobiegła do końca tekstu i zamknęła notes. Nie potrafiła spojrzeć w oczy Verze leżącej bezsilnie w łóżku, łzy płynęły po policzkach chorej, ponieważ Violet zajęła się smarkami kapiącymi jej z nosa, ale łzami już nie. Vivian wstała bez słowa, odłożyła notes z powrotem na stolik nocny i wyszła z sypialni. Violet spoglądała to na oddalającą się sylwetkę Vivian, to na Verę w łóżku. Vera i Violet usłyszały, jak najpierw otwierają się, a potem zamykają drzwi wejściowe, wówczas Violet podeszła do okna i zobaczyła ich środkową siostrę (nieustannie łaknącą uwagi!), która oddalała się od domu. Minęła buicka zaparkowanego przy krawężniku i szła dalej ulicą, aż zniknęła z pola widzenia.

Vera, wciąż zachowując przytomność umysłu, nigdy nie potrafiłaby przyznać, czy chciała, by plotka o Edwardzie wywarła tak katastrofalny skutek. Pogłoska ciurkała po kablach telefonicznych z Akron do Wooster, a potem stanęła w płomieniach, jakby rzucono zapalonego papierosa na stróżkę benzyny prowadzącą prosto do dystrybutora.

W sąsiedztwie na kilku gankach zdążyło zapalić się światło, zanim Vivian wróciła do domostwa Irwinów. Nie spojrzała na zegarek, ale domyśliła się, że nie było jej dwie czy trzy godziny. Jej czółenka zaskrzypiały na podłodze przy wejściu, po czym zajrzała do dużego pokoju, gdzie siedział Wally – wpatrywał się w pusty, poczerniały kominek. Nie podniósł wzroku. Vivian wywnioskowała, że pielęgniarka musiała już pójść do domu.

Wally w końcu prześpi się z pielęgniarką, wywołując spory skandal w okolicy i rodzinie, ale na razie wciąż był w szoku i opłakiwał stratę takiej żony, jaką kiedyś znał. Zastanawiał się, czy częściowo ponosi winę za udar. Myślał, że nie powinien jej tak bić.

Vivian powoli wspinała się po schodach, licząc stopnie, jak czasami robiła to we własnym domu. Piętnaście. O wiele szczęśliwsza liczba niż trzynaście, chociaż przyniosłaby mniej szczęścia, gdyby akurat zdarzyło się jej spaść z samej góry. Piętnasty schodek. Jak piętnasty grudnia w kalendarzu, kiedy świat Vivian zawalił się na głowę. Data piętnastego grudnia będzie już zawsze kojarzyła się jej z piętnastoma schodami, które musiała pokonać do pokoju siostry. Violet zapaliła lampę obok łóżka Very i siedziała na krześle opuszczonym przez Vivian kilka godzin temu, obserwując

śpiącą chorą. Już nie kłopotowała się, by wycierać ślinę ciekącą z lewego kącika jej ust.

Podniosła wzrok, gdy Vivian weszła do sypialni, i wstała z krzesła. Położyła dłonie na sercu i wyszeptwała: „Tak mi przykro”. Vivian lekko i z rezygnacją skinęła i stanęła z boku łóżka nad Verą. Zerknęła na budzik stojący na stoliku. Dawno temu jego ciężar w dłoniach sprawiłby jej przyjemność. Ale nie teraz. Zamiast sięgać po zegarek, zsunęła pierścień Claddagh cioci Catharine z serdecznego prawego palca, uniosła kruchą, osłabioną prawą dłoń Very i wsunęła pierścionek przez gruzłowaty knykić serdecznego palca siostry. Potem odwróciła się do Violet i energicznie wskazała głową drzwi. Violet zostawiła zapaloną lampę, ale zamknęła drzwi sypialni za nimi. Nie odezwały się ani słowem do Wally’ego, gdy przeszły przez duży pokój i wyszły z domu w łagodną letnią noc.

Dwie młodsze siostry McGinty siedziały w milczeniu na przednim siedzeniu buicka Daltonów i w drodze powrotnej do Wooster wpatrywały się prosto przez szybę na ścieżkę wyznaczaną przez przednie światła. Praca silnika samochodu i nieustanne drganie kół na autostradzie sprawiały, że cisza nie wydawała się niezręczna. Vivian w kółko powtarzała w myślach słowa z notesu Very, tak samo jak robiła to podczas długiego spaceru, na jaki się wybrała. Violet także rozmyślała o spowiedzi na kartkach notesu oraz o napiętym głosie Vivian, gdy ta czytała wyznanie. Potem przyszły jej do głowy gesty Vivian, o których myślała jeszcze długo po tamtym dniu.

Zdaniem Violet pierścień Claddagh należący do McGintych zawsze znaczył dla Very więcej, niż powinien. Nie mogła uwierzyć, że Vivian dała go Verze po tym, co siostra jej zrobiła. Ale Vera była chora i nie wyzdrowieje; to pewne. Violet zerknęła ukradkiem na Vivian, podczas gdy ta zjeżdżała buickiem z autostrady. Vera zawsze była największą mądralińską w rodzinie, ale Violet podkreśliłaby, że to Vivian naprawdę знаła się na ludziach.

– Widziałś, co piszą w gazetach? – Vivian w końcu przerwała milczenie, kiedy dojeżdżały do Wooster i rozżarzone latarnie uliczne zaczęły ukazywać się ich oczom. – Za kilka tygodni będzie egzekucja Rosenbergów. Krzesło elektryczne.

– Och, tak? – odparła Violet. – Nie wiedziałam. Chociaż Robert coś o tym wspominał. A ty co, czytasz gazety?

– Mmm hmm – mruknęła Vivian. Odzianymi w rękawiczki palcami stuknęła w kierownicę, gdy jechały na południe aleją Bealla.

Minęły wejście do kampusu woosterskiego college’u – tu zwykle klęła pod nosem na beztróskich studentów, zaśmiewających się i wymachujących tobołkami pełnymi książek. Już sam ich widok rujnował jej nastrój oraz psuł nastawienie na cały dzień, przynosząc przeświadczenie, że jest niewystarczająco dobra.

Na nowe uczucie w jej wnętrzu, wrzące w brzuchu i rozlewające się po całym ciele, gdy mijała uczelnię, składały się ekscytacja, pełna podenerwowania nadzieja i nowe perspektywy.

– Mówiłam ci już? – Nie odrywała wzroku od studentów, ale pochyliła się ku siostrze. – Mam zamiar skończyć liceum.

Rozdział 52

Vivian czuła się dobrze ze swoimi planami, aby zdobyć świadectwo ukończenia szkoły średniej. Nie była pewna, jakie uczucia towarzyszą jej w związku z nadchodzącą rocznicą ślubu. Byli razem już szesnaście lat, jeśli policzyć te pierwsze piętnaście lat i siedem miesięcy, kiedy w świetle prawa nie łączył ich związek małżeński. Gdyby uznała świstek papieru z podpisem wielebnego Alsopa za bardziej uświęcony niż szesnaście lat na wół wiernego oddania, wtedy tak, sytuacja mogłaby trochę działać jej na nerwy, ale od tamtego dnia wiele się wydarzyło. Z szesnastą rocznicą ślubu nie wiązał się żaden tradycyjny podarunek. Piętnasta – rok temu – była kryształowa i Vivian liczyła na świeczniki, ale Edward nic jej nie dał, bo zapomniał. Jednak to było przedtem. Nie ma takiej możliwości, by tym razem zapomniał.

Edward sprezentował Vivian duże pudło. Musiał przechowywać je na tyłach w szopie, ponieważ nie widziała go w piwnicy ani w żadnej szafie. Było ciężkie, przewiązane piękną srebrną wstążką, położył je na stoliku przed nią. Wyglądało, jakby kazał je profesjonalnie zapakować u Freedlandera, co zawsze wyśmiewał. „Mam dwie sprawne ręce. Potrafię skleić papier taśmą i zawiązać kokardkę”. Nie wspominając już o tym, że załatwienie tego w domu towarowym kosztowało. Kącik ust Vivian uniósł się lekko, posłała mu też osobliwe spojrzenie, gdy musnął dłonią poduszkę i przysiadł obok niej na kanapie.

Skierowała uwagę znów na prezent i delikatnie pociągnęła za koniec wstążki, patrząc, jak rozwiązuje się kokardka. Mocowała się z supełkiem paznokciami pomalowanymi lakierem Revlona w odcieniu „Śliwkowej piękności”, ponieważ miała już dość „Ognia i lodu”, po czym zdjęła wstążkę z podarunku i odłożyła na bok, by ją zachować. Stopa Edwarda leżąca obok stolika zaczęła tupać. Rozpakowywanie szło o wiele wolniej niż zwykle, ponieważ Vivian nie była pewna, czy chce zobaczyć, co jest w środku. Przeżyła sporo rozczarowań w tym roku i myślała, że nie zdoła udźwignąć kolejnego. Ostrożnie zerwała taśmę sklejącą papier, ze wszystkich sił próbując go nie rozerwać. Papier ozdobny też można było i należało oszczędzić, złożyła go na czworo i wsunęła pod wstążkę leżącą obok pudła.

Kiedy podważyła wieczko pudełka i zajrzała do środka, ze zdziwienia jej uniesione brwi aż się połączyły. Wyjęła kilka nowiutkich zeszytów i otworzyła je, by stwierdzić, że nie kryło się w nich nic więcej. Były puste. Odłożyła je na stolik obok papieru ozdobnego i wstążki, sięgnęła znów do pudła i wyjęła ryzę papieru. Kartki też były puste. Zaglądała do pudła, następnie wyciągnęła książkę, potem następną i kolejną. Czytając poszczególne tytuły, zdała sobie sprawę, że są to podręczniki

potrzebne do pierwszej klasy liceum.

Kartkę okolicznościową zachowała na koniec, ale łyzy już ją piekły i zamazywały jej pole widzenia, gdy wsunęła palec z paznokciem pomalowanym „Śliwkową pięknoscia” pomiędzy strony, by ją otworzyć. Bała się, że nie będzie w stanie jej przeczytać. Żenowało ją, że płacze, wołałaby, aby Edward jej się nie przyglądał. Przestał wybijać stopą rytm i podał jej chustkę do nosa, której skrawkiem materiału osuszyła kąciaki oczu, zanim łyzy popłynęły jej po policzkach i zniszczyły makijaż. Kartka, w przeciwieństwie do opakowania prezentu, nie była wykonana profesjonalnie. Był to kawałek zwykłego papieru, który Edward złożył we czworo i sam wypisał. Kartka własnoręcznej roboty, taka jak te, które Charlotte robiła, gdy chodziła do szkoły podstawowej.

Na zewnątrz było napisane: „Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy mojej Ulubionej Żonie”.

Vivian prawie zgmiotła papier w kulkę, by rzucić nią w męża. Nie chciała na niego patrzeć, mimo że słyszała, jak chichocze tuż obok niej. Ależ ten mężczyzna miał tupet. Ściągnęła wargi w ciup i rozdęła nozdrza, obawiając się, że jeśli na niego spojrzy, wybuchnie śmiechem, a nie była pewna, czy już sobie na to zasłużył. Pociągnęła nosem i prędko potrząsnęła głową, po czym otworzyła kartkę. Słowa „Za nowy początek” zapisano wielkimi literami, poniżej widniała cyfra „1” oraz wyraz „papier” ujęty w cudzysłowie.

Zerknęła na górę zeszytów, papieru i podręczników. To wszystko było papierowe, na litość boską. Papier – na pierwszą rocznicę ślubu. Odwróciła się i spojrzała na Edwarda, którego czoło było zmarszczone, a jego dzikie, siwiejące, uniesione brwi złączyły się. Gdyby Vivian wcale się nie знаła, powiedziała by, że wyglądał na stremowanego. Zdenerwowanego nie na żarty; pochylał się, pocierając o kolana dłońmi pociętymi od papieru i patrząc na nią. Nie było róż w kryształowym wazonie. Żadnych bukietów przeprosinowych na tę rocznicę. Nie był to prezent podarowany z poczucia winy. To była miłość i wyglądało na to, że Vivian i Edward Dalton zamierzają zacząć nowy rozdział.

– Vivy. – Edward dał jej lekkiego kuksańca w bok. – Czemu facet walił się po głowie młotkiem?

Zaczerpnęła głębokiego oddechu i podniosła brwi, lecz nie spojrzała na niego.

– Bo czuł się wspaniale, kiedy przestał.

Westchnęła, łyzy znów zaczęły napływać jej do oczu, kiedy położyła dłoń na jego dłoni spoczywającej na kolanie.

– Edwardzie, ależ z ciebie męczydupa.

Potem wybuchła śmiechem.

Epilog

Flora Parker wysłała kopię aktu urodzenia Gilberta do woosterskiego „The Daily Record” dzień po tym, jak brat został postrzelony i zabity. Harry Sweeney nie zwrócił uwagi na kanadyjski stempel pocztowy na anonimowej kopercie. Gdyby to zrobił, mógłby napisać o wiele bardziej intrygujący artykuł, jednak Harry potrafił być taki gapowaty. Był to jeden z powodów, dla których nie dostał awansu na stanowisko redaktora.

Flora i Gilbert przechowywali odpisy aktu urodzenia przez całe życie, tak jak należała na to ich matka. Była pewna, że posiadanie dokumentu z taką informacją pewnego dnia okaże się dla nich ważne i przydatne. Gilbert żywił więcej gniewu na biologicznego ojca, przy czym gniew Flory mógł być po prostu uśpiony. Wybuchł, kiedy usłyszała o zastrzeleniu Gilberta. Wieści dotarły przez radio policyjne, które Bill naprędce zamontował na poddaszu domu. J. Ellis Reed zasługiwał na to, by stanąć twarzą w twarz z konsekwencjami swoich czynów i odpowiedzieć za nie, bo była pewna, że nigdy wcześniej, w całym swoim długim, uprzywilejowanym życiu, nie musiał tego robić.

Mieszkańcy Wooster plotkowali, że cały bandycki przekręt przeprowadzono z premedytacją. Wymyślali szalone teorie na temat Flory, Gilberta i J. Ellisa Reeda. Że Flora i Gilbert planowali zemstę na rodzonym ojcu, jeszcze zanim przeprowadzili się do miasteczka. Flora nie spodziewała się niczego innego po woosterskiej ludności.

Z tego, co powiedziała jej matka, Ellis obiecał jej małżeństwo i twierdził, że rasa nie ma znaczenia. Ale potem czmychnął z podkulonym ogonem do Wooster „jak tchórzliwa nutria”, kiedy zrobiło się gorąco. Zresztą tymi słowami matka opisywała przyjście na świat bliźniaków, „zrobiło się gorąco”, a potem zaśmiała się i powiedziała: „Floro, gorączkowałeś się na brata, zanim sama złapałaś pierwszy oddech”.

Isabelle Jacobs była zbyt dumna, by ruszyć w ślad za mężczyzną, który od niej uciekł, i miała za dużo oleju w głowie, aby kochać tchórza. Asystująca przy porodzie pielęgniarka w szpitalnym skrzydle dla kolorowych służyła radą, gdy przyszło do podania danych do aktu urodzenia bliźniaków. Isabelle opowiedziała pielęgniarce Tucker o Ellisie.

– Jak chce pani nazwać syna? – spytała Tucker, a jej sztywne blond loki sterczały jak szalone spod krochmalonego czepka pielęgniarskiego. – Widziałam tu sporo podobnych przypadków i kobieta raczej woli zapewnić ojca, że dziecko jest jego.

– Nie – odparła Isabelle. – Tamten mężczyzna to rozczarowanie. Głupia pomyłka. Chłopiec będzie miał na imię Gilbert, po moim bracie. A na drugie Ogden, po moim ojczymie.

– W porządku – powiedziała pielęgniarka. – Sprawdzę, czy dobrze zapisałam. – Pokazała formularz Isabelle.

– Wszystko gra – potwierdziła Isabelle; była zadowolona z Tucker, która nie założyła, że świeżo upieczona matka nie potrafi czytać.

– A pani córka?

– Zawsze podobało mi się imię Flora – powiedziała Isabelle z rozmarzonym wzrokiem. – Wie pani, Flora to rzymska bogini kwiatów i wiosny.

Pielęgniarka wycedziła po długiej pauzie:

– Bardzo ładnie. – Ale jej mina mówiła: „Cóż, kto by przypuszczał!”.

Isabelle przywykła, że ludzie jej nie doceniają.

– To nie ich wina – wyjaśni później dzieciom. – Są ignorantami. Muszą się jeszcze sporo nauczyć.

Flora z chęcią wzięłaby udział w uroczystości żałobnej ku czci Gilberta wraz z matką, w salonie neogotyckiego bliźniaka z wykuszami w Toronto, który przez dobrą chwilę nazywali domem, ale nie był to dobry moment. Gdy tylko usłyszeli z Billem o strzelaninie, mieli świadomość, że sąsiedzi też prędko się dowiedzą. Musieli szybko stamtąd prysnąć. Spakowali ubrania w pół godziny, Bill dorzucił kilka książek i gier planszowych do pudła na wierzchu walizki, gdzie mieściły się pieniądze. Flora ostrożnie obesła się z norkami, które podarował jej Gilbert, chusteczką ocierając oczy, żeby łzy nie kapały na futro.

Bywały osobliwe dni u schyłku wiosny, kiedy opatulą się norkami, siedząc przed ogniem w kominku w ich nowym, przytulnym domku, ze trzy razy mniejszym od poprzedniego neogotyckiego bliźniaka, ale dla ich dwójki był jak znalazł. Flora pomagała Billowi z francuskim, bo jeśli chcieli występować w spektaklach lokalnych teatrów, musieli rozumieć swoje kwestie. Próbowwała także wybrać najwłaściwszą porę, by powiedzieć mu, że chce odesłać resztę pieniędzy do Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej Wayne’a. Chciała się ich pozbyć. Pozbyć się wspomnień, które łup przywoływał, i pozbyć się nici, która nadal łączyła ją z J. Ellisem Reedem.

Flora była szczęśliwa tam, gdzie była, a gdy poczuje się gotowa, zdradzi nazwę miasteczka. Na razie Flora mówiła tylko o „małej mieścinie”. Właśnie takiej jak Wooster.

Od autorki

Przepisy kulinarne oraz wiersze zawarte w tej książce należą do mojej babci (literówki też – nie wińcie adiuśtorów), artykuły prasowe zaczerpnięto dosłownie z „The Daily Record”, zmieniono tylko nazwiska i w jednym z tekstów dodano szczegół („pociecha”). Skorzystałam z *licentia poetica* w kwestii pozostałych faktów historycznych podanych w książce i chciałabym to wyjaśnić. Opowieść jest luźno oparta na życiu mojej babci, ale warto podkreślić słowo „luźno”. Portret rodziców Vivian McGinty jest dość zbliżony do prawdziwego; jednak przedstawienie jej rodzeństwa to fikcja, bohaterowie nie przypominają członków rodziny mojej babki (prócz tego, że jej najmłodsza siostra, moja cioteczna babcia Ginny, naprawdę udaremniła napad z bronią w rękę na dom towarowy William Annat Company). *Mit o Syzyfie* nie został przetłumaczony z języka francuskiego na angielski do 1955 roku, więc Charlotte nie mogłaby przerabiać go na lekcjach angielskiego w 1952 roku. Lokal A&W w Wooster otwarto dopiero w 1957 roku, zatem Clyde Walsh musiałby zabrać Ginny Frazier na pierwszą randkę gdzieś indziej. W A&W z początku nie serwowano burgerów, tylko hot dogi i kanapki z kurczakiem. Fabryka czekolady Heidelberga nie istniała naprawdę, przynajmniej nie w Wooster. Szkołę podstawową Quinby, kościół metodystów w Wooster oraz Kasę Oszczędnościowo-Pożyczkową Wayne’a także stworzono na potrzeby tej opowieści. Alfanumeryczne oznaczenia central telefonicznych tak naprawdę stosowano tylko w większych miastach, ale mnie bardziej podobało się brzmienie „Mason-8812” od zwykłego „32” czy czegoś podobnego. Niektóre numery telefonów w Wooster na początku lat trzydziestych dwudziestego wieku składały się z zaledwie dwóch cyfr. Telefonistki siedziały na krzesłach pozbawionych kółek (wnioskując z fotografii), co było o wiele praktyczniejsze, ale ja chciałam krzesła obrotowych wyposażonych w kółka. Bo tak. Resztę opowieści próbowałam utrzymać w możliwie jak najautentyczniejszym tonie, ale nie żyłam w tamtych czasach, więc jestem pewna, że wkradły się pewne rozbieżności. Z góry przepraszam.

Podziękowania

Muszę podziękować Kate Jackiw i Donnie Quathamer za lekturę tej książki na jej wczesnym etapie, gdy była w najbardziej dziecinny, chaotycznym stanie, bo to żadna zabawa. „Mam tu kupę bałaganu. Proszę, przeczytajcie”. Kendra Cleveland także przeczytała wstępną wersję pierwszego rozdziału i przekazała mi zapewne świetne komentarze, których jednak nigdy nie odebrałam, ponieważ wysłała je nie ze swojego i „mądrego” smartfona, ale z telefonu z klapką. Liczą się jednak dobre chęci. Podziękowania składam na ręce Ann Schluter Kowaliczco, bo choć w lekturze książki w początkowym kształcie przeszkodziły jej środki przeciwbólowe zażywane po operacji kostki oraz gra *Words with Friends*, to przeczytała ogrom innych tekstów, które napisałam, i zapewniła mi mnóstwo wsparcia, zachęty i zdjęć (zobacz fotografię autorki). Jim Redmond także czytał sporą część moich wycinków i stanowił moją opokę, zachęcając mnie do pracy, oferując mi pomoc oraz nieuzasadnione pochwały i bezcenną konstruktywną krytykę.

Pragnę podziękować także mojej agentce o zacięciu porucznika Columbo i z samymi superlatywami w zanadru Susan Ramer, a także zawsze rozważnej Carze Bellucci – ich komentarze, uwagi, nieustrudzone wysiłki oraz uważność uczyniły całość o wiele lepszą. I mojej wnikliwej, rzetelnej redaktorce Jennifer Brehl, która kazała mi pogłębić motywacje postaci (i ostatecznie uczyniła całość o wiele lepszą). Dziękuję Nate’owi Lanmanowi – był cudowny i dopilnował, by wszystko szło gładko, oraz reszcie działającego „zza kulis” zespołu wydawnictwa William Morrow za ciężką pracę. Dwóm agentkom, Stefanie Lieberman i Janet Reid, które mnie nie reprezentowały, ale służyły wyborną radą i zachęcały do pracy od samego początku (jeszcze przed powstaniem tej książki), dzięki czemu nie przestawałam pisać i cały czas się uczyć. (Wciąż codziennie czytam bloga Janet). Do tej pory trzy razy użyłam słowa związanego z czasownikiem „zachęcać”, ponieważ jest dość ważne. Zachęcać. Dodaje chęci, odwagi i nie tylko.

Jestem dozgonnie wdzięczna mojej licealnej nauczycielce maszynopisania, pani Gentry. „A, a, a, odstęp! A, a, a, odstęp! A, a, a, odstęp! Wróć!”

Dziękuję Bradowi Harmonowi, prezesowi oddziału firmy GateHouse Media na centralną część Stanów Zjednoczonych, za błyskawiczną odpowiedź na prośbę o zgodę na wykorzystanie wycinków prasowych z „The Daily Record”. Elaine Fletty z Biblioteki Publicznej Hrabstwa Wayne, która bardzo pomogła mi w poszukiwaniach genealogicznych i odgrzebała poezję autorstwa mojej babci, cytowaną w tej powieści.

Instagramowemu profilowi Firmdale Hotels, który odwiedzałam w poszukiwaniu miłych i przyjemnych chwil kontemplacji przed pisaniem, w jego trakcie i po pisaniu. (Hotele znajdują się głównie w Londynie, ich zdjęcia są prześliczne i relaksujące,

służą za piękny prospekt). Kanałowi filmowemu Turner Classic Movies – często leciał w tle, wprowadzając mnie w klimat lat trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Niech wyrazy wdzięczności przyjmie moja rodzina (bliższa i dalsza), zwłaszcza mama i ciocia Rosemary, które dzięki wspomnieniom dołożyły do książki przedziwne i zabawne cegiełki. A także kuzynki: Sandy za opowieść o korespondencji kolejowej oraz Leta (do dziś zamieszkująca w Wooster) za żelazną pewność, że rzecz zostanie opublikowana. I na końcu pragnę podziękować mojemu tacie – okazał się niezwykle wspierający, i to wbrew sobie. Będzie dawał mi zachętę, gdy zobaczy książkę w druku.

O autorce

Gretchen Berg urodziła się na Wschodnim Wybrzeżu, dorastała na Środkowym Zachodzie; sporą część życia spędziła na Wybrzeżu Północno-Zachodnim. Absolwentka Uniwersytetu Stanu Iowa. Była nauczycielką angielskiego w Korei Południowej i w północnym Iraku. Dziś mieszka w Chicago. *Telefonistka* to jej debiut literacki.